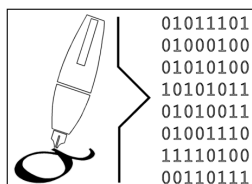


EWA BIAŁOLEĆKA

KAMIEŃ NA SZCZYCIE

**Druga księga z cyklu
„Kroniki Drugiego Kręgu”**

Data wydania : 2002 r.



Część Pierwsza — Długi cień kręgu

Spieniona woda spadała ze skały. Biała i hałaśliwa, przypominała żywe stworzenie. Zmienny, ruchliwy obraz dający wrażenie piękna, który zaraz jest zastępowany innym, równie wspaniałym. I tak samo krótko istniejącym. Mały Wędrowiec, zwany Myszką, leżał na brzuchu wśród zarośli. Twarz podparł rękoma, przypatrywał się kaskadzie szeroko otwartymi oczami. Nad jego głową lekko chwiały się ciemno-zielone, mięsiste liście, jakich pełno było w wilgotnej dżungli nad brzegami niedużego jeziora. Ukrywały z powodzeniem niepokazną postać Myszkę. Nie dojrzałby go nikt z otwartej przestrzeni, a jemu zależało na dyskrecji. W płytkiej wodzie rozlewiska brodziła naga dziewczyna. Spojrzenie młodego maga prześliznęło się po jej smukłej talii, zawadziło o niewielkie piersi, z przyjemnością zarejestrowało pasemko białych włosów, które wysmyknęło się z warkocza upiętego wokół głowy i teraz powiewało swawolnie u skroni. Potem jego wzrok znów wrócił do wodospadu. Postać jasnoskórej, białowłosej Jagody była ładnym dopełnieniem krajobrazu. Myszkę zatopił się w kontemplacji. Jak zachować ten widok? Biel wody i dziewczęcej postaci, spłachetki błękitu nieba odbijającego się w powierzchni jeziora, a dokoła sto odmian soczystej zieleni puszczy podkreślających piękną kompozycję jasnych barw w środku. Myszkę opuścił powieki, starając się zatrzymać choć przez moment ten obraz — żywy i wyraźny. Po chwili znów otworzył oczy. Jagoda oblewała się wodą, którą czerpała dużą, karbowaną muszlą małża falbanowego. Strumyczki spływały po jej skórze, Migocąc w słońcu przesianym przez liście. Krople staczały się w dół, leciały przez powietrze, Lśniąc jak małe diamenty, i spadały na falującą powierzchnię, wzbudzając zwielokrotnione krążki. Myszkę zmrużył oczy. Obraz zamglił się, nabierając tajemniczości i dziwnej nierealności sennego marzenia. Ciało Jagody można by wyrzeźbić w białym marmurze albo twardym gipsie. Śliczną, młodą dziewczynę w rozkwicie urody. Ale jak w takim razie uchwycić spadającą wodę? Myszkę zamyślił się głęboko. Wykuta w martwym kamieniu — także będzie martwa. Sztywna, twarda. . . nie taka, jaką chciałby utrwalić. A może jednak namalowany obraz? Na pewno bardzo trudno będzie tak narysować kaskadę, by woda nie wyglądała jak kłęb bawełnianej przędzy.

„Naradzę się z Pożeraczem Chmur” — pomyślał Myszkę i uśmiechnął się za-

dowolony. Młody smok miał bez wątpienia duży talent do rysowania. Sporo czasu spędzał we własnej postaci smukłego, skrzydlatego zwierza — po to, by polować i spotykać się z rodziną; ale gdy tylko mógł, transformował, przybierając ulubioną postać ludzkiego nastolatka. Mając parę rąk, oddawał się swej pasji, tworzył dziesiątki szkiców czarnym tuszem, kolorowe malunki na kawałkach skóry i płatach kory lub wielkie, barwne freski na skalnych ścianach. Nie było to typowe zajęcie dla smoka. Ale czy ktokolwiek z gromadki dobrowolnych wygnańców na smoczej wyspie był taki do końca zwyczajny?

Myśli chłopca podążyły w inną stronę. Był ktoś, kto z pewnością stworzyłby wspaniały wizerunek. Oddałby całe piękno wodospadu, dynamikę spadającej wody i kruchość nagiej dziewczęcej sylwetki na jej tle. Ale Kamyk — Mistrz Iluzji — nigdy tu nie przychodził. A w każdym razie nie wtedy, gdy była tutaj Jagoda. Myszka westchnął i przekreślił się na plecy, wbijając wzrok w zieleń nad sobą.

Tymczasem po drugiej stronie jeziora inni obserwatorzy nie spuszczała oka z kąpiącej się. Skryci w zaroślach, leżeli rzędkiem obok siebie, wyciągając szyje, by nie stracić nawet odrobiny z rozgrywającego się przed nimi widowiska.

— Nie pchaj się...!

— O bogowie... co za proporcje... — mruknął tęsknie któryś. — Wymierzylbym ją na wszystkie strony.

— Akurat ci pozwoli — szepnął z przekąsem jego sąsiad, odsuwając liść z linii wzroku.

Dziewczyna tymczasem chlapała się beztrosko, całkiem jak ptak trzepiący się w kałuży. Nabierała wodę w złożone dłonie i rzucała w powietrze, by ta spadała na nią niczym deszcz drobnych klejnocików.

— Nie będę spał tej nocy — westchnął jeden z chłopców. — O... jak mi serce wali.

— Ucha cha... Wykończysz się, Stalowy.

Jagoda otrząsnęła się i wybiegła na brzeg. Ściągnęła z gałęzi ręcznik, zaczęła wycierać się powolnymi ruchami. Była w nich zmysłowość, chyba nie do końca uświadomiona. Włożyła żółtą tunikę, przewiązała ją szarfą, po czym bez żadnych ceremonii zawołała w stronę kryjówki podglądaczy:

— Gryf! Stalowy, Promień, Wężownik! I Diament! Koniec przedstawienia! Wynocha do domu! Myślicie, że nie wiem, jakie świństwa wam po głowach chodzą?!

Podnosili się kolejno, z niezadowoleniem mamrocząc pod nosem, mrużąc jak podrażnione lwy. Ale cóż, Jagoda była czymś w rodzaju ciastka za szkłem — smakowita, lecz nieosiągalna. Ustaliła twarde reguły i zmuszeni byli ich przestrzegać. Spośród całej piątki odważył się zostać jedynie Gryf, zbrojny w powagę swych ukończonych dziewiętnastu lat, świadom własnych walorów chłopca nie tylko dobrze zbudowanego, ale i przystojnego.

— Mogłabyś chociaż udawać, że nic nie wiesz — rzekł z krzywym uśmiechem. — To nas jednak trochę poniża.

Jagoda rozplotła warkocz i szcztokowała wilgotne włosy. Fala mlecznej bieli sięgała jej prawie do pasa.

— Udawać? A po co? Ja wiem... wy wiecie, że ja wiem, że wy wiecie... Wzruszyła ramionami.

— I tak się was nie pozbędę z tych krzaków, więc nie dbam o pozory. Czujesz się ponizony, Gryf? A co ja mam powiedzieć: obmacywania spojrzeniami jak towar na sprzedaż?

— Wydaje mi się, że jednak dość dobrze się bawisz — odparł Gryf.

— Mogłabyś w końcu wybrać któregoś z nas.

Czerwono różowe oczy dziewczyny zwięziły się ironicznie.

— „Któregoś”... to znaczy ciebie?

— Dlaczego nie? — Gryf rozłożył ramiona w geście prezentacji.

— Pasowalibyśmy do siebie. Ja — Obserwator, ty Obserwatorka... .

— I znalazłbyśmy nawzajem wszystkie swoje myśli — przerwała mu.

— To mnie zupełnie nie pociąga, Mistrzu Obserwatorze. Kobieta lubi mieć w zanadru jakieś tajemnice. I lubi także być zaskakiwana.

— Więc może Stalowy? — spytał z kpiną. — Biedak, świata poza tobą nie widzi.

— Stalowy poszedłby i za małpą, gdyby ją ubrać w kieckę. A tyś nie lepszy — mruknęła, szcztokując włosy z coraz większą energią.

— Diament? A może Zwycięski Promień Świtu? Wysoko urodzony... wspaniały łucznik... co szkodzi, że trochę... ostry? — podsunął Obserwator tonem kupca oferującego towar.

Jagoda roześmiała się w głos.

— Daruj sobie. Na Miłosierdzie! Tylko nie Promień!

Zaczęła splatać włosy w warkocz. Gryf milczał, obskubując z liści zerwaną z krzaka gałązkę.

— I tak wiem, o kogo ci chodzi — rzekł po chwili oschle. — Po co te uniki? On tu nie przychodzi i nie przyjdzie nigdy. Ma ciebie w takim samym poważaniu, jak ty nas. Brak mu jaj, ot co! Hajgońska zabaweczka — dodał pogardliwie.

Jagoda powoli opuściła ręce, wyprostowała się. Gryf bezwiednie cofnął się o mały krok. Twarz dziewczyny ściągnęła się w gniewie. Jagoda wyglądała tak, jakby za chwilę miała wydrapać mu oczy.

— Ty świniou!! — syknęła. — Kłamiesz i to podle! Wynoś się stąd i proś Los, żebym nie powtórzyła tego Wiatrowi Na Szycie. Połamane palce bardzo bolą. Precz!!

Gryf cofał się przed dziewczyną podczas całej tej przemowy. Odszedł, zmieszany i zły, w tempie tylko o włos różniącym się od ucieczki. Jagoda patrzyła za nim przez chwilę, a potem, jakby nagle wyciekła z niej cała energia, osunęła

się na ziemię i zapatrzyła w przestrzeń niewidzącym wzrokiem, gryząc paznokieć kciuka.

* * *

Gryf i Myszka prawie wpadli na siebie, nadchodząc z przeciwnych stron ścieżki wydeptanej wzdłuż brzegu.

— Dokąd się wybierasz? — spytał od niechcienia Gryf, spoglądając z góry na młodszego kolegę.

— Umówiłem się z Jagodą, gdy skończy kąpiel — odpowiedział Myszka.

Gryf popatrzył wprost w jego jasne oczy, ale znalazł w nich tylko niewinność i spokój. Spokój, który, prawdę mówiąc, zaczynał go ostatnimi czasy coraz bardziej denerwować.

— Skąd wiesz, że skończyła? — warknął. — Kąpie się według zegara?

— Nie trzeba zegara — odparł mały Wędrowiec, obracając w palcach kwiat storczyka. — Dość będzie wypatrywać, kiedy wracacie.

— Pilnuj swego nosa! — prychnął Gryf. Nagle wyrwał Myszcze kwiat i cisnął nim, nie patrząc gdzie. Storczyk pofrunął łukiem między pnączami, uderzył w duży liść, po czym stoczył się z niego prosto do wody. Myszka popatrzył za nim, potem z wyrzutem na kolegę.

— Przepraszam — wymamrotał Obserwator. — Mam zły dzień.

— To się zdarza — rzekł Myszka ostrożnie. — Ale nie oznacza... że wolno być niegrzecznym.

Kiedy Gryf odszedł, Myszka wyciągnął rękę w stronę unoszącego się na powierzchni wody kwiatu. Na krótką chwilę przestrzeń między chłopcem i kwiatkiem zwinęła się, dwa punkty wszechświata się zetknęły, zmuszone do tego talentem Wędrowca i oto na dłoni Myszkki leżał mokry storczyk. Chłopiec otrząsnął z niego nadmiar wody.

— Cha... biedaku, ty też masz zły dzień. Najpierw zerwany, a potem prawie utopiony.

Jagoda czekała na umówionym miejscu. Patrząc w malutkie lusterko, malowała oczy. Zręcznie operowała pędzelkiem, ciągnąc ciemnoniebieską farbą cieniutkie kreski od kąców oczu ku skroniom.

— Witaj, Myszeko.

— Pozdrowienie. Kąpiel była przyjemna?

Jagoda zaśmiała się, nie otwierając ust, co zabrzmiało jak ironiczne: „mhm, mhm, mhm”. Po czym dodała:

— Byłoby milej bez tej publiczności w krzakach. Powariowali zupełnie.

Myszka usiadł obok Jagody i wsunął jej storczyk za ucho.

— No właśnie — ciągnęła. — Kiedy ty dajesz mi coś, to po to, by zrobić mi przyjemność. Nie oczekujesz niczego w zamian. A wiesz, jak jest z resztą... Wyobrażają sobie, że można handlować uczuciami.

Myszka kiwnął głową.

— Coś w tym rodzaju. Ale ja też chcę coś w zamian, pamiętasz? Przyniosłaś?

Dziewczyna wskazała palcem wiszącą na gałęzi plecioną torbę, która poruszała się lekko. Na twarz chłopca wypłynął wyraz niepewności.

— Rezygnujesz? — spytała dziewczyna. — A może to przełożymy?

— Nieee... Przecież się zdecydowałem.

Jagoda zdjęła torbę, delikatnie położyła ją na ziemi i ostrożnie rozwiązała sznurek zaciskający wylot. Z wnętrza natychmiast wysunęła się płaska głowa węża. Rozwidlony język lizał powietrze. Zwierzę było zaniepokojone. Jagoda schwyciła gada zręcznie tuż za głową. Rzucił się raz i drugi, sycząc gniewnie i prezentując długie zęby. Myszka przycisnął łokcie do boków, podkurczył palce w odruchu podświadomego lęku.

— Nie jest jadowity — powiedziała Jagoda, układając sobie ciało węża na przedramieniu. — To mały dusiciel. Dotknij go. Nie bój się. Jest śliczny, prawda? Spójrz na te wzory na jego skórze...

Mówiła cały czas łagodnym, monotonnym głosem, chcąc uspokoić i ośmielić towarzysza. Myszka wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął lśniącej łuski. Po czym natychmiast cofnął palce, ale jego dłoń zawisała w powietrzu, gotowa podjąć następną próbę.

— To tylko mały pełzacz... taki łazik nadrzewny... Bardziej się boi ciebie niż ty jego — ciągnęła jagoda.

Myszka znów delikatnie położył drżącą rękę na węzowym grzbiecie. Jagoda dostrzegła to i starannie ukryła uśmiech. Nie chciała peszyć Myszkę. Wystarczająco długo drwili z niego koledzy. Tak długo, że biedak zdecydował się stoczyć walkę ze swoim lękiem. Nieśmiały chłopiec, który bał się węży i pajaków. Nie cierpiał przemocy i przelewu krwi. Dziewczyna obserwowała go ukradkiem, myśląc, że mimo wszystko bardziej zasługuje na sympatię niż niejeden z pozostałych młodych magów. Tych pewnych siebie, błyskotliwych, silnych, zręcznych chłopców uważających się za dorosłych mężczyzn. A tymczasem brakowało im tego, co cechowało Myszkę — wrażliwości, wyobraźni, spokojnej rozwagi. Było w Myszcze coś, co pozwalało Jagodzie ufać mu bez zastrzeżeń. Zwierzać się z osobistych przemyśleń i zmartwień, będąc pewną, że nigdy jej nie zawiedzie. I nawzajem. On zdawał się pokładać w dziewczynie takie samo zaufanie. Świadczyła o tym choćby ta ostatnia, dziwna prośba, by schwytać dla niego jakiegoś niedużego węża. Żeby mógł się choć trochę przyzwyczaić...

— Właściwie nie jest śliski — rzekł Myszka cicho. — Po prostu bardzo gładki. Jak polakierowany.

— Pewnie niedawno zrzucił skórę.

Mały drzewołaz syknął powtórnie. Zdążył owinać się wokół przedramienia jagody, a teraz zacisnął sploty.

„Skąd tyle siły w tym maluchu?” — zastanowiła się dziewczyna mimochodem. Nacisk prawie miażdżył mięśnie na kościach. Pewnie zostanie jej na pamiątkę parę sinych bransoletek. Przesunęła palec i przycisnęła tchawicę węża. Niezbyt mocno. Po chwili rozluźnił mięśnie.

Myszka odważył się dotknąć głowy gada. Spojrzał w paciorkowate ślepka.

— Kamyk łapał węże. Tam, w domu. Podobno było ich pełno w okolicy. Większość jadowita. Raz nawet złapał białego — węża magów. Od jego jadu umiera się tak szybko, że nawet nie wiesz kiedy.

Jagoda zaśmiała się.

— Znam tę historię. Schwycił białego węża, zabił i miał zamiar wypchać. Schował go pod łóżkiem, a jego ojciec wymiółł zwłoki przy sprzątanu i omal nie padł trupem z wrażenia. Awantura była straszna.

— Ale tego węża Kamyk i tak nie wyrzucił — uzupełnił Myszka.

— Trzymał go w słoju, zalanego alkoholem. On to chyba niczego się nie boi — dodał z lekkim smutkiem i podziwem jednocześnie.

Jagoda westchnęła. Rzecz była stara jak świat, a w każdym razie liczyła już ponad dwa lata. Tyle, ile czasu Myszka znał Kamyka. Starszy chłopak, Tkacz Iluzji w randze Mistrza, bliski przyjaciel prawdziwego smoka, duchowy przywódca Drugiego Kręgu Magów, szermierz i biolog w jednej osobie — imponował Myszcce straszliwie. Niczego mały Wędrowiec nie pragnął tak bardzo, jak tego, by dorównać swemu ideałowi. I jednocześnie miał bolesną świadomość, że nigdy nie zdoła tego dokonać. Ale przynajmniej próbował.

— Nawet nie przypuszczasz, ilu rzeczy tak naprawdę Kamyk się boi — odparła dziewczyna. — Nie znosi ciemności, nienawidzi ciasnych, zamkniętych miejsc... Najgorsza rzecz, jaka mogłaby go spotkać, to utknięcie w rurze akweduktu.

— W rurze...? — zdziwił się Myszka. — Dlaczego akurat w rurze?

— Nie wiem. Ale właśnie to mu się śni czasami jako najgorszy koszmar. Złap go tutaj, za głowę — powiedziała Jagoda jednym ciągiem, podsuwając chłopcu węża.

— Czytałaś Kamyka bez jego zgody? — zgorszył się Myszka i wziął zwierzę do ręki, na sekundę przed tym, zanim zdał sobie sprawę, co właściwie robi. — Eeech...! Zabierz go!

— Spokojnie. Nic ci nie robi. Myszka! Nic takiego się nie dzieje. Po prostu trzymaj go! Połóż na kolanach!

Jagoda zrozumiała, że chciała zbyt wiele za pierwszym razem. Myszka był jak sparaliżowany. Waż trzymany w sztywno wyciągniętej ręce miotał się w powietrzu, usiłując się uwolnić od palców zacisniętych kurczowo na jego karku. Jeszcze

moment i ogarnięty paniką chłopak okaleczy go trwale. Jagoda sięgnęła do Myszkowego umysłu. Owszem, słyszała ją i rozumiał, ale nie był w stanie zmusić swego ciała do wykonywania poleceń. Siłą rozwarła mu palce, chwyciła sponiewieranego węża i odrzuciła w zarośla, zanim zdążył zrobić użytek z zębów.

— Pp-przepraszam... — wyjąkał chłopiec. — Nie chciałem... Dygotał trochę i zbladł pod opalenizną.

— Nie twoja wina — pocieszyła go Jagoda. — I tak bardzo dobrze ci poszło. Nawet lepiej, niż się spodziewałam. Następnym razem... Będzie następny raz? — spytała.

Myszka kiwnął głową. Uspokajał się już i odzyskiwał normalne kolory.

— Pewnie. Tak od razu nie zrezygnuję. Powiedz, dlaczego wchodziłaś do snów Kamyka? — dodał niespodzianie.

Jagoda zmieszana się. Wścibstwo, do jakiego przyznała się niechcący, było bardzo niemile widziane. Żaden z młodych magów nie był święty, ale co do jednego zgadzali się całkowicie — myśli towarzyszy są rzeczą intymną, bardziej nawet niż sprawy ciała. Wkradanie się do czyjegoś umysłu bez wiedzy i zgody właściciela przyrównywane było do kradzieży. O ile się orientowała, żaden z chłopców mających talenty pokrewne jej zdolnościom nie przekroczył dotąd tego zakazu. Czuła na sobie badawczy wzrok Myszki.

— Lubię Kamyka — przyznała się z wysiłkiem. — Chcę wiedzieć, o czym myśli, co czuje... Po prostu być z nim. — Podniosła oczy na swego towarzysza. — A on nie ma dla mnie czasu.

— Rozumiem — szepnął Myszka. — Dla kogo on w ogóle ostatnio ma czas? Sposępniali oboje.

— Zawsze był taki — powiedziała Jagoda z odcieniem zniechęcenia. — Milczek i samotnik. Albo obkładał się pergaminami, świata nie widząc, albo włóczył po wyspie całkiem sam, nawet bez Pożeracza Chmur.

— Ale nie ciągle. Przecież często pływaliście razem albo graliśmy w pierścienie, albo coś budowaliśmy...

— Odsunął się. Sam wiesz dobrze. Teraz siedzi w bibliotece całymi dniami. Nawet jak gdzieś wyjdzie, to sam. Trzech ludzi razem to już dla niego tłum nie do wytrzymania. Kiedy ostatni raz odwiedził Nocnego Śpiewaka i Srebrzanek? Dawniej bawił się z moimi braćmi. A teraz co? Przestał lubić dzieci? Z moim ojcem prawie się nie widuje, odkąd ten przeniósł się do letniego domu nad zatokę. Wiatr Na Szczycie poluje sam albo z Promieniem. Kamyk zaniedbał nawet Pożeracza Chmur, chociaż kiedyś byli nierozłączni. A ja... — Jagoda zamilkła, ugryzłszy się w język.

— A ty go bardzo lubisz — dokończył Myszka i oblał się rumieńcem, zawstydzony własnym tupetem.

— No nie...! — wybuchnęła Jagoda i urwała. Myszka nie rzekł ani słowa.

— No... tak — przyznała niechętnie.

— Myszko, co ja w nim widzę!?! — jęknęła. — To przecież bałwan! Zapatrzone w siebie tłumok. Nie zależy mu na nikim prócz siebie. Taki ambitny! Taki święty! Taki nieskazitelny, psia jego mordą! Naukowiec! Im więcej się uczy, tym głupszy! Nie kłnie, nie pije, nie zażywa, nie używa. . . ! Myśli, że jest lepszy niż inni, czy co?!

Zabrakło jej oddechu, więc Myszka wtrącił ostrożnie:

— No bo chyba jest taki? Trochę lepszy. . . ?

Jagoda spojrzała z ukosa. Wciąż wyglądała na wściekłą.

— Ale fakt, że głupio robi — ciągnął. — Ja na jego miejscu byłbym miłszy dla ciebie, bo. . . bo jesteś piękna — dokończył mężnie.

Jagoda nie wierzyła własnym uszom. Myszka też. . . ? A jednak nie, nie była to deklaracja uczuć, tylko zwykłe stwierdzenie faktu, choć zabrzmiało nieco dwuznacznie.

— Myszko, czy byłeś kiedyś zakochany?

— Byłem — odpowiedział krótko.

— Bardzo?

— Bardzo a bardzo.

— No i. . .

— Porzuciła mnie — rzekł Myszka dramatycznie, rozkładając ręce. — Zdeptała moje serce, bo tamten miał kucyka i karmił ją karmelkami. Sprzedajna dziewczka!

Kucyk? Słodczyce? Ile lat mogła sobie liczyć ta miłość? Sześć? Osiem? Mimo najszerszych chęci Jagoda nie mogła się powstrzymać. Ukryła twarz w dłoniach i chichotała, dusząc się prawie i płacząc ze śmiechu. Całe napięcie uchodziło z niej w tym śmiechu. Nie mogła się uspokoić. Myszka nie wydawał się urażony. W rzeczywistości celowo chciał rozśmieszyć dziewczynę. Wyciągnął z szarfy chustkę i podał ją Jagodzie, by wytarła twarz.

— Oczywiście potem były inne, równie niewierne — powiedział z humorem. — Ale najgorzej cierpiałem właśnie za pierwszym razem. Więc cię rozumiem.

Zdumiał ją jeszcze mocniej. Nagle przypomniała sobie, że są przecież rówieśnikami. Oboje skończyli już po szesnaście lat. Dlaczego więc zwykle wydawało jej się, że Myszka jest młodszy? Czy powodowała to jego delikatna, całkiem nie chłopięca uroda? Czy też nieśmiałość, skłonność do rumieńców? A tymczasem Myszka miewał miłostki. Niewinne, rzecz jasna, ale jednak. Wyglądało na to, że jest bardziej w tym względzie doświadczony od niej.

— To co mam robić? — spytała, wyciągając lusterko. Rzut oka utwierdził ją w obawach. Tusz rozmazany na pół twarzy, koszmar! Zaczęła wycierać się pospiesznie.

— Omotaj go — rzekł Myszka stanowczo. — Za mało się starasz. Złap Kamyka, zanim się całkiem oderwie od ludzi. Chciałbym, żeby był taki jak dawniej.

— Żeby znów się śmiał — dodała Jagoda.

— Tak. Żeby znowu się kłócił z Promieniem, dyskutował z Końcem, pracował razem ze wszystkimi. . . Po prostu. . . żeby przypomniał sobie, że nie jest sam. I że inni go potrzebują.

— Ale jak go omotam, to wcale nie znaczy, że będzie chciał przebywać z wami. Może będzie wolał m n i e — powiedziała dziewczyna trzeźwo.

Myszka machnął ręką.

— Wszystko lepsze od tego, co się teraz z nim dzieje. Próbowałem wyciągnąć go na plażę dziś rano. Wykreślił się. Patrzył przeze mnie jak przez szkło. Nie trzeba być Obserwatorem, by to wyczuć. Czekał, aż sobie pójdę i przestanę mu przeszkadzać. I jeszcze jedno: jego pamiętnik leży na półce, zamknięty i zakurzony. Już nie pisze.

— Nie ma o czym — rzekła Jagoda melancholijnie. — Teraz czyta tylko cudze książki.

— Więc postarajmy się, by miał o czym pisać.

Cień ażurowej okiennicy tworzył ozdobny wzór na karcie papieru. Pióro Tkacza Iluzji bez pośpiechu kreśliło na niej kolejne znaki.

Niekiedy bardzo trudno ustalić, kiedy następują znaczące zmiany w życiu. Sięgając pamięcią wstecz, można stwierdzić: to zaczęło się wtedy a wtedy. Ale są to określenia nieprecyzyjne. Wszelkie rozgraniczenia stają się sztuczne. Bo właściwie, kiedy zarzuciłem szermierkę? Od którego dnia przestał do mnie zachodzić Pożeracz Chmur, zniechęcony moim ciągłym brakiem czasu? Co gorsza, zdałem sobie sprawę, że już nie pamiętam ostatniej stworzonej przez siebie iluzji. A to znaczyło, że nie używałem talentu od bardzo dawna. W zakurzonym tomie diariusza ziała ogromna dziura — żadnych zapisów już od pół roku, żadnych kartek z notatkami wetkniętymi pod okładkę. Patrzyłem na czyste stronicie z przykrym uczuciem, jakbym odpór roku nie żył. Rozejrzałem się po swojej izbie, jak gdybym znalazł się tu po raz pierwszy. Uważnie analizowałem to, co mnie otaczało. Półki uginające się pod ciężarem starych woluminów, stół zarzucony papierami i zużytymi piórami. Na ścianach pozawieszane karty z próbkami znaków starożytnego pisma. Niestarannie zaścielone łóżko. Brudne talerze. Pod powałą zawieszane trzy lampy, których klosze od dawna już proszą o wyczyszczenie. Wyglądało to tak, jakby mieszkał tu starzec, a nie młody człowiek, którym przecież jestem. Wspominałem, jak wyglądała komnata, którą kiedyś w Zamku Magów dzieliłem z Nocnym Śpiewakiem — zarzucona kolorowymi przedmiotami, w wesołym nieładzie. Widać było, że ktoś tam mieszkał, żył, bawił się i kochał. A tutaj, teraz, u mnie? Co się stało? Dlaczego jedynym barwnym przedmiotem jest bukiet kwiatów przyniesiony przez jagodę?

Tak naprawdę całe to rozmyślanie dopadło mnie przez Jagodę. Nie wiadomo dlaczego, uparta się, żeby mi przeszkadzać. Ni stąd., ni zowąd zaczęła mnie codziennie odwiedzać. Czy może raczej nawiedzać, bo te wizyty były mi równie miłe, jak ukazywanie się natrętnego ducha. Czytała mi przez ramię, chuchając przy tym

w ucho i doprowadzając do szalu. Zасыpywała ciasteczkami i suszonymi owocami, tak że wciąż miałem na stole pełno okruchów, a w duszy narastający wstręt do słodyczy. Znosiła też różne kolorowe wiechcie, gubiące płatki oraz nasionka. Przez nią moja praca posuwała się do przodu w tempie kulawego ślimaka. Jagoda, jakby celowo, rozpraszała mnie, i to skutecznie. Przychodziła z grubsza o tej samej porze, więc już na godzinę przedtem nie byłem w stanie się skupić, w każdej chwili spodziewając się ujrzeć w drzwiach smukłą postać w jasnej sukience. Zwykle siedziała długo, nawet po trzy godziny z rzędu. Z początku traktowałem ją jak gościa i próbowałem zabawiać, ale wkrótce gość zaczął zachowywać się jak stały lokator. Dziewczęce rączki bezceremonialnie przekładały moje rzeczy, robiły porządki w mej odzieży, zszywały tuniki, które puściły na szwach. Nie podejrzewałem Jagody o takie umiejętności. Nawet miło było spojrzeć, jak igła miga w jej zręcznych palcach.

Nie wypadło też wyganiać kogoś, kto wyświadcza ci uprzejmość. Gdy szyła, to przynajmniej nie robiła rzeczy znacznie gorszych. Nie kładła się na moim łóżku i nie rzucała we mnie oberwanymi główkami kwiatów. Nie zabierała mi spod rąk notatek, które inaczej musiałbym jej odbierać. I gdy szyła, to nie przeglądała obrazków w książkach, kładąc przy tym nogi na stole. Spódnica zjeżdżała jej wtedy aż do... do najniższego możliwego punktu. Nogi miała bardzo ładne, to muszę przyznać, lecz sam już nie wiem, ile razy brała mnie chętką, by ująć w dłoń kałamarnicę i wolniutko polać je strugą atramentu. Powstrzymywała mnie jedynie myśl, że byłaby to pewnie ostatnia rzecz, jaką zrobiłbym w życiu. Nie mam złudzeń, że Jagoda nie wiedziała, jak się męczę; jestem przekonany, że szpiegowwała moje myśli. Dyskrecja zawsze była jej słabą stroną. A jednak czyniła to wszystko, by mi robić na złości... chyba zwrócić na siebie uwagę. Tylko dlaczego szukała mojego towarzystwa, skoro pod ręką miała chłopców chętniejszych, miłszych oraz o wiele, wiele bardziej rozmownych niż ja?

Czasem pytałem, czy się nie nudzi, czy nie wolalaby pospacerować poza moją pracownią (kiedyś przecież uwielbiała się włóczyć). Odpowiadając mi, zwykle pokazywała tylko dwa znaki w mowie rąk: „nie” i „słońce”. O tak, umiała sobie znaleźć zajęcie, niech to zaraza. Zrozumiałe też, że wolala spędzać czas w cieniu. Dla niej każde przejście po nasłonecznionej plaży bez osłony szczelnie zapiętego ubrania, bez kapelusza lub parasola równało się oblaniu wrzątkiem. Delikatna, biała skóra dziewczyny nie nabierała opalenizny, tylko po prostu przypiekała się. Cień był dla jagody zbawienny... lecz czy to musiał być MÓJ cień?! Wszystko to (i jeszcze więcej) doprowadziło mnie do tej pożałowania godnej sytuacji, kiedy to stałem w swoim zakątku i oceniałem sam siebie. I wolniutko kielkowała we mnie wstydliva myśl: czy Jagoda przypadkiem nie usiłuje mnie uwodzić? Z marnym skutkiem. I czy czasem nie miała trochę racji, z takim lekceważeniem traktując moją pracę. Kto właściwie to czyta, prócz mnie i od czasu do czasu Słonego? Nawet Koniec — historyk z zamilowania, znudził się, zwątpił w sens tych starań.

Rozejrzałem się jeszcze raz po surowym wnętrzu. Szaro. Wzrok mój padł na stertę pudełek, leżących w kącie. Od tak dawna nie ruszanych, że zdążyły pokryć się matowym kurzem. Uśmiechnąłem się do siebie. Zawierały zbiór motyli. Po powrocie na wyspę, w porywie pierwszego entuzjazmu, próbowałem zebrać taką samą kolekcję, jaką ofiarowałem ojcu. Od tamtej pory minęły prawie dwa lata, a zbiór nadal był niepełny. I pewnie taki pozostanie. Zdmuchnąłem kurz z wieczka. Odstąpiłem owada o podługowatych skrzydłach — brązowych z delikatnym beżowym deseniem. W tej samej skrzyneczce znalazłem jeszcze cytrynowo żółtą piękność — strojną jak wielka dama w białą koroneczkę po brzegach. Ta właśnie uroda zgubiła skrzydlatą istotkę.

Kiedyś Stalowy sporządził dla siebie komplet igieł do nakłuwania węzłów nerwowych (po prawdzie, potrzebny mu jak psu piąta noga). Igiły okazały się zbyt grube, a Stalowy zamiast je przerobić, ofiarował mnie. Wyciągałem teraz jednego motyla po drugim i tymi właśnie igłami przypinałem je do półek, drewnianych listew, zasłon przeciw moskitom... Pomieszczenie poweselało. Rozglądałem się, zadowolony z efektu. Pstre łatki, rozrzucone to tu, to tam, cieszyły oko i wlewały w mą duszę uczucie zapomniane — zachwyt i zastanowienie nad różnorodnością form, jakie przybiera istnienie. Piękno. Tym powinien zajmować się Tkacz Iluzji. Przypomniałem sobie pokaz, który kiedyś zrobiłem dla dziewcząt z Ogródka Rozkoszy. Jak się cieszyły, gdy pokazałem im wizję miejsc, których nie miały szansy nigdy oglądać. Jak bardzo byłyby zadowolone, gdybym teraz otoczył je rojem takich motyli. Taka powinna być moja rola. Pokazywać innym, jak wspaniały bywa świat. I znów ukłucie przykrości — gdzie SĄ ci „inni”? Garstka przyjaciół, jaka otaczała mnie tutaj, na smocznej wyspie, była nędznym odpowiednikiem widowni, jaką miałbym... jaką powinienem mieć na kontynencie. Nagle zobaczyłem swą przyszłość jako długą, prostą linię nie zawierającą żadnych niespodzianek. Wciąż w tym samym miejscu, ciągle przy tych samych zajęciach, których nikt nie doceni. I tak może do końca życia...

Otrząsnąłem się. Na Miłosierdzie! Miałem dopiero dziewiętnaście lat! Wziąłem na siebie obowiązki, które z ochotą spełniałby Strażnik Słów. Rola Tkacza Iluzji nie powinna polegać na zakopaniu się w stosie papierów. Spojrzałem na swój stół do pracy i poczułem, że zupełnie, ale to zupełnie nie mam ochoty znów do niego zasiadać. Natomiast z chęcią poszedłbym... na ryby. Koniecznie z Pożeraczem Chmur, który dostarczyłby mi dodatkowych wrażeń, teatralnie narzekając na bliskość wody i sugerując, że ryby powinny wyłazić na ląd dla jego wygody.

Wtedy ktoś zarzucił mi od tyłu ramiona na szyję. Szarpnąłem się, kompletnie zaskoczony. Uścisk wzmógł się. Uplęnęła chwila, zanim zorientowałem się w sytuacji. Napastnik pachniał Jagodą. Po prostu nie zauważyłem jej wejścia, a ona stanęła za mną na stołku. Straciła równowagę i zawisła na mnie. Złapałem dziewczynę, by się nie potłukła. Raptem jej twarz znalazła się tuż przy mojej. Widziałem z bliska oko Jagody — różowoczerwone jak płatek kwiatu, z fascynująco purpu-

rową źrenicą. I nagle następna niespodzianka — jej wargi na moich! Ciepłe i wilgotne, pożądlive. Czubek języka bezwstydnie przesuwał się po moich zębach! Rzuciłem głowę, otworzyłem ramiona. Jagoda znalazła się na ziemi. Odruchowo wytarłem usta wierzchem dłoni. Wtedy zrozumiałem, że nie powinienem tego robić. Jagoda wyglądała, jakbym ją uderzył. Skuliła ramiona, wargi jej zadrżały, wygięły się w podkówkę. Nagle odwróciła się i wybiegła. A ja zostałem — zaskoczony, zmieszany — nie bardzo rozumiejąc, co się właściwie stało ani dlaczego.

Minęło dobre pół godziny, zanim ochłonąłem na tyle, by się pozbierać i wyjść na poszukiwanie Pożeracza Chmur. A potem, choć dobrze się razem bawiliśmy, część mego umysłu cały czas zastanawiała się nad tym, co zaszło. I słusznie, bo gdy późnym popołudniem wraz z Pożeraczem Chmur wróciłem do domu, wśród bałaganu na stole znalazłem list od Jagody — kartkę pokrytą nierównym, nerwowym pismem, z kilkoma plamkami, jakby padły na nią łzy.

* * *

Pióro Kamyka zawisło w powietrzu. Zastanawiał się przez chwilę, po czym otarł je starannie o kawałek gąbki i odłożył. Dmuchał na ostatni rząd napisanych znaków.

„Pisanie cię uspokaja” — zauważył Pożeracz Chmur, rozłożony w wygodnej pozie na łóżku gospodarza.

„I dobrze, bo tylko spokój może mnie uratować — odparł Kamyk.

— Dostałem pierwszy w życiu list miłosny i nie mam pojęcia, co z tym zrobić”.

Po raz szósty zaczął czytać przesłanie zadurzonej, nieszczęśliwej dziewczyny. Podparł głowę ręką, a minę miał tak zmartwioną, że Pożeraczowi Chmur zrobiło się go żal, choć całe to zamieszanie traktował raczej lekko. Oczywiście treść listu znalazł na pamięć i doskonale wiedział, z czym się właśnie boryka jego przyjaciel.

Rozumiem, że możesz mnie nie chcieć. Masz do tego prawo — pisała Jagoda, — Ale kocham cię i chcę, żebyś to wiedział. Pocałowałam cię dzisiaj, bo myślałam, że to sprawi ci przyjemność. Skoro ojciec lubi to robić i Nocny Śpiewak ze Srebrzanką, to byłam pewna, że ty też. Pomyliłam się, przepraszam. To okropne. Tak bym chciała, żebyśmy byli razem. Przecież nie jestem brzydka. Wiem to od Gryfa i całej reszty, ale ja ich nie chcę. Tamci traktują mnie jak lalkę. Prócz Myszki. Ale Myszka też się nie liczy. A Gryf jest nachalny. Kocham cię i zawsze będę kochać. Tylko raz mnie objął, kiedy napadł mnie lamia. Szkoda,

że tylko raz. To znaczy nie chodzi o napad, tylko że byłeś tak blisko. Ojciec ma, Księżycowy Kwiat, a Srebrzanka Nocnego Śpiewaka, a ja jestem sama. Tak mi żal. Gryf jest chętny, ale ja go nie chcę. Nie chcę namiastki. Bo on mnie naprawdę nie kocha i jak ktoś ma mnie nie kochać, to wolę, żebyś to był ty. Bo ja cię naprawdę kocham. Jeśli chociaż trochę mnie lubisz i jeśli nie gniewasz się już za ten pocałunek, to przyjdź dzisiaj na plażę koło Syrenich Skatek. Będę czekała do zachodu słońca. Jeśli nie przyjdiesz, to zrozumieć, że mam już ci nie przeszkadzać i nie przychodzić więcej. Nie pokazuj nikomu tego, co napisałam. Jeśli to zrobisz, to się zabiję, bo inni będą się naśmiewać, a tego nie zniosę.

Kamyk westchnął ciężko.

„Co ja mam robić?”

„Idź” — poradził Pożeracz Chmur.

„Ale to oznacza spore zobowiązanie. Deklarację” — zmartwił się chłopak.

„To nie idź”.

„Ale to ją strasznie zboli. Czuje się samotna”.

„To idź” — odparł Pożeracz Chmur lakonicznie, gryząc trawkę wyskubaną z siennika. Kamyk ściągnął brwi.

„Nie przejmujesz się za bardzo, nie?” — przekazał z pretensją.

Pożeracz Chmur poruszył tylko nieznacznie uchem.

„To z tobą chce się sparzyć, a nie ze mną”.

Chłopiec prychnął ze złością.

„Sparzyć!! Nie jesteśmy zwierzętami!”

Młody smok przeciągnął się rozkosznie, po czym zmienił pozycję, opierając długie nogi o ścianę i zwieszając głowę z brzegu pościeli.

„Pewno dlatego stwarzacie problemy tam, gdzie ich nie ma. Zaszkozi ci, że się zabawisz?”

Kamyk usiadł obok przyjaciela.

„To jest akurat sposób Gryfa albo Stalowego — zawrócić w głowie, zaznać przyjemności i bez żadnych zobowiązań iść do innej dziewczyny, gdy poprzednia się znudzi. A ja szanuję Jagodę i nie chcę jej rzucać ochłapów. Nie jest byle kim”.

„Rozumiem. A nie możesz związać się z nią poważnie? Jest całkiem mądra, umie różne przyteczne rzeczy i potrafi być miła, jeśli tylko chce”.

Kamyk potrząsnął głową ze zniechęceniem.

„Tak właściwie chodzi o mnie. Co ja jej mogę zaoferować? Wygnaniec bez terytorium, na dodatek głuchy. Nie jestem w stanie z nią nawet normalnie porozmawiać. Mielibyśmy do siebie pisać przez całe życie? Z pewnością znajdzie kogoś lepszego ode mnie. Choćby Końca — jest solidny i godny zaufania. Winograd też ma sporo zalet. A i Gryf byłby nie najgorszy, gdyby spowaźniał”.

Chłopiec wstał, podszedł do blatu i zaczął powoli drzeć list na drobne kawałki.
„Jeśli powiesz komuś choć słowo. . .”
Pożeracz Chmur wypluł źdźbło.
„Urwiesz mi łeb. Jasne. Niedługo słońce zajdzie”.
„No to co?”
„Nic. Mogę zostać na noc?”
„Możesz”.
„Dzisiejszy zachód może być ładny. Na niebie jest parę obłoków. Przesieją światło”.
„Możliwe”.
„Najlepszy widok jest z plaży”.

Kamyk rzucił Pożeraczowi Chmur mordercze spojrzenie. Pokręcił się bez celu po izbie, po czym zaczął wyglądać przez okno. Smok udawał obojętność wobec tych manewrów. Minęło parę minut. Kamyk wstał. W powietrzu przed nim zawiśły iluzyjne znaki:

Chyba jednak pójdę się przejść.

Wyciągnął szczotkę z jakiegoś zakamarka i zaczął się czesać. Skutek był mierzny: ciemne kędziory wygładzały się na moment, po czym wracały na swoje miejsce jak sprężynki.

„Może także się ogolisz? Na ten spacer”. — Pożeracz Chmur nie mógł darować sobie uszczypliwości. W następnej sekundzie uchylił się przed szczotką, która trzasnęła w ścianę tuż koło jego głowy. Kamyk wymaszerował godnie wyprostowany.

— Te zachody słońca. . . — mruknął Pożeracz Chmur do siebie, przeciągając się niczym kot. — Mrrrrhhaahhhh. . . cóż za poważna sprawa.

Zwinął się w kłębek na łóżku maga, niemal absolutnie pewien, że tej nocy nie będzie musiał przenosić się nigdzie indziej.

* * *

Jagodzie wydawało się, że czeka już całe wieki. Chodziła w tę i z powrotem po ubitym piasku. Granicę monotonnego spaceru wyznaczały z jednej strony pierwsze kamienie Syrenich Skalek, z drugiej — płytki sadzawka wygrzebana przez fale nocnego przyływu. Czas włókł się jak kulawy ślimak. Słońce przylepiło się do nieba i chyba już nigdy nie miało zejść. Po godzinnej męczarni wyczekiwania i nie-pewności dziewczyna chciała już tylko jednego — by to wstrętne słońce wreszcie zniknęło. By mogła wrócić do domu, rzucić się na posłanie i wypłakać, nie zważając już na to, że gniecie sukienkę i rozmazuje tusz na powiekach. Do

domu...! Zadrżała gwałtownie, dotknięta nagłą myślą. Tylko nie do domu! Nie tam, gdzie czekają ją głupawe uwagi młodszych braci oraz milczenie macochy, za którym kryłaby się pobłażliwość doprawiona szczyptą irytacji. A co najgorsze — ojciec, dopytujący się, dlaczego córka jest taka nieszczęśliwa. No nie, oby nie to! Łzy, czyhające tylko na okazję, zapiekły w kącikach oczu i już, już miały popłynąć... Odchyliła głowę w tył i oddychała głęboko, czekając, aż obeschną. Palce dziewczyny zwiły bezmyślnie koniec szarfy. Opasała się tym razem wysoko, chcąc podkreślić biust.

— Głupia! Głupia! — szepnęła sama do siebie, gniewnym ruchem ściągając wiązanie niżej. Ramiona, zaróżowione od słońca, piekły ją, mimo że osłaniała się dodatkowo jedwabną chustą. Trzeba było nie wybierać się w sukience bez rękawów. Och, trzeba było nie przychodzić wcale!

Słońce dotknęło krawędzi horyzontu. On nie przyjdzie, spójrz prawdzie w oczy, dziewczyno. Te wszystkie bzdury, które musiał przeczytać... Jagoda aż skrzyła się ze wstydu na samą myśl. Jak mogła się tak wygłupić?! On nie pokaże tego innym, z pewnością nie, ale wyśmiał tę żalną pisaninę, tego była pewna. Wyśmiał, wydrwił, wyrzucił z niesmakiem... Co za wstyd! Jak mogła się tak poniżyć?

Usiadła wprost na piasku. Nie miało już sensu dbanie o sukienkę. Zatopiona w gorzkich rozmyślaniach, patrzyła na słoneczny krąg pograżający się w oceanie. Jak dobrze byłoby pójść za tą złocistą tarczą. Woda sięgnęłaby jej kolan, potem obmyłaby uda... a ona szłaby i szła, póki fale nie zamknęłyby się nad jej głową. I już zostałaby tam, w dole, w błękitno zielonej ciszy i spokoju. Albo nie... rankiem znaleźliby ją martwą i zimną jak marmur, z wodorostami we włosach... Z pewnością wszyscy by płakali, a Kamyk miałby wyrzuty sumienia do końca życia. Leżałaby u jego stóp, z rozgwiazdą u skroni i krabem na martwym sercu.

Jagoda otrzeźwiała porażona tą wizją. Brzydziła się rozgwiazd.

— Fuj!

W tej chwili do jej uszu dotarł odgłos przedzierania się przez zarośla, a potem skrzywienie suchego piasku pod czyimiś stopami. Ktoś biegł — słyszała to coraz wyraźniej — dysząc ze zmęczenia. Zbliżał się. Nie miała odwagi odwrócić się i sprawdzić, kto to. Ani sięgnąć i musnąć myślą biegnącego. Siedziała sztywno jak słupek, zaciskając splecione palce aż do bólu i nie odrywała wzroku od gasnącej słonecznej tury na widnokręgu. Zagaśła ostatecznie, gdy przybysz dotknął ramienia jagody.

— Przepraszam. Spóźniłem się. Pewnie już długo czekasz.

Głos był łudząco podobny do głosu Pożeracza Chmur, lecz bardziej monotony. I nic dziwnego — jego posiadacz nie słyszał sam siebie. Stał nad dziewczyną, oddech uspokajał mu się z wolna. Srebrne Jabłko — mniejszy z dwóch księżyców — wisało mu nad ramieniem. Jagoda delikatnie dotknęła myśli chłopca i wyczuła, że jest równie zakłopotany, jak ona sama. Byli razem i co dalej? Rozmawiać?

Na pisanie na piasku było już zbyt ciemno. Znow próbować go pocałować? Nawet gdyby Jagoda odważyła się na coś takiego po raz drugi, to i tak z trudem wyobrażała sobie wykonanie. Kamyk przerastał ją dokładnie o głowę. Podskoczyć? Przygiąć go do dołu? A jeśli znow się wytrze? Co za głupia sytuacja. Stłumiła nerwowy chichot. Wybawienie nadeszło z najmniej spodziewanej strony.

— liirk. . . ! Ouk, ouk. Ank nak. . .

Kilka kroków dalej na granicy przyboju majaczył ciemny kształt.

— Kto tam? To ty, Pływający-Na-Przedzie? — spytała jagoda, rozpoznając wydrzaka. Ci inteligentni mieszkańcy wybrzeża i płytkich wód byli częstymi gośćmi w rejonie Syrenich Skalek, gdzie dno obfitowało w jadalne małże. Zadowolony wydrzak szczechnął krótko. Jagoda doskonale orientowała się w myślach kosmatych pływaków, choć nie potrafiła sklecić ani zdania w ich gwarze. Jej przyrodni bracia radzili sobie z tym znacznie lepiej.

W wodzie śmigały zwinne ciała innych wydrzaków. Niektóre wychodziły na brzeg. Kamyk witał się z nimi, wymieniając lekkie klepnięcia po bokach i trącenia nosem. Jagoda nabrała ochoty, by popływać. Dlaczego nie? Mimo zmroku było to całkowicie bezpieczne. Obecność stada wydrzaków gwarantowała, że nie zjawi się tu ani syrena, ani rekin. Niewiele myśląc, zaplotła włosy i zaczęła uwalniać się od odzieży, gestami zachęcając towarzysza, by poszedł w jej ślady. Oby tylko Kamyk, wychowany na północy kraju tradycjonalista, wstydlivy aż do przesady, zdecydował się na ten krok. A jednak naśladował ją chętnie, być może ośmielony tym, że mały księżyc dawał tak niewiele światła. Zostali tylko w sandałach, by ochronić stopy przed zetknięciem z ostrymi muszlami na dnie lub jadowitymi kolcami jeżowca. To było takie łatwe i przyjemne — pływać, chlapać się pod księżycem. Nurkować, zawisając w mroku, gdzie gubiły się góra i dół. Trzymać za rękę, nie widząc się, a tylko wyczuwając wzajemną obecność. Jagoda, korzystając z talentu Obserwatorki, nieomylnie podpłynęła do Kamyka i złapała go za kostkę. Przeraził się, a w jego umyśle pojawiło się wyraźne jak błysk wspomnienie podobnego ataku — gdy omal nie stracił życia przez syreny. Odruchowo wymierzony kopniak trafił Jagodę w ramię. Zabolalo niezbyt mocno, zaslabła jednak wdzięcznie, przyciskając dłoń do skroni i slaniając się w wodzie sięgającej piersi. Czula jednocześnie i dumę z własnego sprytu, i pogardę, że stać ją na sztuczki godne. . . żony ojca. Lecz gdy Kamyk podtrzymywał jej głowę ramieniem, gdy czula jego dłonie na biodrach i talii — uznała, że wszystko to jest usprawiedliwione. Wyniósl ją z wody i zložyl na piasku. „Nareszcie” — pomyslała z satysfakcją, a jednocześnie ukluciem strachu, gdy pochylal się nad nią coraz niżej. Pocalował ją. Tym razem z własnej chęci. Lekko, samymi wargami, jak brat siostrę na „witaj” lub „do zobaczenia”. A potem tylko trzymal jej dlon między swoimi, czekajac, az dziewczyna lepiej się poczuje.

„Jaki skromny. Cóż za godna pochwały powściągliwość. Kamyk — dobrze dobrane imię. Prawdziwy kamień. Cały glaz nawet” — pomyslała z irytacją, od-

grywając cały rytuał wyjścia z omdlenia. Ale potem złość z niej opadła. Wyobrażenia podsunęła jej to samo zajście, ale z Gryfem. O, on także dałby się oszukać, z radością nawet! I miałyby go już na sobie, całym ciężarem. Podnieconego, dyszącego, mokrego jak ryba. Uch...! Nie, to dobrze, że Kamykowi się nie spieszy. Oboje mają czas. Mnóstwo czasu. Niech się ubiera ten biedak, kuląc i odwracając tyłem. Ona i tak wie swoje.

Znad płycizny uniosła się głowa wydrzaka i rozległ się cmokający zew. Jagoda mimowolnie sięgnęła ku jego myślom. Był lekko zaniepokojony, a jednocześnie pękał z ciekawości, czy te dwie istoty na brzegu mają zamiar się sparzyć. Uważał zresztą, że Jagoda dokonała dobrego wyboru — jej samiec był silny i mógł jej dać zdrowe, ładne dzieci. Dziewczyna z trudem opanowała wybuch śmiechu, gryząc wargę. Pobłogosławiła tylko Los, że Kamyk nie umiał czytać w myślach. Jakże zawstydziłby go osąd przywódcy stada i pewnie przepłoszył na dłuższy czas.

* * *

— No to się zaczęło — orzekł z zadowoleniem Pożeracz Chmur.

— Spotykają się już od paru dni.

— Ja się cieszę — powiedział Myszka. — Nareszcie Jagoda zaprzestała tych swoich prowokacji. Wiesz, obawiałem się, że przeciągnie strunę. Te jej zabawy przypominały drażnienie kłębu węży. Mogły się skończyć gwałtem albo chłopcy pobiliby się między sobą.

— Masz to z głowy. Żaden nie ruszy czegoś, co należy do Kamyka.

— Na pewno? — zważył Myszka.

— Ja bym się wściekł, gdyby który spróbował. Kamyk rzadko traci cierpliwość, ale jak już straci, to lepiej uciekać.

Smok i mały Wędrowiec siedzieli na szczycie klifu, który podkowiastym łukiem otaczał Zatokę Słonego. Prażyli się w słońcu, podziwiając widok na ocean i jasnozłotą plażę ograniczoną z jednej strony stromym stokiem, porośniętym soczystą zielenią palm i gęstych zarośli. Dokoła nich porozkładane były kartony ze szkicami, przyciśnięte kamieniami, by wiatr nie strącił ich do wody. Wszystkie przedstawiały ten sam temat w różnych wersjach — kobiecą postać na tle wodospadu. Pożeracz Chmur podniósł jeden z rysunków i przyjrzał mu się krytycznie.

— Ten jest chyba najlepszy. Żebym jeszcze mógł zrozumieć, dlaczego ta dziewczyna tak bardzo się wam wszystkim podoba... Strasznie utyla ostatnimi czasami, i to nierówno. Tu ma więcej... tu mniej... tu znowu więcej... — Jego ręka wskazywała odpowiednie rejony na ciele.

Myszka parsknął śmiechem. Pożeracz Chmur nagle oderwał wzrok od szkicu

i czujnie nastawił uszu.

— Ktoś tu idzie... A, to Stalowy. — Pokręcił głową z zastanowieniem. — Dziwne, sięgam do niego, a on mi się wyślizguje. Myśli mu się rozłąza... mętne to jakieś. Ależ... — mruknął smok z niesmakiem — ...on się chyba po prostu urznął. Myszka, czy to mu się często zdarza?

Myszka westchnął ciężko.

— Od trzech miesięcy coraz częściej. Wiatr Na Szczycie zrugął go, ale to nic nie dało. Stalowy tęskni za miastem i nudzi się. Młody smok pokiwał głową z miną osoby doświadczonej.

— Pamiętam, jak...

W tym momencie pojawił się obiekt ich rozmowy. Myszka wraz ze swym towarzyszem patrzył na niego w zdumieniu. Stalowy uśmiechnął się krzywo. Kosmyki potarganych włosów wpadały mu do oczu. Najwyraźniej przedzierał się przez chaszczę ubrany jedynie w przepaskę na biodrach, gdyż cały był okropnie podrapany, a krople krwi mieszały się z potem. Szedł wolnym krokiem niebezpiecznie blisko krawędzi. Tam gdzie zwietrzały kamień był kruchy i w każdej chwili mógł zarwać się pod jego ciężarem. Myszka zastanowił się, czy zdążyłby za pomocą talentu przechwycić spadające ciało i przerzucić je w bezpieczne miejsce. Stalowy podszedł bliżej, wciąż z nienaturalnym uśmiechem przylepionym do twarzy.

— O, Myszeńka... i nasz ukochany przywódca... mo-moralny przewodnik.

Głos miał ochrypli. Myszka dostrzegł, że chłopak jest boso i zostawia krwawe ślady. Przejął go dreszcz. Na Miłosierdzie Losu, jak można doprowadzić się do takiego stanu?!

— Oprzytomniej, łajzo! — warknął Pożeracz Chmur. — Nie jestem Kamykiem!

Stalowy zachichotał.

— Smok w przebraniu! Śmieszne... No, czy to nie śmieszne? Smok... chi, chi, chi...

Wciąż się śmiejąc, podszedł do Pożeracza Chmur niepewnym krokiem i szturchnął go palcem w pierś.

— Jakbym cię stąd zrzucił, tobyś pofrunął, ptaszku? Poleciałbyś? — Pchnął całą dłońią, aż Pożeracz Chmur zachwiał się.

— Uspokój się! Jesteś zalany! — warknął. Z obawą spojrzął na krawędź skały. Tylko tego brakowało, by musiał szamotać się z odurzonym chłopakiem tam, gdzie tylko krok dzielił ich od upadku dwadzieścia pik w dół — na głazy, o które rozbiły się z hukiem fale.

— Zalany? — Stalowy przekręcił głowę, parodiując pozę pełną namysłu. — Nie. To eliksir latania. Cudowna materia... A ja potrafię latać, bezskrzydły smoku.

Ruszył ku urwisku, depcząc rysunki. Pożeracz Chmur złapał go z tyłu za ramię.

— Dość tego!

W tej samej chwili z drugiej strony za rękę Stalowego chwycił Myszka.

— Przestań, Stalowy — rzekł prosząco. — Przestań. To nie jest zabawne. Proszę cię, chodźmy do domu. Krwawisz. Powinieneś się położyć.

— Położyć się? — powtórzył Stworzyciel ze skupieniem. Zbliżył twarz do twarzy Myszkę i Wędrowiec dopiero wtedy dostrzegł rozszerzone źrenice kolegi. — Myszka... to przecież imię dla dziewczynki. Jesteś dziewczynką, kochanie, prawda? Bądź dla mnie miła, skarbie...

— Puszczaj...! — wykrztusił Myszka, niespodzianie uwięziony w objęciach starszego chłopca. Ogarnięty paniką usiłował uniknąć nachalnych pieszczot. — Zwariowałaś?! Puść mnie!!

— Stalowy, puść go w tej chwili!!

— Ty masz Jagodę! Nie wszystko ci się należy!

Rozległ się głuchy odgłos uderzenia. Stalowy puścił Myszkę i upadł, nieprzytomny. Pożeracz Chmur, krzywiąc się, zginał i rozginał palce. Na szczęście Stworzyciela w błyskawicznym tempie wykwitł potężny siniec.

— Musiałem. Mam tylko nadzieję, że nie wybiłem mu zębów.

Uklęknął przy zemdlonym i otworzył mu usta, sprawdzając.

— Tt-to nnie al-ko-hol... — wyjąkał Myszka, trzęsąc się ze zdenerwowania. — Sa-sam zz-zobacz.

Podniósł Stalowemu powiekę, pokazując źrenicę, która zagarnęła niemal cały kolor oka.

— Tt-to jakiś nar-kkotył.

Pożeracz Chmur zadecydował w jednej chwili:

— Zabierz nas do Osady. Położymy go do łóżka. Ja zostanę ze Stalowym. Przypilnuję, żeby nie robił głupstw. Nawet gdybym znów miał go rąbać. A ty zwołaj razem Słonego, Wiatr Na Szczycie, Kamyka... i Końca. Niech temu szczeniakowi wbiją trochę rozumu do głowy.

* * *

Stalowy obudził się z okropnym bólem głowy. Jakby żelazna obręcz bezlitośnie zaciskała się wokół jego czaszki. Leżał na brzuchu z szyją przekreśloną i było mu niewygodnie. Spróbował zmienić pozycję. Coś krępowало mu ruchy. Upłynęła długa chwila, zanim zorientował się, że jest po prostu związany.

— Co u licha...? — Gardło miał wyschnięte jak papier.

— Aa... Budzimy się? Będziemy grzeczni? Żadnych awantur?
Głos był znajomy i ociekał sarkazmem. Stworzyciel ostrożnie uchylił powieki. W drzwiach, oparty niedbale o futrynę, stał Wiatr Na Szczycie.

— Dlaczego ja jestem związany? — wyszeptał chłopiec ze zdumieniem i urazą.

— Cóż... smutna konieczność, rzekłbym. Żebyś nie zrobił krzywdy sobie lub komuś innemu.

Najpierw próbowałaś się zabić, potem miałaś atak drgawek, a na koniec spadek tętna. Kamyk robił ci masaż — wyjaśnił uprzejmie Hajg.

— Co za bzdury... Nic nie pamiętam. Rozwiąż mnie! Wiatr Na Szczycie wzruszył ramionami.

— Sam się rozwiąż. Jesteś ponoć Stworzycielem. Władca materii, phi... — dodał z przekąsem.

Stalowy poruszył zdętwiałymi rękami. Sznury obejmowały nadgarstki. Nogi miał również związane. Próbował skupić się na strukturze linek, lecz koszarne łupanie w głowie uniemożliwiało skuteczne użycie magicznego talentu.

— Rozwiąż mnie — jęknął powtórnie.

— Zastanowię się — odparł Wiatr Na Szczycie. — Ale raczej jeszcze trochę cię tak potrzymam. Za karę.

— Co ja takiego zrobiłem?!

— Próbowaleś zrzucić Pożeracza Chmur z urwiska, nie mówiąc już o próbie gwałtu na Mysce. Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej, że masz skłonność do chłopców — powiedział Hajg i położył dłoń na udzie Stalowego.

Chłopak wrzasnął.

— Żartowałem — uspokoił go Mistrz Iluzji, cofając rękę. — Naprawdę masz dziurę w pamięci?

— Jak przepaść — wyskamtał Stalowy. — Nic nie pamiętam. Łeb mi pęka. Zlituj się, muszę iść do ustępu.

Istotnie, ta potrzeba stawała się z chwili na chwilę coraz większa. Gdy spowiewany chłopak wrócił z ustronnego miejsca, ujrzał widok, który zaparł mu dech w piersi. Mistrz Iluzji pustoszył jego warsztat, opróżniając do kubła, jeden po drugim, słoje i pudełka z różnymi preparatami. Stalowy rozpaczliwie rzucił się na ratunek swoim skarbom.

— Nieee! Co ty wyprawiasz?!!

— To, co dawno już powinienem zrobić, ty nałogowcu! — odparł Hajg gniewnie, obezwładniając go z łatwością. — Nie szarp się, bo ci zwichnę rękę! Chcesz skończyć jak ci nieszczęśnicy z dzielnic biedoty? Zawszeni, zagłodzeni, odurzeni jakimś świństwem? Ciekawe, jaki pożytek ma być z tego, że się otrujesz?!

— A jaki pożytek z tego, że się nie otruję? — zapytał krnąbrnie Stalowy, lecz przestał się miotać. — Życie tu łatwe do obrzydliwości. Wszystkiego macie po czubek głowy, a zdrowi jesteście jak byki. Po co jestem potrzebny? Jako ozdoba?

Wiatr Na Szczycie puścił go.

— Wielu ma tu podobny problem — powiedział cicho a groźnie. — Ale nikt nie narzeka i nie próbuje latania z klifu. Jeśli sam nie zrobisz tu przesiewu, to ja wywalę ci wszystko hurtem.

Pod czujnym okiem Hajga, Stalowy z bólem serca musiał pozbyć się większości swego starannie skompletowanego zbioru. Komponenty roślinne i zwierzęce, minerały, związki chemiczne wyselekcjonowane z ziemi, wody morskiej lub stworzone „z niczego” — wszystko to lądowało w wiadrze, mieszając się ze sobą. Stalowy zdołał wybronić podstawowe lekarstwa i szczepionki przeciw ukąszeniom węży. Środki uśmierzające musiał oddać na przechowanie starszemu magowi.

— Obedrę cię ze skóry, jeśli cokolwiek zataiłeś. Pamiętaj! — zagroził Wiatr Na Szczycie. — Zababrałeś sobie opinię i będę miał cię teraz na oku.

* * *

Stalowego czekał jeszcze jeden bardzo niemiły obowiązek. Kto wie, czy nie bardziej nieprzyjemny niż kara wymierzona mu przez Mistrza Iluzji. Musiał iść i przeprosić Myszka. Wzdrażał się przed tym. Tym bardziej że faktycznie nie pamiętał absolutnie niczego, co mu się przydarzyło pomiędzy momentem, gdy, powodowany ciekawością i chęcią zabicia czasu, przyjął sporą dawkę wyciągu z kwitnącej liany a chwilą, kiedy zbudził się — niby w tym samym miejscu, lecz z wymownymi śladami na ciele. Tak więc szedł w stronę siedziby Myszk jak mógł najwolniej, a wyobraźnia podsuwała mu okropne, zawstydzające obrazy własnej hańby. Na dodatek droga była tak krótka, a Osada Magów tak maleńka — kilka niskich domków w niewielkiej odległości od siebie. Niektóre stykały się narożnikami i miały wspólne tarasy. Ot, zakątek wyrwany z objęć dżungli. Stalowy wspominał, z jaką pasją cały Drugi Krąg pracował nad doprowadzeniem swej siedziby do rozkwitu. Ciężko wtedy harowali, lecz był to przyjemny wysiłek. Tworzyli coś pięknego i trwałego. I potrzebnego. A teraz całość ukończono i nic już nie zostało do dodania.

Było wczesne popołudnie. O tej porze niewielu mieszkańców przebywało w domach. Może i Myszka gdzieś poszedł? Do głosów ptaków, szumu liści i przeciągłego pohukiwania jakiejś małpiatki określającej swoje terytorium dołączył dźwięk fletu. Stalowy przystanął, słuchając. Grał oczywiście Gryf. Stworzyciel już od pierwszych taktów rozpoznał „Piękną nieznajomą”, chyba najbardziej udaną z piosenek ułożonych przez flecistę. Melodia to kołysała się w nostalgicznych frazach, to znów rozpryskiwała w skoczne trele — miłosny monolog sprzedaw-

cy wstążek na targowisku skierowany do dziewczyny widywanej tylko w oknie, nieznaney z imienia. Śmieszny ten Gryf, każdy ze swych utworów nieodmiennie przypisuje niejakiemu Setnikowi z Toporów, choć wszyscy doskonale wiedzą, skąd pochodzą piosenki. A w młodym Obserwatorze jakby kryło się dwóch ludzi: ten codzienny — lekkoduch, i drugi — muzyk, wrażliwy poeta.

Muzyka umilkła. Stalowy wyszedł z za rogu, wspiął się na taras. Gryf siedział w wykuszu okiennym i stukał fletem w otwartą dłoń, chcąc usunąć wilgoć oddechu z wnętrza.

— Wiedziałem, że słuchasz — powiedział. — Mysz w domu. Dąsa się. Stworzyciel spojrzał na niego złym okiem.

— Mógłbyś sobie iść?

— Nie — odparł Gryf. — Ja tu jestem u siebie.

Stalowy postanowił go zignorować. Zapukał do sąsiedniego pomieszczenia, zajmowanego przez Myszkę.

— Myszka... to ja, Stalowy. Mogę wejść?

— Nie! Wynoś się! — usłyszał z za drzwi.

— Myszko...

— Nie jestem dla ciebie Myszką!! — krzyknął mały Wędrowiec ze złością.

Stalowy sięgnął delikatnie do umysłu rozmówcy, chcąc zorientować się w jego uczuciach. Kłębiły się tam: żal, zawstydzenie, poczucie krzywdy i głęboka uraza. Myszka był naprawdę rozgniewany, a zdarzało mu się to na tyle rzadko, że należało się z tym liczyć. Gdyby Stalowy pozwolił sobie na wtargnięcie do jego izby, skończyłoby się to pewnie natychmiastowym usunięciem natręta. Wędrowiec zagiąłby przestrzeń i przerzuciłby go w inne miejsce, niewątpliwie dość odległe. A Stworzycielowi bynajmniej nie uśmiechał się długi powrót do domu na pokaleczonych stopach.

— Mysz... Jodłowy, chciałbym cię przeprosić.

— To przeproś i odpuść stad!

— Jodłowy, ja naprawdę bardzo żałuję. Strasznie mi przykro. — Stalowy wziął głębszy oddech, przeklinając w myśli milczącą widownię w osobie Gryfa. — Tylko... tylko że ja nic nie pamiętam. Miałem przerwę. Nie wiem, co się działo. My... Jodłowy, nie gniewaj się, bardzo cię proszę. Obiecuję, że to się nie powtórzy. Jodłowy...?

Za drzwiami panowała grobowa cisza. Zniechęcony Stalowy usiadł, opierając się plecami o ścianę. Głowa wciąż go bolała. Przycisnął kciuki do skroni, próbując zlokalizować źródło migreny. Trudno pracować na własnym ciele.

— Napij się wody. — Przed jego nosem pojawiła się dłoń Gryfa, dzierżąca gliniany dzbanek. Przyjął go z wdzięcznością. Gryf przysiadł obok.

— Mniej tu chodzi o to, że go chciałeś wymacać — zaczął przyciszonym głosem, a Stalowy wzdrygnął się. — Więcej o to, że stracił resztki nadziei. Potraktowałeś go jak dziewczynkę i to go najbardziej zabiło. Nie chce się z tym

pogodzić.

— Z czym? — szepnął Stalowy, bezwiednie dostosowując się do nastroju chwili.

— Czyś ty oślepił? Przecież on przestał rosnać i to już dawno temu. Ma szesnaście lat, a wygląda na trzynaście. W dodatku ta jego śliczna buźka. Raczej już nie ma nadziei, że zacznie się golić. Z takim wyglądem zrobiłby karierę jako „zabaweczka” w domu uciech, a jest przecież Mistrzem.

— Czy to cena za talent? — spytał Stworzyciel cicho, choć z góry domyślał się odpowiedzi.

— Pewnie. Z taką mocą, z takim zasięgiem. . . ? Czego innego można się było spodziewać? Powiem ci jeszcze, że powinniśmy się cieszyć — my, słabsze talenty. Co ci przyjdzie z wielkiej siły, skoro cię okaleczy?

— Racja — zgodził się Stalowy. — Kamyk, Nocny Śpiewak, teraz Myszka. . . nie zazdrozczę im. A Promień? — zastanowił się, tknięty nagłą myślą. — Co z Promieniem? On ma talent równorzędny z nimi. I co? Nic. Normalny, zdrowy chłopak.

— Zdrowy — tak. A czy normalny — to rzecz do zastanowienia.

— Złośliwe zwierzę z ciebie.

Milczeli przez minutę. Gryf znów zaczął grać, improwizując łagodne, nieco smutne melodyjki, niedbale przechodząc od jednej do drugiej.

— Chciałbyś wrócić do domu? — spytał nagle Stalowy. Gryf odjął ustnik od warg.

— To ty masz jakiś dom? — zdziwił się z uprzejmym zainteresowaniem. — Bo ja nie. Chyba że wziąć pod uwagę te majątki ziemskie, gdzie nas hodowano jak wyścigowe konie.

— Mam na myśli kontynent, Lengorchię — rzekł Stworzyciel. — Ta wyspa jest śliczna, zasobna i w ogóle. . . Ale, nie obrażając Słonego i Kamyka, coraz nudniejsza. Ja tu zwariuję, Gryf. Zwariuję na pewno. Już zaczynam.

Gryf wzruszył bezradnie ramionami i powrócił do gry. Stalowy wodził dokoła wzrokiem bez konkretnego celu. Na oknie należącym do Winograda jak zwykle stała miska z wodą. Kilka małych, kolorowych ptaszków piło z niej i brało kąpiel. Taras obok siedziby Nocnego Śpiewaka zawieszony był schnącymi pieluszkami — wynikiem starań Różyczki, jego półtorarocznej córeczki.

„Szczęściarz — pomyślał Stalowy z zazdrością. — Ma rodzinę”.

— Brak kobiet tutaj oznacza przede wszystkim samotność, nie tylko problemy łóżkowe — skomentował Gryf, na moment przerywając muzykowanie.

Stalowy już otworzył usta, chcąc z oburzeniem zaprotestować przeciw bezczelnemu podglądaniu myśli i zamarł. Obserwator sfalszował ledwo rozpoczętą melodię i też zamilkł. Na ścieżce prowadzącej ku stokom wulkanu ukazał się Promień. Szedł dziwnie sztywnym krokiem, niczym człowiek poruszający się we

śnie. Potykał się co chwilę. Był już na tyle blisko, że obaj magowie mogli dostrzec na jego twarzy smugi rozmazanej krwi i rozległe ciemne plamy na ubraniu.

— Jest ranny! — krzyknął Stalowy, zrywając się na równe nogi.

* * *

— Czy to nie za dużo jak na jeden dzień? — sarknął Wiatr Na Szczycie wyrwany przez Gryfa z popołudniowej drzemki. — Jestem w podeszłym wieku i powinienem mieć spokój. Co z tym cholernym księżątkiem, umiera? Dlaczego ja mam się nim zajmować?

— Bo jesteś dorosły, doświadczony i on cię szanuje — odpowiedział Gryf niecierpliwie. — Przeraził nas okropnie. Przyszedł zalany krwią. Na szczęście nie własną. Stalowy obejrzał go od razu — trochę siniaków, nadwreżony bark, guz na głowie. Nic nie mówi, nie chce się umyć. Leży, gapiąc się w sufit.

Na miejscu okazało się, że w opowieści Obserwatora nie było ani odrobiny przesady. Wiatr Na Szczycie, już zirytowany porannym wydarzeniem, a nagle znowu zmuszony do zajęcia się kolejnym problemem, miał ochotę po prostu potrząsnąć krnąbrnym szczeniakiem i zażądać od niego wyjaśnień. Zrezygnował po pierwszym spojrzeniu. Promień miał szklisty wzrok człowieka śmiertelnie zranionego. Podobnie — Hajg dobrze to pamiętał — wyglądał po nieudanym zamachu na życie, gdy od pętli dusiciela uratował go jedynie szczęśliwy traf, kierujący Nocnym Śpiewakiem. Co stało się tym razem?

— Promień... chłopcze... — Wiatr Na Szczycie z wysiłkiem zmusił własny głos, by brzmiał łagodnie. — Gdzieś ty był? Co się stało?

Chłopiec zamrugał, jakby chcąc skoncentrować wzrok na twarzy pochylonego nad nim mężczyzny.

— Miętówka... — wymamrotał, ledwo poruszając wargami.

Dopiero w tej chwili Wiatr Na Szczycie zdał sobie sprawę, że istotnie w komnacie brak pantery — wiernej towarzyszki młodego Iskry. Chodziła za nim wszędzie jak cień, gdziekolwiek by się udawał. Byli nierozłączną parą, tak że reszta mieszkańców Jaszczura zaczęła traktować ich jak jedność. Promień i Miętówka, Miętówka i Promień — para myśliwych, zawsze razem, nigdy osobno.

— Gdzie jest Miętówka? — zapytał Mistrz Iluzji z naciskiem.

— Nie żyje — szepnął Promień.

* * *

A co się wydarzyło?

Tego ranka Promień był w znakomitym humorze. Ostrzył nóż myśliwski i pogadywał do rozwalonej u jego stóp pantery.

— Odsuń się trochę, mordo wąsata. Cała będziesz w opiłkach. Pójdziemy się powłóczyć. Idziemy na polowanie, Miętówka.

Na słowo „polowanie” kocica zamruczała i otarła potężny łeb o nogę Iskry. Podrapał ją za uchem i w okolicach szczęki, jak najbardziej lubiła.

— Grzeczny kotek. Wywęszy coś dobrego?

— Mrrrrhhrrr. . .

Promień otarł ostrze, schował je do pochwy i zaczął wkładać myśliwski przyodziewek — sprane, szarozielone dreluchy i sztylpy. Oczywiście było, że w tym stroju już po paru minutach będzie mokry niczym rzeczny szczur, ale wołał to niż skórę pociętą przez ostre liście i kolczaste pnącza.

Łuk, kołczan wypełniony strzałami. Dołożył cztery dodatkowe, o półksiężycowatych grotach, na węże. Potrawka z dusiciela była niezłą rzeczą. Poklepał się po kieszeniach. Suchar w jednej, koperta z solą w drugiej. Był gotowy.

Przechodząc przez Osadę, zatrzymał się przy domu Nocnego Śpiewaka. Na wystawionym na zewnątrz stole leżał Kamyk. Dokoła niego na blacie poustawiane były pojemniczki z barwnikami. Nad plecami Tkacza Iluzji pochylał się skupiony gospodarz z cienkim pędzelkiem w ręku.

— Tatuujesz coś nowego? — spytał Promień, wstępując na taras.

— Wykańczam stare — odrzekł Nocny Śpiewak, prostując się. — Nareszcie znalazł czas, by tu trochę poleżeć.

Na plecach Kamyka umieszczony był wizerunek wielkiego motyla. Czułki leżały u nasady karku, a skrzydła otwierały się do lotu na łopatkach. Nocny Śpiewak wypełniał właśnie kontur rysunku wszystkimi barwami tęczy.

— Strasznie pstrokate — skrzywił się Promień. Sam preferował proste zestawienia dwóch lub trzech barw.

— Mój klient moim panem — odparł Stworzyciel.

— Właśnie — wtrąciła Srebrzanka, pojawiając się w drzwiach z dzieckiem na ręku. Za jej plecami stanęła jagoda,

— Ty też na zabieg, Promyczku? — spytała słodko.

— Nie. Starczy mi to, co mam.

Kilka miesięcy temu wszystkich (prócz Myszki, rzecz jasna) ogarnęła moda na zdobienie skóry. Chłopcy oddawali się w ręce Nocnego Śpiewaka tym chętniej, że korzystając z talentu Stworzyciela, wykonywał tatuaże niemal całkowicie bezboleśnie. W ten sposób Promień zyskał na obu bicepsach symetryczne podobizny

wilków i jeleni.

— Kicia! — pisała z zachwytem Różyczka, wyciągając raczki w stronę Miętówki. Słówko to w dziecięcym języku oznaczało zarówno kota, futrzaną zabawkę, ozdobne frędzelki, jak i własnego ojca,

— Mógłbyś przynieść dzisiaj coś na rosół? — spytała Promienia Srebrzanka. — Tylko nie małą, błagam.

— Co przyniosę, to przyniosę, a ty to ugotujesz — odrzekł przekornie.

— A ty zjesz to, co ugotuję — odcięła się ze śmiechem.

Kiwnął ręką na pożegnanie i przeskoczył barierkę. Dostrzegł jeszcze, że Kamyk podniósł w górę trzy palce, gestem życząc mu powodzenia w łowach.

Dwie godziny później wciąż jeszcze nie miał okazji napiąć łuku. Zmęczony przysiadł na kłodzie, sprawdzivszy przedtem, czy nie ma pod nią węża lub gniazda mrówek. Miętówka położyła się obok, ciężko dysząc. Dokoła pulsowało drobne życie puszczy, szeleszcząc, popiskując i skrzecząc. Nic, co warte byłoby strzały. Ptaszki małe jak orzeszki, owady, małpiatki nie większe od wiewiórek. Promień otarł pot z czoła. Znów trzeba będzie zadowolić się rybą. Lubił mięso. Nie mógłby żyć wyłącznie jarzynami i owocami jak na przykład Winograd. Pustki w tym rejonie świadczyły, że z pewnością polował tu smok — czego nie pożarł, to wypłoszył i niełatwo będzie zdobyć cokolwiek.

— Wstawaj, Miętówka — mruknął chłopak, klepiąc kocicę po karku. — Idziemy dalej. Inaczej będziemy dziś głodni.

Nie szczęściło im się tego dnia. Przewędrowali w poprzek całe terytorium smoka o imieniu Skacząca Gwiazda. Z pewnym wahaniem Promień przekroczył umowną granicę i wszedł na ziemie sąsiada. Jeśli tu coś upolują, trzeba będzie okupić się gospodarzowi częścią zdobyczy. Zwłaszcza jeśli będzie pokaźniejsza. Miętówka skradała się na ugiętych łapach. Kocie uszy łowiły dźwięki, wrażliwe nozdrza badały zapachy niesione przez powietrze, szukając woni tego, co miało stać się jedzeniem. Promień sunął cicho tuż za nią. Ktoś, kto obserwowałby tę parę z boku, zadziwiłby się zapewne ich wzajemnym podobieństwem, bliźniaczym sposobem miękkiego stawiania kroków, czujnym obracaniem głów. Nawet strugi słonecznego światła kładły identyczne desenie na czarnych włosach chłopca i futrze pantery. Miętówka zatrzymała się, kładąc uszy po sobie. Koniec jej puszystego ogona poruszał się lekko. Promień wyłowił wzrokiem wśród zieleni plamę brązowej sierści. Strzał był łatwy. Brzęknęła zwolniona cięciwa, niewielki koziołek zginął natychmiast. Pantera zaczęła zlizywać krew ze zdobyczy. Promień wyciągnął nóż i zabrał się do oprawiania łupu. Nie był on zbyt duży, lecz z pewnością starczy na przekąskę dla kocicy. Spora część trafi do garnka Srebrzanki. Łeb i wnętrzności zostaną na miejscu dla właściciela terytorium.

Ostrzegawcze warknięcie Miętówki oderwało Promienia od pracy. Z zarośli wynurzył się ogromny łeb i przednie łapy smoka. Uprzejme pozdrowienie zamarło Iskrze na wargach. Przybysz nie był mieszkańcem tej części dżungli. Chłopak

rzucił nóż i sięgnął błyskawicznie po łuk.

— Oddaj mięso! — zawarczał smok.

— Złodziej! — odkrzyknął Promień hardo. — Obcy na terytorium! Wynos się, nic ci się nie należy! Precz!

Wargi smoka uniosły się, prezentując w całej okazałości komplet zębów ostrych jak sztylety. Z jego gardła wydobył się złowróżbny, głuchy pomruk. Promieniowi ciarki przeszły po plecach, lecz nie opuścił łuku, wciąż celując prosto w jedno z czerwonych ślepi. Obok niego prężyła się do skoku pantera. Doskonale wiedział, że oto rozgrywa się walka nerwów. Smok chciał go przestraszyć i zmusić do odwrotu. Strzała nie była niebezpieczna dla stworzenia, które potrafiło zaleczyć nawet ciężkie rany w ciągu paru godzin. W skali bólu, w porównaniu do człowieka, mieściła się gdzieś w okolicach użądlenia przez osę. Z drugiej strony, czy warto ryzykować przykrość dla jednego kęsa? Promień miał nadzieję, że przeciwnik jest mniej głodny niż on sam. Zastanawiał się, czy nie użyć talentu i nie podpalić smoczego futra, lecz nie był pewny, czy wtedy bestia ucieknie. Okaleczony i rozdrażniony smok mógł stać się o wiele groźniejszy.

— Precz! — powtórzył. — To teren Podrapanego. Znam cię. Jesteś Łazik. Powiem...

W tej chwili smoczy łeb wyprysnął do przodu, a potężne szczęki kłapnęły tuż przed łowcą. Miętówka, sycząc wściekle, wbiła pazury w nozdrza napastnika. Sekundę później strzała Promienia utkwiała w jego szyi. Chłopiec nie zdążył założyć nowego grotu. Miotająca się bestia, wciąż z panterą wczepioną w pysk, uderzyła maga potężnie łbem. Ogromne, zakrzywione pazury musnęły go, rozrywając bluzę. Wyrzucony impetem ciosu w powietrze usłyszał koci wrzask bólu. Padł za zwalony pień, między szerokie liście palczaka, które skryły go przed wzrokiem rozjuszonego smoka. I to zapewne ocaliło mu życie, bo Łazik skoncentrował się na walce z panterą. Kiedy Promień wygramolił się z głębokiego wykrotu, smoka już nie było. Zniknęło także mięso. Na zdeptanym poszyciu leżał tylko skrważony łachman, w którym rozpoznał poszarpane ciało Miętówki. Dzielna kocica stawiała czoło wielkiemu wrogowi i... przegrała. Oszołomiony chłopiec gładził zmierzwiłone futro, przytulał do piersi martwą głowę przyjaciółki. A całą swą wielką rozpaczą potrafił wyrazić jedynie w kilku słowach, z trudem dobywanych ze ściśniętego gardła:

— Nie... Miętówka... nie... nie... nie ty... nieprawda... proszę... nie...

* * *

Wiatr Na Szczycie po raz kolejny popatrzył na kontuzjowane ramię Promienia,

pokręcił głową i przykrył śpiącego chłopca na powrót prześcieradłem.

— Nie ma nic złamanego — zapewnił go Stalowy. — Potłukł się tylko. Przez kilka dni z pewnością nie naciągnie luku.

— Czym go napiłeś? — spytał Mistrz Iluzji nieufnie. — Śpi jak zabity.

— Herbatka z tutejszego zielska. Nawet nie znam nazwy, ale działa jak pomrocznik — trochę uśmierzająco, a trochę nasennie. Miałem coś lepszego, ale mi wyrzuciłeś.

— Wiesz, nigdy nie widziałem go w takim stanie — dodał Stalowy po chwili tonem, w którym pobrzmiwało zażenowanie. — Złościć się, dąsać — owszem. Pamiętasz, jak w zeszłym roku rozwalił sobie kolano? Kłął jak stajenny. A teraz. . .

Urwał i wzruszył ramionami. Cóż było mówić. . . Oczywiście, że Promień stał się nagle zupełnie niepodobny do siebie.

— On kochał tę cholerną panterę — rzekł posępnie Wiatr Na Szczycie. — Zastanawiam się, czy to dobrze. I czy dobrze zrobiłem, że mu ją podarowałem.

— Gdyby nie ona, już by pewnie nie żył — zauważył Stworzyciel. — Tyle zrozumiałem z jego bredzenia.

— Ano tak — westchnął Hajg. — Idź, ja tu posiedzę.

Upłynęły prawie dwie godziny, zanim Promień zaczął się budzić. Przez ten czas Wiatr Na Szczycie rozmyślał i wspominał. Gdy przed dwoma laty zetknął się z Promieniem (wówczas jeszcze Zwycięskim Promieniem Świtu), miał przed sobą obrzydliwego, aroganckiego gówniarza. Skoncentrowanego głównie na sobie i ogólnie znienawidzonego przez kolegów. Zabrał wtedy ukradkiem z komnaty młodego księcia pończochę, a znajomego Mówcę Zwierząt poprosił o uzależnienie od jej zapachu jednej ze swych panter. Tak jak przypuszczał Wiatr, towarzystwo Miętówki wyszło Promieniowi na dobre. Czy miałby teraz powiedzieć chłopcu, że to głębokie przywiązanie kocicy było wywołane sztucznie? Że było zaledwie. . . oszustwem? Wiatr Na Szczycie potrząsnął głową. W żadnym wypadku! Nadal nie można było uznać, że Promień ma łatwy charakter, lecz przecież był znacznie miłszy niż na początku. Bardziej zrównoważony i spokojniejszy. Jak na niego wpłynęła utrata jego „cienia” i to, że znów otarł się o śmierć?

Ręka Promienia przesunęła się po pustym miejscu na posłaniu, wyciągnęła niepewnie w powietrze obok łóżka, szukając czegoś bezskutecznie, po czym załamała się w nadgarstku i opadła bezwładnie. Otworzył oczy, lecz spojrzenie miał puste.

— Już niedaleko do zmierzchu — odezwał się Wiatr Na Szczycie. — Zjesz coś?

— Nie, nie jestem głodny — odpowiedział chłopak obojętnie, nie patrząc na niego.

— Jak długo masz zamiar leżeć?

— Nie wiem.

— Hmm... — mruknął z zastanowieniem Mistrz Iluzji. — Ożywają wspomnienia. Pamiętasz, jak to było? Siedziałeś naprzeciwko mnie, z piękną pręgą na gardle, w koszuli z koronkami, i wyglądałeś jak kupka nieszczęścia. Poniekąd wszystko jest tak samo, prócz koronek, rzecz jasna. Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem?

— Nie. Ale pamiętam, że dałeś mi wtedy Miętówkę — głos Promienia załamał się lekko.

— Posłuchaj, chłopcze — zaczął Wiatr Na Szczycie. — Może to głupio zabrzmieć, ale mógłbym być twoim ojcem.

— He...? — bąknął chłopak bez entuzjazmu. — Raczej nie.

— To znaczy, że mam... ehm... o dwadzieścia lat więcej niż ty. I różne rzeczy mnie w życiu spotykały — ciągnął mag. — Dawno temu, w krótkim czasie straciłem matkę, brata, żonę i syna. Wydawało mi się, że nie będę umiał tego znieść. Porzuciłem dom. Nie założyłem powtórnie rodziny, bo wciąż byłem wierny pamięci nieżyjącej kobiety. I dopiero niedawno doszedłem do wniosku, że to była najgłupsza rzecz, jaką mogłem zrobić. Oto siedzę na odciętej od świata wyspie i nie mam właściwie żadnego celu w życiu. Nie powtarzaj moich błędów. Śmierć Miętówki to tragedia, zgoda, ale nie koniec świata. Koło ciebie są ludzie.

— Tylko Miętówka mnie lubiła. Tylko ona — rzekł chłopiec z goryczą.

— Nie tylko — zaoponował Wiatr Na Szczycie, czując się jak przed skokiem do wyjątkowo zimnej wody. — Gryf cię lubi. Interesujesz go. Zaprzyjaźniłby się z tobą, gdybyś dał mu szansę. Gdybyś nie był taki kolczasty.

— Skąd wiesz? — zapytał Promień, szeroko otwierając oczy.

— Powiedział mi — odparł mag, wstając i kierując się do drzwi. Zerknął na niebo i pomyślał: „O Pani, wybac mi to kłamstwo i spraw, by stało się prawdą”. Wychylił się jeszcze zza framugi i rzekł prowokacyjnie do zaskoczonego chłopca:

— Najwyższy czas, żebyś przestał sypiać z kotem, a zaczął z kobietą... albo z mężczyzną...

I odszedł, unosząc w oczach obraz zaszokowanego Promienia.

* * *

Smocze gody odbywały się zwykle na plażach lub skałach nadbrzeżnych. Jednak z niewiadomego powodu jakaś smocza para zapragnęła intymności. W ten sposób pomiędzy monumentalnymi pniami draperiowców powstał skrawek wolnej przestrzeni wygnieciony wielkimi ciałami. Zanim pomiażdżone rośliny podjęły wysiłek, by powstać i na nowo rozrosnąć się, zakątek ten odnaleźli Jagoda i Kamyk. Bezlitośnie dokończyli dzieła zniszczenia, wycinając krzewy i pnącza

nożami. Uzyskali miejsce odosobnienia, gdzie mogli przebywać razem, nie narażając się na ciekawe spojrzenia i niewybredne żarty. Znalazło się tam wygodne rozwidlenie gałęzi, w którym przechowywali zwinięte maty. Tykwę z przesianym piaskiem i płaską tacę, na której go rozsypywali, by Jagoda mogła pisać. Jak dotąd nikt nie wpadł na trop ich kryjówki.

Jagoda przystanęła za szerokim pniem drzewa. Ostrożnie postawiła na ziemi wyplataną torbę. Szybkimi ruchami zrzuciła wierzchnią odzież — smętne łąszki przeznaczone do darcia po krzakach. Wydobyła sandałki i równiutko złożoną jedwabną sukienkę. Barwa moreli — w tym Kamykowi podobała się najbardziej. Jeszcze szarfa, jeszcze ułożyć fałdy... Pospiesznie rozpuściła włosy. Rankiem zaplotła warkocz z wilgotnych pasm i teraz włosy ułożyły się jej w drobne fale. Sprawdziła efekt w lusterku, poprawiła naszyjnik z lśniących kamyczków. Świetnie, nie może być lepiej. W końcu wyłowiła z torby mały drewniany flakonik. Hojnie natarła dekollet perfumami o zapachu brzoskwini. Uśmiechnęła się, wspominając uwielbienie Kamyka dla tych owoców. Nowa pętla subtelnych sideł.

Zaledwie dziesięć kroków dzieliło ją od miejsca spotkania, Kamyk już czekał. Niby obojętny, niby niezależny. W codziennym, skromnym stroju. Jagoda posłała mu promienny uśmiech. Kogo on chce oszukać? Ją, Obserwatorkę czytającą myśli? Och tak... oczywiście nie dla niej wyczyścił dziś paznokcie i nie dla niej ogolił się „do drugiej skóry”. I nie z powodu tego spotkania włożył „prawie najlepszą” koszulę.

Ślicznie wyglądasz — przywitał ją komplementem.

Owocowy aromat otaczał Jagodę intensywnym obłokiem. Nozdrza Kamyka zadrżały.

I pachniesz... smakowicie.

Szukał źródła zapachu. Wtulił nos w zgięcie jej szyi. Westchnęła, czując męskie dłonie wędrujące po plecach. Cieniutki jedwab sukienki nie dzielił ich prawie. Kamyk pachniał świeżym potem. Po prostu sobą. Jak dobrze mieć go tak blisko. Poprzednio nie był tak śmiały. Może to dziś, teraz, Jagoda wreszcie przestanie być dziewczynką i stanie się równa Srebrzance... i macosze. Już po chwili jednak zapomniała o swych małych ambicjach. Jak mogła uważać Kamyka za zbyt skrzępowanego i pozbawionego polotu? Cóż za pomyłka!

Do licha z sukienką! To się zaszyje...

Nigdy nie podejrzewała...

Nie myślała o tym jeszcze przed chwilą, a jednak...

Pragnęła tego...

I on tego chciał... Bardzo.

Stało się. Od tysięcy, tysięcy lat powtarzana ta sama historia, a za każdym razem tak samo zaskakująco nowa.

* * *

Trzymał ją w ramionach. Czuł, jak jeszcze tłucze się jej serce, tuż obok jego serca. Ciasno przytuleni, najbliżej jak można było. Patrzył na białe pasemko włosów, które opadło na nos Jagody jak delikatny splot pajęczyny. Podziwiał długość rzęs. Dziewczyna wpatrywała się w oczy chłopca, jakby widziała je po raz pierwszy. Były brązowe, oczywiście. Ale dlaczego przedtem nie zauważyła tych drobnych, złocistych prążków wokół źrenicy? Sprawiały, że oko przypominało półszlachetny kamień, jeden z tych, które Jagoda nazywała „tygryskami”. Dobrze jej było w tych mocnych objęciach, lecz w końcu się rozwarły. Kamyk w geście zakłopotania przeczesał włosy palcami. Córka Słonego wyczuła, że przypomniały mu się przyrzeczenia dawane samemu sobie. Skwitowała to pobłażliwym uśmiechem. „O szlachetny zamiarze, tyś zamiarem tylko” — mawiał jej ojciec, który dobrze znał życie. Czy to warte wyrzutów sumienia? Nie sprawił jej aż tak wielkiego bólu. Mimo wszystko trochę była roztrzęsiona, serce jej waliło. I ta odrobina krwi. . . przecież każda kobieta przez to przechodzi. I ona też, nareszcie.

Jagoda przez chwilę szukała wśród swych rzeczy czegoś, czym mogłaby wytrzeć uda. Bezskutecznie. Kamyk bez namysłu, pomagając sobie zębami, skrócił rękawy własnej koszuli i podał jej dwa kawałki płótna.

Pamiętam, że w domu, w Pagórkach, następnego dnia po ślubie młode kobiety paliły takie szmatki w kapliczce Bogini, jako ofiary. Ale robiły to też niezamężne. Zapytałem o to ojca, a on nie chciał mi niczego wyjaśnić. — Kamyk pokazał zęby w szerokim uśmiechu. — Twierdził, że dowiem się, jak będę starszy. Nie było to zresztą pierwszy raz. Miałem już siedem lat, gdy chciałem wiedzieć, skąd ludzie biorą swoje dzieci. Płowy strasznie kręcił. Zaczął od ptaszków, a skończył na szczeniętach i cielakach. Nie wdając się w szczegóły. Załamał się, gdy spytałem, skąd w takim razie wiadomo, że ta sąsiadka, z dużym brzuchem ma tam dziecko, a nie matką owieczkę.

Obserwatorka roześmiała się głośno. Sama już nie pamiętała, kiedy i jak poznała te sprawy. Zdawało jej się, że wiedziała o nich zawsze. Jeszcze wtedy, gdy jako mała dziewczynka w dużym zamku ciekawie sięgała do myśli współmieszkańców. Na jaszczurze budziły ją czasem w nocy odgłosy miłosnych gier ojca i jego żony. Najpierw bawiły ją te obserwacje, potem zaczęły irytować, gdy w domu pojawiały się kolejne krzykliwe istoty. Wreszcie zbudziła się w niej zazdrość o te chwile rozkoszy i spełnienia. I o miłość, która sprawiała, że tamta para nie potrzebowała nikogo prócz siebie nawzajem.

Dziewczyna uważnie złożyła kawałek poplamionej tkaniny. W tym Kamyk miał rację. Nie wypadało jej tak po prostu wyrzucić. Jagoda nie była religijna. Niedowiarstwo przejęła od ojca. Ale cóż szkodzi spalić ten skrawek? A Matka

Świata, jeśli w ogóle istnieje, niech myśli sobie, co chce.

Siedzieli jeszcze przez pewien czas w swoim zakątku. To rozmawiając za pomocą pisania na piasku, to przerywając, by zająć się rzeczami miłszymi i ciekawszymi.

Przenieś się znad Zatoki do Osady. Chcę być bliżej ciebie — napisała Jagoda. *Kiedy?* — spytał Kamyk, muskając wargami jej ramię.

Uśmiechnęła się. Łakomczuch. Stopniał jak wosk na gorącym kamieniu.

Teraz — odpisała. — *Pomożesz mi zabrać rzeczy.*

Gdy szli do domu Słonego, Jagoda zastanawiała się, jak też zareaguje jej ojciec. Z pewnością się zdziwi. To było typowe dla niego. Zwykle nie zauważał, co działo się tuż pod jego nosem i zaskakiwały go nagle wydarzenia. Może się ucieszy? A może nie? Jego dziewczynka przestała być dziewczynką. Przywykł, że Jagoda była niezależna i samodzielna. Ale co powie na tę nagłą decyzję o przenosinach do zimowego domu? Na to, że będzie widywał córkę znacznie rzadziej? Prawie nie myśląc o tym, co robi, Jagoda użyła talentu, by odnaleźć umysł ojca i zorientować się w jego nastroju. Drgnęła gwałtownie. Słony był czymś wzburzony. Przewalał się w nim gniew, ciemny, głęboki i zimny. Nienawiść, która wewnątrz widzeniu zdawała się czarna i oleista. Brukająca umysł, wstrętna. Dziewczyna przestraszyła się. Co się stało w domu? Nie, nie w domu...! Desperacko łączyła mentalne nici, które mogły zaprowadzić ją do ojca. Był blisko, znacznie bliżej, niż przypuszczała. Zacisnąwszy palce na przegubie Kamyka, prowadziła go za sobą, wprost do źródła szalejących uczuć. Przemykali się wśród zieleni cicho jak duchy. Jagoda instynktownie wybierała ledwo zauważalne zwierzęce ścieżki. Wreszcie usłyszała głos ojca. Odpowiadał mu inny. Oboje z Kamykiem byli jeszcze za daleko, by mogła rozróżnić słowa. Rozszerzyła kontakt, chwytając w sieć dwa umysły — Słonego i... obcy, nieznany jej zupełnie. Przygięta do ziemi, czołgając się prawie, podkradała się coraz bliżej. Kamyk naśladował dziewczynę. Rzucił jej jednak niepewne spojrzenia i pytająco unosił brwi.

— Nie!! O tym nie było mowy! — głos Słonego był zduszonym krzykiem.

— Masz niewielki wybór, Mówco — w tym drugim pobrzmiwała drwina.

— Wyznajecie zasadę bata i cukru. Bat widzę, a gdzie cukier? — warknął Słony.

— Twój raport zawiera tak niewiele szczegółów, że to wręcz żałosne.

— Nie mam bezpośredniego kontaktu. Co roku przenoszę się nad ocean w porze suchej i nie mogłem tym razem z tego zrezygnować. Jak bym to wytłumaczył?

— Brak kontaktu! — prychnął obcy. — To wytłumaczenie godne kmiotka, a nie maga!

— W grupie są błękitni Stworzyciele, Mówca i Obserwator mistrzowskiej rangi! Jak długo by trwało, zanim zorientowaliby się, że grzebię im w myślach? To i tak cud, że do tej pory nic nie wiedzą!

Jagoda zadygotała, przyciskając pięść do ust. Omal nie krzyknęła, zdradzając swą obecność. Tato... coś ty zrobił...?! Kamyk chwycił ją pod ramię. Raptem zorientowała się, że zniknął jej z oczu. Nie widziała także własnego ciała. Okrył ich iluzyjny obraz dżungli. Mogli podejść bliżej, nie narażając się na odkrycie. Rozmówcą Słonego był obcy przybysz. Młodszy i węższej postury niż Mówca. Stał niedbale oparty o pień drzewa, podczas gdy Słony przechadzał się nerwowym krokiem po szczupłej przestrzeni wolnej od zarośli. Pod stopami mieli równy krąg wyłożony kamieniami — stała rampę do podróży dla Wędrowców. Była starannie utrzymana, bez chwastów w spoinach. Wyraźnie nowa.

— Jak tam twoje dzieci? Córka to już chyba dorosła panna? — spytał przybysz tonem swobodnej pogawędki.

— Zamknij się! — warknął Słony.

— A żona? — ciągnął tamten niezrażony. — Wszystko w porządku? Zdaje się, niebezpieczne to okolice. Żmije, jadowite ślimaki morskie...

— Wynoś się! Znikaj, zanim cię utłukę!! — ryknął mag, unosząc pięść.

Obcy parsknął nieładnym śmiechem i rzeczywiście zniknął. Słony, oddychając ciężko, patrzył w miejsce, gdzie chwilę temu stał Wędrowiec.

— Tato, coś ty zrobił! — załkała Jagoda. — Coś ty zrobił!

Ujawnili się oczom Mówcy. Zobaczył swą córkę zapłakaną i drżącą w ramionach młodego mężczyzny, który obejmował ją, jak swoją własność. To narzuciło mu się pierwsze. Dopiero w następnym momencie dotarła do niego treść lamentu, wstrząs i nieufność w szeroko otwartych oczach Kamyka.

— Co ty zrobiłeś...?!

— *Jak mogłeś, Słony...?*

— Jagoda, do domu! — zażądał gniewnie, czując wstręt do samego siebie.

— Nie! — krzyknęła.

Do domu' powtórzył, wiedząc już, że ona nie posłucha. Postąpił krok ku tamtej parze. Kamyk stanął między nim a Jagodą. To już nie chłopiec uświadomił sobie Słony z całą jasnością. Już nie ten wychudzony dzieciak, którego ocalił na Wyspie Szaleńca. Nie chłopak, którego można było zmusić do uległości samym autorytetem. Dorosły mężczyzna.

„Więc tak to się kończy” — pomyślał ze smutkiem. Nagle poczuł się strasznie stary. Nie zrobił nic. Odwrócił się i odszedł przygarbiony, jakby na barkach złożono mu ogromny ciężar.

* * *

— Nie, nie jest nam za ciasno — powiedziała Jagoda do Srebrzanki — Chłop-

cy poprzesuwali trochę sprzęty i moje łóżko zmieściło się akurat w kacie.

Obie siedziały przed domem Stworzyciela. Jagoda obierała owoc na sałatkę. Srebrzanka trzymała na kolanach córeczkę i karmiła ją piersią. Różyczka ssała, bawiąc się jednocześnie warkoczem matki, do którego przyczepione były ozdoby z mosiądzu i perłowych muszli.

— Jak to, wy nie śpicie RAZEM?! — odezwał się Nocny Śpiewak, pojawiając się zniemacka. W jego głosie było tyle afektowanego oburzenia i niewiary, że Jagoda musiała się roześmiać. Rzuciła w niego łupiną.

— Ty wstrętny podsłuchiwaczu!

— Tati, tati! — pisnęła Różyczka, wyciągając łapki do ojca. — Kicia!

Srebrzanka wytarła jej buzię i podała dziecko Nocnemu Śpiewakowi.

— Moje śliczności! — entuzjasmował się. Łaskotał malutką nosem po brzuszku, a ta zanosila się perlistym śmiechem. — Moje słoneczko! Całe dwie godziny cię nie widziałem. Strasznie długo!

Postawił wreszcie córeczkę na tarasie, a sam przysiadł na schodku. Różyczka ruszyła dziarsko na wędrownkę wzdłuż balustrady zdobnej w rzeźbione liście i kwiaty.

— Osobne łóżko, Jagódko? — zapytał znów Nocny Śpiewak. — Fe, toż to nieprzyzwoite!

— Sam jesteś nieprzyzwoity! — fuknęła Jagoda. — Mądrała! Spróbuj zmieścić się razem z Kamykiem na tym wąskim wyrku. Jak, mianowicie, miałyby się to udać?

— Warstwowo — odrzekł Nocny Śpiewak z pełną powagą, a Jagoda sama już nie wiedziała, złościć się czy śmiać. Różyczka tymczasem dotarła do nasłonecznionej części tarasu. Rozgrzane kamienne płyty sparzyły jej bosc stopki.

— Be! — orzekła stanowczo dziewczynka i schroniła się na ojcowskich kolanach.

— Co robi reszta? — spytała Jagoda.

— Wiatr i Pożeracz Chmur na warcie. Pozostali kotłują się w Labiryncie, Uciekłem, bo już nie mogłem słuchać ich pomysłów. Jeden był głupszy od drugiego.

Mianem Labiryntu określano starą sieć korytarzy, którą pocięte było wnętrze pobliskiej góry. Miał niewiele wejść, obszerne wnętrza i w miarę potrzeby mógł służyć jako twierdza. Zresztą zapewne w tym celu został wykonany przez starożytnych Stworzycieli. Było to najbezpieczniejsze miejsce na wyspie. Jeśli zapomniało się o zdolnościach Wędrowców, oczywiście.

— Niech wybiją sobie z głowy, że będę siedzieć z dzieckiem w jakiejś dziurze bez okien jak osaczony szczur! — rozłościła się Srebrzanka. — Mieliliśmy tu spokój przez prawie dwa lata i wątpię, żeby miało się to zmienić w ciągu najbliższych trzech dni!

— Pewnie. To samo im powiedziałem — zgodził się jej mąż. — Nie martw się, oprzytomnieją. Na razie są po prostu trochę ogłupiali, jak mrówki, którym ktoś rozwalił mrowisko.

— A ty jesteś dość spokojny, chociaż masz największe powody, by się bać — odezwała się Jagoda.

— Wydaje się, że Krąg wie o nas już jakiś czas — powiedział Śpiewak, bawiąc się z dzieckiem kolorowym piórkiem papugi. — I do tej pory nie podjął działań, zadowolając się dyskretnym szpiegowaniem. Więc nie ma co panikować. A jeśli zjawi się tu ktokolwiek, by skrzywdzić moją rodzinę, to po prostu go zabiję.

Ostatnie zdanie, mimo beztronskiego tonu, zabrzmiało złowieszczo.

Zjedli owoce i zupę. Nocny Śpiewak, pogwizdując, zabrał cebrzyk z nową porcją pieluch i skierował się na ścieżkę prowadzącą ku potokowi.

— Taki mężczyzna to wręcz skarb — westchnęła czule Srebrzanka, zabierając się do zmywania. Jagoda pomagała jej. W domu nad zatoką nie paliła się do takich prac, lecz tutaj przecież korzystała z gościnności przyjaciółki. Najedzona Różyczka zasypiała w swym hamaku, ssąc palec.

— Jagoda... — odezwał się niepewny głosik, a nad barierką pojawiła się ciemna, kędzierzawa głowa.

— Żywe Srebro! — dziewczyna rozpoznała najstarszego ze swych przyrodnych braci. — Sam tu przyszedłeś? — zaniepokoiła się.

Chłopczyk miał dziewięć lat, a do Zatoki Słonego był niezły kęs drogi. Co prawda, była młodsza, gdy już samodzielnie włączyła się po wyspie, lekceważąc wszelkie niebezpieczeństwa z właściwą dzieciom beztronską, teraz martwiła się jednak o rodzeństwo.

Żywe Srebro podciągnął się wyżej, oparł łokciami o wierzch poręczy.

— Ojciec mnie przyprowadził, ale został na skraju. Kazał zapytać, czy ci czego nie trzeba. Jagoda, czemu się pokłóciliście?

— Spytaj ojca — powiedziała sucho.

— On się martwi. Mama się martwi...

— Nie może być? — mruknęła Jagoda ironicznie.

Żywe Srebro westchnął.

— Smutno bez ciebie. Wróć do domu, Jagoda.

— Ojciec kazał ci to powtórzyć?

— Nieee... — Chłopiec potrząsnął głową. — Ale ja wiem, że by chciał. Posłuchaj... — Wychylił się jeszcze bardziej, przybierając tajemniczą minę. — Mama i ojciec rozmawiali dzisiaj, bardzo późno w nocy. Tylko ja słyszałem, reszta spała. Mama płakała. Jagoda... — zniżył głos do szeptu. — Boimy się. Ja i Tygrys, i Błyskawica. Co się stało? Czy ty już nie wrócisz do domu?

Jagodzie łzy stanęły w oczach. Biedny dzieciak. Nie był niczemu winien, a nagle znalazł się pomiędzy dwiema skłóconymi stronami, całkiem zdezorientowany. Ucałowała brata w czoło.

— Nie wiem, Sreberko. Chyba lepiej będzie, jeśli powiesz ojcu, żeby tu przyszedł. Powinniśmy porozmawiać... chyba tak...

Chłopiec pobiegł, uskrzydłony nowiną. Jagoda odwróciła się do Srebrzanki, która dotąd tkwiła przy szafliku z talerzami, udając głuchą.

— Czy ja dobrze robię?

— Dobrze — uspokoiła ją Srebrzanka. — Nie należy nikogo skazywać bez sądu. Słony jest bardzo porządny w gruncie rzeczy. Nie daliście mu się wytłumaczyć. Kto wie, jak było naprawdę?

* * *

Zebrali się wszyscy. Słony siedział na krześle ustawionym w rogu rozległego tarasu. Wyglądał mizernie, jakby nie spał już od kilku nocy. Stali mieszkańcy Osady Magów usadowili się na barierce, na przyniesionych stołkach lub wprost na kamiennych płytach. Między nimi a Mówcą pozostała wolna przestrzeń podkreślająca potępienie. Cisza przedłużała się.

— Czekamy — powiedział wreszcie krótko Wiatr Na Szczycie.

Słony odetchnął głęboko i powiódł wzrokiem po tych wszystkich twarzach — poważnych i wyczekujących.

— Zjawili się siedem miesięcy temu. Wędrowiec i Stworzyciel — przedstawiciele góry Kręgu. Zadawali pytania. Chciałem ich zbyć, ale okazało się, że wiedza. Spójrzcie prawdzie w oczy. Nie było trudno was tu znaleźć. Trochę logiki, trochę szczęścia, jeden Mistrz Obserwator o wystarczająco dużym zasięgu. Zwykła metoda eliminacji możliwych miejsc... i trafili. Mogli wybrać wszystkich jak kraby z kosza. Ale nie chcieli. Ktoś tam postanowił, że wolą was mieć tutaj — w jednym miejscu, spokojnych i nie sprawiających kłopotów. Chcieli ode mnie regularnych, szczegółowych raportów. Co dwadzieścia pięć dni. Co robicie, jak się rozwijacie... nad czym prowadzicie badania. O dziecku Srebrzanki...

— I ty się zgodziłeś...? — wysyczał Nocny Śpiewak.

Srebrzanka położyła mu rękę na ramieniu, gestem nakazując spokój.

— Nie mogłem się nie zgodzić. Od razu zaczęli grozić. Mam rodzinę. Który z was wie, jak to jest — budzić się o świcie i z sercem w gardle liczyć dzieci, czy którego nie brakuje? O mało nie oszalałem. Ale to nie było najgorsze.

Słony przerwał i przetarł ręką oczy.

— Jagoda... Ukrywałem talenty Żywego Srebra i Tygryśka, ale wiedzą o Jagodzie. O tym, że ma czynny talent. I to ogromny. Sprzedałem się za obietnicę, że jej nie skrzywdzą. Poderżnąłbym sobie gardło, gdyby tego zażądali.

— Dlaczego mieliby zrobić coś złego Jagodzie? — spytał Mysza. — To wiel-

ki talent, choć nieuznany w Kręgu.

— Póki moja córka była dzieckiem, nie obchodziło ich, gdzie jest i co robi. A teraz dorosła i stała się łakomym kaskiem. Zastanawiają się... zastanawiają... — mag z trudem wyduszał z siebie słowa, dławiąc się wręcz ze wstrętu — ... jakie dzieci dałoby się... z niej... wyhodować...

Urwał i zakrył twarz dłonią.

— Na Miłosierdzie... — szepnął ktoś. — Chyba zwymiotuje.

Słony znów zaczął mówić, patrząc w ziemię. Wyrzucał z siebie nagromadzone napięcie.

— Nie mogłem... po prostu nie mogłem. Śniło mi się to po nocach: moja dziewczynka, uprowadzona gdzieś daleko, zgwałcona, zmuszona do rodzenia... Zdawałem sobie sprawę, że nie zrezygnuję, ale miałem nadzieję. Grałem na zwłokę. Tutaj mogła chociaż wybrać. Założyć normalną rodzinę.

Zamilkł ostatecznie.

— Jak muchy w słoju — powiedział Diament bezbarwnym głosem. — Patrzą na nas, kalkulują i w każdej chwili mogą zrobić z nami, co zechcą.

— A więc o to chodzi? Wygasają im linie błękitnych — odezwał się Wiatr Na Szczycie. — Słyszałem o tym jeszcze w Zamku. Srebrzanka i jej dziecko... Zastanawiam się... — mówił bardzo wolno. — Zastanawiam się... Ja sypiałem tylko z Różą. A inni? Gryf, ty bywałeś w Ogródku. I ty, Śpiewak. Wężownik, Stalowy... Możliwe, że któryś z was ma gdzieś dziecko.

— Ostatnio chcieli wiedzieć, ile tu jest miejsca i ile ruin nadaje się do wyremontowania — odezwał się Słony. — Coś kręcą. Wypytyują o rozmaite rzeczy dotyczące samego miasta, smoczych terytoriów, zwierzyny i roślin. Moim zdaniem chcieliby na nowo skolonizować wyspę. My zrobiliśmy początek. Pewnie uznali to za korzystne.

— Poroniony pomysł. Bzdura. Uważają, że my tak po prostu się z tym pogodzimy?

— A jakby ci zaproponowali ułaskawienie, spokój i ładną żonę tylko za to, żebyś miał jak najwięcej błękitnych dzieci, tobyś się nie zgodził?

— Obrzydliwe i do tego nierealne. I tak już jest nas za dużo. Smoki by tego nie zniosły. Napad na Promienia najlepiej o tym świadczy. Stanowimy konkurencję do zdobyczy — rzekł Stalowy.

— A właśnie, dlaczego smoki nie podniosły alarmu? Przez siedem miesięcy żadnej reakcji?

— Statek przepływał w większej odległości niż zwykle. Nie zbliżał się do ich strefy terytorialnej. Wyznaczono błękitnego Wędrowca. Pracował na ostatecznej granicy swojego zasięgu — wyjaśnił Słony.

Nocny Śpiewak zwrócił się do Słonego:

— Co pisałeś o Różycze?

— To, co chcieli wiedzieć. Kiedy się urodziła, czy nie było komplikacji. . . Jak duża, do kogo bardziej podobna i takie tam. Obecnie raczkuje.

— Przecież stanęła na nogi w jedenastym miesiącu — wtrąciła Srebrzanka ze zdziwieniem.

— Dwa raporty temu miała wysypkę — ciągnął Słony.

— Nie miała!

— Czasem trochę kłamię — rzekł sucho Mówca. — Mam taką niewielką wadę. Staralem się być najgorszym szpiegiem świata. Ale też nie mogłem łączyć ciągłe, boby się zorientowali. Odsiewałem informacje. Nie wiedzą o Labiryncie. Nie znają zasięgu Myszki. Nie wiedzą, że mógłbyś się stąd wyrwać jednym skokiem — zwrócił się do małego Wędrowca.

— No, może bym sobie trochę nogi zamoczył — rzekł Myszka skromnie.

— Wiatr. . . Oficjalnie podupadłeś na zdrowiu. Masz kłopoty z kręgosłupem i niedowład ręki.

Hajg uniósł brwi w zdumieniu.

— A mogę wiedzieć, co mi się stało?

— Spadłeś z dachu. Nie pamiętasz?

— Wybiłem sobie rękę w łokciu, ale. . .

— Oficjalny kurier widział cię wtedy przypadkiem z ramieniem w łubkach. Miałem okazję zełgać i zrobiłem to z przyjemnością.

— Lepszy własny wróg niż cudzy przyjaciel — mruknął Wiatr Na Szczycie, kiwając głową. — To mi nasuwa pewien pomysł. Ile masz czasu do następnego raportu?

— Siedemnaście dni.

— Napiszemy go razem. Obszernie, dokładnie. . . Kamyk ma wyobraźnię i pomoże. Będą zachwyceni.

— Czy to znaczy, że uzyskałem przebaczenie? — zapytał Mówca z nadzieją. Słuchacze wymieniali między sobą niepewne spojrzenia.

— Dostałeś nowy kredyt zaufania — podsumował Hajg. — Postaraj się go spłacić.

Srebrzanka uznała, że zgromadzenie się skończyło, więc postanowiła wrócić do śpiącej córeczki. Inni poszli za jej przykładem i zaczęli się rozchodzić. Jagoda dotąd siedziała cichutko ze szklistym spojrzeniem ptaka hipnotyzowanego przez węża, przyciśnięta do boku Kamyka. Teraz podeszła do ojca.

— To przeze mnie? Dlatego że mnie tak kochasz. . . Słony przytulił córkę.

— Oczywiście. Przecież mam cię tylko jedną.

— Kochasz mnie bardziej niż Księżycowy Kwiat?

— Jak mogę kochać cię bardziej, skoro każdą z was kocham zupełnie inaczej? Zamilkli na chwilę.

— Tato, mieszkam z Kamykiem.

— Domyśliłem się. Wyrosłaś mi, nie wiadomo kiedy.

— Może nawet wyjdę za męż. . . ?
— Gdy sobie przypomnę, jak się nie znosiliście na początku. . .
— Ludzie się zmieniają. Sam tak mówiłeś.
Słony wypuścił jagodę z objęć. Przygładził jej włosy.
— Dobrze, idź już do tego swojego wybrańca. Stoi tam, czeka, i ma wzrok psa pilnującego gości.

* * *

Przez następne siedemnaście dni Drugi Krąg pracował nad raportem na własny temat, co młodym magom wydawało się bardzo zabawne. Na wyścigi podsuwali Kamykowi i Słonemu pomysły tak fantastyczne, że z ponad połowy trzeba było zrezygnować. Słony złościł się i studził gorące głowy, przypominając, że nie pisze bajek tylko dokument, który ma mieć choć pozór prawdopodobieństwa. Raport został jednak w końcu napisany, a w oznaczonym dniu przekazany Wędrowcowi przysłanemu przez Krąg z kontynentu.

Wiatr Na Szczycie w towarzystwie Myszki i Jagody ostentacyjnie przechadzał się po plaży, powłócząc nogami jak staruszek. Podpierał się kijem i starał robić wrażenie osłabionego. Słony według umowy miał pokazać ukradkiem całą trójkę przybyszowi, by ugruntować przekonanie o słabym zdrowiu Mistrza Iluzji.

— Świetnie ci idzie — rzekł cicho Myszka, spoglądając na Hajga. — Ruszasz się, jakbyś miał siedemdziesiąt lat.

— Dziękuję, słońeczko — wycedził Wiatr przez zęby i upuścił laskę. — Podnieś mi to, synku. . . bo ja nie mogę się schylać.

— Bardzo dobrze — mruknęła jagoda, troskliwie biorąc maga pod ramię. — Byle byście nie przesadzili. Patrzą na nas.

Od pewnego czasu dziewczyna penetrowała swym talentem okolicę i właśnie dotarły do niej wyraźne emanacje myśli ojca oraz towarzyszącego mu Wędrowca. Przypatrywali się im z przybrzeżnych zarośli. Słony był zdenerwowany i jak najszybciej chciał pożegnać nieproszonego gościa, co w żaden sposób nie odbiegało od jego zwykłego zachowania w takim wypadku. Przybysz był w posępnym nastroju. Najwyraźniej oglądanie Wiatru Na Szczycie w roli kaleki nie sprawiało mu żadnej przyjemności.

„Choć tyle przyzwoitości mu zostało” — pomyślała jagoda.

W końcu Mistrz Wędrowców wyniósł się — jak to on — niespodzianie i przedstawienie się skończyło. Wyspiarze zyskali następne dni spokoju, podczas których będą mogli obmyślić sposób obrony.

* * *

Natychmiast po zniknięciu Wędrowca z Kręgu zebrano się w Starym Mieście. Tym razem w zgromadzeniu uczestniczyła także Księżycowy Kwiat i dzieci Słonego. Bliźnięta były za małe, by cierpliwie przysłuchiwać się rozmowie dorosłych. Wołały bawić się z Różyczką, co było nawet na rękę Srebrzance. Natomiast Tygrysek siedział z poważną miną tuż przy Winogradzie. Mały Bestiar ogromnie podziwiał i starał się naśladować mistrza. Żywe Srebro usadowił się u nóg ojca. Oczy biegały mu na wszystkie strony i było pewne, że jego talent rejestruje wszystko, co dzieje się dokoła. Nawet po wielu latach młodziutki Strażnik Słów będzie wstanie powtórzyć absolutnie wszystko, co zostanie tu dziś powiedziane.

— Myślałem o powrocie do Lengorchii — rzekł Koniec. — Myśleliśmy — poprawił się, spojrzawszy na kolegów.

— Przybyliśmy tu ze względu na mnie — powiedział Nocny Śpiewak. — Ode mnie zaczął się ten cały bunt i pewnie nadal głównie o mnie chodzi.

— Nie pochlebiaj tak sobie — mruknął Promień.

— A nie mam racji? — upierał się Śpiewak. — Koniec ma rodzinę. I Wężownik tak samo. Myszka mieszkał u wuja. Kamyk mógłby wrócić do ojca. A ty przecież także masz dom i rodziców. Po dwóch latach cesarzównę wydali już na pewno za innego. Możesz wracać do wygód, nikt ci złego słowa nie powie.

— Nie! — warknął Promień krótko.

— Co „nie”? Lepiej być wygnańcem niż księciem?

— Lepiej — potwierdził Promień lakonicznie.

— No pewnie — skomentował Gryf. — Tam by siedział sam i nudził się, a tu przynajmniej ma się z kim kłócić.

— Do rzeczy. Nasz czas na jaszczurze się skończył — to był charakterystyczny, wyzbyty emocji ton Kamyka, który dotąd słuchał tylko innych, korzystając z uprzejmości Pożeracza Chmur, używającego mu swych uszu w mentalnej więzi. Tkacz Iluzji odzywał się na tyle rzadko, że natychmiast przyciągał uwagę, gdy już decydował się użyć głosu. — Nie powinniśmy tutaj zostawać. Zdamy się na łaskę Kręgu. To niedobrze. Musimy stąd odejść.

— Ale gdzie mamy iść? — wtrącił z goryczą Stalowy. — Promień nie chce do domu, a niektórzy z nas nawet go nie mają. Przenieść się na inną wyspę? Gaszenie pożaru powodzą.

— Kontynent — odparł Kamyk krótko.

— W łapska starszyny?

— Ukryć się.

— Gdzie?! Zakopać się chyba w piasku! I tak już zostać!

— Spokój. Jest miejsce, gdzie starszyna raczej się nie pałęta i bardzo rzadko

kogoś tam wysła — wtrącił Wiatr Na Szczycie. — Przypomnijcie sobie, skąd pochodzę.

— Góry Zwierciadlane — powiedział Słony z namysłem. — Niezłe miejsce. Ale czemu uważasz, że lepsze niż inne?

Wiatr rozparł się na ławie, szczerząc radośnie zęby.

— A pomyśl, pomyśl trochę nad tym, panie uczony. . .

— Masz tam przyjaciół — strzelił Mówca.

— Lepiej — rzekł Hajg.

— Krewnych. . .

— Jeszcze lepiej.

— Nie drażnij się ze mną, bo wejdę ci do głowy i będziesz sobie mógł buty podzelać tą swoją tajemniczością.

— W Zwierciadlanych zostawiłem dwie Gwiazdy — wyjaśnił Wiatr Na Szczycie. — To nawet bardziej wiążące niż pokrewieństwo. Ci chłopcy. . . cha, źle mówię, młodszy ma już ze dwadzieścia pięć lat. . . staną przy mnie bez drgnienia powieki. Póki noszę klanowe znaki, zawsze jestem górale, do końca życia. Mogę zjawić się w każdej chwili na ziemi Wajetów i zostanę przyjęty tak, jakbym odszedł stamtąd wczoraj.

— A poza tym Zwierciadlane należą do cesarstwa jeszcze mniej niż Smoczy Archipelag — dodał Koniec. — Mapy sobie, a rzeczywistość sobie. Jak wiecie, fala inwazji ze Smoczycy Wysp oparła się właśnie na górach.

— Wiemy. Tysiąc razy to słyszeliśmy — wymamrotał Gryf.

Koniec udał, że nie słyszy i ciągnął dalej:

— Hajgońskie klany nigdy nie zostały podbite. Zachowały neutralność, formalnie tylko podlegając cesarzowi. Kontakty ograniczają się do niezbyt intensywnej wymiany handlowej i grzecznościowych podarunków dla panującego.

— No i jeszcze to, że górale z magicznymi talentami podlegają Kręgowi — dodał Wiatr Na Szczycie. — Ale w sumie jest nas mniej niż palców u obu rąk. Według mnie to zawracanie głowy, ale Krąg uwielbia pozory. W każdym razie, gdy już znajdziemy się na północnym krańcu, mogą nas łowić do woli — gołą ręką we wrzątku.

— Świetnie — rzekł Słony ponuro. — A co ze mną? Mam żonę i sześcioro dzieci.

— D z i e c i pięcioro — poprawiła Jagoda z naciskiem.

— Tak, tak. . . ty dorosła kobieto — machnął ręką Mówca. — A co z resztą? Przecież nie możemy tutaj zostać. Wyfruniecie stąd pewnego pięknego ranka, a mnie Krąg powiesi głową w dół, a potem obedrze ze skóry. Trzeba będzie przenieść całe gospodarstwo dalej. Znaleźć nowe terytorium gdzieś bardziej na południe, dogadać się z rezydentem, a i to nie gwarantuje bezpieczeństwa. . . same kłopoty.

Jagoda patrzyła akurat na macochę i zobaczyła, jak Księżycowy Kwiat zaciska wargi z wyraźnie malującym się jej na twarzy niezadowoleniem. Nie, nie radowały jej plany męża, ale w okolicach, skąd pochodziła, nie było przyjęte, by kobieta zabierała głos publicznie. Jagoda była pewna, że rozmowa o przyszłości rodziny będzie miała dalszy ciąg w domu nad zatoką i to z burzliwym przebiegiem.

Zwierciadlane mogą zapewnić nam bezpieczeństwo przynajmniej na pewien czas. — Tym razem Kamyk uciekł się do pisania w powietrzu, nieswojo czując się w świecie słów mówionych. — *Jednak Myszka, przy całej swej sile, nie zdoła przerzucić nas bezpośrednio w góry. Jodłowy, jak wyliczasz swój zasięg stąd na kontynent?*

— Najdalej na Półwysep Wojenny. A potem kilka skoków, aż na podgórze. Nic ryzykownego.

Myszka już podniósł się, by przynieść mapy, lecz Koniec chwycił go za rękę i zatrzymał.

— Poczekajcie. Może uznacie, że zgłupiałem, ale właściwie niezbyt mi się to podoba. Znowu gdzieś uciekamy. To przenosiny z jednego krańca świata na drugi. W sumie żadna odmiana.

— A co, chciałbyś wypowiedzieć wojnę starym? — wtrącił z przekąsem Gryf.

— Daj mi dokończyć. Gdziekolwiek się schowamy i tak nas znajdą, prędzej czy później. Chyba że udamy się tam, gdzie nie będą szukać. A jak wiecie, gdy się czegoś szuka, to nigdy nie zaczyna się od własnych kieszeni.

To znaczy gdzie? — spytał Kamyk z miną pełną rezerwy. Pożeracz Chmur był znacznie mniej delikatny — ziewnął na całe gardło i zaczął się drapać, wyrażając całym sobą dezaprobatę.

— Mam na myśli Podzamcze.

Pożeracz Chmur zamarł na moment z szeroko otwartymi ustami. Przez parę długich chwil panowało milczenie. Wszyscy obecni patrzyli na Końca oczami okrągłymi ze zdziwienia.

— Od dwóch lat jesteśmy odcięci od świata. Nie mamy bladego pojęcia, co dzieje się w cesarstwie. Nie mam ochoty znów się gdzieś zakopać — ciągnął.

— Właściwie... ja też nie... — powiedział nieśmiało Myszka, rozglądając się dokoła. — Moglibyśmy chociaż spróbować. Ja... ja jestem zmęczony tym wszystkim.

— Wszyscy są — rzekł Nocny Śpiewak. W jego głosie pobrzmiwał ton bezradności. — Zapędziliśmy się w ślepią uliczkę. Myszko, ja też wolałbym żyć między ludźmi, całkiem zwyczajnie. Ale zupełnie nie wyobrażam sobie wykonania tego pomysłu.

— Powinniśmy kierować się rozsądkiem — odezwał się Słony ze złością. — Koniec, ty chyba rzeczywiście zwariowałaś. Naprawdę uważasz, że możecie ot tak zjawić się pod murami Zamku, nie zwracając na siebie uwagi? Zwłaszcza Nocny

Śpiewak wtopi się w tłum, nieprawdaż? Albo Wiatr! Takich jak on spotyka się tam za każdym rogiem, co? Trzeba mieć trochę rozumu. . . !

— Nie podnoś na mnie głosu! Całe życie kierujesz się rozsądkiem i widać, co z tego masz! Podnózek Kręgu!

— Ty szczeniaku. . . !

— Zamknijcie się obaj!! — ryknął Wiatr Na Szczycie. — Jak chcecie się bić, to idźcie gdzieś dalej!

Mówcy zamilkli momentalnie, zawstydzeni. Korzystając z okazji, głos zabrał Promień.

— I jeden, i drugi ma rację — mówił, nie patrząc na nikogo. — Góry wyglądają obiecująco. Z drugiej strony dobrze byłoby zorientować się, co dzieje się w samym Zamku, a dopiero potem podjąć decyzję o dalszej podróży. Śpiewak i Srebrzanka mogą zostać w jakimś miejscu poza miastem. Tak samo Wiatr. Ci, co się nie wyróżniają, pokręciliby się tu i tam. Koniec nieźle to wymyślił. Nie powinni nas szukać tuż pod własnym nosem.

— Zwłaszcza gdyby byli cały czas przekonani, że wciąż siedzimy na Jaszczurze — wtrącił Pożeracz Chmur.

— „My?” Czyżbyś wybierał się z nami? — zapytał Nocny Śpiewak.

— Oczywiście — odparł smok tonem sugerującym, że nic innego nie wchodzi w rachubę.

— Dlaczego tamci mieliby być przekonani, że nadal tu jesteśmy? — spytał jednocześnie Słony.

Pożeracz Chmur zrobił minę kota, który właśnie połknął wyjątkowo smaczną mysz.

— Nurek już dawno dostał próbkę od ciebie, a Deszczowy Przybysz. . . ode mnie — dodał roześmiany Wiatr Na Szczycie, domyślając się, o co chodzi Pożeraczowi Chmur.

— Jest tu parę życzliwych smoków, które chętnie zgodzą się na taką zabawę, jeśli tylko dostana od was kilka wzorców.

Napięcie prysło. Chłopcy parskali śmiechem, klepali się wzajemnie po plecach, tupali i na wszelkie sposoby dawali wyraz wesołości. Wyobraźnia już podsuwała im sytuację, gdy agent Kręgu będzie obserwował ich własne postacie, nie mając cienia podejrzeń, że są to w istocie smoki, które przybrały ludzką postać.

— Ależ. . . to znakomity pomysł! — zawołał Wiatr, waląc serdecznie w kark Słonego. — Będziesz miał aż nadto czasu, by się gdzieś na nowo urządzić!

— O ile przeżyję twoje pieszczoty. . . — stęknął Mówca.

* * *

Droga znad Zatoki Słonego do Starego Miasta była Jagodzie tak dobrze znana, że zupełnie nie absorbowano jej umysłu rozpoznawanie trasy. Nogi same ją niosły, najpierw po twardym piasku, ubitym falami, potem wąskimi ścieżkami przetartymi wśród zieleni dżungli. Miniony wieczór i noc spędziła u ojca. Myślała teraz o rozmowie, jaka odbyła się między nim a Księżycowym Kwiatem. Dyskusji, w której brała udział, i to po raz pierwszy na pełnych prawach osoby dorosłej. Dziewczyna potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Księżycowy Kwiat — zawsze tak spokojna i łagodna, potulna wręcz i niemal we wszystkim zgadzająca się z mężem, tym razem powiedziała „nie”. A ona, Jagoda, wiedzioną poczuciem sprawiedliwości, musiała przyznać rację macosze, choć żal jej było ojca. „Nie — rzekła Księżycowy Kwiat — nie zamienię jednej wyspy na drugą. Wystarczy. Nasze dzieci dziczeją. Nauczyłeś je pisać, a po co im to, skoro nie mogą napisać listu do rodziny. Umieją liczyć, a nigdy w życiu nie miały w ręku pieniędzy! Nie możemy ciągle ich tu trzymać”. Decyzja podjęta przez Słonego przed wielu laty, okazała się mieczem o dwóch ostrzach. Odosobnienie na Jaszczurze dawało jego najbliższym spokój i bezpieczeństwo, lecz jednocześnie odcięło dzieci od normalnego życia. Jagoda próbowała przypomnieć sobie ten daleki świat zza oceanu. Nadpływały tylko mgliste obrazy, strzępy wspomnień: kamienne stopnie o brzegach zaokrąglonych przez setki stóp (gdzie prowadziły?), zapach siana i koński pysk dmuchający ciepłem (jak miał na imię ten koń?), ludzie, których nie lubiła lub bała się, ale nie potrafiła już przypomnieć sobie żadnej twarzy. Miała zaledwie siedem lat, gdy jaszczur stał się dla niej domem, a wielkie smoki — drugą rodziną. I byłoby tak nadal, gdyby przypadek nie sprowadził na wyspę Kamyka, a potem innych chłopców. Kontynent zbliżył się do niej przez ich opowieści, których słuchała chciwie. Oglądała obrazy pokazywane przez Kamyka — sosnowe lasy, pola złociste od zboża, wioski, gwarne miasta, różane ogrody i budowle Zamku Magów. . . Ale to wszystko były cudze wspomnienia, nie jej własne. Tęskniła za tamtym światem i bała się go jednocześnie, gdyż jedno pamiętała wyjątkowo dobrze — nie był przychylny dla czerwonoookiej dziewczynki. Słony postanowił wrócić do rodowej siedziby w Solnych Polanach, podjąć próbę pojednania z ojcem i bratem, ale ona już wybrała inną drogę — z błękitną szarfą czy bez niej, jest magiem. Urodziła się Obserwatorką i jej miejsce było w Drugim Kręgu.

Te rozmyślania skróciły długą drogę. Dotarła do zabudowań Starego Miasta. Odruchowo skierowała się ku domowi Kamyka, lecz zmieniła zdanie. Jeszcze jedna rzecz zaprzętała myśli dziewczyny. Ubrania jagody, przeznaczone do chodzenia po lesie, z pewnością nie nadawały się do noszenia w portowym mieście. A jedwabne szatki, które sprawiła sobie jakiś czas temu, były bardzo ładne, ale chyba

zupełnie niemodne. Koniecznie musiała naradzić się ze Srebrzanką w tej sprawie. Niestety, już z daleka dobiegł ją płacz Różyczki i od razu wiedziała, że mama dziewczynki nie znajdzie czasu na pogawędkę. Jagoda zastanowiła się, po czym zdecydowanie wstąpiła na schodki, wiodące na taras należący do Gryfa i Myszki. Jeśli jakikolwiek chłopak miał coś sensownego do powiedzenia na temat sukienek, to tylko mały Wędrowiec.

* * *

Myszka był w fatalnym humorze. Dokoła niego walało się w nieładzie mnóstwo najrozmaitszych przedmiotów. Od ponad dwóch godzin usiłował zdecydować, co zabiera ze sobą, a co zostawia. Zmieniał zdanie już kilkakrotnie, a wynikiem tych wahań był straszliwy chaos w jego rzeczach. W końcu machnął ręką na wszystko, usiadł przy stole i położył głowę na blacie, pograżając się coraz głębiej w depresji. Tak naprawdę ten stan nie był wynikiem ani braku zdecydowania, ani ograniczonej ilości bagażu, jaka z musu przypadała na jedną osobę. Myszka wciąż pamiętał słowa Promienia: „ci, co się nie wyróżniają”. Ci, co się nie wyróżniali wyglądem, mogli w miarę bezpiecznie poruszać się po ulicach miasta. Myszka musiał przyznać, że on do nich nie należy. Przypadnie mu w udziale niewdzięczna rola transportu, po czym zostanie schowany w jakimś zakamarku aż do chwili, gdy znów okaże się przydatny. Tej myśli w żadnym stopniu nie osładzał fakt, że towarzyszyć mu będzie Nocny Śpiewak i Jagoda. A miał taką ochotę na nowo zanurzyć się w miejskim ruchu i gwarze. Kamyk i Wiatr Na Szczycie mogą wyglądać, jak tylko chcą. Wystarczy, że skorzystają z talentów. A cała reszta tak urosła i zmężniała przez te dwa lata, że trudno ich będzie rozpoznać. Nawet Koniec, przedtem krągły jak melon, schudł nieco, nabrał mięśni i teraz sylwetka bardziej przypominał masywny kufer. Tylko on, Myszka, wyglądał wciąż tak samo wątko i dziecinnie. Nic zmienił się prawie wcale! Wykrzywił się do lustra. Nic z tego kocię robiące minę lwa. W dodatku te rzęsy! Prawdziwe nieszczęście! Kto to widział podobne marnotrawstwo? Wolałby mieć połowę; tego pod nosem. Myszka wygrzebał ze stosu szpargałów nożyczki. Stał przed ściennym lustrem i zasalutował nożycami swemu odbiciu.

— Gardzę wami, o wrogowie — mruknął półgłosem, przypominając sobie wiersz, wyuczony na pamięć jeszcze w szkole. — Mym ostrzem zgładzeni, wnet polegniecie ni łżą, ni płomieniem nigdy nie uczczeni.

Przymknął powiekę i zezując drugim okiem, próbował prosto ustawić ostrza. Zanim jednak zamknęły się, pozbawiając chłopca największej i najbardziej znieprawidzonej ozdoby, rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Myszka podskoczył

i omal nie wyklął sobie oka. Rzucił nożyczki, jakby go parzyły. Upadły na podłogę z brzęknięciem.

— Mogę wejść?! — to był głos Jagody.

— T-tak — zająknął się.

Dziewczyna weszła do środka. Jednym spojrzeniem ogarnęła nieład w komnacie Myszki i zmieszanego właściciela.

— Co robisz?

— Nic szczególnego. — Machnął ręką w niedbałym geście.

— Myszka, nie łzyj proszę — powiedziała Jagoda z politowaniem. Wyczułam cię. Chciałeś sobie obciąć rzęsy. Oszalałeś? Najładniejsze, co masz, to właśnie oczy.

— No właśnie — rzekł Myszka kwaśno. — A może mam po uszy tej urody, co? Gdybym był dziewczyną, to by się choć na coś przydała. A tak, tylko same kłopoty. Niech to wszystko. . .

Usiadł ciężko na łóżku, wpatrując się ponuro w podłogę. Jagoda zajęła miejsce na krześle.

— Przyszłam, żebyś mi doradził, co mam sobie uszyć na podróż. Co kobiety noszą na kontynencie. Nie chciałabym się wyróżniać.

— Jagoda, litości, teraz to ja spytam, czy oszalałaś — odrzekł Myszka zmęczonym głosem. — Łachmany czy suknia z koronek — wszystko jedno, i tak nie będziemy mogli nigdzie się pokazać. Oboje jesteśmy znaczni. Nie licz na spaceru między ludźmi.

Jagoda posmutniała, a potem nagle zdjęła ją złość.

— Nie możemy tak całe życie! — Kopnęła stołową nogę. — To nie nasza wina, że akurat tak płacimy za talent. Nie dam się znów gdzieś schować!

Myszka patrzył na jej ściągniętą w gniewie twarz, na której wykwitły malinowe wypieki.

— Gdybyś nie była taka jasna. . . — powiedział z wahaniem. — Gdybyś ufarbowała włosy. . .

— Sadzą? — zaciekawiała się dziewczyna.

— Co ty, to musiałyby być coś trwałego. . . jak farba do tkanin.

— A nie wyłysieję od tego?

— Nie przypuszczam.

Jagodzie pomysł zaczął się podobać. W gruncie rzeczy była rasową kobietą i jako taka lubiła przebieranki.

— Kiedyś wysmarowałam się sokiem z takich grubych liści i zrobiłam się jaśnobrązowa, ale nierówno chwyciło. Rozmazane plamy. Trzymało parę dni, chociaż Księżycowy Kwiat szorowała mnie piaskiem.

— Nieźle — pochwalił Myszka. — Tym razem jednak tego soku musiałyby być więcej i może rozrobionego z wodą. Wtedy barwnik chwyci równo.

— Nie dam się schować! — tupnęła Jagoda. — Nie dam! Nie dam! — powtarzała coraz bardziej stanowczo.

— Nie dam, nie dam! — powtórzył i Myszka, i parsknął krótkim, niepewnym śmiechem.

— Nie dam-dam, nie dam-dam... nie dam-dam... nie dam-dam...! — zanucił.

— Nie dam-dam-dam... — podchwyciła jagoda, wybijając rytm piętą. Złapała chłopca za łokieć i nakłoniła do wirowania w takt niewymyślnej śpiewki. Nie dam-dam, nie dam-dam! — nucił duet młodych głosów. „Nie dam-dam, nie dam-dam” — odpowiadała echem drewniana podłoga, dudniąc pod uderzeniami czterech stóp. Rytm uderzał do głowy, pulsował we krwi, rozkwitał rumieńcami na policzkach. Myszka czuł, jak buntownicza śpiewanka napełnia go, jakby był naczyniem. Nie dam-dam... nie dam-dam... Nie dam-dam sobą pomiatać. Nie dam-dam się wykorzystać. Nie oddam-dam swobody wyboru... Jagoda obróciła głowę i patrzyła mu w twarz. Oczy jej płonęły. Chłopiec był pewien, że czyta w nim jak w książce. Izba wirowała dokoła nich. Spocone dłonie rozplotły się nagle. Padli w przeciwne strony, zanosząc się śmiechem. Jagoda przetoczyła się po stosie ubrań, wierzgając nogami. Myszka uderzył łokciem w stół. Zabolało, przykre mrowienie natychmiast wytyczyło sobie ścieżkę wzdłuż ramienia, ale chłopak nie mógł powstrzymać historycznego chichotu.

— Czy myśmy poszaleli...? — wykrztusił, trzymając się za łokieć i szukając wzrokiem Jagody. Trochę kręciło mu się w głowie.

— A jak tam... humorek...? — odpowiedziała pytaniem, dysząc lekko.

Myszka na moment wsłuchał się w siebie.

— Jakby lepiej. Jesteś wariatka, wiesz?

— Wiem — odrzekła, pokazując zęby w szerokim uśmiechu. — Zupełna. Przefarbuję się, a ty... Właśnie wymyśliłam coś niesamowitego.

* * *

— Nie mhgaj! Khywo wychogi! — rozkazała Jagoda, niewyraźnie z powodu trzymanego z zębach pędzelka. Drugim, cieńszym manipulowała przy oku Myszkę, rysując kreski wzdłuż powiek. Jej przedramię pokrywały różnobarwne łatki, gdyż niedawno dobierała kolor farbki odpowiedni do orzechowych oczu chłopca. Po wielu próbach zdecydowała się na złocisto zielonkawą.

— Długo jeszcze? — jęknął Myszka. Siedział sztywno, bojąc się poruszyć choćby palcem. Miał na sobie jedną z jedwabnych kreacji Jagody i czuł się niewymownie głupio. — Nie jestem pewien, czy to jest dobry pomysł.

Dziewczyna wyjęła pędzel z ust. Zrobiła ostatnie wykańczające muśnięcie i krytycznie przyjrzała się swemu dziełu.

— Wspaniale, zupełnie twarz ci się zmieniła. Ale te włosy. . . — Wzięła w dwa palce czarny kosmyk. — Są mimo wszystko o wiele za krótkie. Co z nimi zrobić. . . ?

Myszka odgarnął za uszy włosy, opadające mu na policzki. Nie strzygł się od dawna, więc sięgały już do nasady szyi. Nie była to jeszcze jednak długość odpowiednia dla dziewczyny. A właśnie to chciała osiągnąć Jagoda — upodobnić Myszke jak najbardziej do płci przeciwnej. Skoro już i tak wszyscy uważają, że mały Wędrowiec wygląda jak dziewczynka. . . Sama Jagoda cały ranek spędziła na farbowaniu włosów i moczeniu się w soku z orzecha. Efekt okazał się zadowalający. Gdyby nie czerwone oczy, sama siebie nie poznałaby w lustrze. Myszka poddawał się upiększającym zabiegom z pewnymi oporami. Zwijał się wewnętrznie na myśl o kpinach, na jakie narazi się ze strony kolegów. Kilkakrotnie w ciągu ostatnich dwóch godzin załamywał się i Jagoda musiała użyć całego swego daru przekonywania, by po prostu nie uciekł.

— Więcej dumy, panie Jodłowy. Więcej dumy! Jeśli Promień wygaduje, że jesteś baba, to tym bardziej na przekór pokaż mu, że się nie przejmujesz tymi bzdurami — perorowała dziewczyna.

— A Stalowy? — jęknął Myszka.

— Co „Stalowy”? Jak chcesz ukarać Stalowego, to właśnie w tym stroju usiądź mu na kolanach. Padnie trupem na miejscu!

— Jagoda, ja naprawdę. . .

— Cicho bądź! Muszę się skupić.

Myszka przewrócił oczami z cichą rozpaczą. Jagoda tymczasem przerzucała stosy szmatek, które przyniosła ze sobą. Wyciągnęła wreszcie leciutki szal w prążki i poczęła zasłaniać kłopotliwą, chłopięcą fryzurę improwizowanym zawojem. Wynik wyraźnie ją usatysfakcjonował. Spięła tkaninę szpilką, z pomrukiem zadowolenia i pociągnęła Myszke do lustra. Chłopiec nieufnie spojrzął spode łba w zwierciadlaną taflę. Zamrugął zaskoczony. W lustrze odbijały się d w i e dziewczyny. Obie szczupłe, śniade, czarnowłose i wielkookie. Niczym dwie siostry. Myszka stał i patrzył na swój odmieniony wizerunek. To była obca osoba. Nie, nie obca. . . och, miłosierny Losie. . .

Czerwonookie dziewczę podniosło rękę i poklepało sąsiadkę po piersiach.

— Szkoda, że jesteś taka płaska, moja droga. Myszka zamknął oczy, walcząc ze skurczem, wykrzywiającym twarz. Ten obraz w lustrze. . . O Bogini!

— Myszka, co ci się stało? Myszka! — usłyszał zaniepokojony głos Jagody.

Odetchnął głęboko.

— Nic strasznego. Po prostu. . . po prostu. . . nie miałem pojęcia, że jestem taki podobny do mamy!

— Hm... musiała być bardzo ładna — powiedziała dziewczyna niepewna, czy są to aby odpowiednie słowa. I czy w ogóle cokolwiek byłoby tu odpowiednie. Wszyscy wiedzieli, że Myszka jest sierotą, jak zresztą większość chłopców z Drugiego Kręgu. Wiedziano też, że jego matka zginęła nagłą śmiercią, gdy miał dwanaście lat. Ale nikt nie znał żadnych bliższych szczegółów. To wspomnienie było dla chłopca wyjątkowo przykre. A teraz nagle odkrył, że jest wiernym portretem ukochanej osoby! Jagoda postanowiła zachować pełną dyskrecję, a także zwrócić uwagę Myszki w inną stronę. Starła z ręki barwne plamy. Włożyła wyplatany ze słomki kapelusz, o rondzie opadającym nisko, kryjącym twarz w głębokim cieniu. Ktoś, kto chciałby dojrzeć kolor oczu Jagody, musiałby pochylić się i zajrzeć pod ten daszek.

— No, cóż, pani Jodełko, idziemy na przechadzkę? Czy może jest pani zbyt nieśmiała?

Myszka wzruszył ramionami.

— Przed chwilą widziałem ducha, co więcej mogłoby mnie spotkać?

* * *

Dwie postacie w zwiewnych szatkach wkraczające na taras Nocnego Śpiewaka zrobiły piorunujące wrażenie, co Jagoda zaobserwowała z szaloną satysfakcją. W pierwszym momencie nie poznał ich nikt z obecnych. Na wszystkich twarzach zastygł jednakowy wyraz szoku na widok niespodziewanych gości. I nic dziwnego — ktokolwiek zjawiłby się na wyspie bez wiedzy mieszkańców, mógł być jedynie naślany przez Pierwszy Krąg. Sam gospodarz, a także Gryf, Stalowy, Promień i Koniec gapili się długą chwilę, nie wiedząc zupełnie, jak zareagować.

— Witam uprzejmie — odezwała się Jagoda głosem dystyngowanym. — Czy znajdzie się miejsce dla dwóch dam? To jest Jodła, a ja mam na imię Rubin.

— A niech to! — krzyknął Nocny Śpiewak. — Toż to Jagoda! Piekielnica!

Myszka natychmiast ostro wszedł w rolę, podchodząc do Stalowego. Zatrzepotał rżęsami i zrobił dzióbek.

— Czy mógłbyś ustąpić mi miejsca, młodzieńcze?

Ogłupiały Stalowy zsunął się ze stołka z miną psa, któremu przyłożono kijem. Gryf dostał niepohamowanego ataku śmiechu, który udzielił się Promieniowi. Wyjąc i kwicząc, opierali się o siebie, trącali łokciami i ogólnie dawali wyraz dzikiej radości. Uśmiechnięty od ucha do ucha Koniec, korzystając z talentu, już zwoływał resztę.

— Pan jest TAKI uprzejmy! — zawołał Myszka, trzepocząc rżęsami i wpatrując się w potwornie zmieszanego Stworzyciela wzrokiem, któremu starał się

nadać wyraz rozmydlonego zachwytu. Stalowy jęknął z obrzydzeniem.

— No nie! Mysz, nie wygłupiaj się, naprawdę. . .

— Ach! Pan mnie bierze za kogoś innego, czyż nie? — rzekł Myszka, wachlując się dużym liściem, podniesionym z tarasu. — Taki przystojny i taki nieokrzesany — westchnął na stronie teatralnym szeptem, pochylając głowę ku Jagodzie.

Stalowy oblał się czerwienią, ku tym większej ucieście kolegów. Pęczniał przy tym jak nadymany pęcherz, grożąc wybuchem lub atakiem apopleksji.

— Mścisz się, ty mała świnió! — wrzasnął. — To nie w porządku! Pokajałem się przecież, nie? Przestań się znęcać nade mną!

— A czy ja się znęcam? — spytał Myszka niewinnie. — To tylko takie żarty. Czyżbym mimo wszystko był pociągający w tym stroju?

Stalowy, doprowadzony do ostateczności, otworzył usta, po czym zamknął je z kłapnięciem. Chciał powiedzieć tak wiele naraz, że po prostu nie zdołał wyrazić wszystkich uczuć. Parsknął więc tylko ze złością i oddalił się wielkimi krokami, potrącając ramieniem nadchodzącego właśnie Kamyka.

— Oj, ja chyba pęknę. . . ! — wyjęczał Gryf ocierając łzy z oczu. — Dawno się tak nie ubawiłem. Ale po co to, Jagódko?

Jagoda przysiadła na balustradzie, z kokieterią zakładając nogę na nogę i odginając w górę rondo kapelusza.

— Po prostu wybieramy się do miasta, drogi Mistrzu. A to jest kamuflaż.

Gryf pokiwał głową z uznaniem i lekką ironią jednocześnie.

— Świetny, świetny rzeczywiście. Nie będzie mężczyzny, który się za wami nie obejrzy. Wyglądacie oboje jak utrzymanki pryncypała gildii jedwabniczej.

Myszka zeszywniał.

— Morze niedaleko. Chcesz się skąpać, Obserwatorze? — zapytał tonem złowróżbnym. Gryf zamachał ręką.

— Daj spokój. Przebranie świetne, ale przecież nie na warunki Podzamcza. Za bardzo zwracające uwagę.

— To prawda — wtrąciła się Srebrzanka, stojąca w drzwiach.

— Kochanie, jeśli kobieta nosi jedwab, a jednocześnie chodzi pieszo i bez służby, może być tylko ładacznicą. Narazisz się w ten sposób na zaczepki. Zamieńcie te łaszki na uczciwe płótno i wszystko będzie dobrze.

Kamyk, któremu Koniec zdążył objaśnić całe zdarzenie, podszedł do Jagody i obejrzał ją badawczo, unosząc brew w jednej ze swych sceptycznych min.

Chyba wolałem cię taką jak przedtem.

Jagoda dała Kamykowi prztyczka w nos i zeskoczyła z poręczy.

— Przekaż mu, że ma się przyzwyczaić — powiedziała do Końca.

— A jak nie, to niech sobie poszuka innej dziewczyny.

* * *

W zasadzie nie chodziło o to, że Jagoda teraz mi się nie podobała. Po prostu czułem się przy niej obco. Siedziała obok mnie dziewczyna z kruczoczarnymi włosami i skórą barwy słabej herbaty. Co chwila musiałem samemu sobie przypominać, że to ta sama jagoda, z którą się biłem, a potem przyjaźniłem spory kęs czasu. Największe urażenie robiły jednak jej oczy — nagle osadzone w oprawie śniadej cery i przeraźliwie czarnych rzęs. Niepojętym sposobem wydawały się jeszcze większe i bardziej czerwone niż zwykle.

To nie był jednak koniec wstrząsów tego wieczoru. Piekielny pomysł Jagody i Myszki odbił się echem. Kiedy niespodzianie do mego lokum wkroczył całkowicie obcy mi człowiek, podziało to na mnie jak szpilka wbita w kręgosłup. Ręka sama wyciągnęła się do noża. Kto wie, co bym zrobił, gdyby w mojej głowie nie pojawił się znajomy przekaz:

„Znakomity efekt. Nie poznaliście mnie, co?”

Powoli opuściłem ostrze. Gość postąpił krok do przodu, zbliżając się do lampy.

„Jeśli Jagodzie wolno, to chyba mnie też?” — zaśmiał się przybysz.

Nocny Śpiewak???!

Śpiewak był nadzwyczajnie zadowolony z wrażenia, jakie wywarł. A było się czemu dziwić. Stworzyciel musiał zdobyć się na niemały wysiłek (z pewnością też pomagała mu żona), by pozbyć się z ciała wszelkiego zbędnego zarostu i oto po raz pierwszy w życiu mieliśmy okazję zobaczyć, jak wygląda „pod spodem”. Pociągnąłem go jeszcze bliżej do światła. Wciąż jeszcze z niedowierzaniem zajrzałem w jasne, skośne oczy. Szarpnąłem kosmyk brązowych włosów — jak zawsze na końcach byty zrudziałe od słońca. Bez wątplenia stał przed nami rzeczywiście Nocny Śpiewak, ale zupełnie odmieniony. To było niezwykle — ile może działać zwyczajna brzytwa.

„Nie tylko brzytwa. Nożyce, nóż do chleba, mnóstwo mydła i nawet wapno. Nadal wszystko mnie swędzi” — objaśnił Stworzyciel, drapiąc się zawzięcie. Jagoda przyglądała mu się zachłannie. Ja zresztą też, Golenie całkowicie go odmieniło. Pomyślałem, że nareszcie pojawiła się rzeczywista twarz Śpiewaka. Ta prawdziwa, a nie maska z sierści. Nie była szczególnie harmonijna. Byłoby niemożliwe nazwać Śpiewaka pięknym mężczyzną. Miał kwadratową szczękę, krótki nos, małe oczy, szerokie nieregularne brwi — co może zresztą było wynikiem nieprecyzyjnego operowania ostrzem. Najbardziej jednak nienaturalnie wyglądała przesadnie jasna skóra, która przecież do tej pory nie miała nigdy okazji zetknąć się ze słońcem.

„Nie mogłem poznać się w lustrze — przekazał Śpiewak. — Nie sądzę więc, by poznał mnie ktokolwiek ze starych znajomych z miasta. Najgorsze to swędzenie...

chyba skórę sobie zedrę”.

Drapał się nadal w rozmaitych miejscach, z miną wyrażającą skrajną irytację. Westchnął ciężko.

„Dopiero w połowie operacji przyszło mi do głowy, że to może nie najlepszy pomysł, ale już było za późno”.

„A co się stało?”

„Różyczka oświadczyła, że ja nie jestem jej tatkiem. Nie pozwoliła się dotknąć, zaczęła płakać. Chce do prawdziwego ojca i koniec. Mam nadzieję, że szybko się przyzwyczai, bo na razie boję się wrócić do domu. Podnosi krzyk, jak tylko mnie zobaczy”.

Pokręciłem głową. Zmiany następowały zbyt nagle jak na, mój gust. Co tu kryć, zdążyłem popaść w rutynę tutejszego leniwego życia. pod gorącym słońcem Jaszczura. Niespodziewane wydarzenia, wyrrywające nas z utartej koleiny, wprowadzały zamęt... ale jednocześnie czułem przyjemny dreszcz podniecenia. Czyż to nie nagle zwroty życia, decyzje podejmowane impulsywnie w jednej chwili wywiodły mnie kiedyś z domu Płowego w szeroki świat? Bez tej szczypty szaleństwa nigdy nie spotkałbym Pożeracza Chmur, nie zbratałbym się z Nocnym Śpiewakiem, nie poznałbym tajemnic Labiryntu ani jagody.

Nocny Śpiewak rozwinął przed nami swoją część planu „Wielkiej Ucieczki”, która przyszła mu do głowy tuż przed godziną. Myszka mógł nas przetransportować na kontynent, tak byłby to dla niego ogromny wysiłek. Śpiewak miał na ten temat własne zdanie.

„Po co aż tak męczyć chłopaka? Jaka to różnica, czy zrobi tę drogę w jednym skoku, czy w trzech? Zastanowiłeś się, co powiedziec jakiemuś tam rybakowi albo bursztyniarzowi, któremu się nagle przed nosem pojawi kupa ludzi wprost z powietrza? Po jednym dniu pół wybrzeża będzie sobie plotkę z ust do ust podawać”.

Tak, to mi do głowy nie przyszło. Jagoda poklepała Śpiewaka po ramieniu w geście uznania. Ja jednak nie mogłem odmówić sobie lekkiego uszczypnięcia:

„A potrafisz zbudować tę łódkę, geniuszu?”

Nocny Śpiewak nadął się jak żaba.

„Ja wszystko potrafię”.

Po jego wyjściu pamięć wciąż podsuwała mi przed oczy to, z, czego Nocny Śpiewak nie zdawał sobie sprawy lub co zignorował — stare blizny na odstoniętej skórze wylągające spod tuniki na kark i raniona Stworzyciela. Dopiero teraz zobaczyłem, jak straszliwie go katowany, gdy jeszcze był dzieckiem. Koszmar.

* * *

Okazało się jednak, że przechwałki Śpiewaka były mocno na wyrost. To, co zaprojektował w ciągu następnego dnia, z pewnością nie utrzymałoby się na wodzie, choć wyglądało bardzo efektownie. Na szczęście mieliśmy wśród nas Wężownika. Urodzony i wychowany w rodzinie rybaka nad Jeziorem Wężowym prędzej nauczył się pływać, niż chodzić, a o łodziach wiedział absolutnie wszystko. Bez żadnych ceremonii poprawił nierealne plany Stworzyciela, a potem kierował budową trzech smukłych kadłubów. Leżą w tej chwili na niedużej porębie niedaleko Zatoki Słonego. Brodzimy po kostki w wiórach i trocinach. Wędrowcy tną drewno za pomocą samego tylko talentu. Śpiewak i Stalowy wyginają wręgi. Reszta dopasowuje elementy, wbija kliny i gwoździe lub szlifuje krawędzie. Podniecona dzieciarnia Mówcy płacze się pod nogami, usiłując pomagać. Wbijają sobie drzazgi, gubią narzędzia i zadają tyle pytań, że zwariować można. Nawet ja nie jestem chroniony przed tą zarazą, bo trzej starsi synowie Słonego opanowali solidne podstawy mowy rąk. Męczące to, ale właściwie nie ma się czemu dziwić — po raz pierwszy w życiu te dzieci miały postawić stopę na kontynencie. Słony ma obawy, jak przyjmie go brat, ale jego potomstwo z dziecięcą naiwnością papla o „wuju”, „cioteczce” i całkiem nowych przygodach czekających je w przyszłości. Nikt nie ma sumienia ich uświadamiać, że rzeczywistość może okazać się mniej słodka.

Wiatr Na Szczycie, zachęcony działaniami Myszki, Jagody i Nocnego Śpiewaka, po raz pierwszy w męskim okresie życia ostrzygł krótko włosy. Zapuszcza też brodę, by ukryć klanowe tatuaże na twarzy. Zaczyna być coraz mniej podobny do siebie. Ale o to w końcu chodzi. Nie chce polegać tylko na talencie, gdyż twierdzi, że mógłby zapomnieć któregoś razu, jak ma wyglądać.

Koniec pisania. Diament stanął koło mnie i zaczął patrzeć z wyrzutem. Na miłosierdzie Losu... wiem, powinienem być teraz w stoczni. Nie gap się tak, bo dostaniesz zeza...

* * *

W końcu nadeszła chwila, gdy trzeba było pożegnać się z Jaszczurem. Wszyscy podróżnicy zgromadzili się na plaży obok potrójnej łodzi. Kadłuby połączone były ze sobą trzema belkami oraz lekką kratownicą. Wężownik twierdził, że w ten sposób konstrukcja zyskała na stabilności i nie wywróci łodzi nawet wysokie fale. Maszt czekał na wciągnięcie żagla, a na dnie złożono bagaże oraz niewielkie zapasy jedzenia i słodkiej wody.

Na plaży zgromadziły się absolutnie wszystkie smoki z wyspy. Nawet te najstarsze i najbardziej leniwe. Ludzie szli wzdłuż nieregularnego szeregu kosmatych olbrzymów, żegnając się z każdym. Słony prowadził, tuż za nim kroczyła Jagoda. Dalej — pomieszana gromadka złożona z młodszych magów, kobiet i dzieci.

— Będziemy was wspominać — mówiły smoki.

— Nie zapomnimy was — odpowiadali ludzie.

Niektóre smoki pochylały głowy, pragnąc bliższego kontaktu. Ludzkie dłonie kładły się na ich pyskach.

— Kiedyś wrócę do domu — obiecywał Żywe Srebro łamiącym się głosem. — Wtedy się zobaczymy. Na pewno.

Tygryszek dreptał tuż za bratem, zadzierając głowę.

— Się zobaczymy — powtarzał jak echo.

Smocze łby kołysały się nad nimi, a gorące oddechy rozwiewały im włosy.

Gdzieś przy końcu szpaleru Promień dojrzał smoka imieniem Łazik — zabójcę Miętówki. Obrzucili się nieprzyjawnymi spojrzeniami, a mag natychmiast poszedł do łodzi, nie oglądając się za siebie. Kątem oka dojrzał jeszcze Kamyka i Jagodę, drapiących za uszami małą Liszkę.

Lekka fala oblizywała miarowo łódź wyciągniętą do połowy na piasek. Zaintrygowane wydrzaki pokrzykiwały, wysuwając nad wodę krągłe, lśniące głowy. Płetwiaste dłonie dotykały z zaciekawieniem pachnącej świeżym drewnem ogromnej r z e c z y. Niektórzy pływacy wychodzili na brzeg, by obejrzeć łodzie w całości, a także zajrzeć do środka i obwąchać wszystko. Kilkoro małych wydrzacząt znalazło porzucony kawałek liny i zaczęło bawić się z zapalem w przeciąganie.

Przy rufie zarytego w piachu trój kadłubowca oczekiwał Pożeracz Chmur. Siedział w kociej pozie, owijając przednie łapy ogonem.

— Ja już się pożegnałem — powiadomił zbliżającego się maga.

— Nadal nie rezygnujesz? Na morzu jest dość mokro — rzekł Promień.

Pożeracz Chmur machnął jednym uchem i fuknął pogardliwie.

— Umiem latać. Nie boję się. A poza tym, kiedy was zabraknie, tutaj będzie można umrzeć z nudów. Już się zdecydowałem i nie myślę rezygnować z atrakcji wypadu na kontynent.

Promień podniósł z plaży kamyczek i rzucił z rozmachem w fale.

— Dasz radę dolecieć tam bez odpoczynku?

Smok prychnął powtórnie.

— Czasem zadajesz tak głupie pytania. . . Skoro doleciałem tutaj z Kamykiem na karku. . .

— Ale Myszka będzie chciał skracać drogę i skakać. Wtedy nas zgubisz, a na wybrzeżu nie będziemy mogli na ciebie długo czekać. A w tej postaci jesteś za duży, żeby wejść do łodzi.

Uszy Pożeracza Chmur przygłnęły płasko do głowy. Pochylił się ku Promieniowi i mruknął głosem balansującym na granicy groźnego warkotu:

— Denerrrrwujesz mnie. Może masz rrację w tym, co mówisz, ale mnie barrdzo denerrrrwujesz.

Promień nic nie odpowiedział. Pożeracz Chmur podniósł się, z rozmysłem grzebał wielką tylną łapą, obsypując chłopca piaskiem. Ciężkim krokiem, wlokąc za sobą ogon, udał się w zarośla, by dokonać męczącej transformacji w postać o mniejszych gabarytach. Oraz przygotować się duchowo na kontakt z wodą znacznie bliższy, niż życzyłby sobie jakikolwiek smok. Promień otrzepał z piasku tunikę. Nastroje Pożeracza Chmur były mu całkiem obojętne. Znacznie bardziej chciałby zorientować się we własnych. Jaszczur był piękną wyspą, ale zasmoczona w stopniu trudnym do zniesienia. Promieniowi już dawno obrzydły zatargi o terytoria, zdobycze i zastanawianie się, do kogo należy każdy kęs mięsa upolowany w buszu. Także świadomość, że tutaj pogrzebał szczątki Miętówki, odbierała jaszczurowi sporą część uroku. W ciągu dwóch lat Promień schodził ten kawałek łądu wzdłuż i wszerz. Krajobrazy tropikalnej krainy marzeń spowszedniały. Wciąż oglądał te same twarze i wreszcie doznał wrażenia, że jedynie zamienił jedno miejsce odosobnienia na drugie. Paradoksalne — zarazem nigdy w swym niedługim życiu nie cieszył się aż taką swobodą. Nikogo nie obchodziło to, gdzie chodzi ani co robi. Nie śledziły go żadne wścibskie oczy. Żaden cierpki głos nie przypominał mu, że jest księciem i ma się zachowywać zgodnie ze swym urodzeniem. Tutaj arystokrata oraz wieśniak na równych prawach pracowali, pływali w morzu, tarzali się w piasku i stracali kijem orzechy z drzew. To było przyjemne, ale Promień czuł, że nie chciałby zostawać na Jaszczurze kolejnego roku. Przecież nawet Pożeracz Chmur nie mógł usiedzieć spokojnie w domu. A jednak... wyobrażenia młodego księcia wbrew zdrowemu rozsądkowi podsuwała mu koszmarnie obrazy — twarze magów Kręgu, nauczycieli, sług, które naraz obracają się ku niemu w miejskim tłumie. Palce wskazujące go oskarżycielsko jako uciekiniera, odstępcę, tchórza, człowieka, który zapał się swojego rodu i nie wypełnił ciężących na nim obowiązków.

Zwinął rękę w pięść i uderzył nią w burtę, aż zaboląło.

— Jestem Promień — wymamrotał pod nosem tonem groźby. — Promień Iskra i sam o sobie stanowią!

— Co mówisz? — usłyszał za plecami. To był Wężownik, który wyprzedził nieco nadchodzących właśnie podróżników. Promień potrząsnął głową.

— Nic... Czas odpływać.

* * *

Dzień był pogodny, a fale niewysokie i łódź pokonywała je bez najmniejszego wysiłku. Stado wydrzaków towarzyszyło jej kawałek drogi, a potem zawróciło. Czterej synowie Słonego żegnali je, wydając przeciągłe, ostre krzyki. Odpowiadały im podobne głosy odpływającej gromadki na pół zwierzęcych przyjaciół. Wężownik, usadowiony pośrodku zaimprovizowanego pokładu, pilnował jednocześnie żagla i steru. Myszka tkwił na prawym dziobie, wodząc nosem po mapie. Łokciem przytrzymał częściowo rozwinięty zwój, a jednocześnie bazgrał rysikiem po ćwiartce pergaminu, która usiłowała odfrunąć na skrzydłach oceanicznej bryzy. Diament przytrzymał Myszce notatki. Został wynagrodzony niewyraźnym podziękowaniem. Mały Wędrowiec nie odrywał oczu od plątaniny linii na grubym papierze. Skupiony marszczył brwi i poruszał wargami, kalkulując najbardziej korzystne parametry skoku.

Na rufie usiadła Księżycowy Kwiat, trzymając na kolanach córkę. Chciała do ostatniej chwili patrzeć na wyspę. W miarę jak się oddalali, pokryty lasem garb ładu coraz bardziej upodabniał się do śpiącego na wodzie zwierzęcia. Nawet obłok pary i dymu, unoszący się jak zwykle nad wierzchołkiem drzemiącego wulkanu, przypominał oddech potwora. Księżycowy Kwiat była szczęśliwa na Jaszczurze. Pamięć podsuwała jej niemal wyłącznie dobre wspomnienia. Kochający mąż, piękny dom, zdrowe i mądre dzieci, które kolejno wydawała na świat. Nawet konflikty z pasierbką wydawały się błahe, nie wzbudzały już gniewu. Jagoda była buntownicza z natury, ale nie miała w sobie niczego podłego.

„Dobre dziecko — pomyślała Księżycowy Kwiat. — Niełatwe, ale dobre...”
Dziewczynka na jej kolanach poruszyła się.

— Mamusiu... Dlaczego odpływamy z domu?

— Już ci mówiłam, ptaszynko... Jedziemy do nowego domu. Do pięknego, dużego domu. Do twojego dziadka. I do wuja.

Słoneczna westchnęła. Starsi bracia z entuzjazmem podchodzili do projektu podróży, ale ona i Blask, jej brat bliźniak, wcale nie mieli wielkiej ochoty na zmiany. Obietnice oferujące mnóstwo zabawek, prawdziwe kucyki do jeżdżenia oraz ładne sukienki traciły na atrakcyjności — podszyte wyraźną nerwowością rodziców. Bliźnięta przedkładały więc znane sobie warunki, choćby najbardziej skromne, nad niepewne i obce bogactwa. Księżycowy Kwiat nie mogła nie przyznać im w duchu racji. Zamknęła oczy i szybko poprosiła Los o przychyłność. Przytuliła mocniej córeczkę.

— Kochanie, na wyspie były tylko smoki. Żadnych innych ludzi prócz nas. Nie miałas przyjaciółki, prawda? Jagoda jest za duża, a Różyczka za mała, żeby się z tobą bawić. Pomyśl, jak byłoby miło: w Solnych Polanach na pewno są

dziewczynki. Pewno któraś ma sześć lat, jak ty, i będziecie mogli razem bawić się lalkami.

W tym samym czasie Jagoda szeptała ze Słonym. Mag zamykał w swych dużych dłoniach jej małe ręce, pochylając kędzierzawą głowę w pozie zafrasowania.

— Nie — mówiła cicho Jagoda, starając się, by nie usłyszało jej przyrodnie rodzeństwo. — Ja już zdecydowałam. Doskonale pamiętam, że mój dziad mnie nie znosił i nazywał odmieńcem. Jestem Obserwatorką i moje miejsce jest wśród magów. Poza tym jest jeszcze Kamyk... Nie chcę psuć wam szyków. W Solnych Polanach lepiej cię przyjmą, jeśli mnie z tobą nie będzie.

— Och, to akurat wszystko jedno — mruknął mag. — I tak nie jestem pewien, czy nie zatrzasną mi bramy przed nosem. Żal mi tylko malców. Nie wiem, co wtedy pocznę.

— Myślę, że tak się nie stanie. Wuj był chyba zadowolony, że zrzekłeś się praw do majątku na jego rzecz, prawda? Nie pozwoli wam głodować. Poza tym mogę dać głowę, że Tygrysek w ciągu paru dni podbije serce dziadka. Że nie wspomnę o Słonecznej. Jest przylepna jak plaster miodu. Nie martw się, wszystko się ułoży.

Słony ucałował ją w czoło.

— Mam nadzieję, Jagódko. Mam nadzieję...

Pożeracz Chmur przycupnął na dnie łodzi. Wcisnął nos między łapy i cierpiał w milczeniu. Na czas podróży przyjął kształt psa, logicznie rozumując, że warstwa sierści choć trochę osłoni go od wszechobecnej wilgoci. Od czasu do czasu popatrywał na sąsiadującego z nim Hajga. Wiatr Na Szczycie z obrzydzeniem zerkał na fale, a z każdym chybnięciem łodzi robił się coraz bledszy. Podczas całego długiego pobytu nad oceanem jego postępy w nauce pływania nie wyszły poza umiejętność unoszenia się na wodzie na plecach. A kołysania nienawidził jeszcze bardziej niż jego następcę — Kamyk.

— Hej, ty mysi włóczęgo! — krzyknął wreszcie ze zniecierpliwieniem. — Długo to jeszcze potrwa? Myszka uniósł głowę.

— Zaraz! — odkrzyknął. — Nie popędzaj mnie! Jesteśmy w ruchu, chcesz przeżyć czy nie?

— Za chwilę zacznę rzygać! Wtedy będzie mi wszystko jedno!

Wywołało to falę chichotów wśród pasażerów. Myszka postanowił już nie zwlekać. Oddalili się dostatecznie od brzegu Jaszczura. Smoki kołujące nad nimi zachowywały bezpieczny dystans. Myszka poprosił Wężownika o zmniejszenie prędkości. Żagiel był bardzo niewymyślny — nieregularny czworokąt płótna rozpięty na maszcie i ukośnej rozpórce. Wężownik rozwiązał linę. Żagiel stracił wiatr i zaczął bezsilnie łopotać. Zwalniali. Myszka upuścił mapę na dno. Zastygł nieruchomo z rozpostartymi ramionami jak ozdobna figura na dziobie okrętu. Wyczuwał ruch łodzi podrzucanej lekko falą. Patrzył przed siebie, wprost w linię horyzontu, ale nie widział nic.

— Teraz — powiedział cicho.

Żaglówka runęła w ciemną studnię pozaprzeźrzeni.

Poczucie utraty wszystkich zmysłów było jak zwykle przerażające. Na szczęście trwało tylko chwilę. Błyskawiczna podróż skończyła się gwałtownym wstrząsem. Łódź uderzyła o fale i z jękiem wiązań przechyliła się jak tracące równowagę zwierzę. Ze wszystkich gardeł wyrwał się krzyk przestachu, ręce szukały czegoś, czego mogłyby się uchwycić. Woda chlusnęła przez burzę, mocząc wszystko w środku. Wężownik z godnym podziwu refleksem naparł na ster, ustawiając żaglówkę przodem do fali.

— Wszyscy cali?! — zawołał.

Odpowiedział mu nieskładny chórek potakiwań, z którego wybijało się przeraźliwe, pełne pretensji skomlenie:

— Nie, nie, nie...!!Jestem mokry!! Mokry!! Woda! Nienawidzę! Nienawidzę!! — to Pożeracz Chmur z pasją wyrażał swoje uczucia. Zerwał się ze swego miejsca i otrząsał wściekle, rzucając łbem na wszystkie strony jak w ataku drgawek. Przysiadł na zadzie, wymachiwał przy tym przednimi łapami tak, że niewiele brakowało, a skończyłoby się to wypadnięciem do morza. Dopiero gdy Wiatr Na Szczycie złapał go za skórę na karku, smok przestał się miotać. Nadal jednak trząsał się i ciężko dyszał, szczerząc kły na fale. Gryf i Koniec zabrali się do wylewania wody czerpakami.

Myszka pomachał Wężownikowi ze swojego miejsca.

— Wiesz, gdzie jesteśmy? — zapytał starszy z Wędrowców.

— Pewnie! — odpowiedział młodszy. — Tam gdzie powinniśmy być. W połowie drogi. I żadnych raf w pobliżu!

— Odpoczniesz trochę, podsuszymy się i podrzucisz nas na pół dnia żeglugi do zatoki Ones, tak?

Myszka kiwnął głową na znak zgody. Wężownik zwrócił się do Diamentu:

— A jak pogoda, Wiatromistrzu?

Diament spojrział w słońce, mrużąc oczy. Bezwiednie zrobił ruch, jakby chciał pogłaskać powietrze. Jego talent zaczął działać, składając w całość drobne nowiny, które nosły: smak i gęstość powietrza, ciepło, wygląd słońca, ruch chmur na nieboskłonie. Nikt, nawet sam Diament, nie wiedział do końca, jaki był mechanizm tych odczytów. Jedno było pewne — nie mylił się nigdy.

— Wiatr nie zmieni kierunku. Tam gęstnieje warstwa chmur. — Wskazał ręką. — Niebawem może zacząć bardziej kołysać...

— O nie! — jęknął Wiatr.

— ... ale niegroźnie — ciągnął Diament. — To jeszcze nie sezon sztormów. Możemy ominąć tę strefę. Siła wiatru około dwójki i nie powinna się zmienić aż do zmierzchu. Co chcesz poza tym wiedzieć?

Wężownik uniósł dłoń na znak, że to mu wystarczy. Ustawił żagiel, który wydał się lekko w sprzyjającym wietrze. Zaczęli wolno sunąć na północ w stronę

stałego ładu.

Mimo wielkich starań Myszki nie udało się uniknąć ponownego ochlapania. Nastrozony, zły i mokry (znów!) Pożeracz Chmur kłął, biadał głośno i odgrażał się, nie kierując jednak swych gróźb do nikogo konkretnie. Wyglądało na to, że ma ogólne pretensje do Wysłannika Losu, który bawił się jego kosztem. Podróżnicy wyzymali mokrą odzież. Sprawdzali, czy nie poluzowały się sznury mocujące ładunek. Tygrysek wyciągnął zza tobołka biały przedmiot.

— Oj, patrzcie...! — w głosie chłopczyka brzmiał niekłamany żal. Na jego wyciągniętych dłoniach leżała martwa mewa. — Co jej się stało?

Ojciec wziął od niego ptaka. Wyczuwał pod warstwą piór pogruchotane kości. Łebek mewy kiwał się luźno, jakby miała złamany kark.

— Wygląda, jakby coś ją zmiażdżyło — powiedział Słony z namysłem.

— Czy to ją bardzo bolało? — zapytał mały Bestiar ze łzami w oczach. Każde cierpienie jakiegokolwiek zwierzęcia zawsze wstrząsało nim głęboko.

— Nie. To stało się szybko i umarła od razu.

Wężownik niespokojnym wzrokiem obrzucił takielunek. Rzeczywiście — szczyt rozpórki żagla kończył się ostrą drzazgą. Ciało mewy zderzyło się z nią tak silnie, że obłamało kawałek drewna. Wędrowiec wskazał uszkodzenie.

— Dobrze, że nie przedziurawiła żagla. Świetny dowód na to, co może grozić komuś, kto skacze na ślepo, nie korzystając z rampy.

— I na to, że jesteśmy blisko ładu — dodał Słony, wrzucając martwego ptaka do wody. — A tam się rozstaniemy. Wy powędrujecie do Podzamcza, a ja popłynę dalej. Czy jeszcze kiedykolwiek się zobaczymy?

— Jak zatęsknię, to zawsze mogę stworzyć sobie twój miraż — odezwał się Wiatr Na Szczycie.

— A jak ja zatęsknię? — spytał Słony. — Przyznaję, że trochę będzie mi brak twojego grubiańskiego poczucia humoru. Ale tylko trochę.

— Ty nie będziesz miał czasu tęsknić. Z taką gromadą dzieciaków na karku ani zipniesz.

I tak skracali sobie czas rozmową, przerzucając się małymi złośliwościami oraz wspominkami lat przeżytych tuż obok siebie. Snując plany i przekazując sobie dobre rady na zapas, aż dno łodzi zaszurało na piasku odludnego brzegu u ujścia rzeki zwanej Siostrą.

Część druga — W cieniu

Nadłożyliśmy kawał drogi, wybierając to, a nie inne miejsce lądowania. Od Zamku Magów dzieliła nas cała szerokość Półwyspu Wojennego oraz Wzgórza Kości — sławne miejsce kilku pogromów — gdzie pługi ponoć do tej pory wydzierają ziemi szczątki poległych wojowników. Mogliśmy pokonać tę odległość jednym krokiem, gdybyśmy chcieli. Wężownik lub Myszka nakazałiby przestrzeni zwinąć się jak płóciennej chustce i w mgnieniu oka stanęlibyśmy u bram miasta. Nie chcieliśmy jednak. Droga, chociaż pokonywana na własnych nogach, sprawiała przyjemność wszystkim. To nawet zabawne — wędrować przez równiny porośnięte wysoką, płową trawą. Wyplaszają niej dzikie kuraki, które padały tupem Promienia, by potem zamienić się w smakowite pieczyste. Wyszukiwać zagajniki, gdzie można bezpiecznie nocować, a, w których woda jest czysta i zimna, aż zęby cierpną. Gryf i Winograd celują w znajdowaniu kęp pewnego rodzaju grubej trawy. Dolna część łądygi po obraniu z tykowatej otoczki, nadaje się do jedzenia. Jasno-zielona, soczysta i lekko cierpka — jest nawet smaczna. Czasem tęsknimy za kiścią bananów albo czymś w tym rodzaju. Wtedy Nocny Śpiewak oddala się na stronę, a potem wraca z zamówionymi owocami. Nie są, rzecz jasna, prawdziwe. I nigdy nie pytamy, czym przedtem były. Możemy jeść zarówno przetworzoną trawę, patyki, jak i zwykły piasek. Jeśli oczy dają się oszukać, to tym bardziej żółtek. Stworzyciele jednak zgodnie przestrzegają, że nie wolno przesadzać z takim jedzeniem, choćby nie wiadomo jak było smakowite. „Umrzeć od tego trudno, ale jak zaczną ci wypadać włosy i zęby, to żadna uciecha” — powtarza Stalowy.

Poruszamy się w tempie najwolniejszego z nas, więc jagoda, Srebrzanka i Myszka doskonale sobie radzą. Różyczka ogląda nowy świat z zaciekawieniem i bez cienia strachu. Czuje się całkowicie bezpieczna — przytroczona do pleców mamy. Z tobołka wystaje tylko pogodna buzia i para opalonych nóżek.

Pożeracz Chmur postanowił pozostać w psiej postaci. Twierdzi, że znacznie wygodniej jest mu poruszać się na czterech łapach i do tego nikt mu nie ma za złe zjadania mięsa na surowo.

Wiatr Na Szczycie hodzi maskującą brodę, która jest coraz gęściejsza i wybornie już zaślania niebieskie pasy klanowych tatuaży, biegnące akurat od uszu do kącików ust. Nocny Śpiewak także zarasta coraz bardziej, bo w drodze trudno

mu się golić regularnie. We włosach Jagody zaczęły pojawiać się coraz to nowe pasemka szarości. Farba, choć bardzo trwała, zaczęła w końcu schodzić. I tak samo blaknie skóra mojej dziewczyny. Wygląda na to, że ta dwójka będzie musiała poprawić sobie urodę, zanim staniemy u wrót Podzamcza. Oczywiście wtedy rozdzielimy się. Przynajmniej na krótko. Jest nas piętnaścioro razem z dzieckiem oraz „psem” i taka gromada mogłaby zwrócić czyjąś niepożądaną uwagę.

Niezbyt długi ten zapis, bo i popasy są krótkie. Moi towarzysze pokpiwają. Dziwią się, dlaczego dźwigam ze sobą kronikę — to ciężkie tomisko zabierające niepotrzebnie miejsce w plecaku. Oni już dawno porzucili swoje. Tyle mnie kosztowało zdobycie tego diariusza i taki kawał własnego życia w nim opisałem, że nie zostawiłbym go nigdzie. Chyba że w ostateczności. Zdaje mi się, że tylko Koniec mnie rozumie. Czasem wspominamy bibliotekę pozostawioną w zapieczętowanej sali Labiryntu i wtedy wyczuwam jego żal.

* * *

Podzamcze przywitało ich gwarem. Całkiem świadomie nie wkraczali do elegantszych dzielnic, gdzie ulice tworzyły cieniste wąwozy wysokich murów, za którymi kryły się wytworne rezydencje. I gdzie osoby odziane byle jak, w rzeczy splewiałe i podniszczone, zwróciłyby na siebie uwagę niejednego przechodnia. Uboższa część miasta stanowiła barwny labirynt ulic i zaułków. Nie biegły prosto, lecz wiły się kapryśnie jak strumień sam tworzący swe koryto, stykały ze sobą, krzyżowały, a czasem — całkiem już zwariowane — kończyły zawijasem niczym psy łapiące własny ogon. Przelewały się nimi ludzkie potoki — tłum barwny, ruchliwy i gwarny. Domy o wąskich frontonach zachęcały chłodem podcieni, w których rozłożyli już swoje towary kupcy i rzemieślnicy. Ktoś oglądał sztukę niebieskiego sukna zachwalanego gorąco przez sprzedawcę. Gdzie indziej uśmiechnięty garncarz oferował miski, donice i smukłe dzbany (wszystko w wesółych, jaskrawych kolorach). A garncarski terminator tuż obok formował kolejne naczynie, napędzając koło nogą. W powietrzu unosił się zapach ludzkiego potu, jedzenia, przypraw, wypiekanego chleba, odpadków, a także — nie wiedzieć czemu — palonego bursztynu. Wiatr Na Szczycie niespiesznie parł naprzód niewzruszony jak łódź płynąca przez zarośnięty trzciną staw. Jego lekki krok górala zmienił się w ociężały, rozkołysany chód człowieka strudzonego. Przygarbiony pod taszczo-
nym na ramieniu tobołem wyglądał jak portowy robotnik. Jagoda drobna tuż za nim, ściskając mocno dłoń Myszkki. Drugą ręką przytrzymywała słomkowy kape-
lusz, zaginając go nad oczami, by ktoś przypadkiem nie dojrzał błysku zdradliwej
czerwieni. Dziewczyna pozerwała wzrokiem wszystko dokoła, z fascynacją i ner-

wowym uciskiem w dołku jednocześnie. Ile ludzi, ile ludzi. . . ! Niewiarygodne, że tylu ich może się zgromadzić w jednym miejscu. Chodzą w różnych kierunkach, gadają wszyscy naraz, a od natłoku ich myśli jest aż gęsto w tej szczupłej przestrzeni. Jagoda czuła, jak z każdym krokiem robi się jej coraz dusznej i bardziej mdło od nieznośnych zapachów. Potykała się na nierównym bruku, potrącali ją nieuważni przechodnie. Brnęła za Wiatrem Na Szczycie, coraz bardziej spocona, zmęczona i nieszczęśliwa. Miejski hałas drażnił ją, jakby ktoś wodził jej rysikiem wprost po odsłoniętych nerwach. Uświadomiła sobie, że jeszcze trochę, a rozpłacze się, nie mogąc sprostać nowej sytuacji. Niespodzianie Myszką poklepał ją łagodnie po ramieniu.

— Jeszcze troszkę, sestro — usłyszała jego krzepiący głos, podniesiony nieco, by nie zagłuszyły go przeciągłe nawoływania roznosiciela wody źródlanej. — Zbliżamy się do przedmieścia, tam będzie luźniej. Wia. . . wuj znajdzie nam jakieś miejsce w gospodzie i odpoczniemy.

Jagoda rzuciła okiem na towarzysza. W kobiecych szmatkach prezentował się całkiem atrakcyjnie, a malowidła wokół oczu skrywały to, co ona jednak dojrzała z bliska — że chłopiec jest równie zmęczony, jak ona sama. Aura Myszkę pokazała Jagodzie, że młody Wędrowiec ledwo trzyma się na nogach, boli go głowa i najchętniej położyłby się spać, choć do wieczora było jeszcze daleko. Zapominając w jednej chwili o sobie, sięgnęła ku Wiatrowi, by przekonać się, że Mistrz Iluzji właśnie robi w myślach przegląd wszystkich zapamiętanych tawern, aby wybrać odpowiednią dla nich. Co jednak nie znaczyło, że będzie to miejsce zbyt kosztowne. Jagoda z niesmakiem dowiedziała się z tych rozważań o możliwości dzielenia izby z mało przyjemnymi żyjątkami. Gospoda, według niegdysiejszego mieszkańca pobliskiego Zamku Magów, powinna być nie tyle elegancka, ile prowadzona przez człowieka nie zadającego niepotrzebnych pytań. Oraz nie udzielającego niepotrzebnych odpowiedzi, komukolwiek. I nie można było nie przyznać racji takiemu rozumowaniu.

Dziewczyna rozwinęła nić mentalnego kontaktu, szukając reszty towarzyszy, którzy zniknęli jej z oczu. W przestrzeni wewnątrzwidzenia, pośród drobnych iskerek ludzkich jaźni, od razu dostrzegła jasne płomyki. Magowie płonęli wręcz wewnętrzną energią, niczym miniaturowe latarnie. Jagoda bez zastanowienia dotknęła najbliższego i natychmiast cofnęła się w panicznej ucieczce, wyzywając samą siebie od idiotek. To nie był nikt z ich gromadki! Jak mogła być tak nieostrożna! Jak mogła tak się zapomnieć!? Przecież było to miasto magii! Mężczyzna stojący przy kramie z owocami poruszył głową i potarł kark dłonią, jakby połaskotała go mucha. Przesunął roztargnionym spojrzeniem po najbliższym otoczeniu, po czym wybrał kolejną morelę ze stosu, natychmiast zapominając o tym przelotnym dziwnym uczuciu, które określano „ktoś nadepnął na mój cień”.

Spotniała nie tylko z gorąca, ale i ze strachu Jagoda przysunęła się bliżej Hajga. Zaczęła uważniej rozglądać się wokoło, wyluskując z pstrej masy ludzkiej

charakterystyczny odcień błękitu. Już po chwili zorientowała się, że posiadacze błękitnych szarf wyróżniają się na tyle, iż można ich rozpoznać już z pewnej odległości. Ludzie ci szli zawsze śmiało wprost przed siebie, a tłum rozstępował się przed nimi jak łan zboża. Mieli coś w ruchach, sposobie trzymania głowy, coś co pozwalało bezbłędnie rozpoznać w nich magów, jeszcze zanim dojrzało się pas błękitu. Jagoda z niejaką obawą spojrzała na plecy Wiatru Na Szczycie. Czy i on miał to „coś”, co mogłoby ich zdradzić? Ale ich przewodnik nadal szedł z karciem zgiętym pod ciężarem pakunku, krokiem ciężkim i niezgrabnym. Omijano go, lecz z racji rozmiarów. On sam zaś niezauważalnie lawirował, by nie zetknąć się twarzą w twarz z żadną błękitną szarfą.

Wreszcie pewna uliczka, skrzyżowana pod nienaturalnym kątem niczym jaszczurka z przetrąconym kręgosłupem, wyprowadziła ich w okolice nadbrzeża. Tu królowały składy i gospody — niewysokie, przysadziste jak przekupki, które przysiadły wzdłuż rzeki, ponakrywane kapeluszami łupkowych dachów. U każdych drzwi na metalowym pręcie wisały godła: dzban, drewniany konik lub pies, spłwiałały ptak wymalowany na desce. . . i inne, dobrze znane stałym bywalcom. Podpisów, jak zauważyła Jagoda, nie było. Zapewne klienci tych zacnych przybytków nie posiadali praktycznej umiejętności czytania. Wiatr Na Szczycie zwolnił akurat kroku u drzwi tawerny „Pod kotem i dzwonkiem”, z zamiarem wejścia do środka, gdy z wnętrza wyleciał gliniany kufel i roztrzaskał się na bruku. W ślad za naczyniem wyrzucony został człowiek w brudnej, rozdartej na ramieniu tunice. Z impetem przeszorował brzuchem po kamieniach, kurzu oraz psim łajnie, po czym odwrócił się ku knajpie, którą tak niesławnie opuścił, wygrażając kułakiem, bluzgając potokiem bełkotliwych przekleństw i kwaśnym odorem alkoholu.

— Nie tutaj. . . — powiedziała Jagoda, ale było to raczej przerażone westchnienie.

— Nie tu — odezwał się jednocześnie Myszka, ściskając jej rękę.

— Pewno — mruknął Hajg ze wstrętem, starannie omijając odgrażającego się pijacynę.

Również żadna z kilku następnych tawern nie znalazła ich uznania. A to z powodu podchmielonych już żeglarzy, wyraźnie szukających zaczepki, a to z racji nazbyt przychyłnej nierządnicy przyklejającej się do Hajga. Skończył się rząd gospód. Minęli kilka magazynów, zwróconych krótszą ścianą ku kanałowi, do rozładunku, oraz portowe „czaple”, z których dziobów zwisały liny z pękami haków. Szereg robotników przekazywał sobie z rak do rak worki miarowymi, rozkołysanymi ruchami, mruczając przy tym monotonną szantę: „Po-daj, po-daj, po-daj mu. A te-raz zaczerpnij tchu. To już dziesiąta paka, hej. . . Po dwudziestej będzie lżej”. Worki ciężkie od zboża znikwały w cienistym wnętrzu magazynu, jak w rozdzielonej paszczy olbrzyma.

Już myśleli, że trzeba będzie zawrócić, lecz Wiatr Na Szczycie szedł dalej. Odwrócił głowę w stronę podopiecznych i rzekł półgłosem:

— Była tu jeszcze jedna karczma. Nazywała się, co prawda, „Pod Szczurem”, ale jeśli i tam nie będą chciały się zatrzymać moje dwie dziewczynki, to naprawdę nie wiem, gdzie złożymy głowę tej nocy.

Jagoda bezbłędnie wyłowiła w jego głosie sarkastyczny ton. Zacisnęła gniewnie usta.

— Wujaszku, wolę spać pod gołym niebem, niż wejść do czegoś, co nazywa się „Pod Szczurem” — odparł Myszka. — Nazwy mają to do siebie, że nie biorą się z niczego.

Czekało ich jednak miłe zaskoczenie. Miast spodziewanej niechlujnej rudery pojawił się przed nimi nieduży, starannie pobielony wapnem dwupiętrowy budynek, wpasowany między skład zbożowy a wysoką, wąską kamienicę z siodlarnią na parterze. Wiatr Na Szczycie zatrzymał się, zadzierając głowę, by popatrzeć na wywieszkę. Na owalnym kawałku deski nie było na szczęście wizerunku szczura, lecz krwistoczerwony kwiat róży. Ze środka dobiegał gwar wielu głosów, śmiechy i dolatywał kuszący zapach smażonej ryby.

— Ot, człek się na chwilę z domu wypuści, a potem sąsiedztwa poznać nie może — mruknął Wiatr Na Szczycie, przekraczając próg.

Dolna izba jak wszystkie tego rodzaju miejsca na świecie zastawiona była długimi stołami i ławami. Przy blatach siedziało co najmniej piętnastu ludzi, jedząc ową rybę, która tak apetycznie pachniała już na ulicy, złościście zrumienione placiki, drobną kaszę z podsmażanymi na maśle warzywami, pijąc schłodzone piwo i wodę z winem (gdyż pora była za wczesna na nie rozcieńczony trunek, przynajmniej dla szanujących się mieszczan). Trzy służebne dziewczyny uwijały się, roznosząc jedzenie, mokre ręczniczki do wytarcia palców, zbierając brudne naczynia lub ścierając okruchy ze stołów. W rogu, na ustawionych w krąg zydlach, siedziało kilku starców. Palili wspólnie wielką faję wodną, otoczeni woalem pachnącego dymu i aurą stateczności. Pociągali niespiesznie z długich ustników, wymieniając między sobą mrukiwe pogaduszki. Całym tym przybytkiem władał niepodzielnie, stojący za długim, wypolerowanym jak lustro szynkwasem z ciemnego drewna, oberżysta z siwym, nastroszonym wąsem, grubą blizną na łysinie i miną najedzonego tygrysa. Za plecami miał parę wielkich amfor z piwem, po prawej łukowate wejście do kuchni, skąd buchała woń smażeniny, po lewej schody na piętro, gdzie znajdowały się izby sypialne. Wycierał kufel za kuflem typowymi ruchami, jednakimi dla wszystkich oberżystów, jakby byli oni kapłanami wykonującymi jakiś odwieczny rytuał. Wiatr Na Szczycie pomyślał, że ten tutaj wygląda na kogoś, kto podpitego awanturnika usunąłby ze swego terytorium szybko i z rozmachem, jaki wyniosłby biedaka aż poza keję, w muliste tonie Enite. Chyba że tym kimś byłby sam Wiatr. Wtedy w wodzie wylądowałby karczmarz. Hajg przemaszerował przez jadalnię, aż do majestatycznego kuflodzierzcy. Ze stęknieniem ulgi zrzucił tobół z ramienia. Tuż za nim sunęły jak milczące cienie dwie szczupłe postacie w zielonych spódniczkach.

— Pozdrowienie — rzucił Wiatr, masując jednocześnie bark.
— Spocząć nam trza. Izby potrzebujem. I na ząb czegoś.
Karczmarz obrzucił go beznamiętnym spojrzeniem.
— Pozdrowienie — powiedział tonem nawet dość uprzejmym.
— Znajdzie się jedno i drugie. Jak znajdzie się jaki pieniądz. Tutaj z góry bierzemy.

— Nie ma strachu — odparł Wiatr. — Czy ja wyglądam na krętacza?

Mężczyzna spojrział za plecy Hajga, skąd trafiło go orzechowe spojrzenie dziewczynki w chustce na głowie. Druga, w słomkowym kapeluszu głęboko naciągniętym na uszy i czoło, wlepiała wzrok w podłogę, skromnie opuściwszy głowę jak koziołek.

— A te panienki, z całym szacunkiem, to kto?

— Córki siostry. Bo co?

— Bo, z całym szacunkiem, tu nie dom schadzek. I gospodyni zakazuje jedną izbę dawać wymieszanej kompanii.

Wiatr Na Szczycie z irytacją podrapał się w szczękę. Prychnął.

— Byle więcej pieniędzy udrzeć? Ja nie wielki pan, co by się na dwie izby rozkładać. Kiesy grubej nie mam.

Siwowąsy wzruszył ramionami.

— Miski tu nikomu się nie odmawia. Zjecie, odetchniecie, a noclegu poszukacie gdzie indziej. Mnie tu miejsce pasuje i pani mojej naprzeciw robić nie myślę. Co ona mówi, to trza wypełniać.

Wiatr Na Szczycie prześlizgnął się wzrokiem po jadłodajni. Potem spojrział na lśniącą deskę szynkwasu, dotknął palcami starego napisu głoszącego, że „Pliszka ma wielką dziurę”, tak głęboko wytrawionego w drewnie, iż nie dał mu rady ani strug, ani szorowanie piaskiem, ani gorący wosk.

— Ano, kobieca ręka, psia jucha, lepsza niżli obroża, co? Oberżysta znów ruszył ramieniem.

— Lepsza niżli ten gówniany pierdolnik, co tu był przedtem. „Pod Szczurem”, phi! Teraz „Pod Różę” porządni ludzie ściągają. Niby mniejszy tłum, ale każdy jeden wypłacalny. Na podłogę nikt mi nie rzyga, czysto jest, pchły po łózkach nie skaczą, kucharka dobra. . . Nie krzywduję sobie.

Po tej oracji oberżysta., chyba uznawszy, że za bardzo się rozgadał, postawił kufel na „Pliszce” ze stuknięciem, jakby stawiał pieczęć na dokumencie.

— Siądnijcie za stół, zaraz dziewczynę podeślę. Ryba dziś, kasza, placki z jabłkiem, polewka z kury, duszona rzepa z czosnkiem i jajka. A panom co trzeba? — dodał jednym ciągiem.

W tej samej chwili Wiatr poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Nerwowo rzucił okiem do tyłu i z ulgą zobaczył znajomą twarz Gryfa. Obok stał nadąsany Promień.

— Izbę na dwie, trzy noce — powiedział wesoło Gryf. — Trzeba zakosztować miasta, nim się zamknę w kancelarii.

Wiatr dostrzegł, że chłopak zdążył już zmienić fryzurę na urzędniczą modłę — wszystkie włosy szesane gładko do tyłu i związane w krótką kitkę, mocno podstrzyżone nad skroniami. Przy pasku miał przywiązaną łupkową tabliczkę w drewnianej ramce. A na środkowym palcu ręki spoczywającej wciąż na Wiatrowym ramieniu widniała plama z atramentu. Kilka drobnych szczegółów i Gryf nabrał wyglądu młodziutkiego pisarza, który właśnie wyrwał się spod kurateli promotora. Natomiast Promień w swojej wyświechtanej irchowej bluzie, z łukiem, włosami wysoko spiętymi w koński ogon i pasami smolistej czerni nakreślonymi przez obie dolne powieki, grzbiet nosa oraz policzki — wyglądał tylko na to, na co wyglądał. Na myśliwego z okolic Gór Igielnych — półdzikiego, nieprzywykłego do rozmów z ludźmi, do tego cholernie drażliwego.

— Słyszeliśmy o kłopotcie, z całym szacunkiem... — tu Gryf mrugnął żartobliwie do oberżysty — ...przypadkowo. Nam wszystko jedno, czy we dwóch śpimy, czy we trzech. Panienci mogą za ścianą, a my razem i należności tylko trzecią część, z całym szacunkiem, pan szanowny uіści.

— Hmm... — udał namysł Wiatr.

— I tak można — powiedział oberżysta. — Byle potem skarg nie było, że tam co zginęło.

— Ale...! — obruszył się Gryf. — Mnie się palce nie lepia. A u mnie z kolei nie bardzo jest co kraść.

— Jestem Stawiarz, pisarz z Lenenji — zwrócił się z galanterią do Hajga. — Z kim mam przyjemność?

— Wigor, trac — mruknął Wiatr Na Szczycie, obiecując sobie w myśli, że zbeszta Gryfa za tę paplaninę.

— A piękne panie?

— Siostrzane. To Rubin, a to Jodła.

Myszka dygnął niezgrabnie, młynkując palcami i płonąc rumieńcem. Jagoda poszła za jego przykładem, kłaniając się jeszcze bardziej niezdarnie i rzucając Gryfowi spod runda spojrzenie morderczyny.

— Zadzior — burknął Promień i zamilkł, uznając prezentację za wystarczającą.

Zapłacili za jedną noc z góry. Oberżysta skierował ich na piętro. „Panów” do drzwi z „trzema pałkami”, „panienki” obok, pod cztery. Świece i krzesiwo na półce koło okna. Na ogień uważać. Ręczniki wiszą na ćwiekach koło drzwi. Woda powinna być w dzbanku. Jakby co było potrzeba, to zawołać i dziewczyna z dołu przyjdzie. Gryf spytał o łaźnię i uzyskał odpowiedź, że jest w podwórzu. Zejść trzeba tylnymi schodami, a grzanie wody kosztuje dodatkowe dwa miedziaki.

U szczytu schodów Gryf usłyszał, jak Promień syczy jadowicie za jego plecami:

— Kapać się panu szanownemu zachciewa? Zaprezentować publicznie swoje tatuaże? To się łąziebny zadziwi — pisarczyk z prowincji, a „oko” ma na skórze!

Gryf zmarszczył się, niechętnie przyznając rację Iskrze.

— Zapocony jestem jak muł! — fuknął przyciszonym głosem. — A ty się nie umyjesz, śmierdzieliu?!

— W misce.

— To dopiero kąpiel — w misce! A niech to, miałem nadzieję, że się wymoczę!

* * *

Izdebka przydzielona Myszcze i Jagodzie była malutka i bardzo ubogo urządzona. Wyłącznie najniezbędniejsze sprzęty. Na szczęście było tu schludnie. Czyjeś pracowite ręce wyszorowały podłogę do czystego, srebrno siwego koloru staro drewna. Prześcieradła pachniały świeżością. Kobięca ręka, o której mówił Wiatr Na Szczycie, najwyraźniej oznaczała również żelazne rządy.

Ledwo zamknęły się drzwi, Myszka z ulgą zerwał chustkę z głowy i roztrzepał palcami przyklepaną czuprynę.

— Ale duchota. . . — sapnął. — Niby tu powinno być chłodniej niż na Jaszczurze, a powietrze aż się lepi do ciała.

Ściągnął przez głowę koszulkę i wyplątał się z faldzistej spódniczki, pozostając wyłącznie w przepasce biodrowej. Jagoda naśladowała go, rozbierając się do haleczki na cienkich ramiączkach. Podeszła do niewielkiego okna przesłoniętego drobną kratką z listewek. Wychodziło na podwórze. Przyjrzała się przestrzeni ograniczonej ze wszystkich stron ścianami przybudówek. Były dość niskie, więc bez przeszkód docierało tu słońce. Na jednej ze ścian umieszczono kilka półek, a na nich stały gliniane donice, w których rosły jakieś zielska. Dziewczyna domyśliła się, że to po prostu zioła, jakich kucharka używa do przyprawiania potraw. W poprzek podwórka przeciągnięte zostały sznury z wiszącymi na nich białymi płachtami prześcieradeł i ręczników. Obok wielobarwne plamy sukienek, haftowane we wzory tuniki i koszule, chustki — cały ten pstry natłok sechł i płowiał pokornie w promieniach popołudniowego słońca. Między sznurami kręciła się wysoka, postawna kobieta w spódnicy czerwonej niczym kwiat maku. Jedną ręką opierała na biodrze płytki kosz, częściowo wypełniony bielizną, drugą macała ręczniki i wybierała te, które już wyschły. Czynność była niesłychanie przyziemna, ale nieznojoma wykonywała ją z gracją tancerki. Jagoda zapatrzyła się na jej zgrabną sylwetkę i sama raptem poczuła się niezdarna, bez cienia uroku. Żałośnie śmieszna z tym swoim chłopięcym sposobem chodzenia, kompletnym brakiem

obyścia między ludźmi. Jak małpka wyciągnięta z samego środka puszczy. Farbowana małpka.

Kobieta z koszem zniknęła z pola widzenia. Zapewne weszła kuchennymi drzwiami do karczmy. Jagoda odsunęła się od okna. Położyła się na wąskim łóżku twarzą do ściany i gryzła wargi, walcząc z chęcią wybuchnięcia płaczem. „Chcę do domu, do domu” — pomyślała. Tu czuła się tak obco, zupełnie obco...

— Jagoda, czy ty się dobrze czujesz? — spytał Myszka troskliwie.

— Jestem zmęczona — odrzekła zgodnie z prawdą, ale nie dodała już nic więcej.

W tej chwili drzwi uchyliły się i w szparę zajrzał Wiatr Na Szczycie.

— Schodzimy na dół coś zjeść...? — zawiesił głos, widząc rozebranego Myszkę, który ścierał właśnie farbę z oczu, oraz Jagodę, która sprawiała wrażenie śpiącej.

— Przyniosę wam coś na górę — dokończył bez zapału i drzwi zamknęły się na nowo.

Kobieca ręka objawiła się również w jakości jedzenia. Wiatr Na Szczycie dawno już nie jadł równie dobrze przyrządzonej ryby. Gryf i Promień (czy też może raczej Stawiarz i Zadziór) naturalnie przysiedli się do tego samego stołu. Gryf ze swadą łągał o swoich studiach w stolicy, o pracy, którą ma zamiar podjąć w samym Zamku Magów i opowiadał piętrowe dowcipy, zwracając na siebie uwagę wielu sąsiadów. Najwyraźniej znakomicie się bawił, korzystając z tego, że Hajg może jedynie gromić go wzrokiem i złorzeczyć w myślach. Promień nie wychodził z roli małowódnego dzikusa. Pożerał łapczywie zbyt wielkie kęsy, wypluwał ości na podłogę, a nawet próbował dłużyć w zębach czubkiem noża. W jego spojrzeniach rzucanych z rzadka znad talerza było coś, co mówiło Wiatrowi, że młodemu księciu takie niechlujstwo sprawia przewrotną uciechę.

Żaden z trzech biesiadników nie zwrócił uwagi na kogoś, kto tkwił już od pewnego czasu w przejściu do kuchni. Zastona z glinianych paciorków nanizanych na sznurki sprawiała, że można było dostrzec tylko ciemny zarys kobiecej postaci. Gdyby komuś przyszło do głowy zajrzeć za delikatnie grzechocące koraliki, zobaczyłby pobladałą, urodziwą twarz. I ciemne oczy biegające niespokojnie między Gryfem a Wiatrem Na Szczycie. Na Wietrze zatrzymywały się zawsze dłużej.

Hajg skończył posiłek, zamówił placki i mięso dla „siostrzenic”. Gryf, zanim Promień zdążył go zatrzymać, wymknął się na włóczęgę po mieście. Obaj pozostawieni sobie samym magowie byli pewni, że wyposzczony młodzieniec znajdzie się w objęciach jakiejś pracowitej panienki, zanim jeszcze minie godzina. Oby tylko zachował minimum rozsądku! Ani Wiatr, ani Iskra nie mieli ochoty na eskapady w najgorętszej porze dnia, gdy każdy rozumny człowiek zażywał sjeisty. Nie pozostawało nic innego, jak powrócić do izby na piętrze. Ledwo jednak rozgościli się w środku, ledwo Promień zdążył ściągnąć buty z utrudzonych stóp, drzwi otworzyły się niespodzianie. Na progu stała ciemnowłosa kobieta w czer-

wonej sukni, majestatyczna niczym posąg bogini. Cała trójka zamarła. Dopiero stuknięcie upuszczonego przez Promienia buta przerwało tę zdającą się trwać lata chwilę.

Kobieta, która pojawiła się tak nagle, złapała chłopca za kark i po prostu wystawiła go na korytarz. Podobnie jak usuwa się z domu kota. Zaskoczony Promień nie zdążył zareagować w żaden sposób. Drzwi zamknęły mu się przed nosem. I nie dały otworzyć, zablokowane od wewnątrz zasuwką. Zrobił więc to, co wydawało się najbardziej logiczne w tej sytuacji. Przycisnął ucho do desek.

* * *

Wiatrowi Na Szczycie raptem zaschło w gardle. Przed nim stała Róża. Róża — najpiękniejsza kurtyzana z domu uciech Zamku, kobieta, w której podkochiwał się skrycie całymi latami, przyjaciółka, kochanka. . . jego „kwiatek”. Przez głowę przebiegały mu chaotyczne myśli.

„Jaka piękna. . . Pozna mnie. . . nie pozna. . . Różyczka. . . Zapuściłem brodę, ostrzygłem się. . . Jaka piękna. . .”

Odchrząknął lekko, usiłując zapanować nad głosem. . .

— Różyczka. . . ? — spytał tylko z głupią miną.

Nie rzekł nic więcej, gdyż kobieta przyskoczyła do niego jednym susem. Złapała za koszulę na piersiach i potrząsnęła.

— Niegodziwiec!! Drań!! Nikczemnik!! — krzyknęła. — Tyle czasu bez żadnych wieści! Sądziłam, że nie żyjesz!

— Ależ. . .

Dla odmiany chwyciła go garściami za zarost po obu stronach twarzy.

— Myślałeś, że się schowasz za tymi kudłami?! Znam każdy skrawek twego ciała, każdą szramę! Mogłabym cię rysować z pamięci!

Objął ją, przytulił mocno.

— Moja kochana Różyczka. . .

Oddawała mu gwałtowne pocałunki. Popychała w stronę łóżka, jednocześnie próbując wyłuskać z koszuli i mocując się z kłamrą pasa.

— Chyba nie powinniśmy. . . Nie chcę. . . — mamrotał nieskładnie Hajg i wbrew swym słowom pieścił Różę coraz namiętniej.

— Oczywiście, że chcesz — odparła, napierając na niego biodrami. — Strasznie chcesz.

— Nie mam pieniędzy. . . — mruknął, zdzierając z niej suknię. Guziki prysnęły na wszystkie strony. Padli na wąskie wyrko, aż trzasnęło pod podwójnym ciężarem i przechyliło się na bok.

— Zamknij się — westchnęła Róża czule. — Dam ci kredyt.

Za zamkniętymi drzwiami Promień wychodził z siebie. Odgłosy dobiegające z wewnątrz sugerowały walną bitwę. Łoskot przewracanych sprzętów. Trzaski, jakby ktoś łamał drewno. Przeciągłe, zdławione krzyki. Zdegustowany chłopak usiadł na podłodze, opierając się plecami o drzwi.

— Albo się biją, albo pieprzą na potęgę — mruknął sam do siebie.

— Albo wszystko naraz.

Walnął pięścią w deskę.

— Ciszej! Nie jesteście sami!

Reakcji, oczywiście, nie doczekał się żadnej.

* * *

Kołysała się na jego biodrach łagodnie jak łódka na leniwej fali. Patrzył na jej piękne włosy, wspaniałe, ciężkie piersi. „Ja chyba śnię”

— pomyślał Wiatr Na Szczycie. I łyzy zakręciły mu się pod powiekami. Róża westchnęła głęboko, zamarła na chwilę z odrzuconą do tyłu głową, po czym wolno opadła ku przodowi. Złożyła głowę na męskiej piersi. Kochanek objął ją ramionami. Zanurzył nos we włosach pachnących miętą i jabłkami.

— Jesteś cudowną kobietą, Rózo — rzekł cicho.

Obróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Kocham cię. Ożeń się ze mną — powiedziała miękko.

Wiatr Na Szczycie zaniemówił. Milczenie przedłużało się.

— Rozumiem. — Róża podniosła się i zaczęła rozglądać za sukienką.

— Popyt na byle ładacznicę nie jest szczególnie duży. Nieważne.

Jej głos znów brzmiał jak zwykle: trzeźwo i konkretnie.

— Wybacz. Chwilowe załamanie. Po prostu... Opłakałam cię przed dwoma laty. A tu nagle... spotykam cię w swojej gospodzie.

Zaśmiała się niezbyt szczerze.

— A tak. Kupiłam tę budę. Tę i jeszcze jedną. Dają całkiem niezłe zyski. Sprzedaję teraz wino i noclegi, a nie siebie. Należy pomyśleć o starości.

Mag podszedł do ubierającej się kobiety. Objął ją od tyłu i pocałował w pochylony kark.

— Jesteś śliczna. A ja... — powiedział smutno — ...dobiegam czterdziestki. Jestem dla ciebie za stary, Różyczko.

Rozejrzała się dokoła i znów roześmiała. Tym razem kpiąco.

— Podeszły wiek jakoś nie przeszkadza ci rujnować mebli. Głupiś, Mistrzu Iluzji.

— Głupiec, dzikus i prostak — zgodził się. — A na dodatek ubogi prostak. Nie wzbogaciłem się przez te dwa lata. Mam tylko to, co na sobie. . .

— Czyli nic — wtrąciła.

— Nic ci nie mogę dać. Żadnego wykupu dla twoich rodziców. Uwolniła się z jego objęć.

— I tu się mylisz. Włóż na siebie cokolwiek i usiądź. Jeśli jest gdzie. . . Wykup, też coś! Przestań myśleć jak Hajg.

— Przecież jestem Hajgiem — mruknął mag, posłusznie wciągając spodnie.

Róża postawiła przewrócony stołek i usiadła na nim, sprawdzając przedtem, czy rozchwiany sprzęt utrzyma jej ciężar. Wiatr zajął miejsce na drugim.

— Nieprawda, że nie masz nic — powiedziała Róża poważnie. — Na pożegnanie wyznałeś Kowalowi, gdzie trzymasz oszczędności. Kowal opróżnił skrytkę, zanim dobrała się do niej starszyzna. Wszyscy myśleli, że zabrałeś pieniądze ze sobą. A Mówca nie zużył z tego ani monety. Wszystko oddał mnie. Spłaciłam do końca swój kontrakt w Cechu, kupiłam podupadającą tawernę. Niewiele było trzeba, by postawić interes na nogi. Potem dokupiłam jeszcze jedną. Połowa tego, co posiadam, należy do ciebie. Jeśli chcesz zostać oberżystą, oczywiście.

Wiatr Na Szczycie przetrwał długą chwilę to, co usłyszał. Wreszcie odezwał się:

— To niczego nie zmienia. Jestem zbiegiem. Jeśli rozpoznałaś mnie ty, to może zrobić to też straż zamkowa,

— Jeśli przez dziesięć lat sypiałeś codziennie z każdym strażnikiem, to pewnie tak — zauważyła Róża kąśliwie.

Mag bezradnie rozłożył ręce.

— Niczego bym tak nie chciał, jak zostać z tobą, ale nie mogę. Powinienem zaszyć się w górach albo jeszcze dalej. Tam gdzie będę bezpieczny. Nie pójdziesz przecież ze mną. To niełatwe życie: gotowanie na otwartym ogniu, pranie w lodowatych strumieniach. Wyprawianie skór. Zimno, czasem głód na przednówku. A ty jesteś damą. Zawsze nią byłaś.

Wziął jej dłoń między swoje i gładził lekko.

— Czy to koniecznie muszą być górskie szczyty? — spytała Róża. — Czy nie mogłoby to być jakieś miłe gospodarstwo na podgórzu? Na przykład w okręgu Topory. Obszerny dom, okno z widokiem na te twoje ukochane góry, kominek z granitowych głazów. . . a przy nim dziecięce pończochy suszące się na sznurku.

Wiatr Na Szczycie miał wzrok zagłodzonego psa, którego kuszą kawałkiem szynki.

— Wietrze. . . ! — głos Róży nabrał ostrzejszych tonów. — Jestem dumną kobietą i rzadko o coś proszę. A jeszcze rzadziej powtarzam to dwa razy. Odpowiadaj: „tak” albo „nie”, zanim obetnę ci resztę uszu!

— Nie myślałem, że aż tak ci na mnie zależy. Nigdy nikogo nie potrzebowałaś. Byłaś taka samodzielna. . .

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

— Tak — odparł. — Chcę, żebyś została moją żoną. Chcę sznurka.

— Sznurka??

— No... tego do suszenia skarpetek. Takich na małą nóżkę. Pocałowali się, pieczętując przyrzeczenie.

— Przydałby się świadek — rzekła Róża. — Gdzie ten twój chłopak, to biedactwo, które stąd wyrzuciłam?

Wiatr Na Szczycie pomachał ręką, krzywiąc się.

— Ani on mój, ani żadne biedactwo. Nie poznałaś? To przecież Promień.

— Książątko? — zdziwiła się. — Nie zwróciłam uwagi. Urósł chyba.

— Ale to znaczy... — ciągnęła. — Jest tu reszta chłopców? Gdzie inni? Co z Nocnym Śpiewakiem? A Srebrzanka?

— Rozdzieliliśmy się, by nie rzucać się zanadto w oczy. Ze mną jest Promień i Gryf, a obok rezyduje Myszka z Jagodą. To córka Słonego ze Smoczego Archipelagu. Reszta powinna znaleźć nocleg gdzie indziej. Mamy spotkać się w umówionym miejscu. A Śpiewak...? Srebrzanka „wodzi go na wstążce”. Mają córkę.

— Twarz maga rozjaśniła się. — Dali jej na imię Róża. Na twoją pamiątkę.

— Och, Bogini... Cudownie. Koniecznie muszę ją zobaczyć.

W tej chwili rozległo się ostrożne pukanie do drzwi. Róża odsunęła zasuwę.

— Wejść! — ryknął Hajg.

Drzwi uchyliły się i w szparze ukazała się nadąsana twarz Promienia.

— Skończyliście? — spytał zgryźliwym tonem. — Mam tu parę rzeczy, które są mi potrzebne.

— Zamknij drzwi za sobą — zażądała Róża. — Chodź tutaj i słuchaj.

Wiatr Na Szczycie wyprostował się i usiłował przyglądzić potargane włosy. Odkasznął.

— Oto, przy wiarygodnym świadku, ja — Wiatr Na Szczycie, syn Kamiennej, z ojca Wilczura — przysięgam tej kobiecie, Róży... — zawahał się na moment.

— Córce Lilii, z ojca Bursztyna — podpowiedziała Róża.

— Właśnie — mruknął, nagle speszony, i ciągnął dalej: — Przysięgam wierność i małżeństwo w pierwszym dogodnym terminie, jaki będzie dostępny. O ile mnie przedtem nie zabiją — dodał z westchnieniem.

— No to uważaj na siebie — odparła Róża i znowu zaczęli się całować ku irytacji Promienia.

— Możesz już iść — machnął na niego Hajg.

— A nie! — zaperzył się chłopak. — Ja też tu mieszkam! Nie jestem psem, żeby wyrzucać mnie z izby!

— To zostań i ucz się — zgodziła się Róża z roztargnieniem.

W tym momencie drzwi znów się otwały i do środka wkroczył Gryf. Rozejrzał się z osłupieniem. Izba wyglądała jak po przejściu huraganu. Poprzesuwane

łóżka, pod jednym załamały się nogi, na podłodze skłębione koce i części odzieży, porzucane przedmioty...

— Co tu się stało?!

— Wiatr i Róża właśnie się zaręczyli — burknął Promień.

— Nielicho! — roześmiał się Gryf. — Też bym chciał się tak zaręczyć. Chodźże, niech się sobą nacieszą.

— Cieszyli się już prawie godzinę! — syknął Iskra. — Mam dość siedzenia pod drzwiami!

— Nie mogłeś gdzieś iść? — zdziwił się Wiatr mimochodem.

— Nie miałem butów! — wrzasnął chłopak ze złością, celując w Różę palcem. — ONA wywaliła mnie stąd bez butów! To świństwo!

— To weź te buty i chodź. Postawię ci piwo — zaproponował Obserwator. Jednocześnie w Róży odezwało się sumienie.

— Tak mi przykro! — zawołała, odrywając się od narzeczonego. Przytuliła zaskoczonego chłopaka, ocierając się o niego biustem i całując go w kącik ust. Biedak nabrał w mgnieniu oka koloru wiśni. Wyrwał się gwałtownie, jednocześnie wycierając usta wierzchem dłoni z miną wyrażającą obrzydzenie. Gryf parsknął śmiechem. Iskra porwał buty z kąta i wypadł na zewnątrz, jakby go goniły potwory.

— Ogromnie się cieszę, że znów cię widzę — rzekł Gryf, kłaniając się dwornie przed Różą, po czym błyskawicznie skradł jej całusa. — Rozumiem, że już nie mogę liczyć na twe względy?

Róża pokręciła głową.

— Znajdziesz sobie kogoś innego, przystojniaku. A teraz zmykaj, zanim mój męczyczna straci cierpliwość.

Kiedy Gryf zamknął za sobą drzwi, Róża odwróciła się ku Wiatrowi.

— Na czym to skończyliśmy...?

* * *

Gryf dogonił Promienia z łatwością. Iskra siedział na ostatnim stopniu i starannie zaciągał rzemyki przy butach. Jego palce zręcznie manewrowały przy szeregu nacięć na cholewce, splatając ozdobny wzór. Gryf przypomniał sobie, że nie dalej jak dwa lata temu ten sam chłopiec miał kłopoty z samodzielnym czesaniem. Promień tak dalece oddalił się od swego dawnego wizerunku książątka, że chyba nawet jego własna matka miałaby trudności z rozpoznaniem syna.

Obserwator klepnął go lekko w ramię.

— Masz ochotę nieco się stoczyć? — zapytał konfidencjonalnym tonem.

— Hm...?

— Jest tu niedaleko taka spelunka... Podają najgorszą wódkę w mieście. Założę się, że nigdy czegoś takiego nie piłeś.

— Z pewnością — mruknął Promień. — Ale jeśli ty znasz tę knajpę, to może ona zna również ciebie?

— Bez obaw. Może ze trzy razy tam byłem. Znacznie lepiej znają Nocnego Śpiewaka. Często przynosił stamtąd butelki.

Ów przybytek podejrzanej rozrywki prezentował się rzeczywiście wyjątkowo obskurnie. Podłogę stanowiło zwyczajne klepisko. Błaty stołów wyglądały jak mapy, tyle że niezliczonych biesiadnych podróży — ostrowy płam po sosach oblewały piwne i winne morza, a ślady ostrzy kreśliły na nich zawile szlaki. Było jeszcze pustawo — stali bywalcy ściągali dopiero pod wieczór. Za szynkwasem siedział senny oberżysta, zdając się dumać nad losami wszechświata. Promieniowi głowa chodziła jak na śrubie, oczy strzelały wokół, obserwując egzotyczne widoki. Jakiś człowiek zasnął z głową w talerzu, obstawiony dokoła kilkoma pustymi flaszkami. Nastroszony bury kundel wspiął się łapami na stół i ostrożnie wyciągał mu spod policzka niedokładnie obgryziony gnat. Łypnął groźnie na przechodzących i podniósł ostrzegawczo wargę, jednocześnie niepewnie machając ogonem. Krok dalej trzech podchmieleni mężczyźni z rozmachem dziobali stół nożami, wyklócając się o coś głośno tudzież niezrozumiale. Uważniejsze spojrzenie wykazało, że nie zamierzają się pozabijać, a po prostu usiłują trafić w ostatni kawałek mięsa, leżący na wspólnym talerzu. Na krańcowym stole, pomiędzy brudnymi kubkami i miskami, usadowił się pręgowany kot. Podwinął łapy pod siebie, opuścił lekko głowę i obserwował otoczenie żółtymi szparkami oczu, jednakowymi porcjami lekceważenia obdzielając gości, psa oraz szynkarza, Gryf, przechodząc mimo, pstryknął go palcem w ucho. Kocur zjeżył się i zgrzytnął niczym zardzewiała maszyna.

— Dwie książycówki, dwie cytryny, sól — zażądał Gryf, stukając w ladę, by zwrócić na siebie uwagę karczmarza. Ten, nie zmieniając ani na jotę wyrazu twarzy, błyskawicznie sięgnął w dół i podał mu dwie kamionkowe butle związane kawałkiem sznurka. W równie magiczny sposób pojawiły się owoce i szarawa bryłka soli.

— Chcę drobną — powiedział Obserwator, odliczając jednocześnie niewielkie miedziane monety.

Szynkarz westchnął rozdzierająco, po czym „zamordował” bryłę, waląc w nią drewnianym młotkiem, aż okruchy prysnęły na wszystkie strony. Szczątki zgarnął do obtłuczonej miseczki i szurnął nią w stronę Gryfa, dobywając z siebie coś w rodzaju „d-sług...”, co pewnie było szczytem uprzejmości w jego wykonaniu.

Ku pewnemu zaskoczeniu Promienia Obserwator zaprowadził go na płaski dach gospody, gdzie leżały sfatygowane maty. Tutaj pito wieczorami, gdy palące słońce już się schowało za widnokretem, a nocą zapewne baraszkowały rozpus-

ne pary. Na razie jednak było pusto i upalnie.

— Usmażymy się. Dlaczego tutaj? — burczał Promień.

— Tu możemy swobodnie pogadać — odparł Gryf. Wyciągnął zębami zatyczkę i powąchał zawartość butelki.

— Jaki rocznik?

— Trzecia nad ranem. Pokrój cytryny.

— Po co?

— Zobaczysz.

Gryf rozlał trunek do kubków. Nieufny Promień czekał, aż towarzysz spróbuje pierwszy. Obserwator przełknął wprawnie i zagryzł cząstką cytryny umaczaną w soli.

— To musi być obrzydliwe — rzekł Promień, krzywiąc się niemiłosiernie.

— Podobne leczysz podobnym. Na co czekasz? Chcesz się demoralizować czy nie?

Pierwszy łyk alkoholu odebrał Iskrze dech. Krew nabiegła mu do twarzy, łzy stanęły w oczach. Kasłał przez długą chwilę, trzymając się za gardło jak ofiara trucizny.

— Na miłosierną... Matkę... ależ to... jest paskudne! — wykrztusił wreszcie.

Gryf podał mu cytrynę.

— Przegryź, to nie jest takie złe.

— Po tym świństwie... wszystko będzie smaczne — powiedział Promień, wycierając oczy. — Losie, chroń niewinnych! Z czego TO robią?

— Nie zdziwiłbym się, gdyby ze smoły, ale raczej z kłaczy trzciny papierowej. W domu tego nie miałeś, co?

Niespodzianie Promień zaczął się śmiać.

— Nie, nigdy. Miałem różne rzeczy, ale nigdy samogonu za trzy miedziaki. Ani odcisków na rękach. — Pokazał wnętrze dłoni. — Miałem za to służących. Jednego do układania włosów, osobnego do garderoby, następnego do sypialni i jadalni. Koniuszego, guwernera, fechtmistrza i sam już nie wiem, kogo jeszcze.

— I narzeczoną... — wtrącił Gryf, dolewając mu wódki do kubka.

— Myślisz, że to zabawne?! Przynoszą ci pewnego ranka portret jakiejś wątłej panienki ze źle ukrytym zezem i dowiadujesz się, że masz się z nią ożenić! I mieć dzieci!

Zdenerwowany Promień popił księżycówki, znów się zakrztusił i łapczywie wbił zęby w kwaśny owoc.

— Nie każdy ma takie szczęście, jak Wiatr Na Szczycie — westchnął Gryf. — Piękna kobieta...

— Używana... — mruknął Promień. — Zastanawiam się... czy jemu jest wszystko jedno?

— Że... używana? — zapytał ostrożnie Gryf, marszcząc brwi. Promień miał już nieco szkliste oczy — mocna wódka w gorący dzień działała jak cios obuchem.

— Nie. On sypiał... z chłopcami. W Zamku — Promień starannie odmierzał słowa. — Ale z nią też. Czy jemu obojętne... co ma w łóżku?

Samogonu ubywało. Gryf zastanowił się głęboko, wspominając własne doświadczenia i usiłując uruchomić wyobraźnię.

— Może nie. Może Wiatr bierze to... co najlepsze. Z obu stron.

— Nie będę dokonywać porównań — powiedział Promień stanowczo i wlał w siebie resztę wódki. — Nie osobiście. Kamyk robił to z Wiatrem?

— Co ty? Oszalałeś? — zachnął się Gryf, trzeźwiejąc odrobinę.

— Chyba się upiję — oznajmił Iskra melancholijnie.

— Już się upiłeś.

— No proszę... jakże nisko... upadam — powiedział Promień i faktycznie łagodnie osunął się na matę.

— Niebo spada — dodał. — Idiotyczne uczucie. Czy tak jest zawsze?

— Za każdym razem.

Gryf położył się także. Mrużył oczy w ostrym blasku słonecznym. Inaczej niż Promienia, jego mocny alkohol nigdy go nie oszalał. Działał na organizm młodego Obserwatora, zmieniając go czasowo w źle funkcjonujący mechanizm. Nie tykał jednak umysłu i Gryf doświadczał swoistego rozdwojenia — był zupełnie trzeźwy we wnętrzu pijanego ciała. Księżycówka ostrzyła mu też talent w nieskończenie cienką szklaną igłę i był w stanie sięgać precyzyjnie do ludzi oddalonych o wiele dni drogi albo drażnić umysły, obierając je jak cebule — warstwa po warstwie. Umysł Promienia tętnił tuż obok — mocne, lecz dziwnie pełgające światło. Snuły mu się po głowie różności, pojawiające się i gasnące jak iskry ulatujące z ogniska. Może Gryf był nieco zamroczony, bo zadał niedyskretne pytanie zupełnie bez zastanowienia:

— Promień, skoro jesteśmy już na kontynencie... masz zamiar wracać do domu?

W zasnutych alkoholową mgłą oczach Promienia odbiło się zaskoczenie i uraza, a Obserwator aż skulił się wewnętrznie, gdy uderzył w niego gejzer smutku, lęku i tłumionej złości.

— Ja nie mam domu — mruknął Iskra pogardliwie. — Ja mam pałac.

A więc to tak. Co też za tajemnice skrywa Promień, że tak obsesyjnie boi się powrotu do domu? Podzamcze oraz sam Zamek Magów kojarzyły mu się z niebezpieczeństwem, przymusem i uwięzieniem. I było w tym coś więcej niż zwykły strach przed karą za nieposłuszeństwo wobec Kręgu. Iskra nienawidził całej swej przeszłości. Może dlatego chciał ją wymazać, stać się kimś innym. Zabić arystokratycznego Zwycięskiego Promienia Świtu — kandydata do cesarskiego tronu, ofiarę polityki, a dać miejsce zwykłemu Promieniowi — myśliwemu, magowi,

człowiekowi, któremu wolno pić najpodlejszy trunek w Lengorchii, jeśli tylko będzie miał na to ochotę.

Gryf uśmiechnął się smętnie, wycofał z kontaktu. Przekreślił się na bok i spoglądał nad krawędzią tarasu w natłok wąskich zaułków. Niedaleko na podobnym płaskim dachu jakaś kobieta rozwieszała płótno do bielienia. W miniaturowym wąwozie uliczki snuli się niespiesznie znużeni upałem przechodnie. Ponad przytłumionym gwar wybił się nagle wesoły dźwięk gongów. To właściciel malej łaźni wyszedł przed próg i wygrywał prostą melodyjkę na kilku kawałkach mosiężnej rury — znak, że woda zagrzana i chętni mogą zażyć kąpieli. Niebawem od tyłu zaczęły podchodzić także najwięksi nędzarze, by w spływających kamionkową rynną mydlinach wyplukać swoje łachmany.

Gryf zaczął cicho gwizdać, powtarzając motyw wygrywany na gongach. Część jego umysłu wiązała nuty i układała rytm, reszta zastanawiała się leniwie, co też porabiają inni wędrownicy. I czy warto przeszukiwać talentem okolicę, by ich odnaleźć przed spotkaniem umówionym następnego dnia przy świątyni Pana Skrzydeł.

* * *

Tymczasem, ku zaskoczeniu pozostałej dziesiątki, nie sposób było znaleźć miejsca w żadnej przyzwoitej gospodzie. A w każdym razie nie aż tyle, by pomieścić ich wszystkich razem. O rozdzieleniu na następne dwie grupy myśleli zaś z najwyższą niechęcią. Tu i ówdzie były wolne maleńkie komórki z jednym lub dwoma posłaniami, co wystarczyłoby dla Srebrzanki z dzieckiem i jej męża. Reszta musiałaby zamieszkać w stajni albo zadowolić się siennikiem w noclegowni dla biedaków, gdzie po zapadnięciu mroku harcowały szczury. W końcu wybrali jednak stajnię pełną siana, słusznie zakładając, że konie będą miłszym towarzystwem niż podejrzana zbieranina ludzka we wspólnej izbie.

— Zupełnie zapomnieliśmy, że to akurat pełnia lata, tuż po drugich zbiorach — powiedział Koniec, sadowiąc się na wiązce słomy.

— No i co z tego?

— Parada ku czci Matki Świata! Do miasta walą tłumy, żeby modlić się i zobaczyć widowisko. Z jednej strony to dobrze, bo znikniemy w tej gromadzie, a z drugiej — wołałbym spać w łóżku.

— A ja chciałbym się dowiedzieć, jakie miny mieli staruszkowie, kiedy okazało się, że ich okpiliśmy — odezwał się Stalowy.

To skierowało rozmowę na Zamek, a następnie padł pomysł, by spróbować odszukać Kowala — dawnego nauczyciela Drugiego Kręgu. Był jedynym starszym

magiem, któremu wszyscy byli gotowi zaufać, choć niezupełnie do końca. A wykonanie tego ryzykownego projektu przypadło w rezultacie Wężownikowi, gdyż nikt obcy nie zdołałby się przedostać przez bramę Zamku bez zwrócenia uwagi straży. Pozostawała jedynie droga Wędrowców.

* * *

W ten sposób Wężownik znalazł się w samym legowisku tygrysa. Zamek nie zmienił się w niczym. Chłopiec miał wrażenie, jakby czas się tu zatrzymał. Te same majestatyczne wieże, wznoszące się ku niebu. Te same ściany, porośnięte bluszczem i pnącymi różami. Cieniste galerie, po których podążali w swoich sprawach mężczyźni przepasani błękitnymi szarfami oraz służba wykonująca rutynowe obowiązki. Poza murem mogła trwać gorączka przygotowań do wielkiego święta, ale tutaj nic takiego nie dało się zauważyć. Jakby żadne zewnętrzne wydarzenia nie docierały do tej enklawy. Wężownik szedł znajomą trasą z mocno bijącym sercem. Starał się jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Ubrał się bardzo skromnie. Miał na sobie szarą tunikę bez rękawów i podniszczone spodnie, a na bose stopy wsunął sandały — typowy strój służby najniższej rangi. Pod pachą ścisnął zawiniątko, jakby ktoś wysłał go z jakimś poleceniem. Uwieńczeniem przebrania był wielki, fioletowo-czarny siniec, otaczający jedno oko i rozlewający się aż na szczyt policzka. Wyglądał jak pamiątka po bójce albo karzącej ręce przełożonego — w każdym razie doskonale ściągał uwagę patrzącego, jednocześnie odwracając ją od reszty twarzy. Srebrzanka wspięła się na szczyty umiejętności, malując to dzieło farbami do oczu. Wreszcie Wędrowiec dotarł na miejsce. Otoczony ze wszystkich stron galeriami ogród rozciągał się przed nim dokładnie taki sam, jakim chłopak go zapamiętał. Różane krzewy najrozmaitszych gatunków i kolorów — od krwistej czerwieni aż po białe jak mleko, między nimi kępy wysokiej, pachnącej trawy. Ścieżki wysypane drobnym, płowym żwirem, a pośrodku, na ich zbiegu, fontanna w kształcie kobiety wylewającej wodę z dzbana. Ileż razy bawili się tutaj wszyscy! Wężownik przystanął, wspominając ubiegłe dni. Do napięcia, jakie odczuwał dotąd, dołączyło uczucie żalu. Kiedy przed dwoma laty przybył do Zamku, od razu poczuł się jak u siebie. Prawie jak w tym prawdziwym domu — nad brzegiem jeziora Wężowego. Królestwo magii przyjęło go bezwarunkowo i czuł się dobrze w tym miejscu, nawet prześladowany przez Gladiatora. Wygnała go stąd żądza przygód, lojalność wobec przyjaciół, a także całkiem przyziemna niechęć do szkolnego rygoru. Teraz, z perspektywy czasu, jarzmo nie wydawało się już tak męczące, ale odwrotu nie było. Sprawa Śpiewaka i tajnego księgozbioru ujawniła istnienie zawitych układów oraz mętnej polityki za fasadą

praworządności. Wężownik westchnął i zaczął wspinać się po schodach na piętro. Zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę boleje nie nad utratą miejsca w Kręgu, ale nad straconą niewinnością.

Na drzwiach, które kiedyś prowadziły do apartamentu Kowala Mówcy, widniał uproszczony kontur lecącej mewy. Wężownik czuł się zakłopotany. Nie mógł sobie przypomnieć, czy ta ozdoba była tu przedtem. Przyszło mu też do głowy, że Kowal w ciągu tak długiego czasu mógł zmienić kwaterę. Zapukał cicho i niepewnie. Odetchnął i zakołatał powtórnie mocniej, uspokajając samego siebie, że zawsze może podać zmyślony powód najścia. Drzwi uchylły się... żołądek chłopca wykonał nerwowy podryg... na progu stanął osobisty służący maga — sądząc z ubioru. Zmierzył przybysza lekceważącym wzrokiem.

— Czego chcesz?

— Pan kazał to przynieść... to dla Mi-mistrza Mówcy... — zająknął się Wężownik nerwowo, pokazując paczkę.

Służący zmarszczył brwi.

— Tu nie ma żadnego Mówcy. Źle trafiłeś. Co to jest? Komu miałeś zanieść, tylko dokładnie!

— Papier. Dla błękitnego Mówcy Kowala.

— Nie mieszka tu taki. Ani tu, ani po sąsiedzku. Wracaj; skąd przyszedłeś.

Strapiona mina chłopca sprawiła, że w służącym drgnęło sumienie.

— Coś ci się nie wie dzie ostatnio, dzieciaku. Spróbuj znaleźć jakiego Żółwia, może ci powie, gdzie iść. Wężownik markotnie kiwnął głową.

— Staraj się bardziej, bo pan ci drugie oko podbije — dodał tamten i zamknął drzwi.

Chłopak stał przed nimi jeszcze przez chwilę, medytując, co dalej robić. Nie miał zamiaru stosować się do rady. Strażnicy Słów, od znaku kasty potocznie zwani Żółwiami, cechowali się nadnaturalną pamięcią. Lepiej było nie wchodzić takim w oczy. A nuż rozpoznaliby w skromnym posłańcu dawnego bywalca biblioteki? Odchodząc, Wężownik minął jakiegoś młodego maga. Zatrzymał go mocny uchwyt za łokieć.

— Wężownik?! — rozległ się cichy okrzyk, przepełniony zdumieniem.

Obaj przez sekundę patrzyli na siebie nawzajem jak na upiory powstałe z popiołów. Wężownikowi aż zakręciło się w głowie. Tuż obok, na wyciągnięcie ręki stał Obłok — młodziutki błękitny Mówca, z którym razem pobierał nauki.

— To nie ja... — wybełkotał Wężownik bez sensu.

— Nie wygłupiaj się! — syknął Obłok, odzyskując równowagę ducha. Ktoś nadchodził, więc puścił Wężownika i szepnął na odchodnym:

— Pod wierzbą. Za dziesięć minut.

* * *

Gdyby ogrodowe drzewa obierały władczynię, wierzba (czy też może nawet Wierzba) wygrałaby bezapelacyjnie. Była starą, dystyngowaną damą drzewną. Jej wiotkie, cienkie gałązki spadały w dół jak ulewa, a były tak gęste, że tworzyły żywe ściany. Swego czasu łaskawie przygarniała pod opiekę magiczny narybek. Tutaj znajdowały ukojenie głowy przeładowane wiedzą, oczy przemęczone czytaniem mądrości. Pod wierzbą można było bez większych obaw spróbować smaku zakazanej księżycówki albo zabawić się składaniem sprośnych kalamburów. A grube gałęzie doskonale nadawały się do włożenia. Starszyzna nie wiedziała lub nie chciała wiedzieć o tej kryjówce.

Wężownik wahał się, czy iść na spotkanie. Instynkt mówił mu, że lepiej byłoby zniknąć jak najszybciej, natomiast rozum podpowiadał, że Obłokowi można zaufać, a rozmowa z nim może okazać się bardzo pożyteczna. Czekał więc w nerwowym napięciu, ukryty pod wierzbowym parasolem. Obłok zjawił się niebawem. Nie był jednak sam. Towarzyszył mu młodzieniec mniej więcej dwudziestoletni. Jego błękitna szarfa mówiła sama za siebie.

— To jest Bitewny. Wiatromistrz. Można mu ufać. Słyszał o was — przedstawił go Obłok rzeczowo.

Wężownik z rezerwą skinął głową na powitanie.

— A więc żyjesz! — westchnął Mówca. — Przez chwilę myślałem, że widzę ducha! Co tu robisz, na Miłosierdzie Losu?!

— Usiłuję znaleźć Kowala — powiedział Wężownik zgodnie z prawdą. Obłok pokręcił głową.

— Nie znajdziesz go w Zamku. Ale opowiadaj! Kto cię pobił?! Co się stało? Jak? Gdzie? No, w ogóle... wszystko!

Wężownik nie mógł opanować rozbawienia. Obłok urósł, nabrał męskiego wyglądu, ale był po dawnemu impulsywny.

— Nikt mnie nie pobił. To farba. Przebrałem się, żeby mnie nie rozpoznało.

— Jak widać, sposób był nieskuteczny — wtrącił się Bitewny z łagodną kpina.

— Wolałbym najpierw usłyszeć, co tu się działo, kiedy uciekliśmy — powiedział Wędrowiec.

Obłok skrzywił się.

— Było nieprzyjemnie. Bardzo nieprzyjemnie. Wszystkich nas surowo ukarano. Za to, że nikt nie wygadał, co zamierzacie. Co z resztą?

— Reszta wypoczywa w mieście, kiedy ja tu ryzykuję głową. Dlaczego Kowala nie ma w Zamku?

Obłok spuścił oczy z zażenowaniem.

— Zabroniono mu uczyć po tej aferze. Przeniósł się najpierw do innej kwa-

tery, a potem w ogóle zamieszkał poza murem. Był najlepszym nauczycielem, jakiego kiedykolwiek miałem. To okropna niesprawiedliwość, że zabroniono mu nas uczyć. Wszyscy myśleli, że się utopiliście razem ze statkiem. Burza była potworna.

— I sztucznie wywołana — wtrącił Wężownik z przekąsem.

— Wiedziałem... — mruknął Wiatromistrz pod nosem.

— Kowal załamał się i zaczął pić — ciągnął Obłok. — To już nie ten sam człowiek. Próbowaliśmy go odwiedzać, ale to było przykre i dla nas, i dla niego. Staczał się coraz bardziej. Nie widziałem Kowala od ponad pół roku. Teraz nawet boję się sprawdzać, czy w ogóle żyje.

— A jak wam się wiodło? — spytał Bitewny.

— A kto pyta i po co? — odparł Wężownik niezbyt grzecznie.

— Nikomu nie ufasz, dzikusie? — skwitował mag bez złości. — Pytam, bo sam mam ochotę zostawić cały ten kramik. Mnie też starzy wbili drzazgę pod paznokiec.

— ...?

— Rozbili mój kryształ. Ot, co! — Bitewny walnął pięścią w pień drzewa.

Wężownik uniósł brwi w niemym zdumieniu. Bitewny, mimo młodego wieku, musiał być nie byle kim. Kryształem w magicznym żargonie nazywano zgrany zespół pięciu lub sześciu Wiatromistrzów, którzy łączyli swe siły i wspólnie zawiadywali pogodą. Brak jednego z takich żywych elementów, czyli rozbicie kryształu, oznaczało dla pozostałych degradację z pozycji władców do zwyczajnych przepowiadaczy pogody. Nic dziwnego, że Wiatromistrz był rozgoryczony.

— Ale dlaczego...?

— Dobrze, posłuchaj najpierw ty. Ponad rok temu dostałem patent od mistrza promotora i zdołałem zebrać własny kryształ. Nieźle nam się wiodło. Aż do teraz. Dostaliśmy zlecenie na stworzenie najbardziej korzystnej aury na plantacji cukrowca. Właściciel miał długi i chciał zebrać jak najlepszy plon, żeby uratować ziemię przed sprzedażą. W trakcie pracy ni stąd, ni zowąd Krąg odwołał mi jednego chłopaka. Bez wyraźnego powodu. Katastrofa! Tylko się powiesić! Przyjechałem tu, żeby wyjaśnić tę sprawę, ale zbywano mnie i traciłem jedynie czas. Wczoraj przypadkiem dowiedziałem się wreszcie, że konkurent mojego pracodawcy, tego plantatora, ma krewnego wśród Rady. Dalsze pytania są chyba zbędne?

— Co za bagno! — wymamrotał Wężownik ze wstrętem. Jego rezerwa względem Bitewnego stopniała. No i Obłok za niego ręczył...

* * *

Wieści o Kowalu, przyniesione przez Wężownika, następnego dnia uzupełniła Róża. Ona też zaprowadziła wszystkich pod dom Mówcy. Stał w średnio zamożnej części podzamcza — nie były to barwne zaułki dzielnicy rzemieślniczej, ale i nie pilnie strzeżone bastiony bogatych rezydencji. Wysoka, chuda kamienica wtłoczona została w rząd podobnych budowli. Brakowało podwórka odgradzonego murem od ulicy i dającego mieszkańcom spokój i izolację od miejskiego zamętu. Za to bramę wejściową zamknięto na głucho, a wszystkie okna powyżej zapłonięto okiennicami z listewek.

— Nie jest wcale pewne, czy otworzy — powiedziała cicho zatroskana Róża, trzymając rękę na zaśniedziałej kołatce. — O tej porze może być już zbyt pijany.

— A czy w ogóle jest w środku?

— Na pewno. Prawie nie wychodzi. Gdybym od czasu do czasu nie zadbała o niego, to pewnie by się zagłodził.

Z sąsiedniego domu wyszła kobieta z wiklinowym koszem zawieszonym w zgięciu łokcia. Popatrzyła na ludzi stojących pod zamkniętymi drzwiami i natchmiast straciła dla nich zainteresowanie, oddalając się we własnych sprawach. Rzeczywiście — wyglądali absolutnie przeciętnie. Starzec, dwie kobiety, małe dziecko i przybrudzony pies. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że staruszek jest w rzeczywistości postawnym hajgońskim wojownikiem, osłoniętym iluzyjnym wizerunkiem. I że wokoło stoi znacznie więcej osób — w kokonie niewidzialności, którym zawiadywał Kamyk.

Długotrwałe kołatanie nie przyniosło żadnego odzewu. Wiatr Na Szczycie myślał z niepokojem, że Kowal musiał naprawdę bardzo się zmienić. Znał Mówcę jako pogodnego, towarzyskiego człowieka. Jakie strapienia sprawiły, że zamknął się w tym ponurym domostwie, przypominającym z zewnątrz grobowiec? Zniecierpliwiony Wężownik zajrzał przez małe, zakratowane okienko i ocenił przestrzeń potrzebną do skoku. Już po chwili otworzył wrota od środka. Wewnątrz panował bezruch i głucha cisza. Wchodzący bezwiednie zniżali głos do szeptu i zaczęli stąpać ostrożnie, jakby podłoga miała się w każdej chwili zarwać. Wiatr Na Szczycie otrząsnął się z irytacją.

— Dość tego! Kowal! Kowal, odezwij się!!

Gospodarz jednak nadal się nie zjawiał. Jagoda pchnęła boczne drzwi, za nimi ukazało się pobożowisko, które zapewne powinno zwać się kuchnią. Podłogę zaściełały śmiecie. Wszędzie stały brudne garnki, walały się nierozpoznawalne resztki jedzenia i zatęchłe ścierki, a w powietrzu unosił się odrażający odór pleśni. Dwie myszy, jak dwa ruchliwe kłębuszki szarego kurzu, smyrnęły do kąta i przepadły w jakiejś dziurze.

— Znowu odeszła posługaczka — mruknęła Róża. — Żadna nie wytrzyma dłużej niż tydzień.

Mówcę znaleźli w zakurzonej sypialni służącym jednocześnie za sypialnię i jadalnię — świadczył o tym stół zastawiony opróżnionymi butelkami i miskami oraz smętna sofa o poplamionym pokryciu, na której spoczywał na wznak sam właściciel tego upiornego domu. Kowal był bardzo chudy i wymizowany — to rzuciło im się w oczy na początku. Chłopcy pamiętali swego byłego nauczyciela jako mężczyznę nie pierwszej młodości, ale wciąż dziarskiego i o bystrym umyśle. Tym większy przeżyli szok na jego widok. Minęły dwa lata, a Mówca wyglądał, jakby postarzał się o dziesięć. Włosy posiwiały mu do reszty, broda — kiedyś starannie pielęgnowana — zmatowiała i była niechlujnie skołtuniona. Kowalowi przybyło zmarszczek, oczy zapadły się w głąb czaszki, skóra miała niezdrowy żółtawy odcień. Na dodatek nie mył się chyba od dłuższego czasu.

— Niewiarygodne — rzekł Wiatr z westchnieniem. — Matko Świata! Jak można tak nisko upaść?

— Można — odparła Róża nieco zgryźliwym tonem. — Można, jeśli zabijają człowieka wyrzuty sumienia. Myślał, że zginęliście i obwinał się o to!

— Wygląda, jakby nie żył — wyszeptał Myszką, dotykając lekko rękawa leżącego.

— Oddycha — zapewnił go Koniec, pochylając się nad sofą.

— Spróbujmy go obudzić.

Natarczywe potrząsanie za ramiona długo nie dawało pożądanego rezultatu. Odurzony mag nie chciał wyrzec się stanu nieświadomości. Wreszcie zaczął poruszać głowę, podniósł ciężkie powieki, odsłaniając przekrwione z przepicia oczy. Wiatr Na Szczycie pochylał się nad nim, przezornie używając talentu Tkacza Iluzji, by przywrócić sobie dawny wygląd. Powtarzał przy tym uparcie: „Kowal, oprzytomniej! Kowal, słyszysz mnie? Zaraza... obudź się, opoju jeden!”. Mówca patrzył na niego otumanionym wzrokiem, w którym wraz z iskrą świadomości budziło się także niedowierzanie. Wreszcie powiedział głosem ochrypłym, lecz niespodziewanie wyraźnym:

— Precz, zjawo!! Wracaj w zaświaty!

— Kowal...!

— Nie żyjesz, więc przestań mnie dręczyć! Nie chcę tego snu! Precz! Zostaw mnie!

Raptem dostrzegł, że prócz Hajga są też inne widma z przeszłości. Zakrył czym prędzej oczy, a z jego ust zaczęły wylewać się bezładne, urywane fragmenty modlitw, słowa skruchy i prośby o litość. Widać było, że nie tak prędko dojdzie do siebie.

Kobiety obserwowały całe zajście z boku. Róża postanowiła zostawić inicjatywę Wiatrowi Na Szczycie. Srebrzance stan Kowala był obojętny — nie takie

rzeczy widywała, gdy jeszcze pracowała na ulicach Podzamcza. Teraz bardziej obchodziła ją córeczka, która usypiała jej na rękach. Natomiast Jagoda po raz pierwszy w życiu zetknęła się z pijanym człowiekiem, a widok ten napełniał ją niepokojem i odrazą. Wycofała się z mocnym postanowieniem, że zapozna się z magiem dopiero wtedy, gdy będzie się do tego nadawał. Jak dotąd w mieście spotykały ją niemal same rozczarowania. Przywykła do swobody i przestrzeni na Jaszczurze, a Podzamcze przywitało ją ciasnotą, nieładem i niemiłymi zapachami. Jak można tu było żyć? Jakim cudem to miejsce mogło się podobać Nocnemu Śpiewakowi, Gryfowi albo Końcowi...? W dodatku wciąż musiała pamiętać o tym, by nie pokazywać oczu.

Róża położyła jej dłoń na ramieniu.

— Chodźmy na górę. Są tam pokoje, których on nie używa. Niech mężczyźni zajmują się męskimi rzeczami, a my tymczasem ulokujemy ciebie i Srebrzanę.

Jagoda, chcąc nie chcąc, poszła za nią z opuszczonym nosem. Róża była kolejnym elementem, który sprawiał jej przykrość. Trzeba mieć naprawdę pecha, żeby przez całe lata żyć z urodziwą macochą, a potem trafić na jeszcze piękniejszą kobietę. Przy Róży Jagoda czuła się blado, chudo i traciła pewność siebie. Nic dziwnego — cała rzesza jej dotychczasowych adoratorów robiła słodkie oczy do ponętnej oberżystki. Nawet Nocny Śpiewak, teoretycznie przypisany Srebrzance, ocierał się o Różę niby przypadkowo i nazywał w żartach „siostrzyczką”. Jagoda pociesza się jedynie tym, że jej osobista zdobycz — Kamyk, z pewnością nie odważy się na żadne niestosowności wobec narzeczonej Hajga. Niechby tylko spróbował! Poza tym dom Mówcy był obszerny i na pewno uda się tu znaleźć ustronne miejsce, gdzie nareszcie będą mogli być razem. Wyszukała coś odpowiedniego — ciasną, zakurzoną, lecz przytulną izdebkę. Ale gdy zaczęła już się w niej urządzać, odkryła także, skąd wzięło się jej przesadne rozdrażnienie i podejrzany ucisk w dole brzucha. Niestety, stało się jasne, że do niczego między nią i młodym Tkaczem Iluzji przez parę dni nie dojdzie.

Zaintrygowana Róża uchyliła drzwi, zwabiona przekleństwami, które zdumiewały w ustach subtelnej panienki.

— Co się dzieje?

— Nienawidzę tego miejsca!! Nienawidzę wszystkiego! Idź sobie!

— Nie krzycz, bo obudzisz małą. I nie płacz, bo będziesz miała czerwone oczy.

— Głupia jesteś! — krzyknęła Jagoda, nerwowo przerzucając swój mizerny bagaż w poszukiwaniu kawałka płótna.

Róża już otworzyła usta, by odpowiedzieć ostro i z oburzeniem, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Poniekąd Jagoda miała rację — słowa o czerwonych oczach nie były najmądrzejsze.

— Może jednak powiesz, o co chodzi? Od samego początku czaisz się po kątach i patrzysz na mnie jak na wroga. Nie zrobiłam ci przecież nic złego.

Jagoda zawstydziała się nagle. Róża zachowywała się wobec niej uprzejmie. No i była najlepszą przyjaciółką Srebrzanki.

— Dostałam miesięczkę. . . — jęknęła żałośnie.

— Ach. . . No tak, to te dni, kiedy ja zabijam za upuszczony talerz.

— I jestem nieładna — dodała jagoda, zalewając się rzewnymi łzami.

Róża załamała ręce teatralnym gestem. Nie miała córek ani sióstr, ale pamiętała własne cielece lata i zdawała sobie sprawę, że dla dziewczyny w wieku Jagody głupstwa urastały do rangi bezmiernych nieszczęść.

— I niemądra też. Nigdy w życiu nie patrzyłaś w lustro? Za takie włosy niejedna dałaby się sprzedać w niewolę.

Posadziła Jagodę na twardej ławce, a sama siadła obok i otarła dziewczynie rozmazany tusz spod oczu.

— Ładna figura, długa szyja, duże oczy. . . czego ty jeszcze chcesz?

— Ale czerwone. W ogóle, gdybym się nie farbowała, byłabym cała biała, jak. . . jak kluska. — Jagoda siąknęła nosem z rozpaczą.

— Gdybym ja miała białe włosy, to bym je ufarbowała na purpurowo i nosiła do tego czerwoną suknię. Wszystko pod kolor. Nie byłoby mężczyzny, który by się za mną nie obejrzał.

— I tak się za tobą oglądają.

— A czy to nie wszystko jedno? I tak najważniejszy jest ten jeden. Jagoda pocieszyła się troszeczkę.

— Pewnie tak. Ale to jest ciężka praca — zdobyć tego jednego. A utrzymać jeszcze ciężiej. Popatrz na Śpiewaka — jest żonaty, a przewraca ślepiami do ciebie.

— Śpiewak całe życie marzył, żebym go wpuściła do łóżka, a ja całe życie odmawiałam. Patrzyłam, jak rośnie i jest dla mnie jak młodszy brat. Teraz Ignie do mnie tylko z przyzwyczajenia. Na tyłach domu jest pralnia i studnia. Tam będziesz mogła się umyć. A potem przyjdź do mnie, to pogadamy o fatałaszki i pokażę ci, jak teraz malują oczy damy z lepszego towarzystwa.

* * *

Promień przypatrywał się delikatnym mereżkom na sutych falbankach wykańczających jego mankiety. Opuściwszy głowę, wbijał wzrok w jedno miejsce, starając się ignorować jękliwy głos matki, dobiegający z prawej strony.

— Zaszło drobne nieporozumienie. Nic, czym powinieneś się denerwować, drogi mężu. . .

— Tak, rzeczywiście! — sarknął stary książę ze strony lewej. — Chłopak podpalił włosy kolejnemu gryzipiórkowi, a ja mam być całkiem spokojny!

— To był wulgarny człowiek, a Promyczek taki wrażliwy...

— Chłopak jest rozpuszczony, a nie wrażliwy, głupia kobieto! Który to już z kolei guwerner? Co rusz muszę opłacać pokrzywdzonych i najmować nowych, którzy są zresztą coraz gorsi. Wkrótce nawet kulawy żebrak nie zechce zająć się tym bachorem.

Promień przeniósł uwagę na stojącą przed nim czarkę z herbatą. Ciemny płyn zaczął parować intensywniej. Po chwili przy krawędzi naczynia pojawiły się drobne banieczki, zwiastujące, że napar zaraz zawrze. Matka wciąż zawodziła, ojciec rzucał kąśliwe uwagi, stukając w brzeg stołu zwiniętym w rulon listem. Promień czuł, jak coś wewnątrz niego puchnie i kipi, grożąc przelaniem.

— Nie mam czasu ani ochoty, żeby zajmować się jeszcze i tym szczeniakiem, więc lepiej niech nie wchodzi mi w drogę! W tym domu wciąż coś płonie!

— To przecież twój syn! — Chlipanie.

— Mam taką nadzieję, moja droga!

Pach, pach, pach — pergaminu o kant herbacianego stolika. Promień minimalnie poruszył głową, złowił w pole widzenia kryształową karafkę. Lekkie muśnięcie talentem Iskry. Tyle, by wyczuć delikatną siateczkę struktury szkła. Nieco mocniej — naczynie zaczyna nagrzewać się w jednym tylko punkcie.

— Cesarz! Sam Ogniu wyraża chęć, by rozpatrzyć kandydaturę tego tutaj jako przyszłego zięcia i co? Ja mam to stworzenie posłać na dwór? Może w klatce. Jaką mogę mieć pewność, że on nie zechce dla zabawy podpalić fryzury cesarzowej!? Potwór! Wyrodek!

Karafka z wolna osiągała stan nierównowagi termicznej i zbliżała się do chwili, w której rozsypie się w drobny mak. Promień z przewrotną, bliską samoudręczeniu przyjemnością czekał, aż okruchy szkła rozprysną się po stole, a czerwone wino chluśnie gorącą falą na mlecznobiały obrus i ojcowskie kolana. Książę rzucił niedbale pergamin na podłogę. Sięgnął ku karafce. W źrenicy chłopca zastygł na moment układ trzech kontrastowych plam — krucza czerń koronek na rękawie ojca, dłoń o skórze jasnej, suchej i zmarszczonej jak zwiędłe jabłko, jaskrawa kolumna wina, które tymczasowo przybrało kształt naczynia. Palce mężczyzny dotykające szklanej zatyczki i nagle... Uderzenie z krótkiego zamachu trafiło Promienia w nos i górną wargę. Zachwiał się, zaskoczony, przechylił ku tyłowi, lecz ręka księcia chwyciła go za loki i nie pozwoliła upaść. Kolejny cios! Twarz chłopca przyciśnięta do blatu, jakby chciano ją przemocą przepchnąć na drugą stronę drewna. Bolało ramię wykręcone na plecy. Poprzez rozpaczliwe, piskliwe krzyki matki Promień słyszał, jak jego ojciec cedzi przez zęby:

— Nie próbuj... Nie próbuj takich sztuczek ze mną. Tu JA jestem i będę górą, magiku. I pamiętaj... dziedzicysz tylko wtedy... gdy moja śmierć będzie naturalna.

Stół był białą pustynią. Cukiernica urosła do rozmiarów srebrnej góry, a płaskorzeźba groteskowej twarzy na jej boku otworzyła oczy i uśmiechnęła się z po-

litowaniem.

— Ach, jak przykro... — szepnęły srebrne wargi.

Promień napiął mięśnie, targnął głową...

...obudził się, łapiąc powietrze jak ryba. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Leżał na wznak w bardzo niewygodnej pozycji, przyciskając plecami rękę, która już zaczynała drętwieć. Obok sapał przez nos Gryf pogrążony nadal w głębokim śnie. Promień odsunął od twarzy dłoń kolegi, która najwyraźniej przed chwilą go uderzyła, podniósł się ostrożnie i wyszarpnął spod sąsiada swoje włosy. „Z głupich rzeczy — głupie sny” — pomyślał z irytacją. Spojrzał znów na Gryfa. Młody Obserwator zdawał się śnić całkiem przyjemnie. Rozrzucił ramiona w obie strony, jakby próbował latać, a na jego twarzy malował się jak zwykle wyraz dyskretnego samozadowolenia. Promień popatrzył w drugą stronę, gdzie wyciągała się długa postać Kamyka. Smoczy Jeździec nawet we śnie miał godny wygląd. Leżał oto na plecach, a pod kark podłożył sobie zrolowany kawał derki (zakład, że nie zmienił pozycji przez całą noc), ręce luźno ułożył na brzuchu, oddychał bezgłośnie i ogólnie wyglądał jak złożony na stosie pogrzebowym. Promień pomyślał z zazdrością, że ci dwaj — choć nisko urodzeni — mają o wiele bardziej arystokratyczną powierzchowność niż on sam. Gryfa można by wziąć na pierwszy rzut oka za nieco rozpieszczonego jedynaka. Birbanta trwoniącego rodzicielską pensję na wino i kobiety. A Kamyk — milczący, obserwujący świat z twierdzy własnego „ja” i zawsze taki odważny, niech to zaraza — istny mityczny wojownik. Z pewnością nie dałby się nikomu pobić. Och, to Promień wiedział aż za dobrze. Upokarzające wspomnienie wypadków w ogrodzie zamkowym tkwiło w jego pamięci jak gwóźdź.

Iskra ziewnął spazmatycznie, aż trzasnęło mu w szczękach. Za ażurową kratką okiennicy dopiero szarzało. Było przerażająco wcześnie, lecz chłopak czuł, jak senność odbiega od niego na dobre. Wciągnął przez głowę tunikę, przecesał włosy palcami. Boso, po cichu, wysunął się na korytarz. Schody były tak brudne, że natychmiast pożałował, iż nie zadał sobie trudu włożenia butów. Między balaskami poręczy i pod sufitem rozwiesiła swe sieci cała familia pajaków. Promień wsunął nos w szparę drzwi kuchennych, brzydząc się stąpnąć do środka. O bładym świecie kuchnia wyglądała jeszcze bardziej odrażająco niż poprzedniego dnia. Iskra pomyślał z niesmakiem, że najchętniej podpaliłby to pomieszczenie, nawet nie zadając sobie trudu wynoszenia wszystkich śmieci. Potem można by ewentualnie wymieść popiół i umyć okna. Wyglądało na to, że w tym obskurnym domostwie nie ma co liczyć na jakikolwiek posiłek. Chyba że mało wybredny a wygłodniały człowiek chciałby walczyć o chlebowe skórki z myszami i karaluchami. Cicho niczym duch chłopiec poszedł dalej. Do tej samotnej porannej penetracji obcego domostwa nie pchało go bynajmniej wścibstwo, ale nikła nadzieja, że trafi na miejsce, które będzie choć trochę bardziej zadbane. Kolejne drzwi, pchnięte ostrożnie, odsłoniły wnętrze zapuszczonego gabinetu. Pająki musiały się

czuć tutaj jak w pajęczym raj. Na półkach bibliotecznych, stole i nielicznych krzesłach poniewierały się rozmaite książki i broszury, najwyraźniej rzucone tam, gdzie Kowal akurat skończył bieżący tom.

Promień rozejrzał się, prześlizgnął wzrokiem po tytułach. Wiele pamiętał jeszcze z domowych lekcji, inne znalazł z zamkowej biblioteki. Dostrzegł charakterystyczny opasły tom zamknięty mosiężną klamrą, który przyrzucony był kilka innymi. Chłopiec, wstrzymując oddech, zdjął je i otworzył pamiętnik Mówcy. Czuł przy tym, że robi coś niewybaczalnego. Nie mógł się jednak powstrzymać.

Pierwsze słowa w takiej księdze były zawsze uważane za najważniejsze i bardzo starannie obmyślane przez autora.

Kowal, syn Ostoi, z ojca Korzenia, Mistrz Mówca. Przez cały czas prowadzenia tej kroniki — a mam zamiar pisać do końca życia — powinienem pamiętać o trzech elementach. O mojej matce, której imię odzwierciedla wnętrze duszy. O moim ojcu i jego wyrozumiałości dla mnie oraz o zaufaniu, jakim obdarzył mnie Krąg, nadając zaszczytną rangę Mistrza. A to oznacza uczciwość wobec nich i siebie samego — przeczytał Promień. Lekkie ukłucie wstydu. Nie, on sam nie był uczciwy wobec swego dawnego nauczyciela, skoro wtargnął w strefę tak intymną, jak pamiętnik maga. Bez przekonania zaczął przerzucać karty, nie czytając tekstu. Rękopis skończył się blisko tylnej okładki — już niewiele miejsca zostało w księdze.

Ostatnie znaki Promień odczytał mimowolnie:

Nie jestem w stanie sobie wybaczyć.

Dreszcz przebiegł mu po krzyżu. Pod tekstem biegła gruba czarna krecha, jakby Kowal zakończył w ten symboliczny sposób cały swój żywot. A podsumowanie było ponure i pełne rozczarowania. Wzrok Promienia sam pobiegł wyżej, ku krawędzi stronicy.

Lojalność bywa fałszywie pojęta. Ale można to wybaczyć, jeśli prowadzi tylko do nieporozumienia. Gdy jednak dochodzi do tragedii, nie ma przebaczenia. Milczeniem zamordowałem tych chłopców. I nie ma co tłumaczyć, że był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Powinienem ich zatrzymać. Nie jestem w stanie sobie wybaczyć.

Ostatnie zdania pamiętnika miały równie wielką wagę, jak te pierwsze, ale o ileż były smutniejsze. Promień powoli zamknął księgę, jakby była niestychanie delikatnym przedmiotem. Jeszcze dotykał okładki, gdy tuż obok rozległo się lekkie skrzypnięcie, jak gdyby ktoś zmieniał pozycję na krześle. Zamarł na chwilę przestraszony, po czym rozejrzał się szybko. Nikogo.

Regały nie zajmowały wszystkich ścian. W jednym miejscu niedbale zawieszono na dwóch ćwiekach kotarę i to stamtąd dobiegł niepokojący dźwięk. Za zasłoną było jeszcze jedno pomieszczenie z małym oknem. I właśnie tam siedzieli razem przy stole Kowal i Wiatr Na Szczycie. Pochylili się ku sobie, opierając łokcie na blacie. Gestykulowali oszczędnie, wykonywali drobne ruchy głowami,

to potwierdzając coś, to przecząc. Wszystko w absolutnej ciszy. Wyglądało na to, że nie kładli się tej nocy wcale. Kowal nadal wyglądał jak własny cień, lecz był zupełnie trzeźwy. Włosy miał mokre, widać mył się niedawno. Wiatr Na Szczycie pierwszy zauważył Promienia i przerwał mentalną rozmowę z Mówcą.

— Już wstałeś? — rzekł półgłosem. — Ot proszę, nos wytrawnego łowcy przyprowadził go wprost do świeżo zaparzonej herbaty.

— Siadaj — zaprosił Kowal, przesuając się i robiąc miejsce.

Rzeczywiście, na stole stał parujący dzbanek i kilka czarek rozmaitego auto-ramentu. W pierwszym odruchu Promień chciał odmówić — Herbata? Po tym, co mu się przyśniło? Później jednak usiadł pozwolił sobie nalać płynu pachnącego ziołami i korą ofrenu. Włożył pod język bryłkę żółtego cukru i powolutku popijał gorący napój czując, jak z każdym łykiem budzi mu się żołądek. Wiatr Na Szczycie siorbnał ze swojej miseczki, skrzywił się lekko, po czym dosypał do niej sproszkowanego imbiru. Kowal również pił herbatę na ostro zwyczajem Południa. Obaj magowie powrócili do milczącej dyskusji, a Promień zamyślił się głęboko.

Jak to było naprawdę? Pamięć zawodziła z lekka, podsuwają niewyraźne obrazy sprzed kilku lat. Czy rzeczywiście ojciec uderzył go wtedy w twarz? Może tylko rozplaszczył mu nos na stole? Tak to pamięta dobrze. Matka dostała ataku płaczu. Nie było zresztą dnia, żeby nie płakała. Biedna, głupia krowa. Promień wsparł głowę na rękę w zadumie. „On mnie nienawidził, a ona się bała. Może powinienem być dla niej miłszy, może powinienem się z nią sprzymierzyć przeciw temu sukinsynowi? Ech... Byłem za młody, a matka... matka nie miała wiele rozumu. Choć była wystarczająco mądra, by służyć za obijacz między nim a mną”. Snuł takie rozmyślenia, póki niespodzianie nie wyrwały go z nich słowa Kowala:

— Nigdy by mi do głowy nie przyszło...

Promień drgnął całym ciałem.

— ... że twój arystokratyczny rodzic cię bił. Chłopiec rzucił Mówcy spojrzenie pełne oburzenia.

— Sami oduczyliscie mnie dyskrecji — powiedział Mówca. — Czy to dlatego uciekłeś z domu?

— Trudno to było nazwać biciem — mruknął Promień niechętnie wbijając wzrok w stół. — Właściwie tylko raz mnie uderzył.

— Miał powód? — spytał Wiatr niedbale.

— Powody były ciągle. Nie jestem przecież grzecznym chłopczykiem — rzekł Promień z przekąsem. — Czasem mnie szturchnął czy coś takiego. Myślę, że mu się nie chciało męczyć ręki. A może bał się mojego talentu. Głównie gadał. Ale jak się rozpędził, to potrafił przebić nawet Gladiatora.

— Coś z tych zdolności przeszło na ciebie — wymamrotał Hajg do wnętrza czarki. Pod kotarą prześlizgnął się Pożeracz Chmur i wskoczył na wolny stołek.

— A kysz! — zawołał Kowal z oburzeniem. — Co to za pies?!

— Ładnie tu się wita gości — warknął Pożeracz Chmur. — Głodny jestem! Zjadłem mysz, ale to mało. Co macie?

— Herbata. Chcesz cukru? — spytał Wiatr Na Szczycie.

— Może być.

Smok zjadł z głośnym chrupaniem kawałek słodyczy i oblizał się zamasyście, po czym tytnął okiem na Mówcę.

— Dziwisz się?

— Trochę — mruknął Kowal, który zdążył skojarzyć fakty i przypomnieć sobie to, co wiedział o przyjacielu młodszego Tkacza Iluzji.

— Też bym się dziwił — powiedział Pożeracz Chmur. — Smoki zwykle jedzą mięso, a nie takie słodkie paskudztwa. W tym domu nie ma nawet kości. Pójdę zdobyć coś do żarcia. Niedaleko widziałem jatkę.

Chapnął ze stołu jeszcze jeden kawałek cukru, a następnie zgrabnym susem pokonał odległość ze stołka do parapetu i wymknął się przez uchylone okno.

— Mógłby przynieść coś na obiad — zauważył Promień obojętnie.

Kowal badawczo popatrzył na niego nad brzegiem czarki. Jakaś część jego rozumu wciąż nie dowierzała, że oto jego dawny uczeń, żywy i zdrowy, siedzi obok przy stole. Kowal miał ochotę szczypać się raz po raz, by być pewnym, że to nie sen. Razem z Wiatrem Na Szczycie chodzili tej nocy po pokojach i przy świetle świecy patrzyli na śpiących. Wzruszony przyglądał się dawno niewidzianym twarzom. Wyrosli, dojrzeli. Stracił dzieci, a wrócili do niego niemal dorośli mężczyźni.

Promień także był wyższy o kilka palców, szerszy w barkach. Na ramionach wyraźnie odznaczały mu się twarde mięśnie. To pewnie od naciągania łuku — Wiatr mówił, że Promień był ich głównym dostawcą mięsa. No proszę, jakie zmiany. Z całą pewnością także goli się już częściej niż raz na tydzień. Kowal przypomniał sobie o Nocnym Śpiewaku. Dotąd nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, jakie zrobiła na nim odsłonięta twarz Stworzyciela. Znał Śpiewaka długo, a teraz czuł się wobec niego całkiem obco. Z niejakim zakłopotaniem uświadomił sobie, że mag przedtem wyglądał chyba lepiej. Malutka Różyczka na szczęście całą urodę odziedziczyła po matce. Co za ulga. Najmniej zmienił się mały Wędrowiec. Kowal przywoływał w pamięci obrazy ze wspólnych lekcji: Myszka przy swoim pulpicie pochylający się nad książką, recytujący z pamięci albo prezentujący możliwości talentu podczas „godziny chwały” lub biegnący przez ogród... Teraz miał ciemniejszą skórę, twarz mu się chyba troszkę wydłużyła, ale nie był wyższy niż przedtem ani mocniej zbudowany.

— Zostajecie na dobre? — zapytał Kowal.

— Absolutnie nie — pokręcił głową Wiatr Na Szczycie. — Chcieliśmy poznać nowiny, ale zbyt wielu starych znajomych wolę nie oglądać.

— Już widzę, jak by się ucieszyła góra Kręgu. Zwłaszcza niejaki Klinga.

— Nie zaszkodziła mu nasza sprawa? W końcu to było czyste morderstwo.

— Wykręcił się. Jak przyszło co do czego, to nie wiadomo dokładnie, kto podjął decyzję i rozkazy też były niejasne. Za duże zamieszanie, jednocześnie byli odpowiedzialni wszyscy i nikt. A Klinga Stworzyciel, Rogacz Przewodnik oraz cały kryształ Sosnowego zarżnęli ciełą na ołtarzu Sztormowego Pana. Ten pokaz ostatecznie wszystko uciszył.

Wiatr zakrztusił się resztką herbaty i prychnął, opluwając stół, po czym ryknął szczerym śmiechem.

— Nie żartuj! Tacy świątobliwi?!

— A tak. I żebyś wiedział, że oficjalnie jesteś nieżywy. Twój portret wisi w bibliotece pośród innych zasłużonych nieboszczyków.

— Dobry przynajmniej?

— Nie.

— A my? — wtrącił się Promień. — Nas też uwieczniono?

— Tylko tabliczka z imionami.

— Zostaniemy kilka dni — powiedział Wiatr. — Na pewno obejrzymy pochód Bogini. Nie można tego przegapić.

— Rzeczywiście. Zapomniałem, że to już. — Kował pokręcił głową. — Najwyższy czas był wrócić do życia. Najwyższy czas. Cieszę się, że znów was widzę.

Dom Kowala położony był w ten sposób, że główne wejście znajdowało się w niezbyt ruchliwym zaułku, za to tylna ściana — pozbawiona okien, z dodatkową bramą zamkniętą od lat na głucho — stała przy szerokim rojnym trakcie. Za nim widać już było wysokie mury, chroniące przed kurzem, skwarem i złodziejami elitarną część miasta. Ta reprezentacyjna ulica była tradycyjną trasą pochodu ku czci Matki Świata. Zaczynała się u stóp schodów świątynnych, a potem biegła łagodnym łukiem przez całą metropolię i kończyła się nad brzegiem Enite, w pobliżu mostu wiodącego do Zamku Magów, gdzie stał mniej okazały przybytek Sztormowego Pana. Siedzibę Mówcy zwieńczał spadzisty dach oparty na słupach, tak że wolna przestrzeń pod nim tworzyła rodzaj osłoniętego tarasu. Biorąc to wszystko pod uwagę, trudno było wymarzyć sobie lepsze miejsce do oglądania parady bez mieszania się z tłumem.

Pochód rozpoczął się wczesnym rankiem, gdy jeszcze upał nie dawał się we znaki. Zbita masa ludzka oblepiała brzegi traktu, poruszając się nieustannie jak pszczele rojowisko i napełniając powietrze jednostajnym gwarem. Nikt nie zwrócił uwagi na rząd twarzy nad balustradą wieńczącą taras maga. Identyczne widoki można było zobaczyć z lewa i z prawa, jak okiem sięgnąć. Co młodszy i sprawniejszy widzowie zajęli szczyty muru od strony dzielnicy bogaczy, nie przejmując się zakazami. A pewna ich liczba wspięła się nawet na kalenice dachów, ryzykując upadek i złamanie karku. Wszystkie oczy zwrócone były w stronę rzeki, skąd miało nadejść czoło parady. Najpierw dał się słyszeć basowy ryk rogów, a potem głębokie, uroczyste bicie gongów i miarowe dudnienie. Gremialne „aaaaaa. . .” powitało pierwszych uczestników pochodu Bogini. Setka gwardzistów maszerowała,

równowaląc podkutymi butami w miejski bruk. Najlepsi z najlepszych — dumnie wyprostowani jak maszty, w szaro-granatowych uniformach, na których oślepiająco lśniły wypolerowane mosiężne półpancerze. Na głowach spiczaste hełmy z powiewającymi długimi piórami, ufarbowanymi na czerwono i pomarańczowo. W rękach włócznie ozdobione wstęgami w kolorze zielonym i czerwonym — barwach Matki Świata i Pani Strzał.

— Idą, idą koguciki, świecą im się piórka; każdy myśli, że najlepszy z całego podwórka. . . — wyrecytował Gryf ku uciesze kolegów.

Tuż za gwardią posuwał się wóz zaprzężony w czarne woły. Pokryty czarną farbą męzczyzna, siedzący na czerwonym tronie, dzierżył podwójny topór w jednym ręku, a w drugim — bicz. Po bokach wozu szli żonglerzy wywijający zapałonymi pochodniami.

— A to kto? — zainteresowała się Jagoda.

— Nie poznajesz? To Władca Ognia i Podziemi — objaśnił Diament, który stał blisko niej. — O, a tam dalej Sztormowy Pan! Ale ślicznotki!

Z zaciekawieniem wyciągnęli szyje. Pojazd władcy mórz i oceanów był okazalszy, a ciągnące go woły tym razem białe. Na zwojach błękitnej tkaniny wyobrażających fale wylegiwały się dziewczęta, odziane nader skromnie w skrawki srebrzystej siatki. Dwie z nich rzucały w tłum jakieś drobne, białe przedmioty. Róża wyjaśniła zaciekawionej Jagodzie, że są to „muszelki szczęścia”. Szczęście będzie miał ten, kto je złapie i nie da sobie odebrać, rzecz jasna. Muskularny człowiek wyobrażający Sztormowego Pana — pomalowany na niebiesko, z zielonymi jak wodorosty włosami i odzieniem składającym się w całości z sieci okręconej wokół łędźwi — dał w wielki róg, a od czasu do czasu czerpał wodę ze stojącego obok ogromnego dzbana i — ku ogólnej uciesze — chlustał nią na widzów.

Zaraz potem nadciągnął roztrzepotany korowód tancerek z olbrzymimi wachlarzami. Chłopcy obserwowali je z zartem i wytrzeszczonymi oczami, a Gryf omal nie wypadł za barierkę.

— One są. . . ! — zachichotała jagoda.

— . . . gole — dokończyła Róża rzeczowo.

Co najmniej trzydzieści dziewcząt paradowało na oczach tłumu bez cienia wstydu. Może dlatego, że doskonałą anonimowość zapewniały im maski i peruki z kolorowych piór. Tancerki miały na sobie jedynie połączane sandałki i wążki przepaski zakrywające łono. Ich ciała w całości pokrywały namalowane ornamenty. Ogromne wachlarze z pawich piór wirowały wokół nich podczas zachwycającego tańca. Trochę przypominały cudowne ptaki, a trochę gigantyczne motyle. Towarzyszyła im muzyka dzwoneczków, bębenków i podwójnych fletów.

— Służki Władcy Skrzydlatych. Przepiękne, prawda? — powiedziała Róża tuż przy uchu Jagody. — Ja też kiedyś tak tańczyłam — dodała nie bez dumy.

Zaskoczona dziewczyna oderwała na chwilę oczy od widowiska, by spojrzeć na sąsiadkę. Na twarzy Róży nie było jednak widać śladu zawstydy. Jedynie

rozmarzenie.

— Przed paru laty zrezygnowałam. Trochę utylałam, no i trzeba przecież zrobić miejsce młodszemu.

Tymczasem na dole przesuwały się coraz to nowe postacie z licznych grona bóstw i bóstwek podległych Matce Świata. Była tam Księżycowa Bogini, Król Słońce calusienki jednolicie złocisty i błyszczący łącznie z tronem oraz wozem, który ciągnęły konie o pozłacanych grzywach, ogonach i kopytach. Nadszedł Podniebny Woźnica, niechętnie dzielący swą władzę z Wiatromistrzami, Leśny okryty wilczą skórą, a także Pani Lawin, bardzo poważana przez górali, razem ze Zrodzonym z Kamienia, który co prawda cieszył się największą czcią w Northlandzie, ale i w Lengorchii miał kilka świątyń; oraz parę pomniejszych postaci z boskiego panteonu. Jak zwykle najbardziej życzliwie przyjmowane były Boskie Bliźnięta — opiekuńcze duchy małych dzieci. Niewielki wózek ozdobiony kwiatami i zaprzężony w pstrokate kozy został przywitany wesołym śmiechem i okrzykami. Chłopczyk w słonecznie żółtej tunice powoził, machając do tłumu zieloną gałązką. Roześmiana dziewczuszka, bardzo podobna do brata, klęczała na wózkach, rozrzucając garściami karmelki. Dzieciarnia przeciskała się między nogami dorosłych i z piskiem zbierała słodycze.

— W naszej rodzinie też są bliźniaki — oświadczyła Jagoda. — Też mogłyby tak wystąpić.

— Zawsze biorą dzieci z zamożnych rodzin — powiedziała Róża. — Takie to już jest życie.

— My też nie jesteśmy biedni — odparła dziewczyna.

Za bliźniętami znów sunął szereg żołnierzy. Błękitne tym razem pióra wskazywały, że należą do oddziału zamkowego. Za nimi pojawiły się zwierzęta ofiarne. Dwa byki — czarny i biały — prowadzone przez kapłanów na sznurach uwiązanych do rogów. Szły wyjątkowo spokojnie, zapewne zawczasu oszołomione narkotykiem. Czekająca je rytualna śmierć przed świątynią Matki — krew, zebraną w misy, dostanie Bogini, a mięso zwyczajowo będzie podzielone między najbiedniejszych.

— Ach, więc jednak... — mruknęła nagle Róża, a wśród obserwatorów podniósł się podniecony szmer. Za zwierzętami ofiarnymi kroczyła samotnie kobieta w długiej sukni o barwach Bogini — zielonym i czerwonym. Długie czerwone wstęgi wlokły się za nią po kamieniach. Posypały się pytania.

— Co ona tam robi!?! — krzyknął przestraszony Winograd. — Tylko mi nie mówcie, że ją zabiją razem z tymi bykami!

— Głupis! — prychnęła Róża z irytacją. — To już nie te czasy! Historii cię nie uczyli, czy co? Słyszałam, że senatorowi ciężko zachorowało jedyne dziecko i matka chce złożyć ofiarę Matce Świata z prośbą o zdrowie dla córki.

— A co na to Stworzyciele? — zainteresował się Stalowy.

— Nawet najlepszy podobno nie mógł pomóc. Dziewczynka jest umierająca.

Jeśli Bogini nie przyjmie ofiary, to nie ma już żadnej nadziei.

— Ofiara krwi?

— Plotkarze miejscy twierdzą, że ona chce obciąć sobie palce.

Słuchaczy zatkało.

— W-wszystkie...? — zająknął się Myszka ze zgrozą.

— Oba najmniejsze. Bez przesady. Choć pewnie dałaby odrąbać sobie ręce, gdyby wiedziała, że to pomoże — wyjaśniła Róża.

Patrzyli za oddalającą się statecznym krokiem kobietą. Szła wyprostowana, a jej postawa świadczyła o cichej determinacji.

— Boi się — rzekł Koniec półgłosem. — Oby ją Matka wysłuchała.

— O ile w ogóle istnieje — mruknęła do siebie Jagoda, nieodrodną córka niedowiarka Słonego. Usłyszana wieść zwarzyła jej dobry humor. Podsunęła skojarzenie z kobietą, która dała Jagodzie życie i... nic więcej. Księżycowy Kwiat bardziej była matką dla małej Jagody niż ta rodzona. Tamta, której rysy dawno już zatarły się w pamięci dziewczyny, pewnie nigdy nie zdobyłaby się na taką ofiarę dla swojego dziecka.

Tymczasem w finale parady nadciągnął najbardziej okazały zaprzęg. Bestiarowie prowadzili przed nim na smyczach płowe lwy górskie, brązowo-rude tygrysy i czarne hajgońskie pantery. Wóz Bogini wyglądał jak ruchomy pagórek całkowicie pokryty kępami trawy i trzciny, liśćmi i kwiatami. Były nawet na nim umieszczone małe drzewka. Kobieta, którą spotkał zaszczyt odgrywania samej Matki Świata, wydawała się nadnaturalnie wysoka. Kamykowi przyszło na myśl, że musi stać na jakimś cokole, okrytym fałdami długiej, soczyście zielonej sukni. Bogini ścisnęła w rękę wysoką laskę, zakończoną głową węża. U jej stóp warował duży pręgowany kot. Chwilami spoglądał z dezaprobatą na małe koźle pobekujące z drugiej strony i unosił łapę, jakby chciał je skarcić za nieprzystojne zachowanie. Mijając dom Kowala, Bogini poruszyła nieznacznie głowę, rozglądając się. Miała pełną, macierzyńską twarz i usta o łagodnym zarysie. Na ułamek chwili jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Kamyka, który odniósł wrażenie, że dostrzegła go i zapamiętała. W dziwny sposób wydało mu się, że owo spojrzenie przylgnęło do jego twarzy, dotknęło jej. W dobrotliwym obliczu Matki Świata osadzone były oczy niepokojące, głębokie jak dziury wycięte w masce. Chłopak poruszył głowę i ramionami, próbując otrząsnąć się z osobliwego uczucia. Wybijała fantazja, ot co.

Za pojazdem Bogini ciągnął pochód kapłanów i kapłanek, dalej zaś zwarta kolumna pielgrzymów i gapiów. W miarę jak wóz jechał naprzód, tłum falował, jakby wiatr pchał przez wodę głęboką zmarszczkę — to chyliły się głowy przed majestatem Matki Świata. Uroczysta procesja miała się ku końcowi. Dźwięk gongów cichł w miarę oddalania się muzyków. Finał miał odbyć się w samej świątyni, lecz tam żaden z gości Kowala się nie wybierał.

* * *

Gra subijat była starsza niż samo cesarstwo. Wskazywała na to choćby nazwa, która przez stulecia całkiem zatraciła pierwotny sens i teraz była po prostu określeniem partii rozgrywanej za pomocą zestawu kościanych lub drewnianych płytek z wyrytymi postaciami i symbolami o określonej wartości. Do subijat trzeba było mieć szczęśliwą rękę — tak przynajmniej mawiano. Jednak Rzemień, który był graczem wytrawnym i zaprawionym w wielu potyczkach, tak nie uważał. Bo i co właściwie oznacza „szczęśliwa ręka”? Czy to, że odpowiednie sztony same do niej wskoczą i same się wyłożą w odpowiedniej chwili? Rzemień nie wierzył w cuda. Dla jednych subijat była rozrywką (czasem dość kosztowną), dla innych obsesją, prowadzącą do katastrofy finansowej, a dla niego powszednim sposobem zarabkowania. Na jego talent do gry składała się znakomita pamięć, umiejętność szybkiego liczenia i wyciągania wniosków. To instrumentarium sprawdzało się tak dobrze, że nawet nie musiał oszukiwać. A w każdym razie robił to na tyle rzadko, by wyrobić sobie nieskazitelną opinię wśród bywalców tawern, a także publicznych łaźni, gdzie grano o małe stawki dla czystej przyjemności.

Ten wieczór miał szczęśliwy przebieg. Rzemień wygrał tyle, że mógł już bez najmniejszej troski myśleć o zapłaceniu komornego i jedzeniu przez najbliższe tygodnie. A także o paru innych przyjemnościach. Jego przeciwnik z kwaśną miną odliczał pieniądze, przeglądając skrupulatnie zapiski na woskowej tabliczce, gdzie zaznaczano wysokość stawek. Rzemień zbierał i układał cienkie tafelki z atutami, słuchając z przyjemnością pochlebnych opinii widzów: „ten to nigdy nie przegrywa”, „mistrz, no nie?”, „jak ci kiesa cięży, to zasiądź do gry z Rzemieniem”...

— Ktoś jeszcze chce się popробować? — spytał wesoło, gdy już wsypał monety do woreczka, a przegrany mężczyzna chyłkiem umknął od stołu. Zgodny chórek odmownych odpowiedzi przepłynął nad jego głową, przemieszany z pogodnym śmiechem i żarcikami. O nie, nikt nie chciał zostać obłupiony ze skóry, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Rzemień już miał przejść w poblizę kotła, gdzie raczono się potrawką, gdy przez wieniec obserwatorów precyzyjnie przesuwał się nowy chętny gracz i siadł za stołem.

— Czy ja bym mógł? — spytał nieśmiało.

Mistrz subijat zmierzył go uważnym spojrzeniem. Przybysz wyglądał niepokaznie — przede wszystkim był bardzo młody, prawie chłopak. Krępy, grubawy, o masywnym karku i szerokich dłoniach. Wznoszonym ubraniu wyglądał na gościa z głębokiej prowincji, kogoś, kto jeszcze wczoraj chodził za pługiem albo machał młotem w kuźni. Z całą pewnością nie był kimś, kto powinien siadać do gry hazardowej. Rzemień był w łaskawym nastroju i postanowił odwieść chło-

paka od podejmowania ryzyka. Dzieciak na pewno zrobiłby lepiej, gdyby wydał swoje pieniądze na wino czy nowe sandały.

— Umiesz grać?

Pękaty chłopak kiwnął głową twierdząco.

— Trochę. Grałem już, wiem, jak to się robi.

Rzemień potoczył wzrokiem po publiczności, która zaczęła słuchać z nowym zainteresowaniem.

— On trochę gra, rozumiecie? — rzekł z uśmiechem. — Zna się na rzeczy. I pewno mnie ogra do ostatniego miedziaka.

Te słowa wzbudziły ogólne rozbawienie. Ludzie trącali się łokciami i wymieniali niezbyt pochlebne uwagi na temat zarozumiałego wyrostka. Gruby chłopiec jakby tego nie słyszał. Siedział spokojnie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Grać chyba każdemu wolno? — powiedział tylko.

— Pewnie — przytaknął Rzemień. — Ale widzisz... Ja już tyle wygrałem tego wieczoru, że mogę nie wstać z miejsca, jeśli obciążysz mnie jeszcze i swoimi oszczędnościami.

Wywołało to nowy śmiech.

— Daj spokój. Są lepsze sposoby na utratę pieniędzy.

— Wiem. Można się upić do nieprzytomności albo złapać wstydliwą chorobę u jakiegoś ulicznego „kwiatka”, albo wrzucić sakiewkę do rzeki i nie zawracać sobie głowy resztą. Ale ja wolę zagrać w subijat.

Rzemień doszedł do wniosku, że jego rozmówca jest bystrzejszy, niż na to wygląda. Cóż, może i nie da się zarząnąć w początkowym rozdaniu.

— Dobrze, zagramy — zgodził się. — Ale zaczniemy od miedzi. Jestem dziś wspaniałomyślny.

Jego nowy przeciwnik podziękował grzecznie.

W pierwszym rozłożeniu sztonów Rzemień dostał drużynę złożoną z Kapłana, Woźnicy, Damy, Kozła i jednego z żywiołów — Ognia. Szybko oszacował wartość tego zestawu, jednocześnie układając figury twarzami w dół, by nie mógł dojrzeć ich przeciwnik. Szósty szton — określany mianem Tarczy, stał sztorcem przed swym właścicielem, który nie znał jego wartości. Widział go za to rywal. Tarczą zagrywano w ostateczności — automatycznie podnosiła stawkę, ale była narzędziem nader niepewnym. Chłopak w skupieniu przeglądał swoją drużynę, metodycznie układając sztony jeden obok drugiego. Jego niewiadomą był Dzikus i Rzemień już zaczął się zastanawiać, jak wyciągnąć od niego ten korzystny atut.

— Zaczynam — rzekł grubasek, podnosząc wzrok i odwrócił jedną z płytek. — Błazen. Wartość cztery. Obstawiam na dwa miedziaki.

Rzemień natychmiast wystawił Woźnicę, przejmując inicjatywę, po czym wyłożył Ogień i podniósł stawkę trzykrotnie. Po prawdzie był już głodny i zamierzał skończyć jak najszybciej. Przeciwnik przyjął wyzwanie i poprosił o kupno Sługi,

czyli sztonu wybranego ślepo z pozostałej puli. Ręka chłopca chwiała się niezdecydowanie nad płytkami rozrzuconymi na stole. Wszystkie tyły pokryto warstwą czarnej farby i na oko wyglądały zupełnie jednakowo. W rzeczywistości drobniutkie rysy tworzyły na nich ledwo dostrzegalny wzorek, rozpoznawalny dla właściciela. Zanim jeszcze chłopak odsłonił wybrany atut, Rzemień już domyślał się, co jest na odwrocie. I nie mylił się — na stole legła Wichura. Głowy widzów pochyliły się ciekawie z pomrukiem aprobaty. Pызaty chłopak miał szczęśliwą rękę. Rozgrywka zapowiadała się na dłuższą niż kilka minut i bardziej interesującą. Rzemień zaproponował wymianę Tarcz i dobranie. Jego przeciwnik rzucił okiem na szton sąsiada i potrząsnął głową odmownie. Światło układało się niekorzystnie na rewersie atutu, więc Rzemień nie był pewien, co przypadło mu w udziale. Jednak reakcja przeciwnika dawała do zrozumienia, że nie jest to figura warta zbyt wiele.

Rozgrywka trwała. Rzemień często wygrywał drobne sumy, chłopak naprzeciwnko zgarniał za to wyższe stawki i weteran subijat z niemałą irytacją zdał sobie sprawę, że powoli traci pieniądze na rzecz tamtego dzieciaka. Niewiarygodne, ale wyglądało na to, że grubasek jest lepszym graczem od Rzemienia. W każdym razie na tyle błyskotliwym, by podpuszczać przeciwnika, mamić go, nie niepokojąc zanadto. Rzemień zgrzytnął dyskretnie zębami i napiął uwagę. Przez chwilę grał niedbale, jakby partia znudziła go, a jednocześnie obserwował, co wystawia rywal i gdzie wędrują jego ręce w poszukiwaniu korzystnych figur. Kiedy pyzaty w odpowiedzi na drużynę złożoną z Najemnika, Poganiacza Bydła, Uczonego i Konia, wystawił Pielgrzyma, Gwardzistę, Lamparta i Dzikusa, którego zdecydował się odwrócić — instynkt Rzemienia podniósł ostrzegawczy wrzask. Rywal miał szczęśliwą rękę — nazbyt szczęśliwą, jeśli wziąć pod uwagę, że grał cudzymi sztonami. Albo był geniuszem subijat, albo zachodziła inna możliwość... Niespodzianie Rzemień przechylił się przez stół i chwycił przeciwnika za oba nadgarstki, ściskając mocno.

— Przytrzymajcie mi go, panowie — wycedził, z zadowoleniem obserwując, jak z twarzy chłopaka odpływa krew. — Chciałbym sprawdzić, z kim naprawdę mam do czynienia.

Co najmniej pięć par rąk opadło na kark i ramiona szarpiącego się młodzieńca. Rzemień teatralnym gestem szeroko otworzył mu koszulę na piersiach. Tak bardzo był pewien, że znajdzie tam charakterystyczny tatuaż, że jego brak ogromnie go zaskoczył. Podejrzliwie poskrobał paznokciami skórę chłopaka, węsząc oszustwo w postaci choćby warstwy farby. Niczego nie znalazł.

— Co...? — wyrwało mu się mimowolnie.

— No właśnie: co? — spytał ze złością krąglolicy gracz. — Liczysz mi włosy na piersiach? Urwałeś mi zapinkę! Myślałem, że tu się gra uczciwie!

Jego twarz zaczęła pokrywać się dla odmiany rumieńcem gniewu. Speszeni napastnicy puścili go, a ktoś nawet usiłował ukradkiem wygładzić jego zmięte

ubranie. Chłopak nie był magiem, nie wykorzystywał nadnaturalnych zdolności, był więc najwyraźniej lepszym graczem od Rzemienia, a to znaczyło, że zasługuje na szacunek. Weteran subijata z trudem przepchnął przez gardło krótkie przeprosiny:

— Najpokorniej proszę o wybaczenie. Stałem się zbyt zadufany i bogowie pewnie postanowili to zmienić.

Nadaśany młodzieniec poprawił odzienie. Skinął głową i strzepnął palcami na znak wybaczenia.

— Chciałbym jednak coś zaproponować — ciągnął Rzemień, a w jego oczach pojawił się zły błysk. — Pojedynek o wszystko. Wszystko, co mamy przy sobie. Wyjawszy ubranie oczywiście.

— Na pewno nie mam tyle, by wyrównać twoją stawkę — odparł chłopak, a w jego głosie dało się wyczuć wahanie. Ryzyko było ogromne, ale propozycja kusila — zwycięzca wzbogaciłby się znacząco. Wiadomo było, że Rzemień w ten sposób próbuje uratować zarówno twarz, jak i sakiewkę; choć z drugiej strony... gdyby przegrał...

— Dobrze — powiedział młodzieniec z nagłą determinacją. — Ale zagramy inną armią.

Rzemień zgodził się. Sam miał zamiar to zaproponować. Z tym, że podane mu pudełko z atutami należało do innego starego wyjadacza subijata i znał je równie dobrze, jak własne.

Obaj przeciwnicy ceremonialnie obliczyli swoje długi. Sześć sztuk srebra powędrowało do ręki masywnego chłopaka.

— Właściwie uprzejmie by było, gdybyś się przedstawił — odezwał się Rzemień, tonem, jakby nieszczególnie mu na tym zależało. — Ja jestem Rzemień, choć może już o tym wiesz.

— Wiem — usłyszał krótką odpowiedź. — Obuch, syn Żelaznego.

— Ród kowali, co?

— Yhm...

W trakcie tej wymiany zdań obaj mężczyźni opróżniali kieszenie i szarfy, kładąc swoje rzeczy na blacie stołu. Znalazły się tam więc zaskakujące przedmioty, jednocześnie dające pewne pojęcie o gustach właścicieli. Oprócz srebra i kilku złotych monet należących do Rzemienia, garści miedziaków i kawałka bursztynu z muchą legły obok siebie: składany nóż z kościaną rękojeścią, mosiężny amulet w kształcie penisa, krzesiwo, sztylet, trzy porcje odurzającego proszku, zawinięte starannie w papierki, garść kolorowych kulek do gry i kawałek stalowego drutu. Oraz kilka innych drobiazgów trudnych do identyfikacji, które biorą się nie wiadomo skąd w kieszeni każdego człowieka.

— Nie spodziewałem się, że mógłbym wygrać zabawkę — powiedział z kpina Rzemień, biorąc w dwa palce szklaną kulkę.

— Nie myślałem, że komuś potrzebne może być coś takiego — nie pozostał dłużny syn kowala, wskazując na metalowy członek.

— Zaczynamy więc — burknął Rzemień i usiadł na dawnym miejscu.

Obuch poszedł za jego przykładem. Jeden ze świadków pomieszał i rozłożył atuty ślepą stroną do góry.

— Dwa rozdania — zaproponował Obuch.

Mistrz subijak zgodził się. Wystarczyłoby chyba jedno, lecz należało podtrzymać iluzję czystej gry. Szybko wyłuskał z puli sztonów Gladiatora, Uczzonego, Damę i Jelenia, jako tarczy użył żywiołu Wody. Przeciwnik wyciągnął i wyłożył Żołnierza, Maga, Dworzanina i Lamparta, a jego tarczą stała się znowu wybrana Wichura. Rzemień zacisnął szczęki, aż zabolalo go za uszami. Naturalnym zagranem przy uzyskanej równowadze było sprawdzenie Tarcz. Z tym, że Wichura i Woda miały identyczną wartość. Wygrałby, posiadając Ziemię lub gdyby tamtemu przypadł na przykład Ogień. Rzemień czuł się jak człowiek, który nagle odkrywa, że właśnie spaceruje po trzęsawisku. Śnił mu się koszmar na jawie. Cała sprawa zakrawała na piekielny cud lub perfidne oszustwo, którego nie mógł dowieść. Ukradkiem zrobił pod stołem kilka gestów odczyniających uroki, po czym postanowił radykalnie zakończyć swoje upokorzenie.

— Chcę pojedynczej walki na atuty — rzekł pozornie całkowicie spokojnie. — Jeden na jeden.

Rywal ledwo na niego spojrział — skupiony, zamknięty w sobie, jakby wkładał w tę partię całą duszę. Zapewne zresztą tak było.

— Ja wybieram pierwszy. — To nie była prośba. A Rzemień, ku własnemu zdumieniu, nie zaprotestował.

Szeroka, silna dłoń zawisała nad stołem, zataczając małe kręgi. Obuch zastanawiał się długo, nieświadomie torturując przeciwnika w straszny sposób. Wreszcie szybkim ruchem podjął drewnianą płytkę. Rzemień zamknął na moment oczy. To była klęska. W jednej chwili pławił się w blasku chwały mistrza nad mistrzami, a już w następnej był bezlitośnie mordowany przez obcego przybysza, w dodatku młodszego od siebie o połowę. Jeszcze zanim tamten odwrócił wybrany atut, Rzemień wiedział, co jest po drugiej stronie. Sięgnął na chybił trafił po swój szton i nie patrząc, położył go przed zwycięzcą. Potem wstał i odszedł od stołu, krokiem śmiertelnie zmęczonego człowieka. Milczący, oszołomiony krąg obserwatorów rozstał się przed nim, a byli wielbicieli odprowadzali go wzrokiem, w którym na równi zmieszane było zdumienie, niepokój i wzrastające lekceważenie. Zwycięzca został sam. Przed nim leżał wciąż zakryty jego własny atut i figura Rzemienia, przedstawiająca Kamiennego Olbrzyna. Rozejrzał się po widzach, po czym odwrócił swoją płytkę, pokazując im to, przed czym upadł wytrawny gracz — kobietę w zielonej sukni, z kotem i koziołkiem u stóp.

* * *

Nikt już nigdy nie spotkał Rzemienia w Podzamczu, choć wielu miałoby ochotę go odnaleźć. Zniknął tak nagle i gruntownie, że zaczęto mówić o jego samobójstwie. Opowieść o pojedynku dwóch mistrzów subijat, podawana z ust do ust, obrastała szczegółami i ozdobnikami, aż zatraciła niemal całe podobieństwo do prawdziwego zdarzenia, nabierając cech legendy. Po upływie ponad dwóch lat dotarła do uszu ogrodnika dbającego o ogród warzywny, który należał do klasztoru Służebnic Matki Świata. Powtórzyły mu ją podekscytowane dzieci mniszek. Roześmiał się, zsuwając trzciny kapelusz głębiej na czoło i klepał po rozwichrzonych czuprynach podskakującą wokół dzieciarnię.

— To niemądra historia, ale uczy przynajmniej dwóch rzeczy: nigdy nie oszukuj w grze. . . — zawiesił głos.

— A druga nauka? — pisał z przejęciem pyzaty sześciolatek.

— Nigdy nie możesz być pewien, kto jest posłańcem Bogini — rzekł z powagą ogrodnik.

* * *

Koniec opuścił gospodę cięższy o znaczną sumę w srebrze i złocie. Podziurkowane monety nawłókł uprzednio na sznurek i zawiesił wygraną na szyi pod ubraniem. Nerwy miał napięte niczym struny. Już na progu wyczuł nieprzychylnie, chciwe spojrzenia lepiące się mu do karku. Co najmniej kilku bywalców zamierzało ulżyć zwycięzcy w jego trudzie dźwigania pieniędzy. Ulica przed gospodą była oświetlona zarówno blaskiem padającym przez okna, jak i światłem dwóch lamp zawieszonych na słupkach przy wejściu. Dalej jednak zalegały mroki. Na przedprożu paru oprowadzaczy z latarniami czekało na chętnych. Koniec zaważał się, lecz po chwili namysłu skinął na jednego z przewodników. Talent mówił mu nieomylnie, że za jego plecami gromadzą się drapieżniki. Na szczęście wśród iskier ludzkich bytów wyławiał też znajomy płomyczek osobowości Wiatru Na Szczycie. Tkacz Iluzji dyskretnie ochraniał Mówcę. Choć chłopiec nie potrafił dostrzec go w pobliżu, na pewno tam był. Ale to w małym stopniu uspokajało Końca.

Latarnik zapalił swą lampę i podążył przodem, oświetlając drogę klientowi. Kołyszące się światło na krótkie chwile wydobywało z ciemności nierówności bruku, krawędzie rynsztoków, śpiące pod ścianami psy i żebraków lub przechodniów, którzy, tak jak Koniec, zaryzykowali nocny spacer w biedniejszej dzielnicy

Podzamcza. Mówca miał nieodparte wrażenie, że z każdym krokiem jego plecy poszerzają się — ba cały staje się plecami, w które za moment wbije się czyjś nóż.

Talent ostrzegł go w porę. Obrócił się błyskawicznie, przyjmując postawę obronną i sięgając po sztylet. Jeden napastnik stał przed nim, drugi zachodził go z boku. Chybotliwe światło lampy ukazywało tylko anonimowe postacie w szaroburych płaszczach i o twarzach zasłoniętych do połowy chustami.

— Dawaj pieniądze... a ocalisz głowę! — syknął bandyta, wysuwając przed siebie ostrze ruchem, jakim waż ukazuje światu rozedrgany język.

Latarnik wydał zdławiony okrzyk i obrócił się ku niebezpieczeństwu. Snop światła zamiótł okolicę. Koniec cofał się, uważnie szukając pewnego oparcia dla stóp na nierównym bruku. W tej chwili od najbliższego muru oderwało się coś, co wyglądało jak fragment cienia i ogarnęło jednego z napastników. Rozległ się suchy trzask. Zbir padł z głuchym stęknięciem, jakie wydają płuca, z których nagle wyciśnięto powietrze. Drugi zdążył zrobić tylko krok — raptowny cios w gardło powalił go na ziemię, gdzie zwinął się jak robak pod kolejnym uderzeniem, po czym znieruchomiał. Ruchliwa kolumna ciemności zamieniła się w potężnego mężczyznę, uzbrojonego w gruby kij. Latarnik wrzasnął i uciekł, udowadniając tym samym swój zdrowy rozsądek.

— Są chwile w życiu mężczyzny, gdy po prostu m u s i dać komuś po pysku — odezwał się w mroku Wiatr Na Szczycie.

Koniec wypuścił powietrze z sykiem. Napięcie opadło z niego nagle jak zsunięta z ramion opończa. Dopiero teraz odczuł całe zmęczenie po ciężkiej walce na umyśle z mistrzem subijat.

— Nie żyją? — zapytał słabo.

— Oczywiście — odparł Hajg tonem zdradzającym zdziwienie, że mogłaby zachodzić inna możliwość.

— Nie było innego sposobu?! — rzucił Mówca gniewnie. — Mogłeś sprawić, żebym zniknął... mogłeś...

— Nie bądź dzieckiem — powiedział Wiatr. — To zwykłe opryszki, zasługujące na pętlę. Zarznęliby cię bez wahania. Ocaliłem życie tobie i jeszcze paru innym ludziom, którzy jutro albo pojutrze spotkaliby tych tutaj.

— Dzięki — rzekł Koniec zmęczonym głosem. — Chodźmy już. To był ciężki wieczór. Mało nie osiwiiałem, kiedy tamten naciągacz rozerwał mi koszulę.

— Na szczęście ja byłem szybszy. Nic nie zobaczył. Dużo zgarnąłeś?

— Nigdy nie miałem przy sobie tylu pieniędzy.

Obaj mężczyźni ruszyli do domu. Jak na zawołanie na niebo wytoczył się mniejszy księżyc, oświetlając im drogę.

— Wiesz, co jest najzabawniejsze w tym wszystkim? — odezwał się Mówca.

— Hmm...?

— Ja dopiero cztery razy w życiu grałem w subijat. Cały czas utrzymywałem kontakt z przeciwnikiem, dlatego wiedziałem, jak stawiać.

- Dlatego wybrałeś najlepszego z tych hazardzistów?
— Właśnie. Im lepszy przeciwnik, tym większe miałem szanse. W rzeczywistości Rzemień przegrał z samym sobą.

* * *

Tak to właśnie się odbyło. Wróć jednak do przeszłości, by opisać, w jaki sposób doszło do misji Końca. Na to, że brakuje nam funduszy, zwróciła uwagę Srebrzanka — obdarzona tym niedocenianym przez męską rasę rodzajem cichej inteligencji i twardego rozsądku. Przywykliśmy do tego, że nieodmiennie poświęca czas dziecku oraz kuchni, i nawet chyba nieświadomie zdegradowaliśmy ją do rangi służącej. Aż pewnego ranka podała na stół cieką zupkę z rzepy. W pierwszej chwili nikt się nie odezwał. Każdy wlepił oczy we własną miskę, daremnie szukając choćby okrawka mięsa.

— *Nie ma!* — oświadczyła Srebrzanka ostro. — *Nie ma też mleka dla dziecka, skończyła się mąka i ser. Nie ma oliwy, kończy się sól... właściwie to już nic nie ma.*

— *Zostały jakieś kości?* — wtrącił Pożeracz Chmur, wtykając łeb spod stołu.

— *Nie!* — ucięta dziewczyna. — *Za, dużo jecie. Co panowie magowie zrobią w tej sytuacji?*

— *Zrobią zakupy, kochanie* — powiedział Nocny Śpiewak, chcąc ułagodzić żonę.

W odpowiedzi położyła przed nim dwa miedziaki. Bez żadnych dalszych komentarzy zaczęliśmy opróżniać kieszenie, a wtedy okazało się, że nasz wspólny majątek jest niewystarczający do przeżycia choćby dwóch dni. Srebrzanka miała rację: za dużo jedliśmy i za dużo wydawaliśmy. To ostatnie tyczyło się zwłaszcza lekkoduchów: Gryfa i Stalowego, którzy srebro rozrzucali garściami na rozmaite przyjemności. Nasze położenie utrudniał fakt, że wciąż mieliśmy status banitów i nie mogliśmy zarabiać w sposób, do jakiego nas przygotowywano, czyli magów. Także sztuczka, po którą sięgnęlibyśmy bez wahania w innym miejscu — stworzenie kilku potrzebnych sztuk srebra — tutaj była wykluczona. Miejscowe kantory wręcz obsesyjnie sprawdzały jakość waluty, która przez nie przechodziła. To świadczyło między innymi o zaufaniu (czy może jego braku), jakie ludność żywiła do magów z kasty Stworzycieli. Nad tą nieszczęsną stygnącą polewką z rzepy wybuchła zażarta dyskusja, podczas której (niestety) każdy oskarżał każdego. Dopiero interwencja Wiatru i Kowala spowodowała, że zaczęliśmy rozważać rozmaite możliwości podreperowania funduszy. Większość pomysłów miała jakieś „ale” i dopiero projekt Stalowego — bywalca tawern — by zagrać i wygrać w subijat,

spodobał się wszystkim. W tym wypadku hazard dawał okazję szybkiego, obfitego zasilenia pustej kiesy. W dodatku nie było zwyczaju wypytywania graczy o pochodzenie ani sprawdzania ich tożsamości w kancelarii Straży Miejskiej. Do subijata wymagano tylko znajomości zasad gry i posiadania pewnej sumy w gotówce. Kłótnia rozgorzała na nowo, gdy przyszło do ustalenia, kto podejmie ryzyko gry. Stalowy — pomysłodawca — oczywiście zaciekle bronił własnej kandydatury, dopóki Wiatr Na Szczycie nie utracił go jednym celnym strzałem.

— Nie nadajesz się — powiedział Mistrz Iluzji nieco sarkastycznie. — Na pierwszy rzut oka wyglądasz zbyt inteligentnie.

— Jak...? — zdumiał się Stalowy ogromnie, gdyż nigdy jeszcze nie postawiono mu tak dziwnego zarzutu.

— Wyglądasz na tego, kim jesteś pewny siebie mądrala. A jak zaczniesz wygrywać, to będą tylko dwa wyjścia — albo jesteś mistrzem subijata, albo magiem. Na mistrza nie wyglądasz...

Stalowy spochmurniał i jakby skłębł w sobie. Nie mógł znaleźć na to Żadnego kontrargumentu.

— To co, może ty byłbyś lepszy?

— Ja nie czytam w myślach — przypomniał Hajg.

— Gryf ma te same wady — wtrącił Nocny Śpiewak. — Za inteligentnie wygląda, chi, chi, chi... Ale ja się nadaję. Z taką pospolitą gębą nikt mnie nie będzie podejrzewał.

— Za, to masz za lekką rękę do pieniędzy — zaoponowała Srebrzanka.

— I wyjątkowe szczęście do ściągania sobie kłopotów na głowę. Mało rozrabiałeś przedtem w mieście?

— Zlituj się! — jęknął Śpiewak. — To było dawno temu. Skończyłem już dwadzieścia lat, chyba można mi zaufać?

— Zaufam ci, jak skończysz drugie dwadzieścia — zakończyła Srebrzanka.

Zniechęcony Śpiewak przewrócił oczami.

— Ach, dlaczego porzucono piękną tradycję bicia krnąbrnych żon! — poskarżył się w przestrzeń, za co otrzymał prztyczka w ucho.

Śledziłem te przekomarzania jak zwykle za pośrednictwem Pożeracza Chmur, dziwiąc się jednocześnie, dlaczego nikt nie wskazał kandydatury oczywistej. Do stołu subijata musiał zasiąść ktoś bystry, rozsądny, a jednocześnie niepozorny. Po odrzuceniu tych, którzy nie umieli czytać w myślach oraz głów zbyt „gorących”, pozostawał Koniec — kandydat idealny. Nikogo nie wskazał do tej pory może właśnie dlatego, by nie zrobić mu przykrości. Koniec bowiem nie miał w sobie prawie nic z typowego wyglądu maga — takiego jak w obiegowych wyobrażeniach. Koniec był niski, przysadzisty, miał krągłą twarz z osadzonymi w niej małymi oczkami o nieco cielecym spojrzeniu. Nic bardziej mylnego — za fizjonomią prostaczka krył się żywy umysł i mistrzowski talent Mówcy. Ostatecznie wskazałem Końca jako jedyne go możliwego pretendenta, a Wiatr Na Szczycie zaofiarował się chronić

go dyskretnie podczas wyprawy, gdyż znalazł za dobre możliwości rzezimieszków z krętych zaułków skromniejszych dzielnic Podzamcza.

* * *

Gdy Strażnik Słów odczytał raport informatora, który codziennie dostarczał najświeższe wiadomości z miasta, nie wywołał tym żywszego zainteresowania. Na prywatnej liście Żółwi już od trzech lat pierwsze miejsce zajmowała sensacja o uduszeniu i częściowym spożyciu w potrawce piętnastoletniego kochanka konsula Omarnayu. Zarówno mordercą, kucharzem, jak i smakoszem był sam konsul. Niewiele niżej uplasowało się niespodziane lądowanie smoka w ogrodzie warzywnym Zamku Magów. Nic więc dziwnego, że relację pogromu dokonanego na dotąd niekwestionowanym mistrzu subijat przez nieznanego młodzika przyjęto z wymuszonym zaciekawieniem, mającym zaledwie usprawiedliwić branie urzędniczego wynagrodzenia.

— Dlaczego mielibyśmy sądzić, że to był niezarejestrowany talent? — spytał niechętnie jeden z magów. Reszta toczyła wzrokiem po ścianach lub wbijała oczy w stół przed sobą, kryjąc szczere zdudzenie. Jeden realista ukradkiem czytał książkę rozłożoną na kolanach.

— Dlatego, że był za dobry. Ograć doszczętnie takiego odrzyj skórę, jak Rzemień, to już nie wystarczy mieć szczęście czy umiejętności dobrego gracza. Tu już trzeba by mieć talent.

— Ale nie miał tatuazu. . .

— Nie miał. I o to właśnie chodzi. Na Podzamczu działa nierozpoznany, niezarejestrowany i niekontrolowany Obserwator. Wykorzystuje talent na szkodę uczciwych obywateli. . .

— Ten kanciarz Rzemień był uczciwy?

— Płacił podatki, jeśli o to chodzi. Ma prawo do ochrony interesów. A my powinniśmy pilnować swoich. Nie muszę wam chyba, panowie, tłumaczyć jak dzieciom, że nie zgłaszanie przez rodziców rozpoznanych talentów prowadzi do rozluźnienia kontroli, a brak kontroli do. . . — tu mówca zadławił się na samo wspomnienie jak gęś połykająca zbyt dużą kluskę — takich. . . incydentów, jak ten sprzed dwóch lat.

Obecni na zebraniu wymienili posępne spojrzenia. „Incydentem” nazwano tu utratę jedenastu błękitnych magów z kilku kast. Zaiste — incydent!

— Jak on wyglądał? Czy wiadomo, jak się nazywa? — padły nieuniknione pytania. Jeśli miano wysłać gończych za dzikim talentem, te informacje były kluczowe.

Przewodniczący zacytował z pamięci odpowiedni ustęp z przypisu do raportu:
— Młody mężczyzna lat około dwudziestu. Włosy czarne, proste i krótkie. Oczy małe, ciemne — czarne lub ciemnobrązowe, czoło raczej niskie, nos krótki, prosty, twarz okrągła bez zarostu. Wzrost niski, mocna budowa ciała, ubiór skromny, niewyróżniający się niczym. Przedstawił się jako Obuch syn Żelaznego. Sugeruje to rodzinę zajmującą się kowalstwem.

— Ale równie dobrze mógł podać fałszywe imię.

— Owszem, ale jego wygląd świadczył, że jest silny i przyzwyczajony do ciężkiej pracy. Trzeba sprawdzić rejestry, czy mamy jakiegoś kowala w okolicy, odpowiadającego opisowi. A ponadto dać znać straży miejskiej, że poszukiwany jest człowiek o takiej powierzchowności.

— Pod zarzutem...?

— Obraza majestatu, nielegalne posiadanie niewolnika, jakieś głupstwo, cokolwiek... Brak wam wyobraźni, panowie, czy co? I żeby go przypadkiem nie pobili! Mamy zyskać tego człowieka, a nie stracić! Szanowny pan Oset się tym zajmie. I na tym kończymy. Dziękuję za zaangażowanie — ostatnie słowa zamierzenie nasycone były ironią.

Wszyscy obecni zaczęli opuszczać salę przy akompaniamencie westchnień ulgi. Bierność Strażników Słów, trafnie nazywanych potocznie Żółtami, brała się z samego jądra ich talentu. Obdarzeni pamięcią absolutną — z upływem lat nabierali coraz większego wstrętu do ładowania się byle jaką sieczką informacyjną. Woleli przebywać w zaciszu bibliotek lub sycić umysł miłymi widokami kwitnących ogrodów, niż babrać się w nudnych i brudnych sprawach administracyjnych ocierających się czasami wręcz o szpiegostwo. Przełożony zamkowych Strażników Słów, sam obciążony niewdzięcznym zadaniem przez Radę, dręczył z kolei własnych podwładnych bez żadnej przyjemności, po to tylko, by nie być osamotnionym w nieszczęściu.

Podczas gdy zwierzchnik opisywał domniemanego posiadacza dzikiego talentu, czytający w ukryciu mag z nudów zaczął bazgrać kawałeczkiem grafitu po wewnętrznej stronie okładki. Z namysłem przyjrzał się swemu dziełu, drgnął lekko, jakby uderzony jakimś nagłym skojarzeniem, po czym bez słowa zamknął książkę. Po zakończeniu zgromadzenia natychmiast skierował się w okolice Wieży Wschodniej, gdzie w galeriowym budynku rezydował Stworzyciel Grzywa. Na drzwiach jego pracowni nieodmiennie od lat wisiała karta z napisem: „Najlepszy chirurg na tym piętrze. Cuda wykonywane od ręki. Rzeczy niemożliwe z opóźnieniem jednodniowym”.

— Witam. Znów ząb? — odezwał się Stworzyciel na widok znajomego Strażnika Słów.

— Nie. Jestem zdrow. Chciałbym, żebyś rzucił okiem na to. — Mag otworzył książkę i pokazał Grzywie rysunek. — Narysowałem to według ustnego opisu. Wydaje mi się, że widziałem już kiedyś tę twarz.

— „Wydaje mi się” — to bardzo nikła podstawa, nawet dla Żółwia. Kto by to miał być?

— Według Starego: niezarejestrowany dziki talent, który właśnie objawił się w dzielnicy portowej. A według mnie: jeden z tych, którzy wymknęli się Kręgowi. Miał takie śmieszne krótkie imię — Koniec. Widziałem go kilka razy w bibliotece. Te same cechy twarzy. Wiek by się zgadzał — gdyby żył. Po Zamku krążą różne plotki o tamtej sprawie. Podobno byłeś w coś zamieszany. Co o tym sądzisz?

— O czym? — spytał Grzywa, przypatrując się szkicowi. Jak na jego gust, denerwująco przypominał oryginał.

— O rysunku — odpowiedział cierpliwie Strażnik.

— Jakim rysunku? — Grzywa dmuchnął na stronicę.

Drobny proszek grafitowy sfrunął na podłogę. Mag przetarł kartkę dłonią, po czym oddał książkę rozmówcy — nieskalanie czystą.

— Rozumiem, że nie popierasz góry — rzekł Strażnik.

— Ani ty, skoro przyszedłeś z tą bazgraniną do mnie, a nie do Klingi.

— Racja. Co on ma na ciebie?

— To bardzo niedyskretne pytanie, panie Chmura. A co on ma na ciebie, czy odpowiesz?

— Dokumenty podważające prawo mojej rodziny do ziemi. Katastrofa, gdyby zechciał ich użyć.

— No cóż. . . A mnie umarł pacjent na stole. Podpadam pod podstawowe prawo: wykorzystanie magii na szkodę człowieka i tak dalej. . . Klinga od lat kolekcjonuje cudze przewiny jak paciorki w naszyjniku. Ciekawe, ilu z nas ma już tak nanizanych na swoim sznurku, gad jeden.

— Przypuszczam, że wielu. Rada Magów to farsa — w rzeczywistości rządzi on jeden. Wszyscy życzą mu nagłej śmierci.

— To by się dało zrobić, jak mniemam.

— Zabezpieczył się, drań. Cały rejestr wypłynie na wierzch w razie jego podejrzanego zejścia.

Grzywa westchnął.

— Dziękuję za szczerość, Chmura. Na razie możemy chyba tylko jedno — nie ułatwiać Klindze niczego.

— Ano, nie ułatwiamy. Przyszedłem tu, bo ząb mnie bolał.

— Oczywiście.

* * *

Człowiek przemawiający do psa w miejscu publicznym naraziłby się na nie-

wybredne przycinki i wymowne gesty pukania palcem w skroń. Gdyby zaś jeszcze pies mu odpowiadał — powstałoby zbiegowisko, jakiego świat do tej pory nie oglądał. Na szczęście i Koniec, i Pożeracz Chmur w wygodnej psiej postaci zachowywali rozsądną dyskrecję i gawędzili wyłącznie w myślach. Koniec chodził od straganu do straganu, wybierając jarzyny, kawałki suszonej wołowiny i małe torebki owoców smażonych w miodzie. Wszystko to lądowało w koszu, który dźwigał na ramieniu. Zadanie Pożeracza Chmur polegało na strzeżeniu owego kosza przed lepkimi palcami złodziejasków. Zdążył już mimochodem wbić dwa zęby w łydkę zbyt ciekawskiego młodziana, żywo zaintrygowanego kieszenią maga. Poza tym całkowicie bezinteresownie przepędził kota, który usiłował zwędzić masarzowi kawałek kielbasy. A teraz szedł okropnie zadowolony z siebie, trzęsąc puchatą wiechą białego ogona nad grzbietem jak zwycięski wojownik niosący na hełmie pióropusz.

„Dobry piesek” — pochwalił go Koniec.

„Nie pozwalaj sobie” — odciął się smok, ale trącił pyskiem nogę maga w geście sympatii.

Zatrzymali się przy kramie z przyprawami. Czują nos Pożeracza Chmur natychmiast zareagował na aurę korzennych zapachów unoszących się wokół nich opary znad ołtarza z ledwo ostruganych desek. Smok zaczął kichać i trzeć nozdrza łapą.

„Pospiesz się! Zakicham się na śmierć!” — zażądał stanowczo.

Koniec zdjął kosz z ramienia i postawił przy nodze, a Pożeracz Chmur położył się tuż przy bagażu, zakrywając pysk łapami. Na straganie leżały w barwnym nieładzie pęczki korzeni imbiru, kłaczka cukrowca, żółte kuleczki palącej przyprawy bairr, czerwone pomarszczone płatki słodko-kwaśnego kwiecica asjus oraz dziesiątki innych tajemniczych zawiniątek, zawierających zioła o wymyślnych nazwach i smakach trudnych do zniesienia dla nienawykłego języka. Koniec wachał, próbował drobin przypraw, targował się wprawnie o każdą rzecz osobno, aż kramarz docenił jego umiejętności i zaczął traktować wręcz familiarnie. Pożeracz Chmur cierpiał w milczeniu, gotując się wewnątrz ze złości i starając się oddychać jak najpłycej, bo potworna mieszanina zapachów wręcz lepiła się do jego sierści i szorowała wnętrze nosa i gardła. Zajęty w ten sposób zwrócił uwagę na człowieka śledzącego Mówcę dopiero wtedy, gdy ten już stał za plecami maga.

— Obuch, syn kowala Żelaznego?

Koniec, targujący się właśnie ze sprzedawcą, zamilkł w pół słowa i odwrócił powoli głowę do mówiącego.

— Taak... — rzekł z wahaniem. — O co chodzi?

Przybysz wyglądał dość przeciętnie. Zielona, lekko sprana tunika przepasana szarą takiego samego koloru, tanie pończochy i rzemieńne sandały. Tylko spojrzenie na jego ręce przekonało Końca, że ów człowiek raczej nie pracuje zbyt ciężko.

— Ktoś chce z tobą porozmawiać — odezwał się tamten.
— Ale ja nie chcę! — uciał Koniec stanowczo.
„Mam go użreć?” — spytał Pożeracz Chmur ze złośliwym błyskiem w oku, na nowo pełen gorliwości.
„Poczekaj jeszcze chwilę” — powstrzymał go Mówca, a do przybysza zwrócił się chłodno:
— Nie rozmawiam z obcymi, nie mam życzenia przebywać w pana towarzystwie, żegnam.
Mężczyzna uśmiechnął się ironicznie.
— Ale życzenie takie ma ktoś stukrotnie ważniejszy od ciebie, kowaliku, więc radzę tak grzbietu nie przeżyć, bo ci go kto przetrąci.
— A któż taki? — nieufnie zapytał Koniec, jednocześnie rozwijając ścieżkę ku umysłowi rozmówcy. Czyżby jakiś znajomek pognębnego Rzemienia? Człowiek ten jednak nie był bynajmniej nasłanym nożownikiem, który miał nastraszyć Końca i nakłonić go do oddania wygranej. Rzeczywistość okazała się znacznie czarniejsza — talent Mówcy niespodzianie trafił na emanację pokrewnych zdolności. Jego rozmówca okazał się Obserwatorem! W dodatku z jednej i z drugiej strony już nadeszli dwaj jego przyboczni — straż w skórzanych półpancerzach i mosiężnych hełmach z błękitnym piórem.
— Bierz go! — wrzasnął Koniec i Pożeracz Chmur natychmiast rzucił się ze złowrogim warkotem do nóg przybysza. Ten uskoczył z przekleństwem, a smok niesiony impetem wyrzwał nosem w nagolennik strażnika. Bez namysłu wbił kły w nowy cel. Zęby omsknęły się na twardej osłonie, więc natychmiast poprawił chwyt, sięgając wyżej, by zanurzyć je aż po dziąsła w mięśniach tuż nad kolaniem. Zaatakowany zawył z bólu, przewrócił się na ziemię. Lewą ręką szarpał niezdarnie napastnika za zjeżone futro na karku, drugą szukał rękojeści krótkiego miecza.
Jednocześnie Koniec rąbnął z krótkiego zamachu w żołądek Obserwatora, po czym rzucił się do ucieczki, gnany krzykiem drugiego gwardzisty, wyraźnie obdarzonego dobrym refleksem:
— Złodziej! Złodziej! Łapać złodzieja!
Ktoś usiłował zagrozić Mówcy drogę, ale natychmiast zatoczył się w tył, zalany krwią z rozbitego nosa. Koniec torował sobie drogę w tłumie, bez pardonu używając pięści i łokci. Zostawiał za sobą długi szlak zlorzeczących ludzi, przewracanych skrzynek i koszy. Za nim uparcie brnęli strażnik i mag — ten drugi wiedziony świecą jak pies gończy zapachem.
Pożeracz Chmur puścił swą ofiarę dopiero wtedy, gdy żołnierz uderzył go ostrzem miecza, zadając poważną ranę w kręgosłup. Smok cofnął się z bolesnym skowytom i wtedy dosięgnął go kolejny cios — czubek klingi zaczepił o przednią łapę. Ranny — wczołgał się pod stragan z przyprawami i kolejne uderzenie miecza zabrzączało tylko na bruku.
— Przeklęty kundel!! Niech to zaraza! Co się tak gapisz, daj jaką szmatę,

bo się całkiem wykrwawię! — wrzasnął strażnik do sprzedawcy, który gorliwie wyszarpnął spod lady kawałek szarego płótna i splątane sznurki, służące mu do związywania sprzedawanych korzeni. Z pomocą sprzedawcy gwardzista sporządził prowizoryczny opatrunek — psie zęby zostawiły na jego nodze potężne szarpane rany, sięgające kości i ścięgien. Oddalił się wsparty na ramionach życzliwych przechodniów, nie dbając już ani o uciekiniera, ani o psa. Rana wykluczyła go z pościgu, czego dowód zostawiał za sobą na bruku w postaci krwawych odcisków podeszwy.

Zaszokowany wydarzeniami kramarz zajrzał pod ladę, spodziewając się ujrzeć psiego trupa lub wyszczerzoną groźnie paszczę. Zamiast tego zobaczył własne dziecko, gładzące zmierzwioną sierść rannego zwierzęcia, które lizało na przemian łapę i głęboką ranę u nasady grzbietu.

— Jaki on biedny, ojczulku! — zawołał chłopczyk z przejęciem.

— Boli go! I zobacz, jaki ładny, jaki bielutki!

Pies był co prawda obecnie szary od kurzu, a gdzieniegdzie czerwony od krwi, ale w oczach dzieciaka i tak stanowił cud objawiony. Kramarz westchnął, wyciągnął kolejny kawał szmaty, by owiazać psie rany. Pies, pojękując, przeczołgał się spod kramu do sieni domu sprzedawcy. Chłopczyk przyniósł miskę z wodą i postawił obok rannego.

— Więcej mu nie trzeba — burknął sprzedawca korzeni. — Albo się wyliże, albo zdechnie. Medyka do kundla wołał nie będę. A ty strąki łuskaj! Robota czeka!

Dziecko posłusznie zasiadło przy misce z fasolą, zerkając co rusz na leżące w cieniu przedSIONKA stworzenie. Malec jednak nie mógł pilnować swego podopiecznego w nieskończoność. Minęło parę godzin. Kiedy wrócił po spełnieniu któregoś z kolei polecenia ojca, po psie zostało tylko kilka plamek zastygłej krwi.

— Lepiej mu się zrobiło i poszedł sobie — pocieszył ojciec zapłakanego chłopca, choć sam był pewien, że pies po prostu wykrzesał z siebie ostatnie siły, by schować się w jakimś zakamarku i spokojnie zdechnąć bez świadków.

* * *

Koniec zmylił pogoń, wpadając między zabudowania portowe, gdzie ciągnęły się nieregularne rzędy składów, przybudówek do magazynów i przybudówek do przybudówek. Miał nadzieję przycząić się gdzieś między pakami i workami, przeczekać chwilę, by potem — nie narażając już na niebezpieczeństwo przyjaciół — przedostać się do domu Kowala. Sam jednak przyznawał, że usiłuje oszukać samego siebie. Jeszcze pół minuty temu słyszał za sobą tupot pary butów i jeśli nawet

zniknął tymczasowo z oczu ścigających, to odnalezienie go przez Obserwatora było kwestią bardzo krótkiego czasu. Nie mógł przecież przestać myśleć! Unikał, jak tylko się dało, robotników pracujących w magazynach, lecz i tak kilka razy spoczął na nim wzrok już to nadzorcy liczącego worki, już to któregoś z najemników szuflujących zboże. Dostał się do wnętrza składów za pomocą sztuczki najprostszej w świecie — ugięty pod ciężarem wora z ziarnem. Dozorca liczący towar nie zwracał najmniejszej uwagi na ludzi. Ważne, by zgadzała się ilość zadeklarowanego ładunku ze stanem faktycznym. Koniec zrzucił swe brzemienie w odpowiednim miejscu, lecz miał zawrócić w szeregu ludzkich mrówek, poszedł w głąb składu. Z części wydzielonej do przechowywania zboża przedostał się małymi drzwiczkami do bliźniaczej zabudowy, gdzie stały piramidy skrzynek i leżały wielkie bele bawełny. Wcisnął się w szczelinę między miękkim murem tkaniny a drewnianą ścianką działową i postanowił przeczekać. W wąskiej smużce światła padającego ze szparki w ścianie unosiły się miliony drobinek kurzu. Pachniało intensywnie włóknem bawełnianym i spróchniałym drewnem. Spod fałdy materii wysunął się na moment spiczasty pyszczek myszy, paciorkowate ślepka zmierzyły chłopca przestraszonym spojrzeniem. Koniec zamknął oczy i wyobrażał sobie ciemność. Był pewien, że nie da mu to całkowitej ochrony przed tropicielem Kręgu, ale miał nadzieję, iż zmaćci go przynajmniej na krótki czas. Jakoż niebawem usłyszał głos maga, wytłumiony przez zalegające wszędzie sukno.

— Nie bój się! Nic ci nie zrobię!

Oczywiście milczał, koncentrując się na ciemności pod powiekami.

— Co za dzikus! Naprawdę, nie chciałem cię przestraszyć. Czuję twój talent. Ho, ho! Całkiem niemały! Mag przecież nie skrzywdzi maga. Chcę tylko porozmawiać! To Krąg mnie przysłał, nie wierzysz? Czemu nie zgłosiłeś się sam? To wielki zaszczyt być członkiem Kręgu. Na pewno lepiej być magiem niż kowalem, sam pomyśl... Wolisz machać młotem do końca życia?... Nie bój się, wyjdź, nic ci nie zrobię...

Obserwator mówił bez przerwy, nie zwracając szczególnej uwagi na sens wypowiedzi. W obliczu jego wcześniejszej arogancji obecne umizgi brzmiały co najmniej trochę fałszywie. Po chwili do uszu Końca dotarł szept maga, skierowany do gwardzisty:

— Jest gdzieś tutaj, całkiem blisko. Siedzi jak w norze i próbuje przeczekać. To my też zaczekamy. Bądź cicho!

Fakt — całkiem blisko. Końca od tamtych dwóch dzieliła tylko ściana bawełnianych zwojów. Obserwator zamilkł i cisza przedłużała się. Koniec ostrożnie nawiązał kontakt z umysłem żołnierza. Gdyby go tu nie było! Obserwator nie miał broni. Układ jeden na jednego wyrównałby szanse Mówcy. Gwardzista chodził po magazynie, zaglądając między paki i sondując ostrzem miecza wolne przestrzenie między belami. Na razie nie przyszło mu do głowy przejść na tę stronę, po której czaił się Koniec. A gdyby go jakoś wywabić?

Niespodzianie w głowie strażnika uformowało się polecenie: „Stań przy wejściu. Odetnij mu drogę powrotną”. Mężczyzna potrząsnął głową, usiłując się pozbyć uczucia niemiłego zaskoczenia. Otworzył usta, chcąc uzyskać potwierdzenie rozkazu, ale zrezygnował, związany wcześniejszym żądaniem zachowania ciszy. Obserwator był akurat odwrócony plecami do niego i przyglądał się wielkiej skrzyni zbitej dość niedbale z tarcicy. Żołnierz oddalił się na wyznaczony posterunek, tracąc maga z oczu. Ostatecznie nie należało dyskutować z władcami Zamku, tylko ich słuchać.

Tymczasem Koniec przycisnął twarz do desek i otworzył oczy.

„Dlaczego nie dasz mi spokoju?” — przekazał bezpośrednio do Obserwatora.

Wyczuł nagły wzrost podniecenia swego prześladowcy. Tamten był pewien, że już tylko krok dzieli go od schwytania zdobyczy.

Jesteś cennym nabytkiem dla Kręgu. W dodatku Mówca, a może nawet więcej. . . ?” — odpowiedź była natychmiastowa.

„Nie chcę być nabytkiem. Mam rodzinę”. — Koniec zignorował zawołane pytanie o rodzaj talentu.

„Cóż to przeszkadza? Nie ucieszą się z twego awansu?”

„Nie. Ojciec potrzebuje mnie w kuźni. Mamy długi”.

„Wydaje mi się, że coś kręcisz”.

„Nie chcę być magiem. Prawie wcale nie znam się na czarach. To tylko takie sztuczki. Ja nic nie umiem, nawet pisać”.

„Nauczymy cię”.

„Nie potrzebuję. Gdzie mój pies?”

Obserwator pilnie przeglądał stosy skrzyń, zwiedziony przechwyconą wizją sękatych deseczek. Ów kłopotliwy magiczny narybek musiał siedzieć gdzieś tutaj.

„Nie podchodź!” — tym razem przekaz młodego Mówcy był nasycony intensywnym uczuciem lęku.

Obserwator tryumfalnym gestem odrzucił na bok pusty worek, zakrywający prześwit między dwiema pakami, spodziewając się znaleźć tam uciekiniera. Niestety, rozczarował się. W tej samej chwili zwałił się ze zdławionym stęknieniem na ziemię, ogłuszony ciosem w tył głowy. Przez moment Koniec stał nad ciałem przeciwnika, zaciskając zęby i skręcając się w milczeniu z bólu. Włożył w to uderzenie całą siłę, a teraz najmniejszy palec u prawej ręki pulsował intensywnie — złamany lub wybity ze stawu.

— Co tam się dzieje? — dobiegł z okolic drzwi zaniepokojony głos strażnika.

„Skrzynia się obsunęła- Nie hałasuj, bo go nie usłyszę!” — przekazał Koniec. Strażnik zamilkł posłusznie jak zakneblowany. Wciąż był pewien, że przyjmuje rozkazy od wysłannika Kręgu. Koniec z niesmakiem pokręcił głową nad leżącym magiem. Był przekonany, że tamten ma czarny tatuaż Kręgu i bardzo niską rangę. Zresztą, czy kogoś wartościowego wysłano by do tak niewdzięcznego zadania jak tropienie kmiotka po miejskich zaułkach?

„Gdybym ja był egzaminatorem, tobyś u mnie nie zdał, szanowny panie” — pomyślał Koniec z pogardą. Żaden z jego czytających w myślach przyjaciół nie dałby się nabrać na tak prymitywną sztuczkę, jak utrwalenie obrazu w umyśle i działanie pod tą nakładką. Fortel był na poziomie szkolnych zabaw w chowanego i Koniec usprawiedliwiał swój brak pomysłowości jedynie stresem.

Przedostał się wążutkiem przejściem między skrzyniami do kolejnych drzwi (magazyny były tu zbudowane szeregowo), a z następnej hali już bez przeszkód wyszedł na nadbrzeże i spokojnym krokiem udał się do domu nie zaczepiany przez nikogo. Nim zdyscyplinowany gwardzista zdecyduje się zejść z posterunku i znajdzie nieprzytomnego Obserwatora, minie trochę czasu. O jednym Koniec był przeświadczony — jeszcze tego samego dnia rozpętać się miała tutaj nielicha magiczna nawałnica i jutro nie powinno być w mieście nikogo z członków Drugiego Kręgu.

* * *

Opowieść Końca wywołała zrazu reakcję podobną do tej, jaką uzyskuje się chlusnąwszy wrzątkiem w mysie gniazdo. Takie przynajmniej skojarzenie miał Winograd, który był kiedyś świadkiem (pierwszy i ostatni raz) takiej operacji. W domu Kowala zakotłowało się. Przestraszeni ludzie biegali po pokojach, zbierając swoje rzeczy, wymieniając zniżonym, pełnym napięcia głosem złowieszcze proroctwa, lamenty i wzajemne oskarżenia w rodzaju „to był twój pomysł”. Niepokojono się również o Pożeracza Chmur, który po bójce na targowisku przepadł jak kamień w wodę. Nie powrócił razem z Mówcą, więc obawiano się, że mogło mu się stać coś złego. Najspokojniej podchodził do tego Kamyk, oglądający właśnie palec młodego maga, a zaraz po nim sam pacjent — za bardzo go bolało, aby miał zajmować myśli jeszcze czymś innym.

Spuchł, ale nie jest złamany — zawyrokował Kamyk, który już niejedno złamanie i zwichnięcie oglądał, gdy pomagał przybranemu ojcu w praktyce medycznej. Nie bawiąc się w żadne ceregiele i nie uprzedzając Końca, szarpnął, ustawiając staw we właściwej pozycji.

Mówca wrzasnął i odruchowo przycisnął rękę do brzucha.

— Następnym razem nie wal pięściami, bo połamiesz palce — pouczył go Wiatr Na Szczycie, przyglądający się z boku. — Bije się łokciem albo kantem dłoni.

— Wiem. Łobuz był za wysoki i stał w niekorzystnej pozycji — stęknął Koniec. — Ja się chyba po prostu do tego nie nadaję.

— Akurat. Przeciwnie, masz talent. Znakomicie sobie poradziłeś. Przymknij-

cie się choć na chwilę! — zawołał jednym ciągiem Wiatr Na Szczycie, odwracając się ku reszcie obecnych. — Stalowy, co tak się miotasz, ogon ci kto podpalił? Śpiewak, siadź i zacznij używać rozumu. Nogami nic nie wymyślisz! Jeszcze nikt nie chce nas aresztować i myślę, że nic się nie stanie co najmniej do jutra.

— Nikt mnie nie śledził. Nie będę już pokazywał się na ulicy, a reszta jest w miarę bezpieczna — dodał Koniec.

Tego im właśnie było trzeba — sprowadzenia problemu do przeciętnych rozmiarów. Niemal natychmiast odzyskali zdolność logicznego rozumowania i zaczęli metodycznie przygotowywać się do opuszczenia gościnnego domu Kowala. Sam gospodarz opierał się o ścianę, skrzyżowawszy ramiona na piersi i smutnym wzrokiem patrzył na tę krzątanicę. Ledwo los zwrócił mu cudem ocalonych uczniów, a znów ich tracił. Tym razem jednak spoglądał w przyszłość z większym optymizmem.

— Pusto znów tu będzie — westchnął.

— Ale luźniej — odparł Wiatr Na Szczycie. — I tak nie moglibyśmy zostać na zawsze. Przynajmniej teraz masz w domu większy ład.

Podobnie jak Kowal ścianę podpierał także Diament. Kiedy zwrócono mu uwagę, że mógłby się w końcu na coś przydać, zaczerpnął głęboko tchu i rzekł ze stracenią odwagą:

— Ja zostaję.

Równie wielkie wrażenie zrobiłby, podcinając sobie na przykład publicznie gardło. Po jego słowach umilkli i znieruchomieli wszyscy obecni. Srebrzanka z Jagodą zaintrygowane nagłą ciszą wyjrzały z sąsiedniego pomieszczenia.

— Co się stało?

— Diament oszalał — mruknął Gryf.

— Nie oszalałem — zaperzył się Wiatromistrz. — Bitewny powiedział...

— Aha, to jakiś Bitewny teraz jest ważniejszy od nas — przerwał mu Obserwator.

Diament zaczerwienił się aż do granicy włosów, po czym gwałtownie pobladł.

— A do czego ja jestem wam potrzebny? Kiedy chcesz wiedzieć, jaka pogoda, to wyglądasz przez okno! A Bitewny... Bitewny... on... no...

Biedny Diament zaczął się jękać, nie wiedząc, jak najlepiej wytłumaczyć delikatny układ, jaki zaistniał między nim a przywódcą rozbitego kryształu.

— Bitewny cię docenia — dokończył Wężownik.

— No... — potwierdził Diament tonem, w którym zabrzmiała nieco żałobna nuta. — Ja tam jestem potrzebny. Bardziej niż wam. O wiele bardziej. Przecież jestem magiem, powinienem pracować talentem, no nie?

Naga prawda. Każdy z członków Drugiego Kręgu powinien pracować talentem. Do tego stworzyła ich natura — do magii. Tymczasem okazało się, że ucieczką od sztywnych norm Kręgu równocześnie zamknęli sobie drogę legalnego sprzedawania własnych umiejętności. Nie mogli pracować dla innych i zostało

im tylko zaspokajanie własnych potrzeb.

Koniec, jak zwykle gdy nie było Pożeracza Chmur, równolegle przekazywał tok rozmowy Kamykowi.

Ma rację — nagle rozwinęła się w powietrzu wstęga Kamykowego pisma. — *Uważam, że może odejść, jeśli tego chce i potrzebuje. I to nie ma nic wspólnego z lojalnością.*

Nie? — Stalowy nie był tego pewien.

Nikt nikogo nie trzyma w Drugim Kręgu, prawda? Tu nie Zamek. Nie po to uciekaliśmy, żeby zamieniać jedne więzy na drugie. Diament znalazł miejsce w kryształach i nie powinien rezygnować z niego tylko po to, żeby wlec się z nami nadal jako wyrzutek. Pożegnamy się dziś bez żadnych wymówek i zachowamy o sobie dobrą pamięć. Szkoda tylko, że nie uprzedziłeś nas wcześniej, Diament.

Po kolei głowy obecnych zaczęły kiwać się w niemym potwierdzeniu — niektóre skwapliwie, inne mniej chętnie. Wszyscy jednak zgodzili się z Tkaczem Iluzji. Diament był dobrym kolegą, przyzwoitym chłopcem. Nie można było mu odbierać życiowej szansy z czysto egoistycznych pobudek. Wiatromistrz odprężył się ledwo zauważalnie i zaczął odzyskiwać normalne kolory.

— Przepraszam — rzekł cicho. — Chciałem powiedzieć wcześniej, ale to stało się tak nagle... Koniec, ta pogoń i w ogóle... Spotykałem się z Bitewnym od dłuższego czasu, ale on dopiero dwa dni temu zaproponował mi pracę.

— Chce zaryzykować obecność banity w zespole? — Nocny Śpiewak pragnął się upewnić. — Jak to odkryje Rada, to skończy jako wędrowny przepowiadacz pogody w najbardziej zapadłym kącie kraju.

— Przygotowuje dla mnie fałszywy certyfikat. Właśnie dlatego nie wrócił od razu do domu. Czeką na odbiór dokumentu od specjalisty.

— To musi być niełichy spec. Papier powinien wytrzymać ewentualną kontrolę nie tylko zwykłego urzędnika, ale i Stworzyciela.

— Toteż podobno robi go Stworzyciel — objaśnił Diament. — Bitewny nie chciał powiedzieć kto. Wiem tylko, że z samego Zamku.

— Ot, jak wygląda etyka naszej „śmietanki magicznej”. Dużo bierze ów artysta za taki papiererek?

— Nie wiem. Bitewny powiedział tylko, że mam się o to nie martwić, i jeszcze, że błękitny jest wart każdej sumy.

Winograd podskoczył nagle, jak ukłuty szpilką.

— Błękitny!! — wysyczał z pasją. — Ależ ty nie jesteś żaden błękitny!

— Oj! Rzeczywiście — pierwszy zrozumiał Gryf. — Zielony raczej, ale nie błękitny!

Wszyscy chłopcy opuścili Zamek Magów jeszcze przed otrzymaniem ostatecznego certyfikatu i przed dopełnieniem czarnej połówki tatuażu górnym błękitnym łukiem należnym mistrzowi magii. Krótco po przybyciu na Jaszczura wciąż

jeszcze upojeni swobodą młodzi buntownicy postanowili uzupełnić tatuaże profesji nie tradycyjnym kolorem błękitnym, lecz zielenią kojarzącą się z ich nowym domem i wolnością. Przez długi czas nosili na piersiach nową barwę tak, jak się nosi kolor oczu czy włosów — nie zajmując myśli tym faktem. Dopiero powrót na kontynent nadał temu zielonemu półokręgowi znaczenie większe niż czysto symboliczne. W razie potrzeby okazania znaku był namacalnym dowodem, że z jego posiadaczem nie wszystko jest w porządku.

Wiatr Na Szczycie wymamrotał coś o głupich pomysłach i szczenięcych protestach bez znaczenia. Zagłuszył go Nocny Śpiewak, który błyskawicznie zaofiarował się przerobić Diamentowi symbol Kręgu na uczciwy błękit, jemu i wszystkim innym, którzy tego zechcą. Dla Stworzyciela żaden wysiłek, „tyle co splunąć”, a poza tym: „kto by tam chciał całe życie być ZIELONY?”. To jakby przełamało ostatnią barierę szoku i urazy. Życzliwe ręce pomogły Diamentowi ściągnąć tunikę, posadziły w najwygodniejszym fotelu. Posypały się żarty: „to nic nie będzie bolało”, Śpiewak dziś wyjątkowo jest trzeźwy”.

Koniec dyskretnie kiwnął palcem na Kamyka, pokazując jednocześnie oczami na powalę. Wyszli niezauważeni i wspięli się aż na górny taras, gdzie mogli znaleźć nieco spokoju.

„Pierwszy dezertter” — zagaił Koniec, gdy już zamknęli za sobą kłapę i usiedli, opierając się plecami o balustradę.

Nie nazwałbym tak tego — odparł Kamyk. — Zastanów się, jak byś sam postąpił na miejscu Diamenta. Trafił główną wygraną w przypadkowym rozdaniu sztonów”.

„Fakt, ale to troszeczkę boli. Przyzwyczaiałem się do niego, zaufałem, był jak młodszy brat”.

„Wszyscy się żyliśmy przez te dwa lata. Zauważyłeś, że nawet Promień coraz mniej odstaje od reszty? Ale co z tego? Diament ma szansę na normalną egzystencję. Będzie szczęśliwszy niż z nami. Czasem mam wyrzuty sumienia, że zaciągnąłem was na Smoczy Archipelag”.

„Niepotrzebnie. Żyliśmy jak w krainie marzeń” — rzucił Koniec.

„Ale szczęście po jakimś czasie robi się nudne”.

„Fakt. Za co nie możesz winić siebie, tylko ułomną naturę ludzką. Wiadomo: sucho czy mokro — chłop i tak narzeka”.

Kamyk zaniósł się właściwym sobie, krótkim gardłowym śmieszkiem. Koniec obejrzał poszkodowaną rękę, ostrożnie zgiął i rozgiął palce. Delikatny kostny mechanizm działał, choć nadal sygnalizował, że należy go oszczędzać. Mówca zmarszczył brwi, na jego krągłą twarz wypłynął wyraz troski.

„Martwię się”.

„Czym?”

„Paroma rzeczami. W tej chwili Pożeraczem Chmur. Rozdzieliliśmy się na targowisku i do tej pory nie dał znaku życia”.

„Da sobie radę. Zjawi się i będziesz z rozrzewnieniem wspominał chwile, kiedy nie miałeś go na karku. Co jeszcze cię gryzie?”

„Kto będzie następny. Kto nam ubędzie. Wiatr Na Szczycie, gdy tylko do-
trzymamy do gór, na pewno zechce tam zostać już na zawsze. Róża mu nie popuści
cugli. Zobaczysz, że za pół roku znów będą razem. Śpiewak ma żonę i dziecko.
Prędzej czy później zapragnie się osiedlić w jakimś spokojnym miejscu. A im nas
mniej, tym słabsi będziemy. Myszka jest za delikatny na taką włóczęgę, a Jagoda
potrzebuje jakiegoś pewnego oparcia — nie obraż się, ale nie wyglądasz mi na
takowe”.

Kamyk sposepniał. Koniec jak zwykle rozbiął sytuację na części składowe
z nieubłaganą logiką. Na tej płaszczyźnie rozumieli się obaj doskonale. Kamyk
nie raz dawał się porwać impulsywnej części natury, nie wiadomo skąd odziedzi-
czonej, ale solidne wychowanie odebrane w domu Płowego Obserwatora zwykle
chroniło go przed popełnianiem najgrubszych błędów. Rozmowy z Końcem po-
magały mu porządkować sprawy według odpowiedniego klucza i widzieć je jako
gołe fakty, bez zbędnego balastu emocji. Z Jagodą łączyła go przyjaźń i intymna
strona życia. Czy coś więcej? Nie, nic więcej. Poza sferą czysto erotyczną, Jago-
da chętniej przestawiała z Myszką niż z Kamykiem. Może była to jego wina? Zbyt
często ostatnio zajmował się poważnymi rzeczami.

*Masz rację. Potrzebujemy czegoś trwałego — napisał w powietrzu. — Inaczej
historia Diamenta powtórzy się, tyle że z innym aktorem w roli głównej. Na razie
musimy trzymać się razem za wszelką cenę. Przynajmniej do czasu, aż dołączymy
w góry.*

„A co potem?”

Kamyk wzruszył bezradnie ramionami. To było pytanie, na które odpowie-
dzi nie znalazłby nawet ktoś starszy i bardziej doświadczony od niego. Wyprawa
Końca powiodła się wspaniale, ale jednocześnie miała inne, niespodziewane skut-
ki, które wyrwały chłopców z dotychczasowego marazmu, zmuszając do podję-
cia energiczniejszych działań. Gdy ktoś potrafi kamień na szczycie góry, nie jest
w stanie przewidzieć, jakie będą konsekwencje jego czynu i czy ów niewielki ka-
myczek nie sprawi, że na równinę spadnie zabójcza lawina głazów. Tak i oni nie
wiedzieli, co sprawi ich kamyk. . .

* * *

Tak, jak przypuszczali, Pożeracz Chmur pojawił się wieczorem — okropnie
brudny, głodny i w strasznie złym humorze. Rzucił tylko półgębkiem kilka słów
wyjaśnienia, z których wynikało, że tych „bandytów ze straży miejskiej to za-

gryźlby wszystkich... jak leci” i poszedł spać. Tymczasem reszta towarzystwa naradzała się do późna w nocy. Naradzała się i kłóciła, kłóciła i naradzała...

Koniec przyniósł ze swej eskapady sumę wystarczającą nie tylko na kupno zapasów żywności, ale nawet na cztery wierzchowce. Po namyśle zdecydowali się na muły, jako tańsze, bardziej wytrzymałe i nie rzucające się w oczy — setki tych zwierząt wędrowały po drogach w karawanach kupieckich lub niosąc na grzbietach średnio zamożnych mieszkańców cesarstwa. Gromadkę uciekinierów czekała nie byle jaka podróż. Pokonanie drogi z Półwyspu Wojennego do ujścia rzeki Enite wydawało się przy niej zwykłą przechadzką. Tym razem mieli przewędrować całą Lengorchię, od granicy do granicy. Niemal od samego brzegu morza aż do niebosiężnych szczytów Gór Zwierciadlanych. Będą przemierzać zakurzone gościńce, popasać przy drodze w najskromniejszych warunkach — spędzać noce na derce rozłożonej na ziemi, jeść twarde suchary, pić byle jaką wodę albo, jeśli się trafi, odpoczywać w gospodach zapewniających niejadalny gulasz i cienkie piwo.

— Krótko mówiąc: same rozkosze! — podsumował kwaśno Promień. — Czy nie lepiej byłoby skakać? Mamy tu dwóch Wędrowców, mistrzów podobno... i co? Będziemy sobie na zmianę tyłki w siodle odgniatać? Zdaje się, że jest też z nami małe dziecko! Chcecie ją karmić suszonym mięsem?

Srebrzanka zawahała się, ale uprzedził ją Nocny Śpiewak.

— Już niech cię o to głowa nie boli, Promyczku Świtu. Mojemu kwiatuszko-
wi niczego nie zabraknie. A jeśli tobie nie pasuje taki sposób podróżowania, to zawsze możesz wrócić do domu. Miękkie łóżeczko i złote talerze czekają! I cesarzówna!

Promień doskoczył do niego ze złością i gdyby Gryf nie chwycił Iskry w porę za koszulę, wybuchłaby bijatyka.

— Zamknij się, Śpiewak! — rzucił Obserwator. — To żarty nie na miejscu. A Promień ma rację — kto wymyślił te muły? Przecież to się kupy nie trzyma!

— Trzyma się, trzyma... — odparł Wiatr Na Szczycie. — Kowal, powiedz tym zapaleńcom, co wymyśliliśmy.

Starszy Mówca zaczął przechadzać się pomiędzy szykowanymi pakunkami, całkiem jak za dawnych czasów, kiedy prowadził wykład dla uczniów w sali lekcyjnej.

— Gryf i Promień, to będzie dla was ćwiczenie z logiki — rzekł z uśmiechem. — Kto jest mniej podejrzany, kiedy przekracza bramy miasta: kupiec czy włóczęga?

— Oczywiście kupiec — powiedział Gryf. — Mamy być kupcami?

— Bystry chłopiec — pochwalił go Kowal.

— Po to nam muły? — spytał Promień.

— Bardzo dobrze — kiwnął głową mag.

— A towar? — zainteresował się Wężownik.

— Jedwab — powiedział Wiatr. — Lekkie, łatwe do przenoszenia. Idealna łąpówka w razie czego.

— A ja mam go zrobić? — wtrącił się Nocny Śpiewak.

— Ty i Stalowy.

Promień myślał intensywnie przez kilka chwil, wpatrując się i w podłogę, po czym podniósł głowę i zawyrokował:

— Wiatr jako właściciel albo pełnomocnik właściciela. Ja, Stalowy i Kamyk jako ochrona. Jedwab jest przeznaczony dla manufaktury „Złota Igła” w stolicy. Śpiewak i Srebrzanka jadą z dzieckiem do rodziny w Lenenji. Jagoda jest narzeczoną Gryfa i mają się pobrać w świątyni Zrodzonego z Kamienia. Koniec prowadzi rachunki kupieckie. Reszta — zwykli podróżni korzystający z dogodnej trasy, którzy dołączyli dla towarzystwa i bezpieczeństwa. Tylko niech Winograd chowa swoje zwierzaki. Może być?

Kowal roześmiał się krótko i poklepał chłopca po plecach.

— Zaliczyłeś! Skąd ta „Złota Igła”? I dlaczego Gryf ma się żenić

Akurat w przybytku Zrodzonego z Kamienia? — „Złota Igła” szyje tylko dla dworu cesarza — zaczął tłumaczyć Promień. — I zamawiają najlepsze tkaniny, czasem nawet z bardzo daleka. Pamiętaj, żebyś tu jakiejś partaniny nie zrobił! — zwrócił się mimochodem do Śpiewaka, który wykrzywił się na to zjadliwie.

— Nikt nie będzie się dziwił, że wlecemy towar aż z wybrzeża, jeśli będziemy mieć dobry list przewozowy. A największa świątynia Zrodzonego z Kamienia stoi aż w Toporach, a stamtąd do Zwierciadlanych szyszką dorzucisz. Co kogo obchodzi, w jakiej wierze Gryf był wychowany? Może akurat w takiej mało spotykanej. Wiatr jest najstarszy i tylko on się nadaje na przewodnika. Reszta chyba oczywista.

— Ho, ho! — Hajg pokręcił głową. — Czasem to książątko mnie zadziwia. Bardzo dobra historyjka. Dodam tylko, że w samych górach muły będą na wagę złota, a nawet cenniejsze. Tam się nie płaci pieniędzmi, lecz towarem. W samym Pierścieniu za takiego zwierzaka można żyć pół roku jak nic!

— A w Zwierciadlanych... w górach... — ciągnął i raptem jego oczy zamglily się, jakby patrzył już daleko, daleko na ośnieżone szczyty.

— W górach jest... ech! Zresztą sami zobaczycie. To zupełnie co innego niż ten równo wyprasowany kraj, mdły niby kleik z prosa!

A jednak Wiatr Na Szycie nie wybierał się aż tak chętnie, jakby się to mogło wydawać, w tę podróż do rodzinnych stron. Powód jego opieszałości nosił imię Róża. Hajg, który nagle odkrył w sobie ogromne pokłady czułości, żegnał się z narzeczoną długo i burzliwie. Nie obyło się bez kobiecych łez, zaklęć i przysięg na najbardziej krwiożercze góralskie bóstwa.

* * *

Lengorchia wcale nie była tak „wyprasowana”, jak tego dowodził Wiatr Na Szczycie. Z początku posuwali się traktem wzdłuż Enite — rzeka zapewniała urozmaicone widoki, to w postaci soczyście zielonych, długich szpalerów trzciny papierowej, porastającej gęsto brzegi, to znów tarasowych poletek o przedziwnej geometrii, na których dojrzewały kłosa brązowego ryżu. Tam gdzie wysoki brzeg zapewniał ochronę przed coroczną powodzią, złościły się łany pszenicy — skarb rolników. Enite jak gigantyczny szmaragdowo niebieski wąż ułożyła swe cielsko w poprzek całego kraju, zapewniając łatwą i bezpieczną drogę wodną dla towarów. Po grzbiecie wodnego potwora sunęły barkasy o wypełzłych od słońca żaglach, na których ledwo można było odczytać symbole właścicieli: długodziób, koń, dwa węże, oko. . . Od czasu do czasu pojawiał się długi, czarny kadłub galery cesarskiej straży rzecznej.

— Dobrze, że jedziemy łodem — rzekł któregoś razu Wiatr Na Szczycie, odprowadzając wzrokiem okręt. — Oni mają zwyczaj zadawania wielu kłopotliwych pytań. A na wodzie trudno gdzieś uciekać.

— Zwłaszcza gdy nie umie się pływać — dodał Promień, robiąc przytyk do talentów Mistrza Iluzji w tym względzie. Hajg mawiał o całej reszcie: „Z was wszystkich jedynie Pożeracz Chmur jest normalny. Jak dalej będziecie się tak ciągle moczyć, to wam skrzela porosną”.

Jednak niebezpieczeństwa czyhały nie tylko na rzece. Patrole przede wszystkim lustrowały gościńce. Nie raz i nie dwa mijał malutką karawanę jedwabną oddział konnej gwardii cesarskiej, która gotowała się pod letnim słońcem w folgowych pancerzach, spiczastych hełmach i wysokich butach do jazdy. Zwykle dowódca zaledwie na chwilę zawieszał oko na podróżnych, Czasem, jeśli należał do uprzejmiejszych, wymieniał pozdrowienia z Wiatrem Na Szczycie lub uśmiechał się do małej Różyczki, która pojawienie się żołnierzy w błyszczących blachach przyjmowała z nieodmiennym zachwytem. Raz jednak znalazł się służbista, który nie poprzestał na ogólnym zlustrowaniu kawalkady i postanowił sprawdzić dokumenty. List przewozowy, opiewający na dwadzieścia zwojów niebarwionego jedwabiu i tyleż barwionego na kolory seledynowy oraz morelowy, z jakiegoś powodu nie zadowolił oficera, który kręcił nosem, oglądał dokument pod światło, marudził i zadawał bezsensowne pytania. W końcu wydał podwładnym rozkaz wybebeszenia wszystkich tłumoków celem sprawdzenia i wymierzenia towaru. Najwyraźniej szukał pretekstu, by dokuczyć kupcowi. Wyciąganie delikatnych tkanin z pakunków na skraj drogi po prostu musiałyby się skończyć zniszczeniem przynajmniej ich części. „Kupiec” z trudem powstrzymał się od wyciągnięcia miecza z pochwy przytroczonej u siodła i pomacania nim marudnego żołdaka po łbie.

Sądząc z min reszty magów, oficer spacerował właśnie po ostrzu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Pożeracz Chmur przysiadł na ogonie i gapiąc się ponuro na pęciny wierzchowców gwardyjskich, zastanawiał się, ile ścięgien zdołałby przegryźć, zanim kopyta strzaskałyby mu grzbiet. Oraz czy opłaciłby mu się okropny ból, którego by zaznał w takim przypadku.

— Jaki spokojny pies — odezwał się oficer. — Nie szczeka na obcych, co dziwne. . .

— Hau — powiedział Pożeracz Chmur, patrząc na niego z bezbrzezną pogardą. Od czasu, gdy podobny żołnierz pochlastał go w mieście, smok miał uraz na punkcie munduru.

To „hau” Pożeracza Chmur — sztuczne aż do przesady — spowodowało, że Hajga zaczęły mrowić policzki i kark. Był to nieomylny znak, że właśnie traci resztki cierpliwości i za chwilę zrobi coś nieodwracalnego. Na szczęście w tym momencie dotarł do niego przekaz Nocnego Śpiewaka: „Przecież on wyraźnie czeka, żeby mu łapę posmarować. Daj mu coś i jedźmy dalej”.

Wiatr Na Szczycie odetchnął ledwo zauważalnie. Zbliżył się do oficera i stanął tak, by reszta oddziału nie widziała jego rąk.

— Mam jeszcze jeden dokument — powiedział głośno, a w jego dłoni pojawiła się złota moneta półtalentowa.

Tamten pochylił głowę, jakby czytał coś, a pieniądz błyskawicznie zmienił właściciela.

— Tak, teraz w porządku. Trzeba było od razu to pokazać — rzekł dowódca i machnął ręką, że mogą odjeżdżać.

„Już ja bym ci pokazał” — pomyślał Wiatr, wsiadając na muła. To spotkanie wytrąciło go z równowagi. Gdyby mógł ujawnić się jako mag, tamten „podskubany gołąb” nie tylko nie usiłowałby ich okraść, ale jeszcze zaoferowałiby eskortę do najbliższej osady. Niewielką satysfakcję dawała mu jedynie świadomość, że umundurowany łapówkarz nie znajdzie w kieszeni swej półtalentówki, choćby nawet pękł. Było się tym Tkaczem Iluzji, czyż nie?

Gdy konny patrol oddalił się już wystarczająco, Wiatr Na Szczycie poszukał wzrokiem Pożeracza Chmur, truchtającego obok sunącej niespiesznie kawalkady.

— „Hau””? — zapytał z gryzącą ironią. — Też mi brytan straszliwy! Szczekać się naucz porządnie, piesku!

— Ja nie szczekam, ja gryzę — odciął się smok z godnością. Pospieszył na czoło pochodu i zajął miejsce przy nodze Kamyka. Sądząc z oszczędnych gestów młodego Tkacza Iluzji, zaczęli rozmawiać w myślach. Pożeracz Chmur zapewne wylewał swe zadawnione żale, bo w pewnej chwili Kamyk podrapał go za uszami.

Przywykliśmy do życia w drodze. Czas odmierzaliśmy rutynowymi czynnościami — rankiem posiłek, objuczanie mułów i ciągnięcie stómek, w jakiej kolejności będziemy zmieniać się w siodle. Potem kilka godzin drogi, podczas której chłopcy rozmawiali tylko mentalnie, by nie być kurzu, osiadającego na twarzy i zgrzy-

tającego w zębach. Popas w najgorętszej porze dnia był niezbędny — męczyliśmy się nie tylko my, ale i zwierzęta. Jedyne Pożeracz Chmur wydawał się zupełnie nie zauważać upału. Pod wieczór zawsze zaczynamy rozglądać się za dogodnym miejscem na odpoczynek. Ręk do pracy nie brak — zmieniamy się kolejno przy czyszczeniu wierzchowców, noszeniu wody i szukaniu drewna na opał (Promień stanowczo sprzeciwia się wykorzystywaniu jego talentu do trywialnego pichcenia i może ma trochę racji). Ja i Nocny Śpiewak nalegamy na codzienne gotowanie zapasu wody, bo Enite bynajmniej nie płynie nurtem kryształowo czystym. Dość dowiedziałem się od ojca. na temat chorób „brudnej wody”, a Śpiewak w dzieciństwie omal nie umarł na bagnicę. Myśl, że jego kochana córeczka mogłaby zostać narażona na podobne niebezpieczeństwo, wprawia go w stan pokrewny obłądowi. Na początku często wspominaliśmy Diamenta, zwłaszcza wtedy, gdy ktoś z nawyku dzielił jedzenie na czternaście porcji, zapominając, że jest nas już tylko trzynaścioro (nie LICZAĆ małej Róży). Rozmyślaliśmy, jak wiedzie się Diamentowi w nowej grupie. Zastanawialiśmy się, czy także tęskni za nami, czy może nie ma na to czasu — pochłonięty nowymi zajęciami i nowym towarzystwem. Z czasem mówiliśmy o nim coraz rzadziej. Rana zasklepiła się, żal przycichł. Grupa zwała się na nowo i zaczęliśmy już stale myśleć o sobie jako o trzynastce.

Z przykrością zauważyłem, że ja i Jagoda oddalamy się od siebie. Ta gromada ludzi dookoła nie sprzyja sytuacjom intymnym. Ilekroć chcemy pobyc z sobą sami, natychmiast okazuje się, że jest jakaś pilna praca do wykonania albo trzeba się spieszyć i ruszać dalej, albo ktoś — oczywiście zupełnym przypadkiem — wpada na nas i jest bardzo spragniony kontaktów towarzyskich, więc siada i zostaje z nami. . . i tak bez końca.

Wędrownik była bardziej fatygująca niż niebezpieczna. Niespokojne duchy: Stalowy, Gryf i Promień narzekali na brak rozrywek, a rozsądny Koniec mitygował ich za każdym razem, by nie mówili głupstw, bo „dobra droga to nudna droga”. Przewrotny Wystannik Losu musiał jednak usłyszeć te biadolenia i postanowił dać chłopakom pole do popisu.

Tamtych było ośmiu. „Tamtych” — czyli osobników czatujących na nas w zaroślach. Trudno obarczać kogoś winą za to, że zobaczyliśmy ich zbyt późno, aby móc zrobić cokolwiek innego, niż podjąć walkę. Winne może były tu właśnie te obrzydliwe krzaki, które towarzyszyły nam uparcie od dwóch dni, zmieniając krajobraz w jednostajny zaniedbany dywan zieleniny. Dywan o grubości rosnącego chłopa. W każdym razie monotoność pejzażu znakomicie wpłynęła na obniżenie czujności zarówno Gryfa, jak i reszty Szperaczy mentalnych. Tak właściwie to wszyscy prawie zasypialiśmy w marszu. Zanim się obejrzelśmy, na trakcie przed nami pojawiło się czterech mężczyzn. Dwóch z mieczami podobnymi do mojego. Dwóch wyposażonych w paskudną broń — samoróbkę w postaci ciężkiego ostrza osadzonego na drągu. Pod pewnymi względami takie coś jest groźniejsze nawet od miecza. Tknięty przecuciem obejrzałem się za siebie i zobaczyłem kolejną czwórkę,

która odcięła nam odwrót. Widać, dla rabusiów nie była to pierwszozna. Działali zgodnie i z dużym sensem (o ile atakowanie grupy magów można uznać za sensowne). Było ich mniej niż nas, ale nie można było przecież zaliczyć do grona wojowników Jagody lub Srebrzanki! To samo dotyczyło Myszki — kątem oka widziałem, jak błędnie potwornie, a oczy rosną mu na pół twarzy. Nie, na Myszkę nie można liczyć w takich sytuacjach. A więc ośmiu na dziewięciu. Napastnicy zbliżali się bez pośpiechu, krokiem niedbałym, pewnie z nadzieją, że jeszcze bardziej nas tym onieśmielą i zastraszą. Nie wyglądali na nędzarzy, których do rozboju zmusiła bieda. Raczej na takich, co to nie lubią fatygować się pracą na roli czy w warsztacie. Za przykładem Wiatru Na Szczycie wyciągnąłem miecz z pochwy. Widziałem, jak na tyłach Promień demonstracyjnie zakłada cięciwę na łączyisko tuku i przygotowuje strzały. Jakby w odpowiedzi na ten pokaz jeden z łotrzyków zdjął z ramienia kuszę. Uzbrojeni byliśmy bardzo słabo, ale przecież jeden mag o zdolnościach destrukcyjnych wart był zawsze kilku wojowników.

Żałowałem, że nie wyczuliśmy bandytów wcześniej — trywialny czar niewidzialności lub nakładka pozwoliłyby nam przejechać bez najmniejszego ryzyka. Jeden z rabusiów wyglądał na prowodyra, szedł nieco z przodu i odezwał się pierwszy, szczerząc zęby w obleśnym uśmiešku. Musiało być to coś wyjątkowo wstrętnego i chyba dotyczącego naszych kobiet, bo Srebrzanka zachnęła się gniewnie, Jagoda spurpurowiała, a Nocny Śpiewak uniósł zaciśnięte pięści. Opryszek mówił dalej, zwracając się do Wiatru Na Szczycie — bezbłędnie wyczuł, że to on nam przewodzi. Z szerokich gestów wnioskowałem, że robi nam propozycje nie do odrzucenia: zapewne mieliśmy zostawić wszystko, czego sobie zażyczą, w tym może i „dziewczynkę do zabawy”, a oni darują nas dobrym zdrowiem. Jak znałem Wiatr Na Szczycie, w odpowiedzi doradził, by tamten wsadził sobie swoje propozycje tam, gdzie nigdy słońce nie dochodzi. Zajmowałem pozycję bliżej środka karawany i miałem podjąć decyzję, kogo wesprzeć: Wiatr, Gryfa i Końca z przodu czy też przesunąć się na tyły, gdzie pozycje zajmowali Stalowy, Promień i Wężownik. Śpiewak miał dylemat podobny do mojego. Winograd jedną ręką przytrzymywał szczura siedzącego mu na ramieniu, w drugiej dzierżył wodze zaniepokojonego, strzygącego długimi uszami muła. Rozglądał się nerwowo, nie wiedząc, co robić.

Jednak w pewnej chwili czas na rozmyślenia gwałtownie się skończył. Bandzior zamachnął się swoim pałaszem, celując w Hajga. Nie trafił — tam gdzie przed chwilą była głowa Wiatru, znalazł się brzeszczot miecza maga. Wiatr przepuścił wrogie ostrze po klindze jak po naoliwionej prowadnicy. Szarpnął leciutko i szpic pałasza wbił się w ziemię. Cóż, miał do czynienia jedynie z wieśniakiem, który uważał się za doskonałego szermierza. Impet ciosu sprawił, że zbój stracił równowagę, odstąpił się na moment, a Wiatr natychmiast chlasnął go tuż pod żebrami. Mężczyzna zgiął się w pół, szeroko otwierając usta w niestłyszalnej skardze. Zanim jeszcze Wiatr wyciągnął ostrze, zobaczyłem, jak Nocny Śpiewak rusza mu na pomoc, w absurdalny sposób wyciągając przed siebie rękę, jakby te pięć

palców stanowiło groźną broń. Ja rzuciłem się na tyły, po to, by ujrzeć, jak Promień błyskawicznie podrywa luk i pakuje strzałę w konkurencyjnego strzelca. Grot wbił się w pierś kusznika dokładnie na wysokości serca. Ten jednak, szczerząc radośnie zęby, podniósł kuszę do ramienia. Drzewce strzały sterczało mu z mostka, przecząc wszelkiemu rozsądkowi i świadectwu wzroku. Prawie w jednej chwili wydarzyły się dwie rzeczy: strzelec wypuścił z rąk kuszę i poderwał ręce ku oczom — na czole i powiekach wykwitła mu krwawa pręga nakreślona przez zerwaną nagle cięciwę; w sekundę potem niewidzialny płomień ogarnął go i zmienił w skręcony, nadpalony kawałek mięsa. Tuż przede mną Wężownik stał jak wryty, nie robiąc absolutnie nic. Bandyta już miał rozwalić mu głowę jak dojrzały melon, gdy Wędrowiec zniknął, a cios trafił w próżnię. Ja za to trafiłem — uderzenie prawie zdjęło rozbójnikowi głowę z szyi, ciepła krew bryzgnęła mi na twarz. Poczutem okropny, mdlący, słodko-słonawy zapach. Żołądek podszedł mi do gardła i musiałem kurczowo zacisnąć zęby, by nie wyrzucić z siebie jego zawartości. Zdażyłem jeszcze zobaczyć, jak trzeci z rabusiów usiłuje uciec, lecz pada pod ciężarem Pożeracza Chmur, który skoczył mu na plecy, obalił i wbił kły w kark, zabijając równie sprawnie jak kot zagryzający mysz. A gdzie czwarty? Gdzie czwarty? Nie mogłem skupić wzroku, więc gdy zobaczyłem stojące na drodze buty, myślałem, że oczy mnie oszukują. Niestety, przekonałem się, że w butach tkwią także pozostałości nóg — straszliwe świadectwo możliwości Wężownika. Wędrowiec stał przyciśnięty plecami do splełanych zarośli i wbijał w swe dzieło spojrzenie szaleńca.

Z trudem odwróciłem głowę — jakby w szyi ktoś osadził mi zardzewiały, oporny mechanizm. Na przedzie Wiatr, Koniec, Śpiewak i Gryf pochylali się nad czterema trupami. Zaniepokojone zwierzęta kręciły się w kółko i rzucały łbami. Winograd je uspokajał. Srebrzanka powoli prostowała się w siodle — dotąd osłaniała własnym ciałem dziecko. Jagoda miała błędne spojrzenie, jej wargi drżały. Chwiała się na grzbiecie muła, czepiała niezdarnie pakunków. Wyglądała na bliską omdlenia, więc oderwałem ciężkie stopy od ziemi, schwytałem wierzchowca za uźdę, a drugą rękę podałem dziewczynie. Nigdy nie zapomnę jej wzroku — rzuciła mi spojrzenie pełne obrzydzenia i obłądnego strachu. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że właśnie na jej oczach zaszlachtowałem człowieka i mam na sobie jego krew. Nie próbowałem już jej dotykać.

Dwa kroki od nas dostrzegłem Myszke — wyglądał, jakby dokonano na nim gwałtu. Jedną rękę kurczowo przyciskał do piersi, drugą trzymał wykręconą konwulsyjnie gdzieś w okolicy kolan, twarz miał wykrzywioną i wywrócone oczy. Osuwał się powoli w dół, zdradzony przez własne mięknięce nogi. Zanim zdażyłem zareagować, podszedł do niego Promień. Złapał Myszke za ramiona i potrząsnął, jednak bez widocznego rezultatu. Głowa małego Wędrowca chwiała się na szyi jak ciężki owoc. Promień, wydymając wargi z niesmakiem, jedną ręką zgarnął Myszkę koszulę na piersiach, a drugą zdzielił go na odlew w twarz. Myszka zachłysnęła się i zamiast oprzytomnieć — zemdlła ostatecznie.

* * *

Wymieniali między sobą oszczędne zdania — śmierć zawiązywała języki i zmuszała do zachowania atmosfery powagi. Poprzenosili ciała z drogi pomiędzy zarośla. Zaciekawiony Promień, tłumiąc wstręt, rozciął nadpaloną bluzę na swoim przeciwniku. Tajemnica wyjaśniła się — pod spodem Iskra znalazł drewniany napierśnik umocowany sznurkiem. Grot strzały utkwiał mocno w drewnie. Nikt nie potrafił zmusić się do dotknięcia kończyn, których właściciel przeniósł się do nicności za sprawą Wężownika. Dopiero Hajg, który najmniej przejął się zajściem, złapał oba zakrwawione buty i po prostu wrzucił je w krzaki. Góral beznamiętnie zajął się przeszukiwaniem kieszeni zabitych, czemu reszta przypatrywała się ze zgrozą.

— Obdzierasz trupy! — jęknął Winograd, tuląc do piersi torbę ze swymi dwoma szczurami. Spiczaste nosy zwierzątek wysuwały się przez szparę, węsząc świeżą krew.

— Sprawdzam tylko, czy coś nam się nie przyda — odparł Hajg obojętnie. — A twoje pieszczochy jadają padlinę i obgryzają więźniom palce w lochach. Taki to już mechanizm świata.

Winograd zzieleniał, fuknął z obrzydzeniem i wycofał się pomiędzy muły. Obecność zwierząt zawsze poprawiała mu samopoczucie.

Wśród drobiazgów znalezionych w kieszeniach zbójców było trochę monet, głównie srebrnych, nieco skromnej biżuterii. Wiatr znalazł także złoty wisiołek w kształcie oka z trzema promieniami. Na rewersie wygrawerowany był napis: „Ukochanemu mężowi — na szczęście, od Koronki”. Amulet widać nie ochronił prawowitego właściciela, którego kości być może gdzieś wśród chaszczy obierały mrówki. A może jednak napadnięty kupił sobie tym bawidelkiem życie? Któż to mógł wiedzieć? Garść srebra i ozdoby Hajg wepchnął niedbale do torby u siodła. Amulet owinął starannie łańcuszkiem, po czym wziął zamach i szerokim łukiem rzucił go daleko od siebie. Złoto błysnęło w słońcu, po czym przepadło bezpowrotnie w morzu zieleni.

Nie liczę już, że kiedykolwiek zrozumie cię do końca. Najpierw zbierasz kosztowności, a potem je wyrzucasz — skomentował Kamyk, przypatrujący się temu z wyrazem ogólnej dezaprobaty.

Chłopak zdążył zmienić zabrudzoną tunikę oraz zetrzeć większość krwi z twarzy i włosów. Nadal jednak roztaczał wokół zapach rzeźni. Wiatr Na Szczycie wzruszył ramionami. W Górach Zwierciadlanych nikt by się nie dziwił ani nie zadawał głupich pytań. Wiadomo, że ktoś musi zwyciężyć, a ktoś przegrać. Trupowi niepotrzebne nic, prócz pogrzebu, więc zwycięzca bierze całą zdobycz. Wydarte zaś siłą talizmany mogą zemścić się na następnym posiadaczu. Wiatr nie widział

sensu, by tłumaczyć się ze swego postępowania. I tak mieli go za przesądnego dzikusa.

Zebraliście ich broń? — spytał.

Kamyk kiwnął głową. Wiatr podszedł do stosu żelastwa zebranego na skraju drogi. Odłożył na bok dwa pałasze, krótki miecz i kuszę.

— Nie wszyscy mieli tyle szczęścia, co my — powiedział głośno. — Zwłaszcza samotni podróżni. Te bydlaki strzelały z zasadzki albo opadały ich zewsząd, a potem siekały na kawałki. Stąd te zdobyczne miecze. Gryf weź stąd jakiś szpi-kulec i noś na widoku. Stalowy, ty tak samo!

— Po co? — rzucił lekceważąco Stalowy. — Ja sobie radzę bez takich zabawek.

— Po to, żebyśmy uniknęli następnym razem podobnych niespodzianek jak ta dzisiaj. Jest nas tu dziesięciu chłopów, a tylko trzech nosi broń.

— Dziewięciu — mruknął Promień. — Myszy nie licz.

— Ci tutaj połamomili się, bo spodziewali się łatwego łupu — ciągnął Wiatr Na Szczybie.

— Ale się przeliczyli — wtrącił Nocny Śpiewak. — Sam załatwiłem dwóch. Ani zipnęli.

— Jakby widzieli, że każdy z nas ma jakieś żelazo przy sobie, to może by nas przepuścili. To całe zamieszanie wcale nie było potrzebne. A jakby tak ktoś z nas został ranny, to też byś się tak cieszył? — zrugął go Hajg. — Tam siedzi twoja żona i córka. Idź, powiedz im, że jesteś bohaterem!

Nocny Śpiewak się zamknął. Podzielili zdobyczne ostrza między siebie. Promień podniósł kuszę z zerwaną cięciwą — koniec włosianej struny wyglądał, jakby rozsypał się ze starości na proszek. Iskra obejrzał się na Stalowego, który akurat próbował, jak leży mu w ręku zdobyczny mieczyk.

— Dobra robota, Stalowy — powiedział. — Dziękuję.

— Służę uprzejmie — odrzekł Stworzyciel i zasalutował mu klingą.

* * *

Gdy nastał czas wieczornego odpoczynku, podróżnicy wciąż mieli jeszcze świeżo w pamięci dramatyczne wydarzenia tego dnia. Dodatkowe zamieszanie wprowadził Kamyk, który gwałtownie domagał się gorącej wody do mycia. Tak więc zniknięcie Myszki zauważono dopiero wtedy, gdy na ziemi została jedna miska z nietkniętym posiłkiem.

— Gdzie Myszka? — spytała jagoda, niespokojnie rozglądając się po okolicy. — Dlaczego nie przyszedł jeść?

— Może się na nas obraził? — wysunął przypuszczenie Wężownik. — Promień go uderzył.

Iskra rzucił mu złe spojrzenie znad swojej porcji ryżu.

— No i co z tego? Wiesz, że nie chciałem mu nic zrobić. Trzęście się wszyscy nad tą Myszą, jakby był z porcelany. Przełknął następny kęs i dodał pod nosem:

— Może wykopała sobie norkę, mała myszka. Pewnie siedzi gdzieś i beczy.

Zbyto ten komentarz milczeniem. Promień miał rację, choć jego opinia była niepochlebna dla małego Wędrowca. Koniec wstał ze swego miejsca i zaczął przepatrywać okolicę, którą zasnuwał szybko gęstniejący mrok.

— Widziałem go niedawno. Przyniósł wodę — powiedział z niepokojem. — Gdzie on się podziewa?

— Może poszedł za potrzebą? — wysunął przypuszczenie Wężownik, po czym zaczął nawoływać:

— Myszka!! Myszka, odezwij się!! Myyyszkaaa!!

— Daj spokój — powstrzymał go Koniec, który zdążył sprawdzić okolicę za pomocą talentu. Wśród światełek jaźni zwierząt i ptaków nie znalazł charakterystycznego płomyka magii. — Jego tu po prostu nie ma.

* * *

Gdyby nawet Myszka mógł usłyszeć wołanie kolegi, nie odpowiedziałby na nie. Przez całe godziny męczył go głęboki wstyd i powstrzymywane z wysiłkiem łzy. Do ostatka wykonywał swoje obowiązki. Zdejmował juki z mulich grzbietów, poił zwierzęta i pomagał w rozpalaniu ognia, ale gdy wreszcie skończył pracę — uciekł. Nie chodziło już nawet o to, że stracił resztki szacunku kolegów — nigdy nie mieli go dla niego zbyt wiele, był przecież najśłabszy, najmniejszy i najbardziej nieśmiały. Tym razem utracił szacunek nawet samego siebie. Nie, nie był mężczyzną. Nie powinien uważać się nawet za chłopca — jego genitalia to pomyłka natury, żart, dodatek bez znaczenia. Gdyby potrafił się opanować tam, na drodze, nie doszłoby do rozlewu krwi. Błyskawicznie przerzuciłby wszystkich bandytów na jakąkolwiek odległość, z której nie mogliby im zagrozić w żaden sposób. Znał przecież swoje możliwości, Tymczasem zrobiło mu się słabo jak pannie wydawanej siłą za męża, zemdliło go, nie mógł myśleć i to inni musieli go bronić, jakby był malutkim bezradnym dzieckiem. Zachował się znacznie gorzej niż Jagoda, nie mówiąc już o Srebrzance, która przede wszystkim myślała o dziecku. A on zemdlał, po prostu zemdlał ku swej rozpacz i upokorzeniu. Promień dał mu w twarz — do końca życia będzie pamiętał tę pogardę w czarnych

oczach, zaciśnięte w wąską, gniewną linię wargi. To była zasłużona kara za to, że nie stanął razem ze wszystkimi do walki. A gdyby komuś coś się stało, czy byłby w stanie żyć z tak obciążonym sumieniem?

Stara, domowa rampa małego Wędrowca wciąż istniała, choć w ciągu lat jego nieobecności ośmielona trawa zaczęła wdzierać się w granice twardo ubitej gliny. Gałąź chlasnęła go po głowie, gdy pojawił się w miejscu, którego spodziewał się już nie oglądać. Oczy, przywykłe do półmroku, rozróżniały wokoło pobielone wapnem pnie, ciemną gęstwinę gałęzi, delikatne wzorki liści i pędów na tle jaśniejszego nieba. Pachniało wieczorną rosą, świeżością i jabłkami. Myszka objął najbliższy pień ramionami, przycisnął twarz do drzewa. Jabłonie... Był w domu. Jego matka kochała te drzewa, tak samo jak dziadek, który nalegał, by córce nadano imię Jabłonka. Drzewa owocowe były skarbem rodzinnym, źródłem utrzymania. Dbano o sady tak samo jak i o dzieci, bawiące się i dorastające w cieniu gałęzi. Ileż to razy wspinał się wysoko, siadywał w rozwidleniach konarów i chrupał wielkie, złociste jabłka.

— Mamo... — wyszeptał cichutko, czując na ustach dotyk szorstkiej kory.
— Mamo, wróciłem do domu.

Tak straszliwie pragnął cudu. Tak bardzo chciał obudzić się pod tym drzewem z okropnego snu, mieć znów dwanaście lat, odwrócić się i zobaczyć śliczną, roześmianą matkę z koszem świeżo zerwanych jabłek. Ale cud się nie wydarzył. Siedział u stóp jabłoni, póki na niebie nie zaczęły zapalać się gwiazdy, a cykady nie podjęły w trawach swojego cowieczornego, obowiązkowego koncertu. Dopiero wtedy wstał i poszedł ku domowi.

Była to solidna budowla, brzydka i zabawna jednocześnie. Kilka pokoleń rozbudowało dwuizbowy domek do rozmiarów dworu, a że każdy kolejny budowniczy miał własną wizję architektoniczną, wynik był po prostu oszałamiający. Matkę Myszkę rozczulał ten dziwaczny twór i z łatwością zaszczerpiła synowi przywiązanie do niego. Dopiero po matczynej śmierci osierocony i zbolący chłopiec znienawidził (czy może tak mu się zdawało) miejsce, które było wręcz przesiąknięte jej osobowością. Na każdym kroku natykał się na pamiątki po matce, chodził po jej śladach, a świadomość, że nigdy już jej nie zobaczy, była jak trucizna.

Ktoś zapalił lampę w bawialni. Myszka przez okno przyglądał się domownikom zgromadzonym w ciepłym kręgu światła. Wuj prawie się nie zmienił, ma tylko dłuższe wąsy. Wujenka utyla, twarz jej się zaokrągliła. Uśmiechnięta, podnosi coś ku lampie, pokazuje mężowi. Chłopiec postąpił krok bliżej, by lepiej widzieć. Och... sukienka dziecinna. A więc następny mieszkaniec jabłoniowego dworku wprasa się na świat. A przy stole siedzi już przecież piątka potomków, razem z dryblasem Koziółkiem — najstarszym kuzynem Myszkę. Nagle poczuł się obco, stojąc w ciemności przed oświetlonym oknem i obserwując szczęśliwą rodzinę. Co on właściwie ma z nimi wspólnego? Czy powinien ich niepokoić? Nie miał nawet prawa do takiego kawałka tej ziemi, jaką zajmują jego stopy — był

tylko nieprawym dzieckiem siostry dziedzica. Wuj był zawsze dla niego dobry, ciotka także. Może dlatego, że Jabłonka nigdy nie upominała się o żadne przywileje dla swego syna, wierząc w przyzwoitość brata, który traktował Myszkę jak własne dziecko. Kuzynowie nie dokuczali mu zanadto, choć nawet ci młodszy zaczęli go w końcu przerastać. A teraz... przecież dla nich jest martwy. Utonął nieszczęśliwie dwa lata temu w czasie sztormu. Gdyby odszedł w tej chwili, nigdy nie dowiedzieliby się, że jednak żyje i na pewno nie odczuliby żadnego braku. W końcu on sam wyrzekł się tego domu, uparcie odrzucając zaproszenia wuja na kolejne święta rodzinne. Wtedy za bardzo jeszcze bolało. Długo zwlekał, bijąc się z myślami, czy powinien burzyć spokój ludzi, którzy zdążyli go już opłakać i odsunąć w bezpieczne rejony pamięci. W końcu wziął głęboki oddech, jak ktoś, kto ma skoczyć w przepaść, i skierował się ku drzwiom. Za jego pamięci nigdy nie zamykano ich przed zgaszeniem wieczornych świateł. W sieni było ciemno, lecz zza zasłony padał blask i słychać było śpiew. Chłopięcy dyszkant wyciągał wysokie nuty piosenki „o żabie, co tańczyć nie chciała, bo krzywe nogi miała” przy akompaniamencie zduszonych chichoczków i parsknięć. Myszka rozsunął kotary, stanął w progu. Dyszkancik załamał się i sfalszował okropnie, po czym zaległa niemal namacalna cisza.

— Nie jestem zjawą, jeśli o to chodzi — powiedział chłopiec niewyraźnie, szcękając nieco zębami.

Pan domu, nie wierząc własnym oczom, wstał z za stołu i dotknął przybysza. Ciało pod jego ręką było jak najbardziej materialne. Przyglądał się Myszcze długą chwilę, a potem bez słowa przygarnął siostrzeńca do piersi.

* * *

Jeszcze tej samej nocy Myszka powziął smutną decyzję, że nie zostanie długo w jabłoniowym Dworze. Raczej bardzo krótko. Widać było, że jego powrót okazał się okropnym wstrząsem dla mieszkańców. Cieszyli się niezbyt szczerze. Wuj i ciotka wymieniali zakłopotane spojrzenia, gdy myśleli, że on tego nie widzi. Kuzyni zadawali nieprzemyślane pytania, nie dbając szczególnie o otrzymywane odpowiedzi. Unikali dotykania go, jakby był zaraźliwie chory. Oczywiście ciotka zajęła się nim troskliwie, biadając przesadnie, by przytłumić choć trochę napięcie: „na pewno jesteś głodny... z tak daleka... Matko Świata, jaki jesteś chudy, Jodełko... ale urosłeś...” Ostatnie słowa nie miały zupełnie sensu. Wujenka najwyraźniej zdała sobie z tego sprawę, bo zagryzła wargi i zamilkła na dłużej.

— Nie urosłem, ciociu — powiedział Myszka spokojnie. Był zmęczony. — Nie kłopotcie się noclegiem dla mnie. Dajcie mi derkę, będę spał w sadzie.

Protest rodziny był czysto grzecznościowy. Noc spędził pod gołym niebem, wśród miękkiego, przyjaznego mroku i zapachu dojrzałych jabłek. Śniło mu się coś miłego — rozmawiał z kimś, ale z kim i o czym, zapomniał natychmiast, gdy tylko sen odpłynął, przepłoszony blaskiem poranka. Zostało tylko krzepiące wrażenie, że wydarzyło się coś przyjemnego.

Wuj, chcąc zawołać Myszka na śniadanie, znalazł go w przydomowym żalniku. Chłopiec otworzył podwoje, za którymi ciągnęły się długie półki zastawione urnami zawierającymi prochy wszystkich kolejnych zmarłych ze dworu. Większość miała tradycyjny kształt dzbana z nakreślonym na widocznym miejscu imieniem. Jeden indywidualista jeszcze za życia zamówił sobie urnę w postaci dużego jabłka z ogonkiem i listkiem. Kiedyś Myszka zastanawiał się, jaki był ten właśnie z jego przodków. Pewnie wesoły kpiarz, pewnie by się lubili. . . Urna Jabłonki była taka jak ona sama za życia — jasne, wysmukłe naczynie. Prócz znaku imienia, ceramikę ozdobiono delikatnym malunkiem gałązek jabłoni z różowymi kwiatami.

— Nadal mam wyrzuty sumienia, że to nie ja zapaliłem dla niej stos — powiedział Myszka, gdy wuj stanął u jego boku.

— Niepotrzebnie, Jodłowy. Zupełnie niepotrzebnie. Trudno przecież wymagać takich rzeczy od dzieciaka z gorączką, bredzącego w malignie.

— Ale nie byłem nawet na pogrzebie i to mnie martwi. Przyszedłem się pożegnać.

— Pożegnać? Myślałem, że zostajesz na dobre. Myszka potrząsnął głową.

— Ułożyście sobie sprawy beze mnie. Ja tu już nie pasuję. Czy zresztą kiedykolwiek pasowałem? Ja — mag i bękart do tego. . .

Wuj klepnął go lekko w tył głowy w zamarkowanym geście skarcenia.

— Za takie gadanie możesz oberwać, Los świadkiem. Czy kiedykolwiek źle cię traktowałem? Jesteś wszystkim, co mi zostało po siostrze.

Myszka wciąż patrzył na dzbanek malowany w kwiaty jabłoni.

— Czy znałeś mojego ojca, wuju? Dlaczego mama nic nie chciała mi o nim powiedzieć?

— Nigdy go nie widziałem. Miała zostać hafciarką w Lenenji — to sam wiesz, wróciła przy nadziei, potem urodziłeś się ty. I to wszystko. Nigdy nie wspomniała nawet imienia tego człowieka, choć zapewniam, że twój dziadek ze skóry wyłaził, żeby się czegoś dowiedzieć. Tylko twój talent dał jakieś wątle poszlaki, że mógł być magiem.

— Musiał ją strasznie skrzywdzić, okłamać, upokorzyć. . . Ani słowa przez te wszystkie lata. Ja przecież chciałem wiedzieć, odkąd zacząłem cokolwiek rozumieć. Pewnie go nienawidziła.

— Gdyby nienawidziła twojego ojca, nie kochałaby tak bardzo ciebie. Wymazała go z wszelkich rozmów, ale czułem, że wciąż czeka. Miała nadzieję, że się zjawi. Powiem ci jeszcze, że twoja matka nie dałaby się uwieść byle komu. Jeśli

oddała mu się, to tylko z miłości i tylko dlatego, że był jednak coś wart. Czy to cię pocieszy?

— Chciałbym wziąć coś na pamiątkę po mamie. Są chyba jeszcze jakieś rzeczy?

— Zostały suknie i parę drobiazgów. Przedtem nic nie chciałeś zabrać do Zamku Magów.

— Teraz już chcę. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek tu zajrzę. Pragnę coś po niej zachować.

Nad skrzynią z rzeczami po matce Myszka opowiedział wujowi całą swoją historię — wydarzenia z Zamku, które zmusiły Drugi Krąg do ucieczki, problem Słonego i podróż do Podzamcza, a potem drogę na północ i nawet to, co wydarzyło się poprzedniego dnia.

— Pomyślałem sobie, że powinienem pewne sprawy zakończyć, zanim będzie za późno — rzekł chłopiec, gładząc bezmyślnie odświętną suknię matki. — Zaplątałem się i już nie wiedziałem, co ze sobą robić.

— A teraz wiesz? — zapytał wuj niepewnie.

Widać było, iż próbuje nadażyć za siostrzeńcem, ale jego prostoduszna natura odcedziła ze skomplikowanych zwierzeń tyle, że skrzywdzono jego chłopca, próbowano nawet zabić, a teraz Jodłowy jest nieszczęśliwy i nie może zostać w domu ze względu na bezpieczeństwo rodziny. Oraz że odwiedził ich na krótko i tylko po to, by pożegnać się ostatecznie.

— Nie mogę zostać Myszką całe życie — rzekł smutno mały Wędrowiec. — Chcę być mężczyzną, a tego nie osiągnę, zbierając jabłka.

— Uważasz, że by zostać mężczyzną, koniecznie musisz kogoś zamordować? — zdziwił się wuj, nieco skołowany. — Ja tam nigdy nikogo nie zabiłem i wcale nie czuję takiej chęci. Coś mi się nie podoba towarzystwo, w którym się obracasz.

— Ależ oni też nie są żadnymi złoczyńcami! Po prostu nie wahają się, jak trzeba złapać za miecz. Są odważni i nie chorują od widoku krwi. Nie są „myszkami”... — zakończył chłopiec z goryczą.

Sięgnął do kufra i wyciągnął szkatułkę rzeźbioną w liście ostu. Po podniesieniu wieczka ukazał się mały przyborek hafciarski — poduszczećka ze schludnie pozatykanymi igłami ze stali i mosiądzu, motki kolorowych nici jedwabnych i bawełnianych, maleńkie nożyczki i pierścień pokryty drobnymi wgłębieniami służący do ochrony palca przy szyciu. Wnętrze wciąż jeszcze roztaczało intensywną woń olejku migdałowego — ulubionego pachnidła Jabłonki. Pod poduszczećką do igieł leżał ciemny kosmyk włosów związany nitką. Myszka podniósł go delikatnie w dwóch palcach.

— Pierwsze strzyżenie? No proszę, miałem jaśniejsze włosy jako dziecko.

Wuj z namysłem przyjrzał się kosmykowi.

— O ile pamiętam, zawsze byłeś tak samo czarny. Potarł cienki kłaczek palcami.

— To nie są włosy dziecka. Za twarde.

Myszka bez komentarza schował je z powrotem do pudełka. Obaj z wujem pomysleli to samo: że matka Myszkki nie do końca wyrzuciła z serca i myśli dawnego kochanka.

— To sobie wezmę. Lubiła tę szkatułkę. Jeszcze nią pachnie. I nie jest zbyt duża, więc wejdzie mi do plecaka.

* * *

Odległość, jaka dzieliła go od obozowiska, Myszka pokonał jednym skokiem. Kogoś obdarzonego mniejszymi zdolnościami przebycie dystansu obejmującego niemal czwartą część długości kraju oszołomiłoby i dało powód do chwały. Dla Myszkki jednak była to rzecz zupełnie niegodna uwagi. Większe wrażenie zrobił na nim opustoszały obóz: wystygłe już popioły, wyskubana i zdeptana przez zwierzęta trawa. Poczul wręcz fizyczny ból w piersi, w gardle urosła mu twarda kula — nie zaczęli. . . Nie było żadnych świadków, więc może nawet pozwoliliby sobie na niemęskie łzy, ale wtedy zobaczył, że na szarym popiele po ognisku czyjaś ręka ułożyła z czarnych, opalonych patyków wyraźną strzałę wskazującą północ. A więc to tak. . . Zrobiło mu się ciepłej koło serca, nie wiedzieli, czy się pojawi (on sam przecież nie był pewien), ale na wszelki wypadek zostawili wskazówkę, że odnajdzie ich na starym szlaku.

Myszka wrócił na trakt. Osłaniając oczy dłońmi od słońca, wypatrywał w dali malutkich figurek ludzkich. Jednak droga wiła się między wzniesieniami i niewiele dało się dojrzeć. Myszka na początek obliczył bardzo prościutki, krótkodystansowy skok. Już w następnej sekundzie przestrzeń zawinęła się wokół niego, a potem wyprostowała nagle jak żagiel wypełniony magicznym wiatrem. Prawie usłyszał w wyobraźni trzask napinanego płótna. Tym razem zobaczył karawanę — czworo jucznych zwierząt i grupkę ludzi. Następny skok był wyliczony równie precyzyjnie, jak poprzedni.

Wiatr Na Szczycie swoim sokolim wzrokiem jako pierwszy dostrzegł jakiś niezbyt wyraźny kształt na samym środku drogi. W miarę zbliżania nabierał ludzkich zarysów, by w końcu zmienić się w Myszkę, który siedział na ziemi, oparty o kosz wypełniony owocami, i gryzł jabłko.

— Ależ wy się grzebiecie — powiedział, nadrabiając miną, mały Wędrowiec. — Czekam tu od świtu.

— I nie bałeś się tak sam? — spytał Promień kpiąco.

Myszka spojrział spode łba i celnie rzucił w niego ogryzkiem.

* * *

Ta historia z Myszką dała mi do myślenia. Dom... niech to zaraza... każdy ma jakiś dom. Nawet Gryf, Stalowy i Winograd, którzy byli wychowankami Kręgu. Każdy z nich jako chłopiec mieszkał w posiadłości wiejskiej pod troskliwym okiem dzierżawców. Choć po osiągnięciu pewnego wieku zapakowano ich manatki, po czym odesłano do Zamku jak przedmioty bez wolnej woli, to jednak można chyba było nazwać tamte gospodarstwa domami. A Żmijowe Pagórki i chata Płowego były domem rodzinnym dla mnie. Postępek Myszki sprawił, że znów z ciemnego kąta mojej duszy wylazły wyrzuty sumienia. Byłem niewdzięcznym monstrum — czas spojrzeć prawdzie w oczy. Mój ojciec (nieważne, że przybrany, skoro traktował mnie jak własnego syna) nie wie nawet, że żyję. A choć tyle mu się należy po tych latach starań, wycierania nosa, leczenia zapalenia uszu i rozbitych kolan, nauczania czytania i pisania oraz wysłuchiwanie skarg sąsiadów na chłopaczysko wiecznie bijące się z ich dziećmi i drące ubrania na cudzych drzewach owocowych.

Pożyczyłem od Myszki jego cenną mapę, by sprawdzić, gdzie znajdujemy się względem Żmijowych Pagórków. Nie było to daleko, w każdym razie nie na mapie. Pokonaliśmy prawie połowę drogi do gór. Niebawem na horyzoncie miały pokazać się mury jednego z najbardziej znaczących miast handlowych — Sitowego. Nazwa jego pochodziła nie od sita, lecz od sitowia porastającego tereny przybrzeżne jednostajną gatunkowo dżunglę. Pamiętałem z lekcji, że kiedyś mieszkańcy osady parali się jej wycinaniem, dostarczając najlepszej trzciny do pokrywania dachów (nie gniła przez wiele pór deszczowych, a w lecie chroniła przed upałem). Zwykła osada położona w zakolu Enite rozrosła się w miasteczko, kiedy zaczęły powstawać, jedna po drugiej, papiernie. Surowca nadal jest tam w bród. Po jakimś czasie Sitowe stało się także ośrodkiem handlu skórami, zdobywanymi przez myśliwych z Puszczy Wschodniej. Potem sprytni mieszkańcy, wykorzystując rzekę, rozszerzyli kontakty handlowe i przez ich port zaczęły przewijać się towary zarówno z Południa, jak i z Północy. W ten sposób w dół rzeki płynęła miedź, żelazo, marmur i drewno, a w górę pełzły galary wypełnione pszenicą, workami ryżu, bawełną i porcelaną. Jest to zresztą niewielki tylko ustęp z listy towarów dostępnych na rynkach Sitowego. Z miasteczka w ciągu jednego pokolenia zrobiło się miasto.

Tam właśnie Wiatr Na Szczycie, za namową Końca i Nocnego Śpiewaka, miał zamiar zbyć część jedwabiu, a za uzyskane pieniądze odnowić zapas żywności i kupić konia. Spowodowało to niesnaski w grupie. Koniec sądził, że Hajg pragnie konia z powodów czysto prestiżowych. „Jechałby na czele i wyglądał jak panisko” — według słów Mówcy. Winograd wolałby następnego muła — zwierzę nienarowiste i wytrzymałe. Srebrzanka nalegała na kupno choćby i osiołka, lecz

za to z wózkiem, na który można by wpakować część bagaży i umieścić Różyczkę, która robiła się coraz bardziej ruchliwa. Matka cały czas obawiała się, że dziecko pewnego dnia- wyśliznie się z jej objęć i spadnie pod kopyta. Promień natomiast uważał ten zamęt za niepotrzebny, tak samo jak i całą długą podróż. Mieliśmy w swym gronie aż dwóch Wędrowców o bardzo dużych zasięgach, a ich talenty leżały odłogiem. „Dlaczego nie przeniesiemy się jednym skokiem wprost w góry z całym tym majdanem?” — pytał zirytowany Iskra. Było w tym jakieś ziarno słuszności, lecz po prostu większość wołała ten powolny rodzaj podróży, podczas którego zbieraliśmy wieści i zwyczajnie obcowaliśmy z mieszkańcami mijanych wsi. Po raz pierwszy od dawna czuliśmy się jak normalni podróżnicy, a nie jak gnani strachem banici. Poza tym posiadanie jucznych zwierząt całkowicie wykluczało podróże poza przestrzeń. Próby czynione przez kastę Wędrowców wykazały, że duże domowe zwierzęta absolutnie nie nadają się do tego rodzaju wypraw. Konie nagminnie łamały nogi, uderzając o ziemię usztywnionymi kończynami, podobnie jak bydło. Drobniejsze posturą owce i kozy rzadziej doznawały obrażeń, za to przestawały jeść i padały w wyniku trwałego urazu. Znacznie lepiej znosiły skok psy i koty, a już najmniejsze wrażenie robił on na wiewiórkach. Ale komu i po co opłacałby się szybki transport kotów albo wiewiórek?

Ja w każdym razie przymierzałem się do skorzystania z usług Myszki lub Wężownika, gdy tylko bardziej zbliżymy się do ujścia Mławki — dopływu Enite, który w górnym biegu przecinał Żmijowe Pagórki. Dystans, który miałby wtedy do pokonania Wędrowiec, nie wart byłby nawet splunięcia. Tym łatwiej da się namówić któregoś z nich do odwiedzin w Pagórkach. Na razie pieściłem w myśli ten projekt i dziesiątki razy wyobrażałem sobie spotkanie z Płowym. Na pewno go zaskoczę — przecież już nie spodziewa się ujrzeć mnie żywego. A poza tym? Ucieszy się czy raczej rozgniewa, że nie dawałem do tej pory znaku życia? Zastanawiałem się też, nad czym teraz pracuje; czy przechowuje jeszcze jakieś moje rzeczy na pamiątkę; a nade wszystko: jak wygląda tajemnicza Wierzba i jej synek Jesion, który zajął moje łóżko w domu Obserwatora? Nigdy ich nie widziałem, gdyż Płowy najął Wierzbę do prowadzenia gospodarstwa już po moim odejściu do Zamku.

* * *

Sitowe różniło się od Podzamcza nie tylko wielkością. Widać było po nim historię nagłego rozkwitu miasta w ciągu zaledwie dwóch pokoleń. Wszystkie murowane budynki wyglądały na względnie nowe, ulic było niewiele i krzyżowały się pod kątem prostym, tworząc mało skomplikowany układ kraty. Domy, choć zadbane, wyróżniały się krzykliwymi fasadami, pokrytymi jeśli nie kolo-

rowymi malowidłami, to przesadną liczbą stiuków. Promieniowi te budowle kojarzyły się z tęgimi kobietami o zdecydowanie złym guście, obleczonymi w jaszkrawe suknie pokryte straszliwą ilością koronek. Właściciele owych kamienic — kupcy i mistrzowie gildii rzemieślniczych — byli zwykle wiernymi odbiciami swych siedzib. Promień zastanawiał się, jaka też moda w tej chwili panuje w samej stolicy, skoro tutaj usiłowano naśladować ją tak nieudolnie. Podczas ostatniej bytności Zwycięskiego Promienia Świtu na dworze władcy Lengorchii noszono atłas w jednolitym kolorze. Modne były rozcięcia rękawów ukazujące jedwab podszewki. Koronka — wyłącznie przy szyi i mankietach. Zarzucono szarfy na rzecz bogato zdobionych pasków z brokatu, a trzewiki zyskiwały coraz dłuższe nosy. Damy natomiast sznurowały się gorsetami niemal do połamania żeber i nosiły coraz wyższe nakrycia głowy, chcąc uzyskać figurę kojarzącą się z wiotkim, delikatnym pędem.

„Ach, ci nowobogacy!” — pomyślał Promień, przyglądając się figurom godnie rozpartym pod parasolami w otwartych lektykach. Siłą musiał powstrzymać się od pogardliwego wykrzywania ust — jeszcze któremuś z tych fircyków nie spodobałaby się jego mina i nasłałby na niego pachotka z kijem. Najbogatsza warstwa Sitowego nosiła się ze strojnnością żaby w zalotach. Najwyraźniej w modzie były watowane ramiona, więc każdy mężczyzna wyglądał jak mniej lub bardziej żalosa karykatura krótkoszyjnego atlety. Fałdzista materia wierzchniej tuniki spływała prosto w dół z kwadratowych barków, bez śladu podkreślenia talii, co może maskowało wydatne brzuchy, ale jednocześnie rozpaczliwie skracало nogi, bo owa kotara kończyła się tuż nad kostką. Całość przykryta była z góry małym, płaskim kapeluszem, a od dołu zakończona trzewikami o szerokich krótkich nosach i wielkich ozdobnych klamrach. Damy towarzyszące panom wyglądały niewiele lepiej — płaskie kapelusze w damskiej wersji przyklepywały im fryzury, a suknie o obniżonym sztucznie stanie zniekształcały sylwetki. Z mody wyraźnie wyszły także biusty, za to nadciągnęło eksponowanie ramion i przegubów za pomocą błyszczących bransolet. Jedynym ładnym elementem stroju pozostał obowiązkowy szal jedwabny noszony niedbale w zgięciu łokci.

Promień obserwował to widowisko wraz z Myszką. Wiatr Na Szczycie nie miał najmniejszej ochoty prowadzić interesów pod ostrzałem ironicznych spojrzeń oraz kąśliwych uwag wypowiedzianych półgłosem. Dał Iskrze (choć ten naprawdę nieźle znał się na koniach) ultimatum nie do odrzucenia: chłopak znajdzie sobie zajęcie na najbliższe trzy godziny w znacznej odległości od Hajga, a ten nie obetnie mu uszu mieczem. Promień czuł przywiązanie do tej części swojego ciała, więc przystał na podobny układ. Myszką natomiast bardzo chciał zwiedzić miasto i przyczepił się do Iskry na zasadzie ogona. Na głównej promenadzie trafili w sam środek jakiejś fety dla tutejszej śmietanki towarzyskiej i mieli okazję podziwiać coraz to inne lektyki zatrzymujące się przed halą zebrzań gildii kupieckich, która służyła najwyraźniej nie tylko naradom. Promień obserwował przybywają-

cych gości z mieszaniną wzgardy i rozbawienia, Myszcze natomiast oczy wychodziły z głowy na widok z taką nonszalancją prezentowanego bogactwa. Zamek Magów był miejscem o ustalonej renomie., ale tam nawet najmożliwemu ze Stworzycieli nie przyszłoby do głowy obwieszać się tyloma szakalami biżuterii. Po pewnym czasie na obu chłopców zwrócił uwagę jeden z pacholków pilnujących wejścia. Podszedł do nich leniwym, ciężkim krokiem, jakby nadmiar mięśni odebrał mu zwinność. Klepał przy tym demonstracyjnie pałką o masywną dłoń.

— Won! — warknął nieprzyjaźnie. — Szukacie kłopotów?

Myszka podniósł na niego swe wielkie, jasne oczy, wypełnione w tej chwili całą niewinnością świata.

— Och nie, panie — powiedział tonem szacunku. — My tylko chcieliśmy popatrzeć. Ci państwo są tak strasznie pięknie odziani! Kto to jest, szanowny panie strażniku?

Stróż chrząknął, nieco udobruchany.

— Wielmożni panowie radni, ojcowie miasta. Szlachetnie urodzeni — odparł srogim głosem. — Napatrzyliscie się? No to zmykać, chłystki!

Promień zacisnął zęby i jeszcze przez zakończeniem tej mówki zaczął się oddalać. „Szlachetnie urodzeni”! Też coś! Gdyby jeden z tych... tych... osobników pojawił się jakimś niepojętym sposobem w jego dawnym domu, matka dostałaby spazmów, a ojciec kazałby wyszorować podłogę po takim gościu. Doprowadzony do pasji, wyciągał nogi, aż zasapany Myszka nie mógł za nim nadążyć.

— Poczekaj! Po... cze... kaj, Pro... mień!

Zwolnił.

— Pomór i ohyda! A ty coś się tak płaszczył, gryzoniu — Trzeba było jeszcze w tyłek cmoknąć tego przygłupa! — warknął, gdy Myszka zrównał się z nim.

— „Wielmożni państwo! Szanowny pan strażnik!” — zapiszczał cienko, drwiąco naśladując kolegę.

— A co miałem mówić? — zapytał Wędrowiec z pretensją, już swoim normalnym głosem. — Stałeś tam z gębą kwaśną jak plantacja cytryn. Jakbym się nie wygłupił, to miałbyś podbite oko, zanim zdążyłbyś mrugnąć.

— A tobie za to ślepie z głowy wyłaziły, tak się gapieś ma tę menażerię! Istny cyrk, same małpy i niedźwiedzie.

— Przecież to jest... była twoja sfera, Promień — rzekł Myszka z pewnym wahaniem.

Promienia aż wryło w bruk. Rzucił Jodłowemu mordercze spojrzenie.

— Zapamiętaj sobie, dzieciaku — wycedził zduszonym głosem. — To NIGDY nie była moja sfera. I nigdy nie będzie! To parweniusze, a ja jestem księciem!

— A-haaaa... — powiedział wolno Myszka, obrzucając go krytycznym spojrzeniem od stóp do głów i nagle Promień z całą wyrazistością zdał sobie sprawę z własnego wyglądu. Przez мгніenie widział samego siebie oczami towarzysza

— chudego, spalonego słońcem, o rękach wygarbowanych na rzemień, w zno-
szonych łąkach, połatanych na kolanach i łokciach kawałkami skóry. Cóż, to nie
szata czyni króla, ale żebraka na pewno. Iskra wyobraził sobie księcia ojca, jak
własnymi rękami wyciera chustką podłogę skalaną jego — Promienia — obu-
wiem i wybuchnął histerycznym śmiechem. Myszka również zaczął się śmiać.

— Tak, masz rację, cyrk z małpami. Jak można się tak ubrać? — spytał, my-
śląc, że wesołość Promienia dotyczy cudaków widzianych przed halą zebrani. —
Moja mama szyła sobie sama sto razy ładniejsze suknie.

— Im bliżej stolicy, tym większe przedstawienia. Szkoda, żeś nie widział, co
się dzieje w pałacu na przykład przed Balem Noworocznym. — Promień uspokoił
się szybko i podjął temat: — Jeden babsztyl drugiego by zjadł z zazdrości. Gdyby
im pozwolić, to pewnie by się oblewały wrzaskiem i wyrzywały nawzajem włosy.
Tylko oczami strzelają i knują po kątach: kto z kim zatańczy, kto jest w łaskach,
a kto nie, komu się ukłonić, a kogo zignorować. I podkupują sobie nawzajem
krawcowe, żeby innym szyły gorsze suknie.

Wyszli tymczasem na targowisko położone bliżej rzeki i mostu, który spinał
oba jej brzegi. Ominęli starannie rejon, gdzie handlowano końmi — napotkany
w tej chwili Wiatr Na Szczycie byłby już z pewnością rozjuszony targowaniem
się przekupniów i ich usiłowaniami, by wcisnąć mu ochwaconą szkapę nazy-
waną szumnie rumakiem. Promień spojrzął na słońce. Do pory ponownej zbiór-
ki pozostały co najmniej dwie godziny. Na targowisku jak zwykle kotłował się
gwarny tłum. Słychać było donośne nawoływanie roznosiciela źródlanej wody.
Tu zachwalano głośno lepkie słodocze, tam znów sprzedawca grzebieni i szpilek
rozgłaszał zalety towaru noszonego w swym kramiku przymocowanym na brzu-
chu. Raz czy dwa Promień poczuł czyjąś rękę obmacującą mu dyskretnie kieszeń.
Otrząsał się tylko, jakby łąziło po nim robactwo. Miał przy sobie jedynie dwa
srebrniki i to ukryte bezpiecznie w bucie. Kieszeniarze mogli go macać do woli
— co nie znaczy, że znajdował w tym przyjemność. Myszka trzymał się jego boku
jak przyklejony. W pewnej chwili uwagę obu chłopców zwrócił wrzaskliwy głos
naganiacza, oferującego towar:

— Niewolnicy! Niewolnicy! Świeża partia! Bez skazy, bez zmayı! Nie powtó-
rzę dwa razy! Komu niewolnika?! Silne jak konie i nie za mądre! Łatwo przyuczyć
do pracy na roli lub do powozu jak kto woli! Niewolnicy...! — i tak w kółko.

— Niemożliwe — stęknął Myszka do Promienia, przeciskając się pomiędzy
dwoma mężczyznami, którzy nie chcieli ustąpić z drogi.

— Dłużników przecież nie wystawia się na licytację!

Promień tylko kiwnął twierdząco głową. Prawo dotyczące niewolnictwa okre-
ślało te rzeczy jednoznacznie. Wolność traciło się za długi pieniężne i jedynie
czasowo, do momentu, gdy pożyczka została wyrównana pracą w domu właściciela
albo warsztacie umówionego rzemieślnika. Nie dotyczyło to oczywiście sum tak
ogromnych, że spłacenie ich trwało do końca życia dłużnika, taki nieszczęśnik nie

miał już żadnych szans powrotu do normalności, ale i jego nikt nie wystawiał na licytację. Targi niewolnicze zostały zlikwidowane jeszcze za życia poprzedniego cesarza, Czyżby w czasie nieobecności młodych magów zmieniło się prawo?

Wreszcie przepchali się do przodu i na własne oczy mogli zobaczyć, co tak bardzo zainteresowało potencjalnych nabywców. W pierwszej chwili nie dostrzegli nic szczególnego. W zagrodzie stała grupka nagich, zarośniętych mężczyzn — każdy z obrozą na szyi i kajdanami na rękach. Stali nieruchomo, zwieszając obojętnie głowy. Nagle Myszka głośno wciągnął powietrze, mocno zaciskając palce na ramieniu towarzysza. Człowieczeństwo istot w zagrodzie kończyło się gdzieś w okolicy, gdzie ludzie mają talię. Niżej ich tułowia widoczne były krępe, zwierzęce kadłuby, porośnięte zmierzwiłą sierścią, wsparte na czterech kończynach z kopytami. Między przednią parą nóg, w fałdach skóry znajdowały się niewielkie penisy.

— To centaury! — westchnął mały Wędrowiec, zafascynowany.

Jeden z nabywców wszedł za deski i zaczął oglądać wybrane stworzenie. Obmacywał jego mięśnie, otwierał usta i sprawdzał stan zębów. Centaur znosił te zabiegi z obojętnością bydłęcia. Jednak gdy kupujący zwrócił się do kupca, by zacząć targować cenę, niewolnik uniósł powieki i przez jeden króciutki moment Myszka dojrzał w jego źrenicach tak straszliwą nienawiść, że aż skulił się mimowolnie.

— Ot i masz rozwiązanie zagadki — mruknął Promień. — To nie są ludzie, więc je wystawiają do sprzedaży publicznej. Ciekawe, skąd te się wzięły. Nawet w Pałacu Tysiąca Komnat było tylko kilka centaurów, w tym dwie samice.

— Nie podoba mi się to — szeptał gorączkowo Myszka. — Sprzedają ich jak bydło, jak zwierzęta!

— To są zwierzęta, na Miłosierdzie Losu!

— Taki jesteś pewien? To dlaczego są w osobnej zagrodzie niewolniczej, zamiast między końmi albo krowami? Dlaczego mówi się o nich: „niewolnicy”, a nie: „zwierzaki”?

Na to Promień nie mógł znaleźć argumentu.

— Zresztą nawet zwierzęta myślą i czują. Szkoda, że nie ma tu Winograda, boby ci powiedział! — ciągnął swą szeptaną tyradę Wędrowiec.

— Dobrze, że go nie ma, bo ten głupi idealista zaraz usiłowałby tu wznieść powstanie wyzwolenicze i narobiłby nam kłopotów — odgryzł się Promień. — Ja tylko jestem ciekaw, od kiedy to centaury tak potaniały, że można je kupić na bazarze w takiej dziurze jak Sitowe.

W odpowiedzi Myszka wygładził zmarszczone czoło, przywołał na twarz najbardziej słodki wyraz, zupełnie jakby wkładał maskę i pociągnął rękaw stojącego tuż obok mężczyzny. Nie miał on na sobie galowych szat kupieckich, ale ubrany był wystarczająco dobrze, by zaliczyć go do górnej warstwy społecznej. Spojrzał w dół roztargnionym wzrokiem i napotkał oblicze rozkosznego trzynastolatka,

z policzkami gładkimi niczym skórka moreli.

— Czy mógłbym o coś spytać, wielmożny panie? To są centaury, prawda?

— Oczywiście, chłopcze. Centaury. Nie widziałeś nigdy centaura?

Myszka pokręcił głową.

— Skąd one się tu wzięły?

— Złapali je myśliwi w puszczy. To już drugi taki tabun. Chyba ze wschodu zaczęły tu wędrować. Poprzednim razem szybko się sprzedały. Sam kupiłem klaczkę, dziś może dokupię ogiera do pary. A może chciałbyś pójść do mnie i zobaczyć mój poprzedni nabytek?

— Dłoń rozmówcy miękko spoczęła na ramieniu Myszki, a palec dyskretnie przesunął się po karku aż do granicy włosów. Chłopiec drgnął, jednak nie stracił miny naiwnego jagniątka. Westchnął z żalem.

— Chciałbym, proszę pana, ale nie mogę. Przyjaciół na mnie czeka.

— Kolega ze szkoły? — uśmiechnął się rozmówca Myszki.

— Nie, on jest dużo starszy ode mnie. Coś panu powiem. . . — Myszka wspiął się na palce, konspiracyjnie zniżając głos, a mężczyzna odruchowo się pochylił, niemal muskając nosem czarną grzywkę małego Wędrowca. — On jest magiem.

Koneser centaurów zdjął natychmiast rękę z karku chłopca, jakby go osa ugryzła.

— Tak, tak. . . — powiedział nerwowo. — Z pewnością nie powinieneś dać mu czekać zbyt długo. A w ogóle to nie jest dla ciebie odpowiednie miejsce, młody człowieku.

Promień postanowił natychmiast oddalić się, gnany obawą, że za chwilę zwymiotuje albo wybuchnie nieopanowanym rechotem. Mysz okazał się niezłym frantem, wykorzystującym swe słabości jako atuty. Mimochodem Iskra zastanowił się, jak też chłopiec poradziłby sobie w tej potwornej dżungli, jaką jest dwór cesarski. Możliwe, że zupełnie dobrze. Wydostał się z gęstego tłumu, a zaraz za nim nieco wymięty Myszka.

— No i co, zadowolony? — spytał po prostu.

— Nieźle — powiedział Promień pozornie niedbale. — Ale teraz idź co najmniej pięć kroków za mną, bo się wstydzę do ciebie przyznać.

* * *

W tym samym czasie, lecz w zupełnie innym miejscu, oddalonym od Sitowego o wiele dni podróży, lub jeden akt woli błękitnego Wędrowca, przed oczami przybyszów rozpościerały się Żmijowe Pagórki. Była to kraina cicha, spokojna i niezmienna od lat. Wężownikowi przypominała w tym jego własną wieś, poło-

żoną nad brzegiem dalekiego jeziora u podnóża gór. Powracającym Kamykowi i Pożeraczowi Chmur wydawało się, że osada — gdy tylko ją opuścili — zastygła w głębokim śnie i dopiero przed chwilą obudziła się na nowo. Z jednej strony patrzyli na łagodne wzgórza — siedlisko myszy, wielkiej zielonej szarańczy, drobnego ptactwa, żmij i białych węży jak mleczne strużki pełznących między kępami miotlastej trawy — o tej porze roku suchej i wypłowiejącej od słońca. Z drugiej zaś widzieli opadający ku rzece stok, całkiem jakby ta ziemia była istotą, która usnęła i osunęła się łagodnie ku wodzie. Latem było to doskonałe pastwisko dla kóz oraz domowego ptactwa, za to wczesną wiosną i na początku jesieni zmieniało się w zdradziecką pułapkę, chwytającą w błotne sidła nieostrożne zwierzęta oraz malców, chcących się popisać własną odwagą. Tradycyjna zabawa polegała na szybkim przebieganiu po niepewnej powierzchni ledwo podeschniętego z wierzchu blocka. Grzęzawisko chygotało się wtedy pod nogami niczym gigantyczny skrzep na mleku. Czasem nie wytrzymało i wówczas zabawa kończyła się gwałtowną akcją ratunkową.

Na pomoście do prania pracowało kilka kobiet — odległość zmieniała je w niewyraźne, kolorowe łatki. Można było się tylko domyślać podwiniętych spódnic, odsłaniających mocne łydki, i opalonych rak katujących mydłem i kijem poskręcaną jak powrosła bieliznę. Kilkoro małych dzieci biegało po płyciźnie, rozpryskując wodę i ochlapując się nawzajem.

— Ładne miejsce — osądził Wężownik.

— Ładne — zgodził się Pożeracz Chmur, rozwalony w niedbalej pozie na zeschniętej trawie pagórka. — Ładne, ale śmiertelnie nudne. Spróbuj pomieszkać tu choć jeden sezon. Do tradycyjnych rozrywek należy rzucanie podkowami we wrota kowala, wyścigi wołów i robienie dzieci.

— Narzekasz, jakby Jaszczur był miejscem kipiącym od uciech — odparł Wędrowiec.

Pożeracz Chmur ziewnął demonstracyjnie, wyciągając przednie łapy.

— Dobra, odsuńcie się, bo będę transformował.

Wężownik poczuł dreszcz podniecenia. Nigdy nie zdarzyło mu się oglądać takiej operacji i spodziewał się mocnych wrażeń. Niewielu ludzi kiedykolwiek zostało dopuszczonych do oglądania smoczej transformacji. Smoki nie lubiły, gdy ktoś obcy asystował w przemianach. Bardziej miało to jednak związek z zaufaniem niż potrzebą intymności. Smocza rasa, jak przekonał się młody mag, była w równym stopniu amoralna, gdy chodziło o problem własności, cielesne zbliżenia czy religię (a właściwie jej brak). Moment transformacji wymagał pełnego skupienia oraz dużego wydatkowania energii. Wężownik przypuszczał, że jakiegokolwiek zakłócenia procesu byłyby dla Pożeracza Chmur bolesne i kto wie, czy nie spowodowałyby jakichś okaleczeń.

— Jesteś najedzony? — upewnił się troskliwie.

Smok znów ziewnął.

— Brzuch mam jak beczka. Jeszcze chwila, a obręcze mi pękna.

Kamyk, który do tej pory chłonał wzrokiem znajome widoki, porzucił to zajęcie. Rozwiązał przyniesiony ze sobą tobołek, wydobył przeznaczone dla Pożeracza Chmur zapasowe ubranie i sandały. Uśmiechając się, otworzył jeszcze raz torbę, by spojrzeć na podarunki dla przybranej rodziny — nowy zestaw szkieł optycznych dla Płowego, drewnianego konika z wózkiem dla małego Jesiona, który według poczynionych przez niego wyliczeń miał teraz pięć lat, oraz niezwykle ozdobne grzebienie do włosów dla Wierzby. Wszystkie te rzeczy wykonał Nocny Śpiewak, który się nawet ucieszył, że znów może popracować nad ładnymi przedmiotami.

Tymczasem Pożeracz Chmur kokosił się na kępie turzycy, udeptując ją jak kot szykujący się do snu. Okręcił się kilkakrotnie, położył i nakrył nos ogonem. Obaj magowie obserwowali te przygotowania. Wężownik w najwyższym stopniu zaciekawiony, Kamyk natomiast zastanawiał się, czy proces będzie identyczny z tym, który miał już okazję oglądać. Ciało Pożeracza Chmur najpierw straciło ostre kontury. Pojedyncze włosy białej sierści wolno stapiały się ze sobą, a cała psia postać zaczęła przypominać rzeźbę. Wężownik z zapartym tchem patrzył na odwrotność procesu tworzenia. Zatracały się szczegóły, zasklepiały otwory uszu i nozdrza, szparki oczu zarastały nie wiadomo kiedy i jak. Cała sylwetka Pożeracza Chmur rozpływała się, jakby była figurą zrobioną z masła i włożoną do podgrzewanego garnka. W końcu stała się jedynie bezkształtnym kawałem materii. Wężownikowi tak bardzo kojarzył się z nastawionym do wyrośnięcia ciastem, że podświadomie oczekiwał podobnych efektów — puchnięcia i puszczania bąbelków. Powietrze niespodzianie zaczęło pachnieć burzą, słychać było cichutkie trzaski. Wężownik czuł, jak podnoszą mu się drobne włoski na całym ciele. Mrowiła go skóra. Powierzchnia r z e c z y, która była niedawno Pożeraczem Chmur, drżała lekko, jakby pod spodem zachodziły jakieś niepojęte zjawiska. Nie myśląc o tym, co robi, Wędrowiec wyciągnął rękę, by jej delikatnie dotknąć. W ostatniej chwili Kamyk złapał go za przegub, ściskając mocno, aż do bólu.

Oszalałeś?! Chcesz stracić palce?!

W tym samym momencie pierwotna materia wyrzuciła z siebie na wszystkie strony mnóstwo macek, upodabniając się do karykaturalnej gwiazdy lub rozpląszczonej meduzy. Obaj magowie odsunęli się przezornie. Świerszcze, dotąd niefrasobliwie rzępolące w trawach wokoło, zaczęły milknąć kolejno, zaniepokojone niezwykłymi wydarzeniami i podejrzanym zapachem. Jakiś owad źle obliczył skok i wylądował na samym środku falującej bryły. Zniknął natychmiast, wchłonięty bez śladu. Wężownik cofnął się jeszcze o krok i schował obie ręce za siebie, przejęty nagle zimnym dreszczem. Kamyk powstrzymał go przed zrobieniem czegoś bardzo głupiego. Pożeracz Chmur najwyraźniej w tym stanie nie kontrolował się zupełnie — po prostu chłonał budulec, nie zwracając uwagi na jego rodzaj. Masy przybywało i zwiększyła objętość niemal trzykrotnie. Zapach ozonu stał się

bardziej intensywny. Wężownik pomyślał, że w nocnych ciemnościach pewnie zauważyliby mnóstwo małych błyskawic pełzających po ciele transformującego smoka. Przypominałby wtedy burzową chmurę, która spadła z nieba na ziemię i dogorywa, miotając ostatnie, słabe pioruny.

Tymczasem Pożeracz Chmur w skupieniu rzeźbił swoje nowe ciało. Pojawiły się kończyny, zaczął wyostrzać kontur głowy i rysy twarzy, z końców wydłużających się palców wyrastały paznokcie. Pod bladą skórą jak węże wiły się mięśnie układające się na właściwych miejscach. W płytkim kraterze wyprostowało się nieukończony ludzkie ciało. Było białe jak marmur, łącznie z krótką szczecinką porastającą czaszkę włosów. Powieki, okolone równie białymi rzęsami, uniosły się, odsłaniając ciemnoróżowe oczy z purpurową kroplą źrenicy. Pożeracz Chmur przeciągnął się, aż trzasnęły mu wszystkie kręgi. Jednocześnie jego skóra zaróżowiła się, potem nabrała złotawego koloru świeżej opalenizny, a włosy i oczy wypełniły się ciemną barwą niczym gąbka rzucona w kałużę atramentu.

Wężownik przez moment walczył z nerwowymi mdłościami. Pierwsza faza przemiany stanowiła dziwaczne i nieapetyczne widowisko, ale druga była jeszcze gorsza. To powstawanie niby-ludzkiego ciała wydawało się pogwałceniem wszelkich praw natury. Nie miało nic wspólnego z magią, a w każdym razie nie z tym jej rodzajem, jaki był chłopakowi bliski i rozumiały. Co prawda znał już opis smoczyczych praktyk, lecz co innego wiedzieć, a co innego widzieć na własne oczy! Tak jak wielokrotnie przedtem, smok wziął sobie za wzorzec cielesną powłokę Kamyka i skopiował ją niemal idealnie. Z małymi różnicami w rodzaju koloru oczu oraz ich kształtu, długości włosów i tym, że nie były kędzierzawe. Poza tym obecne ciało Pożeracza Chmur było rzeczywiście absolutnie nowe, z delikatnymi dłońmi oraz podeszwami stóp, skórą pozbawioną jakichkolwiek zadrapań i skaz, które znaczą z upływem lat normalnego człowieka. Pożeracz Chmur ziewnął, otwierając usta na niewiarygodną szerokość, która człowiekowi wypaczyłaby szczękę z zawiasów. Przy okazji zaprezentował dwa rzędy zębów z mocno rozwiniętymi kłami — jakby pozostałość z poprzedniej postaci psa. Podniósł się na czworaka, i potem próbował chwiejnie stanąć na dwóch nogach.

— Właśnie teeeegooo nieee... — i dokończył, klapnąwszy ciężko na pośladki: ... lubię. Za każdym razem trudno mi się przyzwyczaić do tak głupio umieszczonego punktu równowagi. Czego się śmiejesz, ty dwunożna pomyłko rozwojowa? Każde normalne stworzenie ma cztery łapy, tylko człowiek się wyrodził.

— A ptaki? — zaoponował Wężownik. — Ptaki mają po dwie nogi. Natomiast węże ani jednej, i co ty na to?

Smok z miną wyrażającą rozdrażnienie podrapał się zębami w okolice prawego łokcia, po czym podjął kolejną próbę przyjęcia pozycji pionowej.

Kamyk wiedział, że trzeba dać mu trochę czasu, by oswoił się na nowo z ciałem zupełnie innym niż dotychczasowe. Pożeracz Chmur tyle tygodni spędził ostatnio na czterech łapach, że jego układ nerwowy nie chciał zaakceptować na-

głej zmiany i wciąż miał silnie utrwalone odruchy stosowne do innego sposobu poruszania się. To na szczęście mijało szybko. Bardziej kłopotliwe mogło się okazać zupełnie co innego, na przykład to, że Pożera.cz Chmur w chwilach zapomnienia będzie usiłował jeść z miski bez pomocy rak, drapać się nogą za uchem lub w najlepszym razie pokazywać zęby ze złowrogim warkotem podczas napadów złego humoru. Sam smok nalegał jednak na to, by przed odwiedzinami w domu Płowego pozwolono mu znów przybrać ludzką postać. Było to o tyle sensowne, że całe Żmijowe Pagórki znały go właśnie jako człowieka — bliskiego kuzyna „chłopaka od maga”. Było to także pożądane ze względu na gospozię Płowego i jej synka. Gadający pies (Pożeracz Chmur nie utrzymałby zamkniętego pyska, to pewne) wzbudziłby niepotrzebny zamęt. Jeśli nawet Wierzba nie rozplotkowałyby o tym sąsiadkom, to z pewnością nie utrzymałby tajemnicy mały Jesion.

Chata Obserwatora stała na samym skraju osady, więc trójka przybyszów uniknęła przemarszu przez środek wsi i rejwachu powstającego natychmiast przy okazji pojawienia się kogokolwiek nowego. Na pierwszy rzut oka niewiele się zmieniło w obejściu Płowego. Kamyk ze wzruszeniem zobaczył stary stojak do suszenia ziół i ławeczkę pod oknem, gdzie mag lubił siadywać wieczorami, podziwiając zachody słońca. Ta sama klatka z wikliny, służąca do zamykania kur przeznaczonych na zabicie. Znajoma beczka na wodę, którą kiedyś napełniał w letnie dni, nosząc bez końca ciężkie wiadra i złoszcząc się na uprzykrzoną robotę. Teraz wspomnienie nie wydawało się już tak przykre. Po starannie zamiecionym podwórku kręciło się stado gołębi w pełnej zgodzie z pręgowanym kotem, śpiącym na wygrzonym słońcem piasku i niezważającym zupełnie na ptaki prawie wążące mu na głowę. Stare drzewo rosnące tuż przy ścianie chaty straciło jeden z konarów. Kamyk odruchowo przeczesał włosy palcami, szukając dotykiem blizny — to z niego spadł przed laty i zdobył tę pamiątkę dziecinnej brawury. Między pniami wiśni rozwieszono były sznury, na których schła bielizna. Koszule haftowane w czerwone, żółte i niebieskie wzory, typowe dla tego regionu; prześcieradła i ręczniki. Kiedyś pranie Płowego — medyka — zwykle składało się w większości ze starannie wygotowanych bandaży. Tym razem nie widział ani jednego. Kamyk uśmiechnął się na myśl, że Wierzba ma pewnie stanowcze poglądy na temat prac gospodarskich. Gdy się dobrze przyjrzeć, wszędzie znać było ślady kobiecej ręki: przy oknach, w starych garnkach pociągniętych schludnie wapnem i niebieską farbą, rosły bujnie kwiaty, a same okna były znacznie czystsze niż dawniej; mosiężny dzwonek, za pamięci Kamyka zawsze leżący beużytecznie na stryszku, teraz został wypolerowany, po czym zawieszony na belce przy drzwiach, by goście albo pacjenci mogli oznajmiać swoje przybycie. Pożeracz Chmur roześmiał się głośno na ten widok i natychmiast zaczął szarpać za sznurek. Dzwonek rozspiewał się kaskadą dźwięków, zdających się ciąć powietrze jak świetliste, mosiężne nożyki. Ale ten niewyszukany koncert jakoś nie wyważył nikogo na zewnątrz chaty. Nie sprawił, że Płowy Obserwator stanął na progu

i otworzył ramiona na powitanie niewdzięcznego syna. Możliwe, iż wiejskiego medyka wezwano akurat o tej porze do pacjenta (choć pewniejsza była niedomagająca krowa, gdyż oszczędni gospodarze z Pagórków nie lubili tracić pieniędzy na głupstwa). Kamyk po prostu otworzył drzwi i zajrzał do wnętrza. Niech Pożeracz Chmur katuje dzwonek, jeśli chce, ale on sam w końcu był u siebie. Tak jak się spodziewał — w izbie nie było nikogo. Chłopiec rozglądał się, rejestrując wzrokiem zmiany, jakie poczyniono tu za jego nieobecności. Dokoła okien przybyło malowanych kwiatów, wesoło żółcących się na białym tynku. Na stole już nie poniewierały się stosy książek i broszur — wszystko starannie poustawiano na półkach. Podłoga znacznie czystsza niż za czasów niepodzielnych męskich rządów. Kamyk podszedł do kotary oddzielającej niewielką przestrzeń pracowni Płowego od reszty pomieszczenia.

Tymczasem na wezwanie dzwonka jednak ktoś się zjawił. Zza węgła chaty wybiegł w podskokach mały chłopczyk. Z rozwianą czupryną, bosy, żwawy i krzepki jak cedrowe polano. Otworzył szeroko oczy na widok niespodzianych gości, nabrał głęboko powietrza, po czym wysłał w przestrzeń odwieczny zew wszystkich niedorośliwych stworzeń na świecie:

— Maaaamaaaaa!!!

Musiała iść tuż za nim, gdyż zjawiła się niemal natychmiast. Niosła na biodrze pusty kosz, zapewne więc wieszala pranie za domem. Pożeracz Chmur i Wężownik przyjrzeni się kobiecie z ciekawością. A więc tak wygląda owa Wierzba, która wkroczyła w życie podstarzałego Obserwatora i przewróciła je do góry dnem! Wężownik niejasno spodziewał się kogoś w rodzaju tych niewiast z pasją portretowanych przez rozmaitych artystów na freskach, głównie w stanie na pół obnażonym i w otoczeniu rozlicznych okazów botanicznych. Tymczasem Wierzba była niską, drobną kobietką. Mniejszą nawet od Srebrzanki, nie odznaczającej się przecież okazałą figurą. Pochodziła chyba z Pogórza — widać to było choćby po sposobie upinania włosów. Miała lekko zadarty nos i okrągłą twarz. Z tej ładnej, lecz dość pospolitej fizjonomii spoglądały piękne oczy o niebywale długich rzęsach, jakby natura chciała osadzić w ten sposób dwa wspaniałe klejnoty w skromnej oprawie. Teraz w owych źrenicach czała się nieufność.

— Kto panowie są? — spytała Wierzba, kładąc rękę na głowie synka opiekuńczym gestem. — Czego potrzebują? Ja tu gospodyni jestem.

Dawna mieszkanka podgórskich regionów, jej sposób mówienia to potwierdzał.

— A my potrzebujemy gospodarza — powiedział z szerokim uśmiechem Pożeracz Chmur. — Gdzie chowasz Płowego, panienko? W magicznym pudełeczku?

Wierzba zmierzyła go ostrym spojrzeniem, po czym odparła sucho:

— Żarty to niedobre. Nic wam do tego, gdzie pan Płowy przebywa.

W tej chwili zobaczyła otwarte drzwi i gniewnie zawinawszy spódnicą, wpała do środka.

Kamyk miał w ręku fałdę odsuniętej zasłony. Stół Płowego zastawiony był równymi rządami szklanych naczyń laboratoryjnych, pudełkami z kory zawierającymi narzędzia i przyrządy. Najbardziej okazała skrzyneczka kryła największy skarb maga — mikroskop. Na półkach powyżej stały słoje z preparatami zakonserwowanymi alkoholem i dziesiątki garnuszków oraz buteleczek z lekami. Niby wyglądało to jak zwykle, lecz wszystkie probówki były próżne. Przedmioty leżały zbyt równo, w sztywnym porządku rzeczy nieużywanych od dawna, a wszystko pokrywała cieniutka warstewka siwego kurzu. Na samym środku blatu dojrzał kronikę Płowego. Kamyk powoli, jakby ten ruch wymagał dużego wysiłku, przeciągnął palcami po jej okładce. Zostały na skórze wyraźne ścieżki — dowód, że księga życia Płowego od dawna leżała tu samotnie i nikt jej nie otwierał. Chłopiec nie zdawał sobie sprawy, że coraz mocniej ciągnie ściskaną w ręku kotarę. Pręt wyginał się, nici nie wytrzymały i kolejno trzy kółka z cichym trzaskiem puściły tkaninę. Okropne przecucie chwyciło Kamyka za gardło i wtoczyło ohydny, mdlący lęk w trzewia. Płowy nie mógł nie używać swej pracowni, jeżeli tylko przebywał w domu. Jeśliby natomiast wyjechał — wtedy na pewno nie zostawiłby tu swojej kroniki. Wytłumaczenie nasuwało się samo, ale Kamyk nie chciał... nawet nie mógł sformułować go choćby w myślach. Odwrócił się powoli, jak człowiek, który otrzymał właśnie ogłuszający cios w głowę i okręca się tylko po to, by upaść. W izbie stała już Wierzba, przyglądając mu się badawczo. Za nią w wąskich drzwiach stoczyli się Wężownik i Pożeracz Chmur. Wędrowiec miał zafrasowaną minę, a młody smok był zaszokowany i przygnębiony. Kamyk puścił w końcu zmaltretowaną zasłonkę, bezradnym gestem wskazał na opuszczone laboratorium.

Co się stało? Co tu się stało? Gdzie on jest?

Widział jak Pożeracz Chmur porusza ustami, widocznie pytając o to samo gospodynię. Podeszła do okna i zdjęła z podokiennika spore naczynie z polewanej gliny. Z powagą postawiła je na brzegu stołu tuż przed Kamykiem, po czym zdjęła pokrywkę. Wnętrze wypełniał prawie po sam wierzch biały popiół. Chłopiec patrzył, nie mogąc oderwać oczu od urny i znaków pisma biegnących po jej obłym boku: „Płowy, syn Trawy i Stanowczego, mag Obserwator”. Czytał to wciąż od nowa, a z chwili na chwilę czuł, jak ogarnia go coraz większa rozpacz i poczucie winy. Wreszcie zamknął oczy i ruszył do wyjścia, objając się o sprzęty, przewracając stołek w ślepej ucieczce. Pożeracz Chmur próbował chwycić go za ramię i uchronić od rozbicia głowy, lecz Kamyk wyrwał mu się i wytoczył za próg. Z oczami już otwartymi, lecz wciąż chwiejnym krokiem ciężko ranionego szedł przed siebie. Nogi same zaniósły go między drzewa wiśniowe, w pstrokaty festiwal schnącej odzieży. Tam dogonił go Pożeracz Chmur, zatrzymał i przewrócił w trawę.

„Przestań! To nie twoja wina! Rozumiesz mnie? Nie twoja wina!”

„Umarł! Umarł, a mnie przy nim nie było!”

„A czy to nie wszystko jedno? Teraz też możesz go zjeść!”

Kamyk z wściekłością uderzył go pięścią w nos, aż biedny smok skulił się od nagłego bólu. Przycisnął młodego maga całym swym ciężarem do ziemi, a ten walczył z nienaturalną siłą zrodzoną z rozpacz. Pożeraczowi Chmur udało się złapać Kamyka za jedną rękę, ale chłopak drugą tłukł go tam, gdzie tylko mógł dosięgnąć — w lewą stronę twarzy, szyję i ucho. Siła skumulowana w smoczycach mięśniach pozwoliłaby z łatwością skrócić kark człowiekowi, ale tym razem młody smok ograniczał się do obrony (niezgrabnej, gdyż wciąż jeszcze nie przyzwyczał się do nowego ciała). Z początku urażony, już w chwilę potem zdał sobie sprawę, że przyjaciel tak naprawdę wyładowuje na nim złość, której nie może skierować na siebie. Czytał w Kamykowych myślach i widział, jak w wyobraźni maltretuje on samego siebie, jakby karząc się za wymyśloną zbrodnię. Wreszcie Tkacz zmęczył się, znieruchomiał, oddychając ciężko. Oczy miał szeroko otwarte, twarz wykrzywioną. Dopiero wtedy Pożeracz Chmur dostrzegł, że tej niesmacznej scenie przyglądał się synek Wierzby. Chłopczyk miał w palcach skraj tuniki i patrzył spode łba, wysuwając z dezaprobatą dolną wargę.

— Czemu wy się bijecie? — spytał podejrzliwie. — Mama mówi, że nie wolno się bić.

— A mama nie mówiła, że to brzydko podglądać? — odparł zaczepnym tonem Pożeracz Chmur.

Jesion przestąpił niepewnie z nogi na nogę. Zmarszczył cienkie brewki w umysłowym wysiłku.

— To jest m ó j ogródek! — zawyrokował z naciskiem. — Ja tu mogę być i się przyglądać!

— Jaki pyskаты malec — rzekł Pożeracz Chmur z uznaniem. — Ale on... — tu wskazał brodą na przyjaciela — ...też ma prawo tutaj leżeć. Łaził po tych drzewach, zanim jeszcze się urodziłeś, bystrzaku.

— To jest właśnie Kamyk — dodał smok dla lepszego wyjaśnienia.

— Wrócił do domu.

Puścił swego przeciwnika i młody mag podniósł się do pozycji siedzącej. Po wyczerpującym wybuchu zwiesił głowę, machinalnie strzepywał źdźbła trawy z ubrania i włosów. Jesion przyglądał mu się badawczo.

— Czy on teraz zabierze mi z powrotem swoje zabawki? — spytał podejrzliwie.

Pożeracz Chmur unióśł brwi z rozbawieniem. Pobieźne muśnięcie myśli chłopczyka w mentalnym kontakcie ujawniło źródło niepokoju — gliniane pieski, kolorowe kulki i wystrugane z drewna zwierzątka oraz inne figurki. Wszystko to wyciągnięte z zakurzonego kąta komórki, by służyło nowemu dziecku. A skoro pojawił się stary właściciel, Jesion obawiał się o swoje skarby.

— Kamyk jest za duży, żeby bawić się zabawkami — uspokoił malca Pożeracz Chmur. — Przeciwnie, przyniósł ci nową. Małego konika i wózek na dodatek.

Jesion rozpromienił się momentalnie.

— Gdzie? Da mi teraz? Ja mam motyla na sznurku, wiesz?

— Poczekaj. On jest bardzo smutny, rozumiesz?

Chłopczyk poważnie pokiwał głową.

— Rozumiem. Jak dziadek Płowy umarł, to płakałem. Ale on nie płacze. . .

— Jest dorosły, a dorośli nie płaczą. Idź, poszukaj konika w torbie.

To wreszcie skłoniło Jesiona do odwrotu. Pobiegł, uskrzydłony obietnicą podarunku, jak bosonogi chochlik w kusym łaszkę. Pożeracz Chmur odprowadził go wzrokiem, myśląc, że wszystkie dzieci bez względu na rasę są do siebie podobne. Ten smyk bardzo przypominał mu jego siostrzyczkę — małą Liskę. Identyczna zdolność do szybkich zmian nastroju i błyskawicznego przerzucania się z jednej myśli na drugą. Tracił w ramię Kamyka, który zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na otoczenie.

„Był tu twój młodszy brat. Może zauważyłeś?”

Kamyk nawet nie uniół głowy.

„Brat? Mnożą mi się krewni jak zające. Kuzyn, braciszek. . . szkoda, że wszyscy nieprawdziwi”.

„Płowy też nie był twoim prawdziwym ojcem”.

„Był lepszy niż prawdziwy. A ty go znałeś i nie widzę, żeby jego śmierć zrobiła na tobie duże wrażenie. Jakbyś wrócił na swoją wyspę i dowiedział się, że Pazur zmarł, to też byś się martwił tylko tym, że cię obiad ominął?”

Pożeracz Chmur zmarszczył nos ze zgorzaniem. Usiłował znaleźć sensowną odpowiedź na zarzut, ale nie mógł. Już dawno temu ugruntowało się w nim fałszywe przeświadczenie, że ludzie rozpalają stosy pogrzebowe po to, by upiec zwłoki i rytualnie je spożyć. Smoczy obyczaj nierozdzielnie splótł się w jego wyobraźni z człowieczym gustem kulinarnym i jakoś nie mógł się od tego uwolnić, mimo wielokrotnego napominania przez ludzkich towarzyszy. Nie wiedział, jak mógłby pocieszyć Kamyka ani co zaproponować mu w takiej chwili prócz jednego: rozpalić ognisko, zrobić to, co ludzie robią w podobnych sytuacjach i zapakować przykre wspomnienia do głębszej warstwy pamięci, gdzie przestają przeszkadzać w normalnej egzystencji. Tak zrobiłby on — smok, ale ludzie byli o wiele bardziej skomplikowani. Prawdę mówiąc, uwielbiali rozdymać problemy do nienaturalnych rozmiarów, nie bacząc na to, że wtedy nie mogli już sobie z nimi radzić sami. To było wręcz irytujące.

„Czy ty bardziej żałujesz jego czy siebie?” — przekazał Pożeracz Chmur z przekąsem.

Kamyk spojrzał koso.

„Wstydę się — wyznał szczerze. — Płowy pokładał we mnie nadzieje. Miałem mu być synem, a opuściłem go w najgorszym czasie. Może chorował, może mnie potrzebował?”

„Była z nim ta kobieta, więc nie był sam” — przerwał mu Pożeracz Chmur. — „A jeśli ktoś ma coś wiedzieć o śmierci Płowego, to właśnie ona. Poza tym uważam, że powinieneś zapytać, czy jej czego nie trzeba. Została sama z dzieckiem. Może ktoś chce jej odebrać terytorium, może są głodni...?”

Co prawda wzmianka o terytorium była typowo smocza, ale Kamyk przyznał rację Pożeraczowi Chmur. Jeszcze minutę temu czuł się, jakby grunt osunął mu się spod stóp. A teraz kurczowo chwycił się nowej myśli, która stanowiła choć mizerny, ale jednak ratunek: rzeczywiście, jeżeli Wierzba pozostała sama na gospodarstwie, mogła potrzebować pomocy. Chociaż tyle powinien zrobić — zadbać o Wierzbę, gdyż tego na pewno życzyłby sobie Płowy.

Tymczasem Wężownik, który został w izbie z gospodynią, zdążył już się dowiedzieć najważniejszych rzeczy. Przybrany ojciec Kamyka zmarł niespełna trzy miesiące temu, bez żadnego ostrzeżenia w postaci choroby czy ogólnego niedomagania. Wieś straciła z dnia na dzień medyka, a Wierzba — opiekuna. Jak dotąd radziła sobie jednak całkiem dobrze. Sąsiedzi urządzili pogrzeb, a biegły w sztuce kaligrafii wiejski nauczyciel napisał list z zawiadomieniem o śmierci maga Obserwatora, który wysłano do najbliższej wieży przekaźnikowej zawiadywanej przez Mówcę. Od tamtej pory nie nadeszła jeszcze żadna odpowiedź od przedstawiciela Kręgu Magów. Wierzba po staremu dbała o dom, szyła zarobkowo, wychowywała syna, hodowała kury oraz gołębie, które chętnie kupowano od niej z przeznaczeniem na zupy i paszteciki. Nie miała dokąd iść, więc została, ale ciągle bala się, że nadejdzie dzień, w którym zjawi się następca Płowego i nie będzie chciał jej tu zatrzymać. Majątek maga, który nie został nikomu przekazany na mocy testamentu, automatycznie przechodził na własność Kręgu. Płowy jej to wyjaśnił jeszcze za życia i obiecywał, że na wszelki wypadek zabezpieczy ją i Jesiona. Nauczyciel nie znalazł w pozostawionych przez maga papierach żadnego stosownego dokumentu, zapewne więc Obserwator nie zdążył takowego spisać.

— Spać wieczorem się położył, a raniem nie oddychał. We śnie umarł, ale przedtem chory nie był ani na nic się nie skarżył. Pięćdziesiąt trzy lata dopiero mu było, a zdrowy — mówiła Wierzba ze smutkiem. — Jak to tak może być?

— Mówią na to „przekleństwo magii” — wyjaśnił Wężownik ze smutkiem. — Całkiem sporo magów tak umiera. Tak jakby wypalali się od środka, niczym świece. A w końcu gasną nagle. I często we śnie.

— Och... To pewno boicie się oczy zamknąć! — zawołała impulsywnie Wierzba, unosząc ręce w geście zaskoczenia.

Wężownik uśmiechnął się dyskretnie.

— Jeszcze nie. My jeszcze jesteśmy na to za młodzi. Widać było, że Wierzba zawstydziała się lekko.

— Nie jestem uczona i głupio gadam. A ile sobie pan mag lat liczy? Jeśli wolno spytać, z uszanowaniem — dodała grzecznościową formułkę.

— Siedemnaście — odpowiedział Wężownik uprzejmie, ukrywając rozbawie-

nie. Język Wierzby chwilami był dość osobliwy.

W tym momencie ponownie pojawili się Kamyk i Pożeracz Chmur. Jesion, który zdążył wyciągnąć z niewielkiego bagażu Tkacza Iluzji swój nowy zaprzęg, bawił się koło drzwi, świata poza nim nie widząc. Smok, przechodząc mimo, poklepał go lekko po zwichrzonej czuprynie. Dziecko uniosło buzię, zmierzyło go roztargnionym spojrzeniem i obdarzyło szerokim uśmiechem wdzięczności, po czym natychmiast na nowo zatopiło się w zabawie. Kamyk podszedł do Wierzby i zgiął się w ukłonie pełnym uszanowania.

— Tkacz Iluzji pragnie podziękować pani za zajęcie się sprawami Obserwatora Płowego i przeprosić za to, że dotąd nie pojawił się, by zrobić to osobiście — odezwał się Pożeracz Chmur, przekazując głośno myśli Kamyka.

Oszołomiona Wierzba milczała. W końcu podniosła się z zydła i także ukłoniła, po kobiecemu składając ręce przed sobą.

— Czy odpowiedź z Kręgu będzie? Czy panowie stamtąd? Myśmy myśleli, że Kamyk... pan Kamyk — poprawiła się szybko — nie żyje. Jak teraz będzie? — dopytywała się. — Czy pan Kamyk tu nastanie?

Rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

— Umiem pracować! — zastrzegła szybko, a w jej głosie pojawiły się błagalne nuty. — Niedużo jem. A Jesion posłuszny jest bardzo.

Kamyk delikatnie wziął ją za ramiona i posadził z powrotem. Wierzba z niepokojem patrzyła, jak ten wysoki chłopak krzyżuje spojrzenia z tym drugim, równie postawnym. Kiwiają trochę głowami, niby naradzają się w myślach — jak to magowie. Nawet ten grzeczny Wędrowiec dołączył. Czy jej nie wyrzucić, pewnie się zastanawiają. Ale przecież już tak długo tu żyła, a poczciwy pan Płowy lubił ją bardzo i chciał zatrzymać. I dom wcale inaczej teraz wyglądał niżeli wprzód. A co z Jesionem będzie? Na wiosnę pan Płowy pisania go uczyć zaczął i mówił, jaki pojętny chłopiec jest. A tu szkoła we wsi... Zmarnuje się lepszy los dla jej dziecka... Wierzbie łzy zakręciły się w czach.

„Wężownik twierdzi, że Płowy nie zostawił testamentu — przekazał Kamykowi Pożeracz Chmur. — W każdej chwili może pojawić się tu jakaś wywłoka z Zamku i zająć chatę”.

„Jest karta przysposobienia mnie przez Płowego, zarejestrowana u Strażnika Słów. To czyniło ze mnie spadkobiercę. W tym kłopot, że ja oficjalnie nie żyję i cały ten kram jest teoretycznie niczyj, czyli Krąg może osadzić tu każdego rezydenta, na jakiego przyjdzie mu ochota”.

Wężownik, którego smok równolegle związał kontaktem mentalnym, wtrącił się:

„Może nie byłoby to takie złe? I tak nie masz zamiaru tutaj zostać. A Wierzba po staremu mogłaby prowadzić gospodarstwo dla kogo innego”.

„Jaką masz gwarancję, że ten następny pozwoli jej zostać? Może będzie już miał kobietę?”

„Chyba Krąg nie pozbawi dachu nad głową matki z małym dzieckiem?”

„Ty naiwny baranku, a co zrobił wcześniej, jak nie to właśnie? Ojcem Jesiona był mag — tak mi pisał Płowy — i gdzież to jest ten ojczulek? Gdyby dzieciak miał choć cień talentu, Krąg łożyłby na jego utrzymanie i wykształcenie, ale tak nie jest, więc oboje z matką przymierali głodem. Wierzba nie ma żadnej rodziny. Tułała się po wsiach, najmując się do pracy, a czasem nawet żebrząc o jedzenie. Znów ma iść na poniewierkę?”

„Płowy miał spisać testament, cedujący prawa do majątku na Wierzbę, ale nic takiego nie znaleziono”.

„Majątek — jak to świetnie brzmi — wtrącił Pożeracz Chmur ironicznie. — Nikt by się nie domyślił, że chodzi o chałupę z niepewnym dachem i skrzypiącą podłogą, sad wielkości obrusa i parę kóz”.

„Zapytaj Wierzbę, czy zaglądała do skrytki!”

Ale zagadnięta kobieta potrząsnęła głową.

— Skrytka? Ja nic nie wiem. Pan Płowy chował rzeczy w szafce i w pudełku. Trochę pieniędzy tam było, ale mało — zerknęła z obawą na Kamyka. — Dach należało przed deszczami poprawić. Strzecharzowi płaciłam. . .

Kamyk zerwał się na równe nogi, odsunął szerzej sfatygowaną kotarę, po czym wyciągnął spod stołu Płowego drewnianą skrzyneczkę z podręcznymi narzędziami. Wybrał małe dłutko. Obecni z zaciekawieniem obserwowali, jak następnie pada na kolana przed posłaniem starego maga i odlicza deski podłogi. Podważył czwartą od wezłowania. Pod nią była wolna przestrzeń, akurat taka, by zmieścić grubą tuleję na zwoje. Kamyk wyciągnął ją tryumfalnie i stał z niej kurz rękawem, nie dbając o schludność stroju. Po zdjęciu pokrywki wytrząsnął na stół ciasny rulon papierów oraz zawiniątko, które zabrzączało metalicznie, padając na blat. Teraz nawet mały Jesion zainteresował się znaleziskiem i porzucił zabawę, piastując jednak troskliwie w objęciach swój nowy skarb. Pożeracz Chmur rozwinął szmatkę, wysypując z niej sporą garść srebra, wśród którego błysnęły nawet dwa złote talenty. Kamyk wraz z Wężownikiem pilnie przeglądali papiery. Był tam wspomniany wcześniej akt adopcyjny, umowa kupna kawałka ziemi, na którym stał dom maga, trochę listów z pieczęcią Wężła Wędrowców na znak, że zostały dostarczone z samego Zamku Magów szybką pocztą. Trzy z nich napisał sam Kamyk. Kilka było znacznie starszych — papier pożółkł. Zaczynały się nieodmiennie staroświecką manierą od słów: „Ukochany synu, pisałam do ciebie dnia. . .” Te Kamyk troskliwie odłożył na bok. Wreszcie dotarli do złożonego w kilkoro kawałka pergaminu. Dwie głowy pochylły się nad pismem Płowego, zderzając się skroniami.

— To jest to! — zawołał Wężownik. — Słuchajcie! Wyrwał Kamykowi dokument i zaczął czytać głośno:

Z wolnej woli i bez spodziewania korzyści wcześniejszej, piszę co następuje: wraz z moją śmiercią całość posiadanego dobytku ma przejść na własność Wierz-

by, córki Wikliny i Żarka. Zgodnie z obyczajem kronikę oraz wszystkie zanotowane wyniki pracy naukowej należy przekazać do Zamku Magów pod opiekę Kręgu. Księgi oraz wyposażenie pracowni pozostawiam Jesionowi, synowi Wierzby z ojca Sznurowa, z nadzieją, że skorzysta z nich i przyniosą mu one pożytek.

— Nie ma podpisu. . . — zakończył Wężownik z rozczarowaniem.

„Nie ma podpisu” — powtórzył Pożeracz Chmur jak mentalne echo.

Kamyk z zastanowieniem przyjrzał się pergaminowi. Bez podpisu dokument był wart akurat tyle, co materiał, na którym go sporządzono. Płowy na pewno nie zaniebawiłby tak ważnej rzeczy bez istotnego powodu.

Płowy był bardzo schludny, a pergamin jest złożony kilkakrotnie i wygląda, jakby już przedtem wyskrobywano z niego poprzedni tekst. To zwykła karta do notatek. Zapewne miał zamiar przepisać to wszystko na dobry papier i opatrzyć podpisem oraz pieczęcią. Nie zdążył, niestety.

„Czy nie możesz sam tego podpisać? — spytał Pożeracz Chmur, przeczytawszy widmowe pismo Kamyka, unoszące się w powietrzu. — Przecież to tylko parę znaków”.

„Sfałszować? Przecież to da się rozpoznać”.

„Zrób tak, żeby się nie dało”.

Kamyk zezłościł się.

„A ty co, myślisz że ja terminowałem u zawodowego defraudanta?! Jestem Tkaczem Iluzji, a nie oszustem!”

„Pod pewnymi względami to jest to samo — odgryzł się smok. — Sam to zrobię, jak ty się boisz. Dawaj!”

Odebrał pismo Kamykowi i rozejrzał się za piórem. Mag usiłował zabrać mu cenną notkę z powrotem, ale Pożeracz Chmur jedną ręką przytrzymał go z łatwością za łokieć, a drugą dzierżył pergamin poza jego zasięgiem, jakby drażnił się z dzieckiem. W końcu chłopak dał za wygraną. Młody smok, pełen animuszu, przygotował sobie pióro i atrament. Przyjrzał się bardzo uważnie sygnaturom w kronice Płowego, kilkakrotnie przećwiczył je na kawałku papieru, póki nie wyczuł odpowiedniego nachylenia oraz nacisku narzędzia. Po czym uważnie, w ogromnym skupieniu, położył brakujący podpis w odpowiednim miejscu pod autentycznym pismem nieżyjącego Obserwatora. Podmuchał ostrożnie na znaki, by atrament prędzej wysechł. Na pierwszy, drugi, a nawet i trzeci rzut oka oba kroje pisma nie różniły się absolutnie niczym. Tkacz Iluzji poniewczasie przypomniał sobie, że Pożeracz Chmur jest nie tylko bardzo dobrym rysownikiem. Swego czasu młody smok z pamięci odtworzył wszystkie jego notatki utracone na Wyspie Szaleńca, nie roniąc ani jednego słowa, a także znakomicie naśladował Kamykowe pismo.

Wierzba obserwowała te kombinacje, nie pojmując niczego. Jesion ustawiał równy stosik ze srebrnych monet, kładąc jedną na drugiej. Bardziej zajmowały

jego uwagę te błyszczące blaszki niż niezrozumiałe przepychanki starszych. Pożeracz Chmur podsunął dokument Wierzbie.

— Testament Płowego. Jest twój. Tkacz Iluzji rezygnuje z prawa do schedy po Obserwatorze.

Wzięła pergamin machinalnie.

— Mogę zostać? — zapytała niepewnie i bardzo cicho.

— Oczywiście — zapewnił ją Wężownik. — Teraz to wszystko pani. Dom i pieniądze tak samo.

Nagle zaczęła płakać.

— Ale czy to aby ważne? — spytała przez łzy. — Czy to ważne jest? Nie wyrzucą mnie?

— Niechby kto śmiał! — oburzył się Pożeracz Chmur. — Własnego terytorium broni się zębami i pazur. . . !

Umilkł nagle, gdy Wężownik wsadził mu łokieć pod żebra.

— Wszystko w porządku, szanowna pani — odezwał się Wędrowiec uprzejmie. — Tylko czy pani będzie umiała trochę. . . trochę naciągnąć prawdę?

— Skłamać? — Wierzba rzuciła okiem na bawiącego się monetami syna i twarz jej nabrała wyrazu zawziętości. — Tak. Umiem.

Dla Jesiona była w stanie zrobić znacznie więcej.

— Proszę więc zaraz jutro powiedzieć we wsi, że znalazła pani ten dokument. W razie czego: był już podpisany, a nas tu wcale nie było.

— Tak powiem.

Przenosiła wzrok z jednej młodej twarzy na drugą w zdumieniu, jak mogą istnieć tak dobrzy ludzie wśród magów. Syn pana Płowego zostawił jej dom, choć miał pełne prawo go zająć, a jego towarzysze są tacy mili dla biednej, niewykształconej wieśniaczki. Ścisnęła w ręku bezcenny kawałek pergaminu, aż palce jej zbieleły. Z trudem mogła uwierzyć, że to nie sen.

Kamyk chwilę stał nad kroniką Płowego, nie mogąc zdecydować się na zajrzenie do środka. był ciekaw tego, jak Płowy przyjął wiadomość o jego rzekomej śmierci, ale jednocześnie obawiał się, że lektura będzie zbyt bolesna. Zrezygnował z niej bez żalu, a nawet z pewną ulgą. Na stole dostrzegł niewielki kamień, jakby zostawiony tam przez nieuwagę — mały kawałek krzemienia niezwyklego kształtu. Obły z jednej strony, z drugiej został odłupany tak, że utworzyła się podwójna ostra krawędź. Całość przypominała skamieniały szpon wielkiego ptaka.

„Taki właśnie jestem — pomyślał, biorąc go do ręki. — Niby gładki, ale kalcę. Nie wszystko wychodzi tak, jakbym chciał. Zawiodłem Płowego i już tego nie naprawię”.

Przypomniał sobie nagle o nowych szklach do mikroskopu. Wyciągnął je z torby podróżnej i położył na najwyższej półce. Może komuś kiedyś się przydadzą. Może będzie to Jesion, jeżeli uda mu się zdobyć wykształcenie i spełnić te ambicje

Płowego, jakich on do końca nie zaspokoił. Długą drogę miał przed sobą ten ma-
lec, a nawet jeszcze jej nie przeczuwał. Kamyk wydobył też zupełnie zapomniane
grzebień do włosów przeznaczone dla Wierzby. Nie śmiała ich wziąć.

— Za piękne są — wyszeptwała, choć oczy jej się śmiały do ślicznych dro-
biazgów. — Nie śmiem ich wpiąć. Ogromne podziękowanie, ale to dla mnie za
ładne.

— Piękno do piękna — rzekł z galanterią Pożeracz Chmur i wsunął je we
włosy Wierzby.

— Jak ja się wywdzięczę. . .

— Nijak. Bądź szczęśliwa i hoduj tego szkraba zdrowo, jak ci Płowy przyka-
zał.

Gdy wyszli, żegnani błogosławieństwami, Pożeracz Chmur nawiązał kontakt
z Kamykiem.

„Jak się czujesz teraz, kiedy nic nie masz?”

„Nie mam niczego więcej ani mniej niż przedtem. W sensie majątkowym.
A co straciłem, to sam wiesz”.

Jedyną pamiątką, jaką zabrał ze starego domu, był ów kamyczek znaleziony
na stole w pracowni Płowego. Symbol własnego imienia i poczucia winy.

* * *

*O zachodzie słońca rozpalilem ogień dla Płowego. Zbyt późno, jak powinno
być to dopełnione z mojej strony. Naciąłem sobie skórę na obu rękach — nowe
szramy dodane do tych starych, ledwo widocznych, które zostały mi po ofierze
za życie Pożeracza Chmur. Wiatr Na Szczycie odciął dla mnie kawałek jedwabiu,
żebym mógł go spalić, kiedy już przesiąknie krwią. Zauważył, że to bardzo kosz-
towna ofiara i Matka Świata z Panią Strzał powinny docenić taki pierwszorzędny
towar. Poczucie humoru Wiatru Na Szczycie czasem bywa trochę niesmaczne. Mo-
dliłem się, ale miałem wrażenie, że wszystkie moje myśli trafiają wpustkę. Bogini
mnie nie słyszała albo nie chciała słyszeć. Nie wiedziałem dotąd, że smutek może
być ciężki w całkiem dosłownym sensie. Czuję się jak wypełniony kamieniami.
Najgorsze jest to, że nie potrafię płakać. Żal kęsa na sucho, drapie mnie od środka
pazurami. Gdybym umiał utopić go we łzach, może byłoby mi lżej. Po wszystkim
przyszła Jagoda. Przyniosła czerwoną wstążkę od Srebrzanki, żebym nałożył ją na
przegub jako znak żałoby. Czy koniecznie powinienem demonstrować swoje uczu-
cia kolorem? Czy nie widać po mnie dostatecznie, jak bardzo jest mi przykro?
A gdybym nie smucił się śmiercią ojca, czy noszenie takiego symbolu nie byłoby
dodatkowym grzechem kłamstwa?*

Na razie jednak noszę czerwień na rękę, bo taka jest tradycja. Bo tego spodziewałby się po mnie Płowy. Ojciec był przywiązany do tradycji — twierdził, że daje ona poczucie więzi z poprzednimi pokoleniami i społeczności. Ale właściwie do jakiej społeczności ja teraz należę?

Wydarzenie w Żmijowych Pagórkach spowodowało, że Wężownik zaczął wspominać własny dom, w którym nie był od długich pięciu lat. Znacznie wcześniej niż inne połówki na żądanie inspektora Kręgu oddano go do szkoły w mieście, gdzie przebywał na beznadziejnie nudnej stacji. Wśród innych uczniów było tam jeszcze trzech chłopców obdarzonych magicznymi talentami, choć żadnego błękitnego. Wiele skorzystał przez ten czas — nabrał ogłady, pozbył się plebejskiego akcentu i znacznie podciągnął w nauce, ale jednocześnie jeszcze bardziej oddalił się od rodziny. Niedługo potem jego matka zmarła na tężec. Chłopiec coraz rzadziej zaglądał do domu, zwłaszcza że przeniesiono go aż na drugi koniec cesarstwa. A teraz zatęsknił na nowo, nie tylko za ojcem i rodzeństwem, lecz także za niepowtarzalnym zapachem wody, mułu, sitowia i wędzonych ryb. Woda w Jeziorze Wężowym była jasnobrażowa jak klarowne piwo, pachniała torfem, a ryby w niej „chodzą wielkie niby woły”. Coś w głębi duszy szeptało Wężownikowi, że powinien jeszcze raz spojrzeć na rodzime okolice, póki czas, póki nie pękły ostatnie więzy ze starym domem, tak jak to przydarzyło się Kamykowi.

Nad Jeziorze Wężowym lekki wiatr rwał opary. Wstawał świt. Zanim słońce zacznie znów przypiekać, woda oddawała zgromadzone ciepło, spowijając bladym, przejrzystym woalem przybrzeżne trzciny. Mgły roztapiały się szybko w świetle poranka, zdając się wsączać w rośliny niczym eteryczne postacie rusałek, żyjących w źdźbłach i gałązkach. Skupisko chat rybackich na brzegu wyglądało jak grupka zakutanych w brunatne suknie i chusty starych bab, które przysiadły razem, by pogwarzyć i ponarzekać na los. Pale do suszenia sieci były puste — wszystkie niewody zarzucono jeszcze przed zeszłym wieczorem, a teraz właśnie odbijano od brzegu, by wyciągnąć spodziewany łup w postaci srebrzystej ryby. Płaskodenne łodzie sunęły statecznie po powierzchni jeziora, pchane wiosłami lub długim drągiem. Ciemne sylwetki rybaków poruszały się miarowo przy pracy. Po toni szły tylko lekkie pluski, nie było zwyczaju rozmawiania na wodzie. „Ryba głucha, a wysłucha” — powiadano, więc od pokoleń utarło się, że na krypie nie otwiera się ust bez potrzeby. Chyba żeby jednym słowem lub niewyraźnym mruknięciem przekazać polecenie. Wężownik z łatwością wypatrzył łódź ojca. Płynęła prosto na stare łowisko przynależne ich rodzinie. Było dobre, ryba lubiła tam chodzić, bo ani za głęboko, ani za płytko, a na dnie rosły kępy wodnej strzałki i wielkie buły mglaka, gdzie żarcia pełno i łatwo się schować przed zębaczami. Tyle że zawsze tego zielska naszło do sieci razem z rybą i skubać trzeba było sznurki, czego Wężownik szczerze nie cierpiał. Zdjął ubranie, schował je pod krzakiem i zanurzył się w brązowej wodzie. W chwilę później zniknął wraz z wielką kulą wody. Przez mgnienie dało się zobaczyć znak niczym po ogromnym

naczyniu i już jezioro runęło w próżnię, nie zostawiając żadnego śladu po skoku Wędrowca. Pojawił się niespełna pikę od łodzi, wywołując falę, która zakotłosała czółnem.

— Tatk! — zawołał, unosząc ponad powierzchnię rękę w pozdrowieniu. Wiosło rąbnęło w wodę tuż koło niego.

— Matko, chroń nas!! Giń potworo!! — krzyknął z przerażeniem rybak.

Chłopiec zachłysnął się i poszedł pod wodę. Nie takiego przywitania się spodziewał. Zwinnie jak wydra przekreślił się w bursztynowym przestworzu, silnym wymachem ramion oddalił od niebezpiecznej strefy, po czym skierował ku powierzchni od strony rufy. Wynurzył głowę nad wodę, odgarnął z oczu mokre włosy. Ojciec ścisnął w dłoni zawieszony na szyi amulet, rzucając dokoła dzikie spojrzenia. A to barczyste chłopaczysko koło niego, dzierżące kurczowo osękę... czyżby to był Pławik — młodszy brat Wężownika? Kiedy mag go widział ostatnim razem, był jedenastoletkiem o pajęczych kończynach, za to z wilczym apetytem.

— Tatk, ubić mnie chcesz?! — odezwał się z urazą. — To ja, twój syn! Pławik, na Miłosierdzie Losu, odłóż ten hak!

Uczepił się rękoma rufy.

— Mogę wyleźć na wierzch? Tatk...?

— Tatk, on mi się nie widzi na topicha — odezwał się Pławik ostrożnie.

Ojciec chłopców przyjrzał się podejrzliwie przybyszowi. Topich, wedle wszelkich prawideł, winien być podpuchnięty, wypęzły, a nawet nieco porośnięty pleśnią. Absolutnie nie wolno go zapraszać do łodzi, nawet jeśli bardzo prosił, a już największą głupotą byłoby dotknąć takiego. Nawet gdyby nie zdołał wciągnąć nieostrożnego rybaka pod wodę, wprost w objęcia śmierci, to sprowadziłby chorobę na zagrodę, a może i całą wioskę. Tymczasem chłopak pławiący się w jeziorze był opalony jak orzech, bez śladu wodnej rzęsy we włosach. Oczy miał i bystre. Wyglądał tak żywo, że bardziej już nie można.

— Synek? — wyszeptał rybak z niedowierzaniem. — Wężownik?

Przekładając dłonie wzdłuż burty, chłopiec zbliżył się do ojca i brata. Mężczyzna chwycił wyciągniętą rękę. Skóra była trochę wyziębiona od wody, ale pod nią równo bił puls.

— Tęskniłem, tatk... — niespodzianie głos Wężownika załamał się i chłopiec uronił niemęską łzę.

Jego ojciec milczał, tylko obiema rękami przygarniał go coraz mocniej, przyciskając szorstką od zarostu twarz do mokrych włosów syna.

Ryba nie ma wyrozumienia nawet dla tak doniosłych wydarzeń jak powrót pierworodnego, więc gdy opadły największe emocje, wszyscy trzej zajęli się wyciąganiem sieci. Pławik zręcznie manewrował wiosłem, kierując łodzią. Wężownik bez słowa zabrał się do przyciągania sieci osęką. Lekkie drewniane bojki — wymoczone w zaprawie czosnkowej, aż nabrały mlecznobiałego koloru — bez-

błędnie wskazywały, gdzie należy zanurzyć hak w poszukiwaniu węćierza. Ojciec wybierał sak rękami. Kolejne zwoje przewalały się przez burłę, a w nich trzepotała srebrnołuska zdobycz — krasnopiórki, wstężniki, mieczyki, a nawet mignął zębacz wyrostek, który z głupoty popłynął w pułapkę. Razem z siecią w łodzi oczywiście znalazły się jak zwykle długie, lepkie wodne chabazie. Na żmudne wyskubywanie miał przyjść czas później. Na razie trzeba było szybko wracać do brzegu, zanim ryby posną — podzielić zdobycz na to, co pójdzie do garnka, na to, co do wędzenia i suszenia oraz niewartą zachodu drobnicę, która wróci do wody, aby podrosła. Wężownik jeszcze skoczył po zostawione w krzakach ubranie i wrócił bezpośrednio do pomostu, gdzie już cumowało także parę czółen należących do sąsiadów. Poznali go, a jakże. Dlaczego nie mieliby poznać, skoro znali go od urodzenia? Inaczej, niż ktoś by się spodziewał — pojawienie się chłopca nikogo nie zdumiało jakoś szczególnie i nie wywołało reakcji bardziej żywiołowej niżli parę stów rzuconych mimochodem. Wiadomo: ryby i rybaki narodek niemowny. Myśleli wszyscy, że starszy chłopak Ociosa za Bramę poszedł, a widać omyłka to była. Czy to mało wiele razy człek się myli? Cieszyć się trza, co wrócił żyw i zdrów. A gdzie był i co porabiał? Na pogwarki czas będzie o południu, a i potem, kiedy już na nowo sieci się zaciągnie, nim ryba o zmierzchu chodzić zacznie. Na wszystko czas swój jest: na robotę i na gadanie, i na piwo.

Kiedy sieci zawisły na palach do wyschnięcia, nadeszły kobiety z wioski, by pomóc sortować i oprawiać połów. Także one, wzorem mężów i ojców, nie narzucały się Wężownikowi. Nawet jego siostra, imieniem Strużka, na widok brata co prawda roześmiała się z radością, klasnęła w ręce i uściskała go krótko, ale już za chwilę wzięła się do pracy. Cała rodzina sprawiała ryby, klęcząc przed długą, niską kładką zbitą z paru desek. Wężownikowi z początku szło wolno, ale niebawem jego ręce same przypominały sobie właściwe ruchy. Rybę, która jeszcze się ruszała, uśmiercało się szybko, wbijając czubek noża pod skrzyde. Brzeszczot był dobrze naostrzony, więc wystarczał jeden ruch, by oddzielić łeb. Dwa, trzy kolejne pozbawiały łup wnętrzości. Skończyli niebawem. Łby i patrochy wyrzucono do wspólnego dołu. Pławik z Wężownikiem parokrotnie zanurzyli kosz z oprawionymi rybami w wodzie, by splukać krew. Strużka wybrała cztery największe sztuki, aby upiec je w glinie. Przez ten czas cała czwórka zamieniła może ze sześć słów. Tylko spoglądali co rusz na siebie nawzajem, uśmiechając się ciepło. Chłopak czuł, jak z chwili na chwilę coraz mocniej przyciąga go domowa aura tej milczącej akceptacji i miłości. Dopiero po zjedzeniu oszałamiająco pysznego głowacza (Wężownik prawie już zapomniał, jak dobra może być świeża ryba, przyrządzona na sposób, który Strużka przejęła po matce), ojciec zagał rozmowę:

- No, synek, gadaj. Gdzieś się obracał.
- Daleko, tatk. Aż na Smoczycach Wyspach.
- Ryba tam dobra? — wtrącił Pławik.
- Dobra, ale dużo paskudztw we wodzie jest. Kolczaste, jadowite... Gryzie

to albo parzy. Kiedy „morskie panny” mają gody, to lepiej ani palca nie wkładać, bo morze jak zupa gęste i ze skóry można obejść.

Ocios spokojnie, z powagą, jakby odprawiał rytuał, zaczął przygotowywać sobie liść do żucia. Wydostał z garnuszka ukiszony spłachetek cierpnika, zawinął weń okruch wapna i kawałeczek suchego grzyba. Tak sporządzony wałeczek wepchnął między dolną szczękę a policzek. Od przeżuwania cierpnika miał bardzo białe zęby i język czerwony jak płat surowej wołowiny. Pławik sięgnął do garneczka i dostał od ojca po łapie.

— Niechaj, dzieciuchu.

Wężownik uśmiechnął się w duchu. Ach ten Pławik, jak mu pilno dorosnąć!

— Zezwól mu ten raz, tatk. Duży już wyrósł.

Ocios ruszył brwiami lekceważąco, ale podsunął młodszemu z synów naczynie z używką. Pławik szybko skorzystał z okazji, nim ojciec się rozmyśli. Strużka skończyła zajęcia i usiadła bliźutko przy Wężowniku, ukradkiem nakrywając jego dłoń swoją. Chłopiec zamknął ciepłe palce siostry w uścisku. Jego kochana, cicha siostrzyczka... Jakże tutejsze dziewczyny różnią się od tych z Południa! Strużynka była całkiem inna od chimerycznej, pyskatej Jagody i stanowczej, twardej jak krzemień Srebrzanki. Gdyby któraś z tamtych spotkała brata po tylu latach, od razu zasypałaby go lawiną pytań, narobiłaby zamętu, a Strużce wystarczy tylko, że Wężownik jest obok. Dotyka go lekko, całą radość chowa wewnątrz, ale widać po oczach, jak szczęście grzeje ją od środka, błyszczy w ciemnych źrenicach i promieniuje z nich niby delikatny blask świecy. I gdzież jeszcze są tacy ludzie jak w tej wsi rybackiej? Gdzie indziej wszyscy już by mu wleźli na głowę, domagając się wyjaśnień i odpowiedzi. A w tych skromnych, ciężko pracujących prostaczkach więcej jest godności i taktu, niż znaleźć można w niejednym szlacheckim domu.

— Ostałbyś tera — odezwał się ojciec. — Na osiemnasty rok ci idzie, prawem jest?

— Prawda, tatk.

— Pora tobie żony szukać. Własny jaki kąć mieć.

Wężownik skinął głową twierdząco. Właściwie dlaczego nie miałby zostać? Tyle lat już włóczy się gdzieś na obczyźnie i co mu z tego przyszło? Zobaczył kawał świata, wyszumiał się, a i tak tutaj, w domu, okazało się najlepiej, najbezpieczniej, najmilej. Ta uboga chatka o niskiej powale z dyli uwędzonych w dymie wydała mu się najbardziej pożądanym miejscem na ziemi. Dobrze byłoby zatrzymać się wreszcie na stałe w czterech ścianach i mieć pewność, że te same zobaczy się po przebudzeniu jutro i pojutrze, i już zawsze. Wężownik zadumał się nad tym. Rybaczenie nie było żadną karierą dla maga o jego talencie, ale czy robiłby co innego, gdyby ślepy los nie wskazał go palcem w chwili narodzin? Pracowałby teraz równie ciężko, jak ojciec i brat pewnie uważałby się za wykształconego, gdyby umiał napisać własne imię. Magiczny talent ujawnił się u niego, gdy był

jeszcze trzylatkiem. Z dnia na dzień przestał należeć wyłącznie do rodziców. Jego ojciec i matka musieli pogodzić się z tym, że kto inny miał decydować o doli ich małego synka. Obcy, zadufani w sobie mężczyźni zaczęli pojawiać się pod ich dachem, ucząc Wężownika rozmaitych światowych mądrości. Przekonując o tym, że przeznaczony jest do wyższych celów i wpajając mu dyskretnie pogardę dla sposobu życia jego ziomków — niepiśmiennych i ciemnych. Powinien codziennie błogosławić matkę, że nie uwierzył w to, a w każdym razie nie do końca. Ileż miłości musiała w sobie znaleźć, ile mądrości, by wyprostować jego myśli i oczyścić z arogancji! Miał szczęście — nie dała się przekonać, zastraszyć ani przekupić — pozostał w domu aż do dwunastego roku życia, choć Krag mógł go zabrać znacznie wcześniej. Może zaważyło tu pięć mogiłek dziecięcych pod ścianą chaty. Między nim a Pławikiem urodziła się dwójka, a po Struzce jeszcze troje i żadne z dzieci nie dożyło pierwszych urodzin. Pomoc chłopca w gospodarstwie wydawała się niezbędna przynajmniej do czasu, póki jego młodsze rodzeństwo nie podrośnie. Wykorzystali ten czas najlepiej, jak było można — ojciec wprowadził go w tajniki rybołówstwa, uczył budowy łodzi, matka zachęcała do strugania w drewnie i wbiła mu do głowy długie rodowody przodków żyjących od wieków wokół wielkiego jeziora. Recytowali je wraz z Pławikiem wieczorami, patrząc jak ogień dogasa w palenisku i przepalone szczapki czerwienieją, upodabniając się złudnie do rubinów. Żaden z nich nie widział nigdy rubinów, ale tak właśnie je sobie wyobrażali — wielkie, czerwone jak gorejące węgle. Matka szyla coś lub łątała, póki starczyło światła, słuchała ich, kiwając leciutko głową w takt wersetów, a gdy kończyli, sama zaczynała snuć opowieści wesołe lub straszne — choćby takie jak ta gadka o narzeczonej utopisze, co ukochanego pod wodę zważyła, sinymi ustami wpiła się w jego wargi, by dech mu odebrać i na zawsze już w głębinie omotać.

— Wężownik, słuchasz ty mnie?

Chłopiec drgnął i szeroko otworzył oczy. Ojciec mówił coś już dobrą chwilę.

— Zamyśliłem się.

— Ty się tak nie zamyślaj, bo to nieobyczajnie. Żem się pytał, co czynić chcesz.

Wężownik wahał się jeszcze moment. Czy dobrze zrobi, opuszczając nagle przyjaciół? Ale przecież tak właściwie wcale go nie potrzebowali. Prawie nikt nie wykorzystywał jego talentu, prócz ostatniej prośby Kamyka. Wędrowali tradycyjnym sposobem, na własnych nogach lub grzbietach jucznych zwierząt. Na co im Wędrowiec w takich okolicznościach? W razie nagłej potrzeby będą mieć Myszkę, który jest jeszcze lepszy od niego. Jak długo on ma jeszcze wlec się bez żadnego celu po kraju? I co miałby robić w Górach Zwierciadlanych, skoro tam nawet porządnej wody nie ma?

— Zostaję, tatku. Mam trochę pieniędzy, jakoś się urządzę. Nie tu, ale niedaleko.

W tym momencie zobaczył, jak Pławik oddycha głęboko, odpręża się ledwo dostrzegalnie, zupełnie jakby ominęło go jakieś niebezpieczeństwo. Natychmiast zrozumiał: przez lata jego brat zdążył przywyknąć do myśli, że to on obejmie dziedzictwo po ojcu, choć był tym młodszym. Starszemu przeznaczono los maga i nikomu nie przyszłoby do głowy, że mógłby osiąść w rybaczówce. Jego nagły powrót wstrząsnął posadami niewielkiego świata Pławika i objawił się jako zagrożenie, choć oczywiście cieszył się szczerze, że Wężownik ocalał.

— Ot, mądrze gadasz! — ucieszył się Ocios. — Akurat na Oku jeden mag chałupę stawia. Mówca on jest, to pewno umyślnego szukać' będzie. Nadasz mu się. Przy nas ostaniesz i robota dla cię się najdzie, nie ino przy bebeszeniu ryby!

Wężownik zeszywniał.

— Mówca? Stawia na wyspie wieżę przekąźnikową?

— Ano — potwierdził Pławik między jednym ruchem szczęk a drugim. Żuł pracowicie cierpnik. Dziaśta i język miał już czerwone jak owoc głogu.

— Co rusz przyplywa. A to po wędzonego wstęgora, a to po smarowidło na komary, a to znowuż kobitę do posługi umówić. . .

— Często tu bywa?

— Dwa, trzy razy na księżyc to już mus. Ale czasem to tylko kogo wybierze i z daleka mu do łba włoży jakie dumki. Na Oku robotniki siedzą — trza im żarcia albo co krypą przewieźć. . . Mówią, co na ostrowiu ten mag pierwszy, a ino patrzeć jak inni ściągają, bo tam jakieś ważne zielska naleźli i hodować chcą.

Wężownik zwiesił głowę. W jednej chwili wszystkie jego plany się zawaliły.

— Posłuchajcie. . . Kiedy płynąłem na Smocze Wyspy, to nie było dla zabawy. Nie podobało mi się, że Krąg mnie po kątach rozstawia, jakbym był ich własnością. Ja. . . uciekłem.

Ocios tylko mruknął coś niewyraźnie. Wężownik ciągnął dalej:

— Wolałbym zostać w domu, ale skoro kręci się tutaj Mówca, to nie założylbym się o własną skórę. Znajdzie mnie, to pewne. A wtedy nie tylko ja ucierpię, wy też. Oni potrafią być mściwi.

— To i ja wiem — burknął Ocios. — Oj, synek, długoś ty tutaj nie pobył — dodał z westchnieniem. — I gdzie tera pójdziesz?

— Przed siebie. A jak ktoś was o mnie spyta, lepiej żebyście nie wiedzieli dokąd.

— Ale przyjdiesz jeszcze? — wyrwało się Strużce.

— Pewnie. Kiedyś na pewno, Strużynko — uśmiechnął się smętnie. — Przecież kocham was wszystkich. Powiem ci coś: talent to nie jest wcale taka wspańska rzecz. Lepiej byłoby mieć was, niż być magiem.

— Szkoda, co cię matka nie słyszy — odpowiedziała cichutko.

* * *

— Czy teraz wszyscy po kolei będą odwiedzać mamusie i ojczulków? — spytał zgryźliwie Promień. — To jakiś obowiązek, czy co? Myszuchna odgrzebuje sentymenty. Kamyk ma kryzys i się umartwia. Ciekawe, w jaki sposób Wężownikowi się rozum obsunie. A kiedy ty się wybierzesz do swoich?

— A dlaczego ty się tak wściekasz? — odparł Koniec. — Od wczoraj miotasz się jak kot, któremu ktoś ogon przydeptał. Czy ma to związek z tym miejscem?

„To miejsce” rozciągało się przed nimi piękną panoramą murów z piaskowca w całym wachlarzu kolorów, od barwy jasnego piwa do prawie białej. Subtelną kompozycję brył, arkad i tarasów podkreślały tu i ówdzie plamy świeżej zieleni — staranie pielęgnowanych ogrodów należących do majątnej warstwy mieszkańców stolicy. W perspektywie, za całym tym bogactwem ażurowej sztuki kamieniarskiej, wznosiły się ku niebu lśniące złotem i emalią kopuły Pałacu Tysiąca Komnat, gdzie mieszkał sam cesarz, „Światłość Lengorchii”, „Pan Panów”, Ogniwo z rodu N’ass-aiena. Oraz zmienna liczba grzejących się w ciepłe jego łask dworzan z całym mrowiem służby.

— Który pałac jest twój? — spytał Koniec.

Siedzieli wraz z Promieniem w pewnym oddaleniu od miasta, na jednym ze wzniesień otaczających je od południa. Za plecami mieli winnicę, zazdrośnie strzeżoną przed zakusami złodziei gęstym, bardzo kolczastym żywopłotem. Za to nic nie zasłaniało im widoku od przodu. Z samego rana Wiatr Na Szczycie wybrał się do miasta, z nadzieją pozbycia się reszty jedwabiu za dobrą cenę. Pozostali rozbiegli się po ulicach i placach, podziwiając uroki stolicy. Brakowało Wężownika, który postanowił odwiedzić rodzinę nad jeziorem położonym bardziej na zachód. Promień, ku ogólnemu zdumieniu, sam zaofiarował się, że przypilnuje zwierząt, a Koniec po namyśle postanowił zostać razem z nim.

— Widać stąd twój dom? — powtórzył pytanie.

Iskra wzruszył ramionami i wskazał niedbale palcem okolice cesarskiego pałacu.

— Gdzieś tam, w obrębie Większego Miasta. Ale to było tylko tymczasowe lokum. Dwadzieścia czy trzydzieści komnat... za ciasno. Książę chciał kupić Pałac Orchidei, ale nie wiem, czy to zrobił. Siedziba rodowa jest w Brin-ta-ena i mieliśmy tam dużo więcej miejsca.

— Uwielbiam, kiedy wpadasz w ten wielkopański ton. „Dwadzieścia albo trzydzieści komnatek”, ciasnota straszliwa. Życ tak nie sposób! Zdaje mi się, że miałeś wtedy więcej pokoi, niż teraz masz koszul.

— Przynajmniej nie muszę się zastanawiać, którą wybrać.

— Komnatę?

— Koszulę.

— Nie masz ochoty, żeby jednak zobaczyć się z matką? Wiedziałyby chociaż, że żyjesz.

— Nie — uciał krótko Promień, ale Koniec nie dawał za wygraną. Intrygowało go, dlaczego Iskra tak zażarcie unika wszelkich rozmów o swym poprzednim życiu. Poza nieistotnymi szczegółami, nikt nie wiedział o nim prawie nic.

— Dlaczego tak boisz się ujawnić? Przecież cesarz nie rozkaże cię zagotować tylko za to, że ratowałeś życie. Nie była to obraza majestatu. To znaczy... nie aż tak straszna.

Promień milczał uparcie.

— A może wcale nie chodzi o księżniczkę, ale właśnie o dom? Czy było coś niedobrze u ciebie w domu?

Iskra gwałtownie obrócił ku Mówcy rozgniewaną twarz.

— A co cię to obchodzi, szpiclu?! Pewnie, że niedobrze! U nikogo z nas nie było cacy i ślicznie, bo inaczej nie byłibyśmy tu razem! A dlaczego ty pierwszy nie zaczniesz się zwierzać?

— Z czego? — bąknął zmieszany Koniec.

— Z czegokolwiek — burknął Promień agresywnie. — Może jestem ciekaw, dlaczego ty uciekłeś, skoro podobno miałeś taką cudowną rodzinę?! Ojciec — godny ziemianin, matka — istne bóstwo poświęcenia, kochające rodzeństwo — jak z bajki! I co mi powiesz?

— Że to wszystko prawda — rzekł Koniec sucho. — Miałem dobry dom, kochającą rodzinę i to nie z ich powodu tu jestem.

— A z jakiego?

Mówca potrząsnął głową.

— Nie mogę powiedzieć. Może kiedyś. Na razie jeszcze nie.

— To jakaś potworna tajemnica?

— Jeżeli o tym powiem, to komuś, do kogo będę miał bezgraniczne zaufanie. A ty, Promień, bez urazy, nie jesteś tym człowiekiem.

Nadąsany Iskra myślał nad tym długo, podpierając twarz dłonią i patrząc na panoramę stolicy. Z tej odległości nie słychać było żadnych odgłosów kilkutyśięcznego miasta, a ludzie rojący się u podnóża murów obronnych, w bramach i na drogach wyłożonych kamieniami — wyglądali jak skupisko maleńkich, ciemnych owadów.

— Nie znoszę swoich rodziców. Chciałbym, żeby pomarli — powiedział chłopiec niespodzianie. — Czy to nie jest potworne?

— Owszem. Dla nich — odrzekł Koniec, zaskoczony nie tyle treścią wypowiedzi, ile tym, że Promień w ogóle zdecydował się mówić. — Ale właściwie dlaczego? Co oni ci zrobili?

— Książę mnie nienawidzi, bo jestem magiem. Gdyby miał więcej synów, to pewnie by mnie kazał otruć jeszcze w dzieciństwie.

— Na Miłosierdzie... ale przecież jesteś... no... magiem. To nas wszystkich stawia jakby na całkiem innym poziomie. Mogłeś w każdej chwili odejść, zrezygnować z tytułu i po prostu żyć dla siebie, jak Słony. Czy może chodziło o pieniądze?

— Poniekąd. Rozumiesz, jak się żyje w pewien ustalony sposób, to nawet trudno sobie wyobrazić, że mogłoby być inaczej. A Krąg... Oni mi niczego nie ułatwiali. Chcieli mieć maga-arystokratę, bo to było korzystne dla polityki Rady Starszych. Mogę się założyć, że te nieszczęsne zaręczyny z księżniczką były ich pomysłem, podsuniętym cesarzowej. Młody Gwiazda Południa jest chorowity i nikt mu nie wróży długiego panowania, jeśli w ogóle doczeka koronacji. Starsza księżniczka wyszła za mąż za głowę rodu Foel'e, a młodsza przypaść miała mnie. Niby nic, ale Porfir Foel'e ma już czterdziestkę na karku. Wiesz, do czego zmierzam?

Koniec oblizał suche wargi.

— Gwiazda Południa za kilka lat może złożyć głowę na stosie, a Porfir jest niewiele młodszy od cesarza. Ty miałbyś duże szanse...

— Długo się nad tym zastanawiałem, Koniec. Bardzo długo. Starszym strasznie zależało na tym małżeństwie. Pchali mnie w to wszelkimi siłami. Słowem, nie wolno mi było się sprzeciwić! A w końcu chodziło tylko o młodszą księżniczkę — takie byle co do zagospodarowania. Kiedy ktoś zaczął na mnie słać cichorękich, najpierw spanikowałem i nie potrafiłem trzeźwo myśleć, ale potem coś mi zaczęło świtać. Ogniwo mógłby zemrzeć przedwcześnie, a jego syn szybko po nim. Porfir porządziłby sobie nader krótko, a wtedy przyszedłby czas na mnie.

— Czy ty nie masz gorączki? — spytał ostrożnie Koniec. Promień zaśmiał się gorzko.

— Może, może... Ale sam pomyśl: to, co streściłem ci w jednym zdaniu, zostanie rozciągnięte na lat pięć albo osiem. Same legalne, nie zostawiające cienia wątpliwości choroby, na tyle ciężkie, by nawet Stworzyciel nie odratował pacjenta. Nagle wypadki podczas polowania... To da się urządzić. I za te marne parę lat ma się na tronie błękitnego maga — śliczną kukielkę — wystarczy tylko ciągnąć za sznurek, a ona zrobi wszyściutko, co zechcesz. A że każdy wie, iż magowie płodzą magów, ustanowi się przy okazji nową, nader korzystną dynastię, nawet gdyby trzeba było podmienić parę niemowląt. Jaka szkoda, że... to nie... wyszło!

Promień zaniósł się znów śmiechem, aż łzy mu w oczach stanęły.

— Komuś to się nie spodobało: ty i plany Kręgu — odezwał się Koniec. — Porfirowi?

Iskra wrzucił ramionami lekceważąco.

— Jemu, jakiemuś ministrowi, może nawet samemu cesarzowi, choć oficjalnie był „za”. To mnie akurat nie obchodzi. Obchodzi mnie to, że miałem niecałe szesnaście lat i nie chciałem umierać w tym wieku! Ktoś usiłował mnie zadźgać, otruć,

zastrzelić, udusić i znów otruć — może nie w tej akurat kolejności. A mój kochający ojciec...! — chłopak wręcz wypluł ostatnie słowa, jakby były czymś obrzydliwym — ... nie chciał dać mi ochrony, chociaż błagałem go o to!! Miałem się nie mazgać i być mężczyzną! Nie wrócę do domu, Koniec. Nie wrócę, nawet gdyby tam na mnie czekała góra diamentów!

Po wygłoszeniu tej tyrady Promień rzucił się na brzuch, wsparł podbródek splecionymi rękami i zaczął kopać ziemię czubkiem buta. Z całej jego postaci emanowało głębokie rozgoryczenie. Przygnębiony Koniec odwrócił wzrok. Cóż jeszcze można było tu powiedzieć? Nic dziwnego, że Iskra był trudny.

W pewnym momencie uwagę młodego Mówcy przyciągnęło zbiegowisko, które tymczasem utworzyło się w połowie drogi między główną bramą a ich punktem widokowym. Akurat tam stała wielka, podwójna szubienica oraz kilka klatek do karania słońcem i brakiem wody. W jednej kulił się jakiś niewyraźny, ciemny kształt, pozostałe były puste. To zgromadzenie oznaczało z pewnością, że za chwilę odbędzie się kaźń. Koniec zrobił daszek z dłoni, osłaniając oczy przed blaskiem, lecz z tej odległości nie dało się dostrzec szczegółów. Znacznie więcej mógł dowiedzieć się, korzystając z talentu. W mgnieniu oka odszukał człowieka stojącego w najkorzystniejszym miejscu, z doskonałym widokiem na podest skazańców. Odbierał przez filtr umysłu ciekawskiego widza przebieg makabrycznego spektaklu. Lżejsze kary wykonywano na ziemi, więc wykorzystanie podwyższenia świadczyło o tym, że widowisko zakończy się śmiercią winnego. Nadeszli strażnicy, wlokąc między sobą więźnia, oraz kat z dwoma uczniami — wszyscy w zwyczajowych maskach, zasłaniających połowę twarzy. Na drewnianych osłonach wymalowane były czerwone szalki — symbole prawa w kolorze śmierci. Koniec zmienił kilka razy swoich łączników, z żadnym nie wiążąc się na dłużej. Prześlizgnął się powierzchownie po jaźniach kata, jego pomocników i skazańca (odrzucił go chaotyczny kipisz zwierzęcego lęku przed unicestwieniem), po czym wrócił do pierwszego obserwatora. Wysłuchał za jego pośrednictwem aktu oskarżenia — szablonowego, smętnego w wymowie opisu zabójstwa oraz banalnego rabunku. Skazaniec był oszołomiony i bezwolny jak krowa przeznaczona na rzeź. Toczył tylko wokoło szeroko otwartymi, bezmyślnymi oczami, jakby niezupełnie do niego docierało, co właściwie się dzieje. Nie zareagował nawet wtedy, gdy zmuszono go, by usiadł i przywiązano za ramiona do pionowej belki. Założono mu na szyję podwójną pętlę. Dwa końce długiego sznura podjęli obaj pomocnicy, po czym na dany znak mocno szarpnęli. Egzekucja była nieudana — Koniec ocenił to jednoznacznie. Któryś z siepaczy musiał spóźnić się z szarpnięciem liny, więc zamiast złamać kark przestępcy — dusili go po trochu. Biedak trzepotał się w pętli, niczym królik złowiony w sidła. Jego ciało wyginało się konwulsyjnie, pięty bębniły o deski podestu, na przepasce pokazała się plama moczu. Końca lekko zemdlilo.

„Partacze, cholerni partacze” — pomyślał ze złością.

Nie wiadomo, jak długo potrwałoby to potworne widowisko, gdyby starszy kat nie dopomógł nieszczęśnikowi, skręcając mu szyję rękami. Koniec oderwał się wreszcie od miejsca kaźni, ale wciąż dygotał z tłumionej pasji. Przez głowę przesuwały mu się wyuczone niegdyś na pamięć urywki kodeksu karnego: „wyroki śmierci wykonuje się ponad ziemią... ściśle według prawideł... pętla służy do przerwania rdzenia... garota odcina powietrze i jako taka jest narzędziem kary większej... nie przelewa się krwi, gdyż ona przynależy Matce Świata... zawiązać usta, by nie rzucił przekleństwa... nigdy nie skazywać brzemiennej przed rozwiązaniem... subtelne metody przesłuchań... bądź stanowczy, lecz nie okrutny... kary mniejsze wykonuje się...” — Koniec wbił sobie paznokcie w ucho, by ostrym bólem odpędzić niechciane myśli.

— Co się stało? — spytał Promień, obserwujący go spod oka.

Koniec odetchnął głęboko.

— Ktoś mi na cień nadepnął. Nieważne.

Część trzecia — Całkiem inny świat

Góry Zwierciadlane wyglądają jak nieudane gruzłowate ciasto gdzieniedzie skapo posypane miałkim cukrem. Takie w każdym razie sprawiają wrażenie z tej odległości, z jakiej aktualnie je oglądamy. Wiatr Na Szczycie twierdzi, że te „zadziwne” (tak właśnie on to pisze — znak z górną poprzeczką o wiele za długą i zawiniętą w bok), postrzępione laty w wyższej części pasma to śnieg. Wszyscy jesteśmy ciekawi, jak wygląda. Nikt z nas, oczywiście prócz Wiatru, nie widział nigdy śniegu. Stalowy mądrzy się, objaśniając, że to „woda w odmiennym stanie skupienia, podobna do mąki” i że da się go uzyskać w zwykłej probówce. Może uważa, że jest lepiej poinformowany od reszty, ale tak naprawdę tyle ma tej wiedzy, co brudu pod paznokciami. Wiatr Na Szczycie podśmiewa się z wywodów Stalowego, ale śniegu pokazać nam nie chce. „Sami się przekonacie, jak to jest z tym białym sukinsynem „- powiada i tyle można z tego wywnioskować, że śnieg jest zjawiskiem nieprzyjemnym, choć ciekawym.

Jak wspominałem, Góry Zwierciadlane na razie nie mają zbyt imponującego wyglądu. Jesteśmy akurat pośrodku „niczego”. Za nami zostały żyzne pola i pastwiska wyżyny Lenn, posuwamy się skrajem Puszczy Sokolej. Ależ duże tu drzewa! Góry rysują się przed nami niczym wał popielatej gliny i wydaje się, jakby uciekały złośliwie. Myszka i Wężownik mają ogromną ochotę skoczyć naprzód, by zapoznać się z nimi jako pierwsi, ale Wiatr zakazuje tego stanowczo. Twierdzi, że to niedobry pomysł i niebezpieczny, choć mnie trudno w to uwierzyć. Co mianowicie mogłoby grozić naszym Wędrowcom?

Tak zwany wielki świat zostawiliśmy za sobą w Lenenji. Pamiętam, że podczas pierwszej bytności w stolicy byłem pod ogromnym wrażeniem jej rozmiarów, zagęszczenia, ruchu tam panującego, równego chyba tylko mrówczej krzątaniu. Tym razem miasto nie wydawało mi się już tak rozległe ani tak wspaniałe. Może dlatego, że zdążyłem poznać Zamek Magów i okolice pod jego patronatem — równie dostatnie, ciekawe i rojne. Nie mieliśmy zabawić w stolicy długo — wystarczył dzień, by pozbyć się ładunku oraz uzupełnić zapasy. Wraz ze Śpiewakiem postanowiliśmy odgrzać wspomnienia ze wspólnych łazek po mieście. Wybraliśmy się do teatru, zabierając ze sobą również Pożeracza Chmur, który nigdy dotąd nie zaznał takiej rozrywki. Trzeba przyznać, że przedstawienie było dobre, a dodatkowych

wrażen dostarczył nam ten nieznośny smok. Kiedy główny bohater nader realistycznie umierał, draśnięty zatrutym ostrzem podczas nieuczciwego pojedynku, Pożeracz Chmur wziął to za dobrą monetę i z trudem powstrzymaliśmy go przed wtargnięciem na scenę, gdzie miał zamiar zagryźć „mordercę”. Publiczność wyła i rzucała w nieszczęsnego aktora skórkami pomarańczy, ale on wydawał się zupełnie tego nie zauważać. Z godnością grał swą rolę do końca, recytując finałowy monolog tragedii w samym środku pożaru pałacu. Wreszcie zawalił się na niego przepalony strop i złoczyńca widowiskowo dokonał żywota pod płonąca belką, ku zadowoleniu widowni. Zgodnie z tradycją tego rodzaju sztuk na końcu „pozostał żywy” jedynie właściciel teatru.

Muszę przyznać, że nigdy przedtem nie oglądałem równie udanego przedstawienia. Wiadomo — stolica, bogatsi ludzie, lepszy towar. Teatr było stać na zatrudnienie Tkacza Iluzji, który zawiadywał specjalnymi efektami scenograficznymi zza kulis. Wychodziłem stamtąd w melancholijnym nastroju. Gdyby nie wiadome okoliczności, także mógłbym pracować w taki sposób. Pławić się w chwale Mistrza Iluzji, brać pełny udział w życiu artystów, czerpać satysfakcję z dawanego ludziom odpoczynku od rzeczywistości. Żałowałem, że nie mogę pójść na zaplecze teatru, by zapoznać się z tym magiem. Był naprawdę dobry, sądząc z tego, co widziałem. Nigdy nie zetknąłem się z innym przedstawicielem mojej kasty, prócz Wiatru Na Szczycie, a on (niestety) zachowywał się najczęściej dość prostacko i nie rozumiał takich subtelności jak Sztuka. Rozmowa z Tkaczem teatralnym byłaby z pewnością bardzo interesująca i odświeżająca umysł. Tymczasem przebywałem w towarzystwie Nocnego Śpiewaka, który akurat wpadł w ironiczny nastrój i rzucał pikantne uwagi na temat przedstawienia. Przeciwwagę dla niego stanowił Pożeracz Chmur — naiwnie podniecony, podskakujący jak długotapy szczeniak, który po raz pierwszy wylał z budy na świat. Ani jeden, ani drugi nie nadawał się w tej chwili na partnera do zwierzeń.

Później, podczas popasów, kilkakrotnie odtwarzaliśmy wraz z Pożeraczem Chmur ten spektakl. Ja zawiadywałem całością iluzyjnej sceny, Gryf dbał o oprawę muzyczną, a smok bezbłędnie recytował z pamięci wszystkie kwestie. Jagodzie i Srebrzance nie podobało się zakończenie, więc pozwalaliśmy sobie na swobodne zmiany — to darowując życie bohaterowi, to znów wprowadzając powódź zamiast pożaru... Rozbestwiony Pożeracz Chmur zaczął dowolnie zmieniać dialogi, aż w końcu łzawa tragedia stała się komedią pomyłek, w finale której bohater pozytywny zabijał bohatera negatywnego, dusząc go wołowym kotлетem, i poślubił jego psa. To już było ponad siły naszych widzów. Gryf fatszował, plując w ustnik ze śmiechu. Poproszono nas o przerwanie tych rozrywek, bo wszystkim groziło oberwanie wątroby od ciągłego rechotania. Jakkolwiek by na to patrzeć — sukces!

* * *

Dotarliśmy do Gór Zwierciadlanych. Na razie brak mi czasu na obszerne notatki. Roślinność inna niż na nizinach. Mchy, porosty, dużo sosen, świerków i jodeł. Im wyżej, tym drzewa są niższe. W dzień otaczają nas przepiękne, surowe krajobrazy, ale w nocy jest...

* * *

— ... potwornie zimno!! — jęknął Gryf, zaledwie wysunął nos spod derki.
— Ależ skąd...? — rzucił lekko Wiatr Na Szczycie, zacierając dłonie.
— Jest zaledwie nieco chłodno. I bardzo orzeźwiająco. Ruszajcie się, mazgaje!

„Mazgaje” tuliły się do siebie niczym gromadka kociąt opuszczonych przez matkę. Usiłowali zachować resztki ciepła zgromadzonego przez noc. Ogień jednak wygasł nad ranem całkowicie, a pod przykrycia zaczął wciskać się chłód poranka. Ciągnęło także od ziemi. Wszystkim unosiły się z ust obłoczki pary.

Myszka przetarł oczy, rozejrzał się wokół, zaspany i niezadowolony.

— Dlaczego tak zimno? — zadał pytanie, nie skierowane do nikogo konkretnie. — Przecież jeszcze jest lato.

— Nie tutaj — odparł Wiatr Na Szczycie, brutalnie ściągając z niego koce.

— Tutaj jest już jesień. Wstań i zacznij się ruszać, bo się rozchorujesz.

Zerwał też derkę ze Stalowego, który zagroził natychmiast: — Zostaw mnie, bo ci łapy powyrywam!

Wiatr tylko wzruszył ramionami i trącił stopą Pożeracza Chmur, nadal twardo śpiącego. Młodemu smokowi w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał fakt, że leży wprost na ziemi, a parował jak imbryk — świeżo napełniony wrzątkiem. Obudził się, przeciągnął niczym kot, podrapał energicznie za uchem i zawiadomił otoczenie, że czuje się okropnie głodny.

Wreszcie wszyscy się podnieśli, gdyż wiadomo było, że im szybciej rozpalą ogień i przygotują coś gorącego do picia, tym łatwiej się rozgrzeją. Tylko Różyczka spała nadal mocno beztróskim snem dziecka, Zawinięta w kilka koców niby pakunek, z różowymi piąstkami przyciśniętymi do krągłej buzi — wyglądała jak z obrazka.

Muły i koń Hajga prychały cicho, z chrzęstem gryząc szczeciniastą górską trawę. Słychać było chlupotanie wody między kamieniami i poszum wiatru w gałęziach brzoź i sosen. Tymczasowe obozowisko rozsądnie wybrano niedaleko po-

toku, do którego prowadziła ledwo widoczna ścieżka wydeptana przez zwierzęta. Obok rosła pokaźna kępa jałowców. Ktoś już musiał tu kiedyś obozować i to nie raz, bo zachował się ślad starego ogniska. Wiele jałowców było uschniętych, o rdzawo-marchwianej barwie. Doskonale nadawały się na paliwo. Korzenie trzymały się dość słabo kamienistej gleby, ale mimo to wydobywanie ich nastęczało moc trudności. Już po kilku minutach Gryf i Promień, na których akurat tego dnia wypadała kolej gromadzenia opału, byli naszpikowani suchymi igiełkami. Cienkie szpileczki jałowcowe boleśnie kłuły w dłonie, jak zaczarowane dostawały się do rękawów i pod ubranie, co sprawiało, że obaj chłopcy irytowali coraz bardziej. W końcu Srebrzanka oświadczyła, że jej uszy nie zniosą dłużej słownictwa, jakiego używają pozornie dobrze wychowani młodzi ludzie. Zamiast słuchać plugawych słów kierowanych do bezrozumnych krzaków, pójdzie umyć twarz w potoku i przewinie dziecko, zwłaszcza że właśnie obudziły je przekleństwa. Z Różyczką w ramionach zniknęła za głazami, które oberwały się wiele lat temu ze zbocza i leżały w dole osypiska jak kanciaste głowy olbrzymów odrąbane od tułowi ciosami boskiego topora.

— Dalej pójdziemy wzdłuż potoku, a potem skręcimy na wschód — odezwał się Wiatr Na Szczycie. — Musimy kierować się w stronę Pierścienia.

— Właściwie dlaczego tę dolinę nazywają Pierścieniem? — zapytał Winograd.

Pomagał Wiatrowi zwijać derki, którymi poprzedniego wieczora poprzykrywali grzbiety wierzchowców. Jeden ze szczurów siedział na ramieniu Bestiara, a jego długi ogon owijał się chłopcu wokół szyi. Drugi zwierzak przycupnął oswiały przy starej torbie specjalnie przeznaczonej na szczurze mieszkanie. Mrużył koralikowe ślepka, posiwiały pyszczyk prawie dotykał ziemi. Od czasu do czasu Winograd zerkał na niego z zatroskaniem.

— Jest okrągła, wielka i osłonięta ze wszystkich stron — odpowiedział Hajg na pytanie o dolinę Pierścienia.

— Równie dobrze mogłaby nosić nazwę Miski — zauważył Winograd.

— Tak, ale Pierścień jest dla nas prawdziwym klejnotem. Rosną tam drzewa dobre na budulec i jest na tyle ciepło, by udawały się zboża. Sieje się tam owies, żyto, a nawet pszenicę. Póki Hajgowie mają Pierścień, nie będzie głodu w górach. To zasobna i szczęśliwa ziemia.

— Przyjmą nas tam?

— Dlaczego nie? Mnie przyjmą, bom góral zawsze i wszędzie. A wy jesteście ze mną, więc gościnność hajgońska i was obejmie. Muszę się tylko nieco oskrobać... — dodał, pocierając gęstą brodę — ... żeby odsłonić znaki klanowe.

I tak gwarzyli o tym i owym, póki ciszy nie rozdarł przeraźliwy krzyk kobiecy. To był głos Srebrzanki, zdradzający najwyższego stopnia przerażenie. Wszyscy bez wyjątku rzucili się w stronę, skąd dobiegał. Za głazami, na kamienistym brzegu strugi jakiś obcy mężczyzna usiłował poradzić sobie ze Srebrzanką przewie-

szoną przez jego bark, co wcale nie było takie łatwe. Dziewczyna skręcała się jak walczący kot, kopała, darła napastnika za włosy i waliła pięściami, nie przestając wrzeszczeć ani na chwilę. Sytuacja najwyraźniej przerosła porywacza — próbował utrzymać miotającą się dziko zdobyczą, a jednocześnie złapać małą Różyczkę, która plątała się dokoła na niepewnych nóżkach, przestraszona i zanosząca się od płaczu. Brakowało mu do tego drugiej pary rak.

Nocny Śpiewak ocenił sytuację jednym rzutem oka.

— Zabiję!! — ryknął nieswoim głosem i runął do ataku.

Rąbnął porywacza bykiem w brzuch. Zaskoczony mężczyzna stracił równowagę, przewrócił się, wypuszczając Srebrzanę, która poturlała się po kamienistej ziemi. Śpiewak trzasnął go pięścią w szczękę, a potem zacisnął ręce na jego gardle i zaczął dusić. W ataku furii zapomniał, że mógłby użyć talentu i ukarać łotra, nawet go nie dotykając. Jednak bezpośrednie zagrożenie jego „kobiet” odebrało Śpiewakowi wszelki rozsądek. Twarz górala nabiegła czerwienią przechodzącą stopniowo w amarant. Usiłował oderwać ręce maga od szyi, odepchnąć go, zrzucić z siebie, lecz Śpiewakowi furia przysporzyła nadnaturalnej siły. Nie wiadomo, czy nie skończyłoby się to tragicznie, gdyby towarzysze rozwścieczonego Stworzyciela nie oderwali go od jego ofiary. Sponiewierany niedoszły porywacz zaczerpnął tchu i rzeźił przez dłuższy czas, z trudem przychodząc do siebie. Podniósł się do pozycji siedzącej, ale nie próbował uciekać. Nie widać też było po nim śladu obawy. Raczej zdziwienie i mimowolny szacunek.

— No...? — odezwał się Wiatr Na Szczycie surowym tonem.

— Co: „no”? — wykrztusił tamten, obmacując gardło. — A niech to... Taki skwarek, ale ma w grabie... Ugardlił mnie by, o małe ździebło.

Pierwsza złość opadła, wszyscy zaczęli przyglądać mu się z ciekawością. Miał identycznie przycięte wierzchołki uszu jak Wiatr Na Szczycie i był podobnie ostrzyżony jak on, zanim Mistrz Iluzji musiał zmienić wygląd, by nie rzucać się za bardzo w oczy podczas wędrówki. Tylko niebieski pasek tatuażu przechodził nowemu przybyszowi przez policzki i grzbiet nosa, a nie wzdłuż krawędzi szczęk. Na szarej tunice bez rękawów miał udrapowane długie zwoje burej wełnianej tkaniny, obramowanej zieloną lamówką. Całość trzymała się w jakim takim ła-dzie niepojętym cudem, jedynie za pomocą miedzianej zapinki i szerokiego pasa z wytłaczanej skóry. Wysokie buty górala zrobione były z koziej skóry, na której pozostawiono długie włosie, przez co jego nogi przypominały zwierzęce łapy.

— Nie wstyd ci? — odezwała się ostro Srebrzanka.

— Wstyd — przyznał pechowy bandyta. — Żem powinien tobie worek na głowę narzucić, a nie derkę. I nie brać dzieciaka. Daleko by żeśmy już byli. Spartaczyłem robotę.

— Utlukę...! — targnął się Nocny Śpiewak, ale Srebrzanka przytrzymała go za rękaw.

— Gwałt karze się na gardle — odezwał się z politowaniem Promień. — Co

też ci do łba przyszło, ty dumny skalny baranie...

— Jaki gwałt!? — obruszył się Hajg. — Co ja jestem, zwierz jaki? Mnie kobita jest potrzebna! Żona!

Od słowa do słowa — okazało się, że góral miał jak najuczciwsze zamiary wobec Srebrzanki. Przynajmniej we własnym mniemaniu. Obserwował obóz magów od poprzedniego dnia. Srebrzanka spodobała mu się od pierwszego wejrzenia, bo była ładna i „nie taka chuda jak ta druga” (Jagoda poprzysięgła w tej chwili srogą zemstę). A że wybranka nosiła rozpuszczone włosy i nie miała na przegubach bransolet mężatki, uznał ją za pannę do wzięcia. Teraz żałował tylko tego, że porwanie mu się nie udało, bo wystawił się na pośmiewisko, co podkreślał z goryczą.

— Przecież ja mam dziecko! — zawołała Srebrzanka.

— No i dobrze! — odparował góral. — Na co mnie baba, co dzieci mieć nie może?

— No, nie! — zdenerwował się Śpiewak na nowo. — Wietrze, gdzieś ty nas przywłóki?! Co to za dzicz!? Czy tutaj zawsze tak zaloty wyglądają?

Wiatr Na Szczycie od dłuższego czasu nieźle się bawił, obserwując pierwsze zetknięcie swoich podopiecznych z absolutnie odmiennym sposobem myślenia tutejszych mieszkańców. Jednocześnie chłonał rozwlekłą gwarę współziomka, pozbawioną dźwięków „e” i „a”. Nie słyszał rodzinnego języka od ponad dziesięciu lat. Teraz bezradnie rozłożył ręce.

— Co ja poradzę? Ja tam swoją Śnieżynkę kupiłem za uczciwą cenę, ale ten tutaj jest z klanu Artalów, a Artalowie nigdy nie mieli dobrze w głowie.

* * *

Niedoszły porywacz miał na imię Cedr. Nie zrobiła na nim szczególnego wrażenia wieść, że trafił akurat na zgromadzenie magów.

— U „niziołków” co jeden to czarownik — skomentował bez emocji.

Najwyraźniej słowo „niziołek” oznaczało mieszkańca równin. Kiedy Wiatr Na Szczycie zgolił brodę i Cedr na własne oczy przekonał się, że należy on do sąsiedniego klanu Wajetów, rozczmuchał się do reszty. Zaofiarował się wręcz, że przeprowadzi wszystkich bezpiecznie przez górskie przełęcze, jak daleko się da. Może nawet do samego Pierścienia. Byle tylko nikt po drodze nie dowiedział się o jego pohańbieniu.

Srebrzanka była w podejrzenie dobrym humorze. Uczesała się i zaplotła włosy w warkocz, by już nie dawać nikomu. podstaw do mniemania, iż „jest do wzięcia”. Nakarmiła dziecko, pomagała w gotowaniu zupy, a jednocześnie strzelała oczami w stronę zagadanych Hajgów i miała bardzo zadowoloną minę.

W końcu zirytowany Nocny Śpiewak nie wytrzymał i spytał o powód aż tak wyśmienitego humoru niedoszłej branki.

— Cóż, nie co dzień dwaj mężczyźni usiłują się pozabijać z mojego powodu — objaśniła filuternie. — Poza tym właśnie przyszło mi do głowy, że powinienes podarować mi jakąś biżuterię, najlepiej złotą. Inaczej wyjdę za mąż za jakiegoś statecznego górala z własną kurną chatą i stadem owiec, który oszczędności lokuje w ozdobach noszonych przez żonę.

* * *

Cóż to za przedziwna ziemia. Całkiem inny świat niż ten, który zostawiliśmy za sobą. Kiedy wspominam Lengorchię, zdaje mi się teraz wręcz nierzeczywista. Jakby była snem złocistym od kurzu unoszącego się nad polami, gdzie chleb dojrzewa dwukrotnie w ciągu lata; białym od płatków wiśni i jabłoni; wypieczonym w gorącym piecu słońca. A tutaj nawet zapachy są inne. Powietrze obmacuje skórę chłodnymi łapami. Woda chwyta ludzkie stopy w lodowate sidła. Wszystko dokoła jest takie żywe, czyste i drapieżne. Mam niewiarygodne wrażenie, że ziemia i niebo patrzą na mnie, obserwują każdy mój ruch, a ich zamiary są niepewne. W Lengorchii niebo w najgorętszych miesiącach było wyblakłe od upału. Tutejsze jest chłodno błękitne jak nasze szarfy. Na Południu można było wzrokiem sięgnąć daleko, czasem nawet tak, by zobaczyć, jak wygina się linia horyzontu, udowadniając, że nasza planeta jest istotnie kulista. Tutaj, prędzej czy później, na linii wzroku znajdzie się przeszkoda w postaci skalnej iglicy przysypanej u wierzchołka śniegiem. Drogi prowadzą albo z góry na dół, albo z dołu do góry. Nic nie jest równe. Nawet układanie się do snu to sztuka. Kto jej nie opanował — szybko stwierdzi, że krew napływa mu do głowy w nieprzyjemny sposób, bo nogi znalazły się wyżej. W Lengorchii lato przechodzi właśnie łagodnie w jesień — pojawiły się tam pewno dopiero pierwsze przelotne deszcze. Dojrzewają późne winogrona. Zbieracze wrzucają plon do wielkich kadzi, a dziewczyny miazdzą owoce stopami. Czerwony sok plami ich łydki i bryzga aż na podwinięte spódniczki. Robotnicy pracują przy wzmacnianiu zboczy kanałów nawadniających, które za parę tygodni zaczną się wypełniać wodą deszczową.

A tutaj... lodowate wieczory i zimne poranki. Cedr w zdumiewający sposób wydaje się uodporniony na zimno. My wdziewamy na siebie wszystko, co się da, a on obnosi obnażone ramiona. Na noc zawija się szczelnie w swój fałdzisty przyodziełek łącznie z głową. W ten sposób przypomina szary kokon zakończony kudłatymi łapami. Powietrze jest tak ostre, że wydaje się nam, iż oddychamy drobno potłuczonym szkłem. Chłód wymiata wszelką gnuśność. Myśli stają się od razu

klarowne, senność pierzcha bez śladu. Prawie już zapomnieliśmy o czymś takim jak południowa sjesta. Tu żyje się bystrzej. Wszystko jest jednocześnie bardzo spokojne i ogromnie intensywne, nawet jeśli takie porównania wydają się sprzeczne. Podobne wrażenie czasem ogarniało mnie tam, na samym krańcu świata — wśród dżungli tropikalnej. Spokój, a jednocześnie jakieś nieokreślone poczucie zagrożenia, jakby spacerowało się po ostrzu noża. Nawet przyroda egzystuje na innych zasadach. Rośliny wczepiają się zaciekle w każdy skrawek ziemi. Gleba jest jałowa, pełna kamieni, a ciepłe dni trwają krótko — trzeba się spieszyć, aby wzrosnąć i wdać nasiona. Winograd śledzi tutejsze zwierzęta — są równie nie wymagające. Górskie kozy zjadają to, na co nawet nie spojrzęłyby ich rozpieszczone krewne, wydelikaczone na diecie z miękkich trawek i ziół nizinnych. Norniki, piskuny, hajgońskie pantery i drapieżne ptaki, gnieźdzące się na skalnych półkach zdają się hołdować jednej zasadzie: zjeść wszystko, co się da. Wiatr Na Szczycie powtarza, że tak było zawsze i być musi. Zwierzaki gromadzą zapasy tłuszczu na zimę, gdy śnieg spęźnie ze szczytów w doliny i trudno będzie zdobyć jakieś pożywienie.

Cedr zdaje się stanowić część tego mechanizmu — taki apetyt widziałem dotąd tylko u Pożeracza Chmur. Obaj prześcigają się teraz zarówno w jedzeniu, jak i zdobywaniu żywności. Pożeracz Chmur znika czasami na długie godziny, a potem pojawia się z nienacką, dźwigając na ramionach kozę ze skręconym karkiem lub skalnego barana o krętych rogach, w którym zachowało się podejrzenie małego krwi. Cedr zbiera rozmaite paskudztwa, co do których nie mielibyśmy nawet cienia wątpliwości, że nie należy ich jeść. Jakies jagódki, orzeszki, podejrzone grzyby zdzierane ze zwalonych pni brzoźowych i, co najgorsze, całe kępy porostów, z których gotuje obrzydliwą potrawkę. Nieostrożnie dałem się namówić na spróbowanie, a potem nagle znalazłem się w sytuacji bez wyjścia — nie mogłem przetknąć, a grzeczność nie pozwalała wypluć, bo Cedr przyglądał mi się badawczo. Poratowałem się talentem. Pod osłoną mirażu siebie samego (uśmiechniętego i zadowolonego jak świnia w błocie) wyplułem hajgoński smakołyk. Reszta biesiadników wykręciła się od poczęstunku rozmaitymi argumentami. Na przykład Gryf z kamienną twarzą oznajmił, że spożywania porostów zabrania mu religia. Na szczęście są jeszcze ryby w strumieniach.

* * *

Ryby w potokach rzeczywiście były. Popielato szare w złote cętki, brunatne z jasnym prążkiem wzdłuż boków i jednolicie srebrzyste, jakby natura zakuła je w lśniąca metaliczną zbroję. Niektóre wielkości dłoni, inne na łokieć długie i grube niemal jak męskie ramię. Najwytrwalszymi rybakami okazali się Cedr,

Wiatr Na Szczycie i Wężownik. Ten ostatni miał zamiar pokazać tubylcowi, że „niziołki” umieją coś więcej poza włóczęgiem się po piargach „jak zaślepte kozy we mgle”. Rywalizował więc z Cedrem w rybołówstwie. Na każdym popasie przy najmniejszej strudze wyciągał strunki, haczyki, dobierał przynętę i zarzucał wędkę. Cedr natomiast wlażył wprost do lodowatej wody, która innym odejmowała w kilka minut czucie w nogach. Potrafił brodzić powoli, zanurzony po kolana, nawet i pół godziny, czyhając na ryby. Do chwytania zdobyczy służył mu kijek z hakiem sztywno zamocowanym na końcu. Nagle wykonywał zamaszysty ruch i w powietrze wylatywał jakiś rybi pechowiec złapany za skrzydła. Spadał z impetem na brzeg, gdzie rozpaczliwie kłapał pyskiem, póki ktoś go nie dobił. Wiatr Na Szczycie stosował pośrednią metodę — wybierał w miarę możliwości przewężenia między głazami i tam czekał z ościeniem na ryby spływające z prądem. Wszyscy trzej łowcy spierali się o to, czyj sposób jest lepszy, choć wyniki mieli z grubsza jednakowe. Tak więc nikt nigdy nie był głodny, ale powoli wszyscy zaczęli mieć dość zupy rybnej oraz pieczonych ryb każdego dnia.

Jedynie Winograd z pewnych względów nie uczestniczył w owych ucztach. Mówca Zwierząt nie tylko mięsa nie brał do ust. Nawet zupy dla niego musiały być doprawiane oliwą, bo tych na rosole nie tykał. Rozumiał, że inni ludzie mogą (a nawet muszą) żywić się w ten okropny, kanibalistyczny sposób, ale sam starał się mieć z takimi praktykami jak najmniej do czynienia. Widok ćwiartowanej zdobyczy oraz woń opiekanego mięsa przyprawiała go o mdłości. Najczęściej siadywał więc w oddaleniu, odwrócony tyłem i czekał, aż wszystko się skończy.

— Czy naprawdę nigdy nie próbowałeś mięsa? — spytał kiedyś Pożeracz Chmur, który był rasowym mięsożercą.

— Nie mogę jeść niczego, co na mnie patrzy z talerza — odparł Winograd.

— Nigdy, przenigdy? — upewniał się smok, któremu z trudem mieściło się to w głowie. — Nawet przypadkiem?

— Od kiedy uświadomiłem sobie, że kura w garnku i kura w kurniku to ta sama osoba — rzekł Bestiar szczerze. — Przypadkiem miałem wtedy cztery lata i o mało nie wyróciłem się na drugą stronę. Od tamtej pory gospodyni nawet nie próbowała karmić mnie zupą na rosole.

— Nadal nie bardzo rozumiem. Zupa to zupa, a nieżywe ciało to tylko rzecz.

Winograd rozzłościł się. Wystarczająco męczył się w towarzystwie nienasyconych padlinożerców, których paradoksalnie uważał za najlepszych przyjaciół (poza zwierzętami). Rozmowy tego rodzaju odbierały mu apetyt ostatecznie — nawet na bezpieczne dania z chleba, sera i hajgońskich porostów.

— Potrafiłbyś zjeść kogoś, z kim rozmawiałeś jeszcze godzinę temu?!

— Przecież to właśnie robimy na swoich pogrzebach — odparował smok.

Przez twarz Winograda przebiegł skurcz. Odszedł szybko, przyciskając dłoń do żołądka.

* * *

— Zaniebawem Pierścień — odezwał się Cedr, prowadzący niewielką kawalkadę. — Za przełenczo.

Poruszali się szerokim wąwozem o łagodnie nachylonych ścianach i dnie porośniętym krótką trawą, krzewinkami o gałązkach oblepionych czerwonymi paciorkami jagód oraz szerokimi, płaskimi kępami mchu szłapaka. Wąwóz wił się i skręcał, jakby wyżłobiony cielskiem pełzającego tędy, wieki temu, gigantycznego węża.

— Co to? Ktoś tam wrzeszczy... — powiedział Stalowy, który towarzyszył Cedrowi na przedzie.

Rzeczywiście, raz i drugi dał się słyszeć krótki krzyk zniekształcony przez echo. Raptem zza zakrętu wypadła jakaś niewielka postać, zgięta pod sporym ciężarem. Przybysz na widok niespodziewanej przeszkody stanął jak wryty. Rzucił zatrwożone spojrzenie za siebie, po czym błyskawicznie podjął decyzję — zwałił swe brzemię z ramienia i zwinnie jak wiewiórka zaczął wspinać się po stromiźnie. W chwilę potem pojawił się ścigający, zajadły niczym pies tresowany na szczury.

— Ażebyciezarazaobjadła! — wrzeszczał jednym ciągiem. — Ażebyśzaśleptygównojadzieprzeklenty... !!

Zatrzymał się obok porzuconego worka. Podniósł kamień i zrobił ruch, jakby chciał cisnąć nim w uciekiniera, ale w ostatniej chwili spojrzał na pocisk i zrezygnował. Podjął inny kamień, rzucił nim celnie — rozległ się okrzyk bólu. Miotacz poszukał następnego pocisku, ale zbieg już zdążył wśliznąć się między dwa głązy i znikł z pola widzenia. Zwycięzca splunął z pogardą, po czym uznał za stosowne dostrzec podróżnych, przyglądających się całej tej scenie ze zdziwieniem.

— Złodziej — wyjaśnił krótko.

Zarówno niedoszły grabieżca, jak i okradziony nie mieli chyba więcej niż jedenaście lub dwanaście lat. Ten ostatni ubrany był — podobnie jak Cedr — w szare zwoje wełnianego samodziału. Tyle że o wiele bardziej obszarpane. Okrągła, dziecięca twarz nie nosiła jeszcze śladów klanowego tatuażu, za to wieńczyła ją zadziwiająca fryzura, na którą składało się mnóstwo cienkich, mocno splecionych warkoczyków. Wielkie, kudłate buciory chłopca sporządzono z dwóch płatów owczej skóry. W talii spowijała go spora liczba rzemieni, na których wisiały rozmaite narzędzia. Stalowy dojrzał nóż, kopystkę z rogu, żelazny szpicak, drewnianą świstawkę, a także dwa otoczaki oplecione starannie sznurem i coś w rodzaju maleńkiego łuku. Ostatnie przedmioty wzbudziły ciekawość wszystkich, gdyż mieszkańcy Południa nie mogli odgadnąć ich przeznaczenia. W drugiej kolejności mag zwrócił uwagę na porzucony lup i jego zdumienie jeszcze wzrosło. Hajgoński chłopiec starannie zgarniał do worka rozsypane... kamienie!

— Kogoś ty jest — zagadnął Cedr. Chłopak przerwał na chwilę swe zajęcie.
— Wajetów — odpowiedział. — Czteropalcęgo Gwiazda. A te co? Lengorijeny?

— Ano. Na Pierścień ido.

— Dobra. — Dzieciak kiwnął głową. — Strzyża tam za dłoń. Nadonżycie.

Z powagą malującą się na twarzy zarzucił worek na ramię.

— Obaczmy się na Strzyże. Mój brat we Wilki idzie — dodał z pewnym odzieniem dumy w głosie.

— A tobie kiedy pora?

— Za trzy zimy — niespodzianie wyszczerzył zdrowe zęby w uśmiechu i poklepał brzemię na ramieniu. — Natenczas wiency tego bendzie. Czteropalcę we składaniu pomoże i belki też bendziem razem ciosać. . .

Zamilkł, jakby zdał sobie sprawę, że za dużo mówi.

— Bywaj. . .

Przepadł za załomem równie nagle, jak się pojawił.

Kiedy podróżnicy sami minęli zakręt, zobaczyli, że wąwóz rozszerza się łagodnie w dolinę porośniętą ostrą trawą, na której pasły się rozproszone kozy o długiej, szarobrazowej sierści i prostych rogach. Każda miała na szyi zawieszoną małą kołatkę z deszczulek wydającą charakterystyczny dźwięk. Gdy zwierzę potrząsało głową lub podbiegało kawałek, słychać było klekotanie. Srebrzance kojarzyło się ono z odgłosami pralni miejskiej — szybkim klepaniem pobijakami pranej bielizny. Stada pilnowały dwa psy i poznany już mały pasterz. Siedział w kucki wysoko na zboczu, trzymając w poprzek kolan kij. Powoli odprowadzał wzrokiem podróżnych. Podobnie jak duża, szara pantera, warująca u jego nogi.

Kamyk skierował muła bliżej Wiatru Na Szczycie.

O co chodziło z tymi kamieniami? Nie rozumiem.

Hajg obejrzał się do niego z łobuzerskim uśmiechem i w odpowiedzi rozwinął w powietrzu własny ciąg znaków.

Należy do zwyczaju, że dzieciaki zbierają budulec na swoje własne domy. Znaleźć dość kamieni właściwego kształtu i wielkości nie jest tak łatwo. Zabiera to dużo czasu. Ale tak uczą się planować na przyszłość i ćwiczą się w cierpliwości.

Ale niektórzy nie są tacy cierpliwi? — spytał Kamyk domyślnie.

Właśnie! Stąd takie zatargi jak ten, cośmy go widzieli. Dzieciaki biją się między sobą, podkradają sobie kawałki granitu i nieźle się przy tym bawią.

Ty też to robiłeś, jak byłeś chłopcem?

Pewnie! I to ile razy! Ale mnie nigdy nikt nie złapał. Cała jedna ściana mojej chatupy pochodzi z kradzieży.

Kamyk pokręcił głową z dezaprobatą, ale kąciki ust rozciągnęły mu się w uśmiechu, którego nie mógł opanować.

— Strzyża! — powiedział Wiatr głośno i zatarł ręce zadowolony. — Strzyża akurat za pięć dni, kto by pomyślał! Ale będzie się działo!

Życie Hajgów wydaje się mało skomplikowane i twarde. Ciężko pracują już jako dzieci. Ale chyba nie ciężej niż dzieciarnia wiejska w Lengorchii, zmuszana przez rodziców do harówki na polach i przy kręceniu kołami nawadniaczy. Z opowieści Wiatru Na Szczycie wynika, że hajgoński chłopiec jest oddawany pod opiekę starszego wojownika (czyli zostaje Gwiazdą) w wieku lat dziesięciu, ale nie oznacza to drastycznego ograniczenia kontaktów z rodzicami. Dzieciak nadal może bywać w domu, jednak jada i sypia z Gwiazdami w osobnej chacie. Poza zajęciami zbiorowymi, kiedy to chłopcy poznają historię i legendy swojego klanu (oraz sąsiednich), uczestniczą w rytuałach czy świątecznych zgromadzeniach, pobierają zupełnie osobne nauki u swoich Wilków, czyli opiekunów, nauczycieli odpowiedzialnych za kształtowanie ich charakterów i umiejętności. W sezonie, kiedy owce i kozy pędzone są na wysokie pastwiska, chłopcy przebywają w górach sam na sam ze swoimi protektorami. Tam całe długie miesiące w spokoju UCZA się rzucania oszczepem oraz tym przedziwnym przyrządem ze sznura i kamieni, którym doświadczony miotacz może oplątać nogi umykającej zwierzyny. Poznają metody walki na miecze i kije, podchodzenia zwierząt (oraz ludzi), maskowania, zajmowania się stadem, polowania z psem i panterą pospołu, podbierania miodu dzikim pszczołom. Przy okazji zbierają też okup za przyszłą żonę — skóry lisie i wilcze, wełnę. A gdy nadarza się okazja, szukają złota w lodowatych górskich potokach, całymi godzinami cierpliwie płucząc żwir i piasek, szekal za szekalem. A także gromadzą przyzmy kamieni, które za lat kilka będą dopasowywać jeden do drugiego bez żadnej zaprawy, jak w układance, wznosząc ściany własnego domu. Zaiste, życie garbuje ich na rzemień. Kiedy chłopcy dorastają, bywa, że dochodzi do intymnych kontaktów między tymi dwoma mężczyznami długo odciętymi od kobiet, ale to tylko umacnia więź między nauczycielem a uczniem. Wszystko powyższe wyłożył mi Wiatr Na Szczycie, który przeszedł każdy etap bycia Gwiazdą, a potem sam przepchnął przez ten okres „dwóch i pół” szczeniaka (te „pół” to ja).

Raz do roku każdy klan hajgoński urządza Strzyżę, która jest najważniejszym, a także budzącym największe emocje świętem. Wszystkie Gwiazdy, które ukończyły przed nadejściem jesieni piętnaście lat, są przyjmowane do grona dorosłych mężczyzn. Chłopcy tracą dziecięce warkoczyki, a zyskują tatuaże klanowe na twarzach. O dziwo, Strzyża obejmuje również dziewczęta. Na Południu uważa się powszechnie, że w Górach Zwierciadlanych nie szanuje się kobiet. Traktuje się je jak niewolnice, towar na sprzedaż. Może to przekonanie wzięło się z hajgońskiego zwyczaju wykupywania dziewcząt od rodziców, czasem za wysokie ceny. Wiatr jednak uparcie przeczy pogłoskom, jakoby górale nie uważali kobiet za pełnowartościowe istoty. Hajg, który uderzyłby żonę z jakiegokolwiek powodu, spotkałby się z potępieniem i pogardą, gdyż widać za głupi jest i nie potrafi zdobyć szacunku kobiety, a tylko ją zastraszyć.

Hajgońskie piętnastolatki stają się w noc Strzyży kobietami, a często niedługo

potem jakiś świeżo upieczony Wilk, ogromnie przejęty znosi pod jej drzwi owoce swej pracy, by wykupić ją od rodziców i pojąć za żonę. Z tego też powodu narodziny dziewczynki przyjmowane są z nie mniejszym zadowoleniem niż pojawienie się chłopca. Ojcowie synów są dumni, a ojcowie córek — bogaci.

A wracając do samej nocy Strzyży — zawsze jest okazją do urzędzenia straszliwej popijawy, pochłaniania niesamowitych ilości jedzenia i dzikich zabaw, które przyprawiłyby o dygotanie serca każdego statecznego lengorchiańskiego mieszkańca.

* * *

Wszystko, co opowiadał o Pierścieniu Wiatr Na Szczycie, okazało się prawdą. Niewiarygodna dolina, jakby wygnieciona pięścią giganta w samym środku łańcucha górskiego, w której niebotycznie wysokie sosny rosły w sąsiedztwie potężnych cedrów i przysadzistych dębów. Zdawało się, że wśród tej drzewnej elity jakby cudem wyrosły drzewa owocowe — głównie jabłonie odporne na surowy klimat, co bardzo podobało się Myszcze. Między rzędami żywopłotów z bukszpanu i głogu rozciągały się pola wąskie niczym wstążki. Na jesieni zostały już tylko ścierniska po owsie, pszenicy i prosie. Ku zdziwieniu przybyszów z Południa kończono właśnie zasiewy na niektórych zagonach. Spytany o to Wiatr Na Szczycie wyjaśnił:

— Wykiełkuje, przezimuje pod śniegiem, a z wiosną wyrośnie i latem dojrzeje. Zwykła rzecz.

— U nas inaczej się robi — powiedział Gryf z powątpiewaniem.

Wychował się na wsi i znał się na pracach polowych nie gorzej od prawdziwego rolnika. Widok ziarna rzucanego beztrudnie w ziemię, gdy w powietrzu z zimna oddech zamieniał się w mgłę, nie mieścił się w jego wyobrażeniach o sensownej uprawie.

— Ech, nie dziwacz — burknął Wiatr. — Wy tam na dole mapy całkiem nie znacie się na górach.

— „Wy”? — wtrącił się Nocny Śpiewak. — To już jest „my” i „wy”?

— Zawsze było. Przecież ja jestem Hajgiem, a wy Lengorchianami. Nigdy nie zmieniłem narodowości — odpowiedział Wiatr Na Szczycie takim tonem, jakby coś tłumaczył dziecku.

— Oj tak! — przytaknął Nocny Śpiewak z przekąsem. — Odkąd cię pamiętam, zawsze taki sam. Tyle że czytać się nauczyłeś. Z trudem, zaznaczam.

— I ty tak samo, pyskаты młokosie. Z trudem ci przychodzi trzymać język za zębami. Zaznaczam.

Tymczasem uwagę podróżników przyciągnęły niskie chatynki rozrzucone w luźnych grupach pomiędzy poletkami i zagajnikami. Gdy zbliżyli się dostatecznie, mogli się przekonać, że opowieści Cedra i Wiatru o hajgońskim budownictwie w niczym nie były przesadzone. Ściany domów złożono precyzyjnie z ogromnej ilości kamieni najrozmaitszych kształtów i wielkości, od głowy niemowlecej do dużego orzecha. Dopasowanie ich do siebie musiało wymagać nieludzkiej wręcz cierpliwości i precyzji. Gdzieniedzie tylko konstrukcję wzmocniono belkami. Nawet obaj Stworzyciele — Stalowy i Śpiewak (zwłaszcza ten ostatni) — wyrazili głęboki podziw dla umiejętności budowniczych. Nad owymi murami, trzymającymi się wyłącznie siłami natury, wznosiły się czterospadowe, bardzo strome dachy kryte gontem lub słomianą strzechą. Jedynym otworem takiej budowli były drzwi, co znów wydało się młodym magom nader dziwne.

— Ciągle słyszę tylko „a co to, a dlaczego?” — rozzłościł się Wiatr. — Co wy, rozumu sami nie macie? Przez dziury ciepło ucieka. A dach ma być stromy. Po nim musi się śnieg zsuwać, bo inaczej chałupę zgniecie jak jajko.

— To tutaj spada go AŻ TYLE?? — zdumiał się Wężownik i obejrzał się na pobielone górą szczyty, otaczające dolinę Pierścienia niczym milcząca straż.

Tak jak obiecywali obaj Hajgowie, przywitano ich przyjaźnie. Nikt z mieszkańców osady, w której się zatrzymali, ani jednym słowem czy spojrzeniem nie dal im do zrozumienia, że są niemile widziani. Sama obecność Wiatru Na Szczycie i jego doskonale widoczne klanowe znaki Wajetów stanowiły rękojmię. Dzień przybycia do Pierścienia był ciągłym pasmem zaskoczeń. Okazało się mianowicie, że Mistrza Iluzji zna tu większość mieszkańców, gdyż w istocie właśnie tutaj żył przed emigracją do Lengorchii. Rozpoznawało go i zagadywało wielu ludzi, witając spokojnie i bez szczególnych emocji, jakby od ostatniej jego bytności nie upłynęło dwanaście lat, lecz tylko powrócił z letnich pastwisk. A już o niemały szok przyprawiło przybyszów zachowanie Wiatru, kiedy niespodzianie wszedł do jednej z chat i po krótkim, a wydawałoby się serdecznym powitaniu z jego mieszkańcami, zażądał od nich opuszczenia domu. Posłuchali go natychmiast, bez najmniejszego sprzeciwu i bez żadnych oznak żalu, co jeszcze bardziej zdumiało wstrząśniętych towarzyszy Hajga. Młody mężczyzna przed trzydziestką, kobieta i troje dzieci w różnym wieku zgarnęli swoje rzeczy, zabrali niektóre sprzęty, narzędzia i kilka garnków, po czym wynieśli się w niewiadomym kierunku.

— Nie myślałem, że kiedykolwiek w taki sposób wykorzystasz swoją pozycję członka Kręgu! — zawołał z oburzeniem Nocny Śpiewak. — Po prostu wyrzuciłeś ich na mróz! Jak można tak się ześwinić?!

Wiatr Na Szczycie tylko wzruszył ramionami.

— To jest mój dom, który zbudowałem własnymi rękami i słusznie mi się należy. Poza tym jeszcze nie ma żadnego mrozu. A ten drań, którego tak żałujesz, był moją Gwiazdą. Zostawiłem mu chałupę na przechowanie do czasu, aż wrócę. Wróciłem właśnie i nie ma się co nad tym roztrząsać. Jeśli Trop Pantery aż do tej

pory nie wybudował własnego domu, to znaczy, że jest głupi i leniwy, i sam jest sobie winien.

— A jego dzieci? — spytała Srebrzanka. — Też są sobie winne?

— Możesz ich zawrócić, ale wtedy sama będziesz spała pod gołym niebem. Srebrzaneczko, tu są Góry Zwierciadlane. Tutaj bardzo niechętnie uznajemy te, no... kompromisy. Albo coś masz, albo tego nie masz. Sam sobie musisz zapewnić byt, inaczej...

— Nie jesteś prawdziwym mężczyzną? — wtrącił szybko Śpiewak.

— ...nie przeżyjesz — dokończył Wiatr.

Jagoda, która przysłuchiwała się tej wymianie zdań, obejrzała się na Kamyka. Tkacz Iluzji właśnie oglądał kolekcję kozich i jelenich rogów, które przymocowane były do belek podtrzymujących spadzisty dach od wewnątrz. Niektóre służyły za wieszadła.

— A więc to jest taki bezlitosny kraj? — spytała cicho. — Tu nikt nikogo nie żałuje?

— Żałuje, ale często litość ma za wysoką cenę — odrzekł Wiatr Na Szczycie. — Jedzenia tu nie za wiele.

— Czy w takim razie ja miałabym szansę przeżyć, gdy urodziła się Hajgonką? — zapytała Jagoda wprost.

Wiatr zmierzył spojrzeniem jej bladą twarzyczkę i czerwone oczy.

— Tak, myślę że tak — odpowiedział stanowczo. — Nie porzuca się tu dzieci z powodu wyglądu. Jesteś zdrowa... poza tym. I masz korzystne zdolności. Byłabyś chyba nawet pożądaną narzeczoną. — Uśmiechnął się filuternie. — Nocny Śpiewak tak samo, z tym jego futerkiem. Dobra rzecz na zimne noce.

— A Kamyk?

Spojrzenie Wiatru powędrowało do chłopca, który nadal rozglądał się po wnętrzu, zainteresowany łowieckimi trofeami, kawałkami skalpów, zdobytymi kiedyś przez Wilka Wajetów w wojnie między klanowej i rozmaitymi tajemniczymi przedmiotami, o których przeznaczeniu przybysze z Południa nie mieli pojęcia. Kamyk wyrósł gwałtownie już w dwunastym roku życia, a teraz był dużym, barczystym młodzieńcem. Jednak Wiatr Na Szczycie pamiętał opowieści Obserwatora Płowego o chudym, niepozornym dziecku, które nastęrczało mnóstwa kłopotów, wymagało specjalnego traktowania i ogromnego nakładu pracy, włożonego w samo wypracowanie systemu porozumiewania się. Nie, malutki Kamyk nie miałby zbyt dużych szans. Pewnie jeszcze przed drugimi urodzinami szaman zabrałby go od matki i poddał śnieżnej próbie — dziecko zasnęłoby na zawsze gdzieś między zaspami. Pani Lawin była łaskawa i sprawiedliwa. Dawała lekką śmierć słabym oraz nagradzała życiem silnych.

— Pewnie on też — powiedział Wiatr lekkim tonem. — Zobacz, jaki kawał byczka z niego.

— Strasznie kłamiesz — odparła Jagoda z politowaniem. — Niemniej dziękuję.

Niespodzianie wspięła się na palce i ucałowała zaskoczonego Mistrza Iluzji prosto w tatuaż.

Tymczasem na zewnątrz Wiatrowej chaty Wężownik z fascynacją przyglądał się ośnieżonemu szczytowi — jednemu z wielu wznoszących się nad ciemnozielonym pasem sosnowego lasu. Wysoko na zbocze góry sięgały nieregularne pasma zieleni. Różne gatunki roślin kolejno rezygnowały i zostawały w tyle. Pamięć chłopca podpowiadała mu nazwy znane z lekcji: karłowata brzoza, jałowiec, wierzba żmijowa i mech brodaty, najwytrwalszy wspinacz — rósł bowiem tam, gdzie ginęły słabsze rodzaje. Wyżej widać było już tylko szarość skały i białą czapę wiecznej zmarzliny.

— Masz ochotę się tam wybrać, co? — zagaił Pożeracz Chmur, który podszedł niepostrzeżenie.

Wężownik przekrzywił głowę, rzucając krytyczne spojrzenie na szczyt.

— Czemu nie? To nie wydaje się daleko. W parę minut tam i z powrotem. Przyniosłbym trochę śniegu i nareszcie wiedzielibyśmy, jak toto naprawdę wygląda. A Stalowy przestałby się mądrzyć.

W oczach młodego smoka zapalił się psotny błysk.

— No to już! Zabierz mnie ze sobą!

— A reszta?

— Co reszta? Reszta rozpakowuje tłumoki i poleruje mułom zadki. Zaraz ktoś tu się przywlecze i zagna nas do roboty. Decyduj się szybko!

— Dobrze. Tylko uważaj. . .

* * *

Wężownik spodziewał się czegoś zupełnie innego. Wyobrażał sobie, że staną na wierzchołku góry i będą mieli okazję spokojnie podziwiać piękny widok. Potem zbiorą trochę owej intrygującej bieli do kieszeni i wrócą, by pochwalić się swoim osiągnięciem reszcie kolegów.

Pierwszym doznaniem po dokonaniu skoku był nagły, dotkliwy ból w uszach. A następnym dokuczliwe zimno. Wężownik przycisnął obie dłonie do uszu, widząc jednocześnie, że Pożeracz Chmur robi to samo, a jego twarz wykrzywia grymas cierpienia. Po górnej wardze smoka spłynęły dwie strużki czerwieni. Wędrowiec poczuł, że i jemu nos zaczyna krwawić. Odruchowo pochylił się, by nie zaplamieć ubrania. Krew pociekła na śnieżną skorupę. Pomyślał, że śnieg nie przypomina jednak ani sypkiej mąki, ani puchatych nasion dmuchawca, tylko twardą

masę cukierniczą zastygającą na wierzchu największego tortu świata. Zakręciło mu się w głowie i upadł na kolana, czując jednocześnie, iż z niewiadomych powodów ma kłopoty z oddychaniem. Pożeracz Chmur złapał go za ramiona, mówił coś, ale sens słów nie dotarł do Wężownika — słyszał jak przez grubą warstwę koców. Myśli Wędrowca rozprasały się niczym przestraszone stadko owiec. Smok wskazał w dolinę i chłopiec zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak. Instynkt podpowiedział mu, że należy wracać. Natychmiast, bez zwlekania, inaczej straci przytomność i zostanie wśród tej fascynującej bieli na zawsze! Skoncentrował się z wysiłkiem i...

... trudno było ten skok nazwać precyzyjnym. Obaj z Pożeraczem Chmur znaleźli się około półtorej piki nad ziemią. Pożeracz Chmur instynktownie spadł na cztery kończyny, całkiem jak kot, ale Wężownik rąbnął z impetem plecami o twardą ziemię i potłukł się boleśnie. Jakby tego było mało, musiał zobaczyć tę żalną rejteradę Wiatr Na Szczycie wraz z niemal pełnym składem Drugiego Kręgu. Krew rozmazana na twarzy Wężownika wprawdzie przeraziła wszystkich, ale wnet okazało się, że nie stała mu się zbyt wielka krzywda poza paroma sińcami, popękany żyłkami we wnętrzu nosa i kłopotami ze słuchem, które powinny się niebawem cofnąć. W rezultacie Pożeracz Chmur został zbesztany surowo za podżeganie do podobnych eskapad, zwłaszcza że były dla niego mniej niebezpieczne niż dla o wiele bardziej delikatnego człowieka. Wężownikowi natomiast usiłowano uprzytomnić, iż Wędrowiec mistrzowskiej klasy nie powinien popełniać tak idiotycznych szkolnych błędów, jak nie uwzględnianie różnicy wysokości i gęstości powietrza.

— Co się stało?! Nic nie rozumiem! — chłopiec krzyczał, jak zwykle ludzie, którzy nie słyszą sami siebie.

— Za wysoko! — odpowiedział Hajg.

— Co?!

— Za wysoko!! — ryknął Wiatr Na Szczycie niecierpliwie, po czym uciekł się do pisania w powietrzu iluzyjnych znaków:

Tam na szczytach jest za mało powietrza. Ciesz się, że ci płuca nie popękały! SWOJĄ szarfę możesz pociąć na chustki do nosa, ty „zielony mistrzu”. Jakim cudem przeszedłeś egzamin, nie potykając się o własne nogi? Trzeba mieć rozum jak pestkę, żeby pakować się w takie tarapaty.

Wężownik ze wstydu przygarbił się i zapadł w sobie. Niewątpliwie zasłużył na te wszystkie epitety. Niemniej postanowił się bronić.

— Trzeba było nam pokazać ten cholerny śnieg, kiedy prosiliśmy! — odkrzyknął. — Niby z ciebie też jest błękitny Tkacz, a o takie głupstwo nie można się doprosić. Łaskę robisz, czy co?! Na kolana mieliśmy padać?!

Wiatr Na Szczycie zachnął się, po czym zwrócił do Myszki:

— A ty też masz zamiar wybrać się na podobną przechadzkę?

Myszka rzucił spojrzenie na góry. W mgnieniu oka na ziemi między nim

a Hajgiem rozprysnęła się na kilka kawałków wielka bryła zmarzniętego śniegu i lodu.

— Nie, nie wybieram się. Taki sposób jest bezpieczniejszy.

— Wskazał palcem białe szczątki.

Nocny Śpiewak i Stalowy natychmiast rzucili się na niespodziewaną zdobycz. Ich pasja poznania usunęła w cień nieszczęsny wypadek Wężownika, oczywiście ku jego ogromnemu zadowoleniu.

— To jest zrobione z wody! — stwierdził Nocny Śpiewak, podniecony jak dziecko we własne urodziny.

— A nie mówiłem?! — ucieszył się Stalowy.

* * *

W dzień poprzedzający Strzyżę osada zaczęła przypominać mrowisko. W dolinę ściągali pasterze, drwale oraz myśliwi dotąd zakopani gdzieś w górach. Myszka chętnie penetrował wieś i jej okolice, czyniąc najrozmaitsze obserwacje. Przedtem mały Wędrowiec generalnie utożsamiał wszystkich mieszkańców wyżyn z Wiatrem Na Szczycie. Tymczasem okazało się, że Wiatr bynajmniej nie jest do końca typowy. Przede wszystkim odznaczał się wyższym wzrostem od swoich krajan. Tubylcy — mocno zbudowani, ale niscy i krępi — wyglądali jak żywe magazyny ciepła i energii życiowej. Poza tym tak czarną czuprynę, jaką miał Wiatr, także rzadko można było zauważyć wśród hajgońskich klanów. Myszka liczył cierpliwie ciemnowłosych i doszedł do wniosku, że górale o włosach brązowych (lub nawet zadziwiająco jasnych niczym wiecheć słomy) są w znacznej przewadze. Hajgońskie kobiety stanowiły wierne odbicia swoich ojców i mężów — mocne, pulchne jak racuchy, jasnowłose i wiecznie uśmiechnięte. Przycięte zwyczajowo wierzchołki uszu nie szpeciły ich wcale, tak samo jak niewielkie tatuaże wykonane na szczytach policzków. Prędko przywykało się do ich egzotycznej urody, a nawet zapachu. Mężatki zgodnie z panującym tu obyczajem zaplatały włosy w niezwykle skomplikowane warkocze, siatki, koszyczki... co tylko podsuwała wyobraźnia, a zręczne palce potrafiły wykonać. Fryzury te trzymały się dzięki spinkom i smarowaniu tłuszczem, który niestety jełczał dość szybko i wydzieliał nieznośną woń. Poza tym każdy szanujący się mężczyzna brał za punkt honoru wyposażenie swej kobiety w jak największą ilość srebrnej i złotej biżuterii. Tak więc Myszka widywał czasem ogromnie rade z siebie góralki, obciążone wieloma bransoletami z masywnej złotej blachy, naszyjnikami oraz zapinkami, z uszami rozciągniętymi paroma ciężkimi kółkami ze srebra i półszlachetnych kamieni. Panny odziewały się skromniej, za to nosiły rozpuszczone włosy i prze-

ścigały się w zdobieniu sukni pięknymi haftami. Ku swemu zdziwieniu Myszka zauważył też rzecz zupełnie niespotykaną na Południu. Niejedna panna (oceniając po stroju) dumnie obnosiła okazały brzuch, a wokół niej roiło się od młodzików okazujących jej względy i zabiegających o przychylność. Wydawało się, że brzemiennie dziewczyny przyciągały zalotników jak miód osy. Dopiero gdy Myszka przypomniał sobie słowa Cedra: „Na co mnie baba, co dzieci mieć nie może?“, zrozumiał, że tutejsi chłopcy poszukują przede wszystkim matek dla swoich przyszłych dzieci, więc najlepsze są już te sprawdzone kobiety. Rzeczywiście, był to całkiem inny kraj, choć mapy fałszywie twierdziły, że należy do Lengorchii.

Owo „myszkowanie” małego Wędrowca było ułatwione o tyle, że utrwalony dziecienny wygląd zjednywał mu sympatię i otwierał każde drzwi. Mógł wchodzić wszędzie, pytać o wszystko. Macierzyńskie kobiety hajgońskie chętnie go przyjmowały i tylko śmiały się serdecznie, gdy w ich pojęciu zadawał naiwne pytania o rzeczy oczywiste. Drobnokoścista budowa i szczupłe kończyny, odziedziczone po długiej linii przodków, zamieszkujących tereny o ciepłym klimacie, nadawały chłopcu w oczach pocziwych góralek wygląd zagłodzonego mizera. Usiłowały więc cały czas karmić go na zapas. Nieoczekiwanym wynikiem tego poufaleństwa z hajgońskimi rodzinami było wzmagające się wciąż zainteresowanie ze strony mężczyzn. Nie raz i nie dwa Myszka poczuł na sobie badawczy wzrok, a czasem nawet czyjąś dłoń w niedwuznaczny sposób dotykającą go tu i ówdzie. Znał to jeszcze z Lengorchii, więc bardzo uważał, by nie prowokować nikogo do zacieśniania znajomości. Większość tubylców, podobnie jak Wiatr Na Szczycie, była „dwustronna”, a Myszka nie miał najmniejszej ochoty znaleźć się w objęciach jakiegoś podnieconego górala.

Pozostali młodzi magowie wypełniali sobie czas w podobny sposób. Kamyk z uporem katalogował górską roślinność, a Pożeracz Chmur pomagał mu robić rysunki ilustrujące notatki. Najczęściej towarzyszyła im Jagoda, której przypominało to wspólne włóczęgi po Jaszczurze i odkrywanie jego tajemnic. Nocny Śpiewak zrobił dla żony wspaniałą komplet złotych ozdób — Srebrzanka natychmiast włożyła wszystkie, by wzbudzić podziw nowych sąsiadek, a przez to podnieść prestiż męża. Miało to taki skutek, że do Śpiewaka ustawiały się długie ogonki rozchichotanych kobiet, które za drobną opłatą w postaci żywności zamawiały u niego rozmaite przedmioty trudno osiągalne w Górach Zwierciadlanych. Zaskoczyło go, iż nie prosiły o błyskotki. Najbardziej pożądane okazały się stalowe igły oraz nici bawełniane, kociołki a także wszelkiego rodzaju noże i nożyki. Stalowy natomiast produkował potworne ilości mocnej nalewki brzoskwiniowej, by należycie uczcić Strzyżę. Winograd większość czasu spędzał jak zwykle ze zwierzętami. Wkrótce jego długa postać ze szczurami siedzącymi grzecznie na obu ramionach była dobrze znana we wszystkich zagrodach, gdzie trzymano owce, kozy i kudłate kuce. Hajgowie ze zdumieniem i sympatią przyglądali się, jak ich półdzikie psiska oraz drapieżne koty pod wpływem tego spokojnego chłopca stawały się uległe

i posłuszne. Magia Winograda działała. Nie mogła jednak zapobiec nieszczęściu.

Po dwóch dniach pobytu w osadzie Winograd stracił jednego ze swych ulubieńców. Szczurzy żywot nie trwa zbyt długo. Trzy ze swych zwierzaków Bestiar utracił jeszcze na Smoczym Archipelagu. Za każdym razem śmierć podopiecznego głęboko go poruszała. Przedostatni ze szczurów, imieniem Pogryzek, niedomagał już od pewnego czasu i wkrótce można się było spodziewać smutnego końca. Winograd jednak irracjonalnie oczekiwał, że Pogryzek wydobrzeje. Zachowywał tę nadzieję aż do chwili, gdy rankiem znalazł go skulonego w szczurzej sypialni (czyli starej skórzanej torbie) — sztywnego już i chłodnego. Załamany Bestiar pogrzebał Pogryzka pod szczytową ścianą Wiatrowej chaty. Towarzyszył mu przy tym niemal cały Drugi Krąg, prócz Promienia, który oświadczył, że nie będzie uczestniczył w tak głupim obrzędzie, jak pogrzeb szczura. Oburzeni chłopcy mieli zamiar gremialnie potępić Iskrę, ale niespodzianie wystąpił w jego obronie Koniec. Przypomniawszy, że nikomu nie przyszło do głowy pomóc Promieniowi w grzebaniu Miętówki, a przecież potrzebował wtedy wsparcia równie mocno, jak teraz Winograd. To jeszcze bardziej zwarzyło wszystkim nastroje. Promień miał trudny charakter, co powodowało, że czasem traktowali go zbyt szorstko. Z kolei on odgryzał się w dwójnasób i tak owo błędne koło napędzało się samo.

Winograd pograżył się w głębokim smutku i niechęci do robienia czegokolwiek. Zaszyty w kącie spędzał całe godziny na wpatrywaniu się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem oraz drapaniu za uszami ostatniego ze szczurów, który wydawał się równie zgorzkniały. W końcu Wiatr Na Szczycie miał tego dość. W ciągu niecałej godziny zdobył skądś i wepchnął w ramiona zaskoczzonego Winograda kilkumiesięcznego szczeniaka. Oświadczył, że klin wybija się klinem, a Bestiarowi z pewnością bardziej przyda się pies niż jakaś paskuda z łysym ogonem. I miał rację — choć Winograd nadal był strapiony, jego ból zmniejszył się wyraźnie. Związany nową więzią ze szczeniakiem, powolutku zapominał o swoim nieszczęściu. Psiakowi nadał imię Tajfun, gdyż malec, który zapowiadał się na dużego wilczastego psa, psocił co niemiara, gdy tylko spuszczało się go na chwilę z oka. Wraz ze szczurem stworzyli nieoczekiwanie zgraną spółkę hultajską „Tajfun i Niuchacz”, zabawiającą wszystkich dokoła.

* * *

Wreszcie dzień Strzyży nadszedł. Z wieczora toporne nożyce do strzyżenia owczego runa miały pozbawić owłosienia ludzkie głowy. Niebieska farba oraz igły z brązu czekały, aż weźmie je pewna ręka hajgońskiego szamana. Sześciu młodzików i aż osiem dziewcząt tego wieczora poprzez ból i ofiarowanie prze-

dzie w dorosłość. Tymczasem był jeszcze dzień jasny i słońce stało wysoko. Na łące za osadą rozstawiano skórzane namioty. Mężczyźni zbijali stoły z desek i kładli belki na płaskich kamieniach, by mieć na czym siedzieć. Młodsze dziewczynki biegały ze stosami misek i zwojami skór, by wyłożyć twarde siedziska. Od strony zagród dla bydła słychać było zwierzęcy lament, gdy kolejne sztuki wykrwawiały się pod nożem. Rzeźnicy, zbroczeni prawie po łokcie, oprawiali tusze jedna za drugą. Dużo mięsa będzie trzeba, żeby zapchać wszystkie brzuchy. Uwiązane psy czyniły raban, nie mogąc dostać się do kuszących zapachem smakowitości. Czasem ktoś litościwie rzucił im jakiś ochłap. Pantery piły krew ściekającą do koryt, a potem przetaczały się leniwie z boku na bok — syte i senne. Tuż obok kilka młodych kobiet czyściło owcze żołądki — wypełnione farszem z kaszy, grzybów i sera, jak zapewniał Wiatr Na Szczycie, po ugotowaniu były cenionym daniem.

Promień skrzywił się mimowolnie, obserwując te przygotowania. Hajgońskie przysmaki bywały szokujące. Opiekana wątroba w jałowcowej marynacie może była i jadalna, ale już kwaśne mleko z solą oraz wspomniany owczy żołądek mogły odebrać apetyt na długo. Chłopiec zagwizdał na Tajfuna, który opodał bawił się kawałkiem drewna, Szczeniak spojrzał na niego, lecz nie przerwał swego zajęcia. Promień gwizdał na niego, cmokał i wabił, ale pies przekornie trzymał się na dystans. Obracał patyk w zębach i przybierał prowokacyjne pozy, jakby mówił: „moje! nie dam!”. Iskra zabrał ze stołu żeberko dobrze obrośnięte mięsem i pomachał nim w stronę szczeniaka. Psiak bez wahania podbiegł i wyrwał mu poczęstunek z ręki, ale uciekł, zanim Promień zdążył go pogłaskać. Zaniósł zdobycz na próg chaty, położył się tuż obok zapasowej pary butów Winograda wystawionych na zewnątrz i zaczął obrabiać kość zębami. Promień westchnął. Oswojenie zwierzęcia, na którym zdążył położyć łapę Bestiar, było pomysłem z góry skazanym na niepowodzenie. Miłośnik szczurów ma doprawdy za dużo szczęścia. Zrobi tragiczną minę, wykaże brak apetytu i już znoszą mu w podarunku pieski. Jego, Promienia, jakoś nikt nie pocieszał, kiedy zginęła Miętówka. A przecież od tamtej pory minęło zaledwie pół roku. Wiatr Na Szczycie nawet nie wspomniał, że teraz, gdy jest okazja, mogliby razem wybrać nowego kociaka. Właściwie sam mógłby kupić sobie panterę lub choćby psa, gdyby wielki kot był za drogi. Część pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży jedwabiu słusznie mu przypadła, ale Hajg trzyma na nich rękę i pilnuje jakby należały tylko do niego. Promień mógłby też może poprosić o przysługę Stalowego lub Śpiewaka — handel wymienny w górach był nawet milej widziany. Coś jednak wzdrygało się w Iskrze na samą myśl o chodzeniu po prośbie do Stworzycieli. Nic by nie powiedzieli, oczywiście, ale Promień już wyobrażał sobie to ironiczne spojrzenie Stalowego. Dziedzic rodu Brin-ta-ena, który zebrze u podrzutka! Nigdy!!

Przygotowania do wieczornej uczytu posuwały się naprzód, niezależnie od humoru Promienia. Wędrowcy sami zaofiarowali się, że pomogą przygotować opal konieczny na ogniska, które miały płonąć całą noc. Gołymi rękami, samym tylko

talentem dzielili grube kłody na pół, na ćwiartki... jak tylko chcieli zadziwieni i rozbawieni hajgońscy drwale. Stosy szczap w jednej chwili magicznie zmieniały miejsce. Promień pomagał potem układać wysokie konstrukcje z bierwion w kręgach z głązów. Mało się odzywał, a gdy koledzy pytali go, o co się boczy, wzruszał tylko ramionami: „o nic”. Bo jak tu wytłumaczyć, że całe to przygnębienie dlatego, że pies do niego nie chciał przyjść?

* * *

Ognie zapalono wraz z pierwszą gwiazdą, która ukazała się na niebie lśnącym jak szklana tarcza. Głuchy pomruk bębna zaczął wzywać opieszających, by stawili się na placu wyznaczonym między ogniskami. Drrum-dum-dum... drrum-dum-dum... Nadchodzi czas Strzyży... nadchodzi... nagrodzona będzie cierpliwość... nadchodzi zapłata za trudy... drrum-dum-dum... gwiazdy zstępują między prawdziwych ludzi... bądźcie pozdrowieni, gwiazdni przybysze... bądźcie pozdrowione, księżycowe dziewczynki...

Bębniata wybijał jednostajny rytm, ludzie schodzili się, przebrani już w swoje najlepsze, świąteczne ubrania. Rodzice trzymali za ręce dzieci i pilnowali, by nie narozrabiały zawczasu. Gwiazdy, których czas jeszcze nie nadszedł, rozprawiły z przejęciem o uroczystościach przeszłych, tej obecnej i spodziewanej własnej Strzyży. Rozmawiano półgłosem, wymieniano żarty i uwagi o kandydatach. Wtem rytm zmienił się, dając znak, że nadchodzą bohaterowie tego wieczoru. Od strony domu Gwiazd szli rzędem młodzi chłopcy, prowadzeni przez przygarbionego szamana Wajetów. Odziany był jedynie w panterzą skórę, owiniętą wokół bioder. Jego stare, chude ciało przypominało korzeń opleciony siecią żył i ścięgien. Białe jak śnieg włosy spływały po obu stronach twarzy ukrytej za maską sporządzoną ze skalpu zdartego z wilczej głowy. Ostatnio co roku spodziewano się, że starzec nie dożyje kolejnej inicjacji młodych i co roku zaskakiwał na nowo swych ziomków. Szóstka młokosów ubrana była równie skąpo, jak ich przewodnik — wyłącznie w przepaski na biodrach. W świetle ognisk ich wysmarowana tłuszczem skóra lśniła jak wypolerowany metal. Każdy, przejęty do ostatecznych granic, usiłował zachować obojętny wyraz twarzy, co sprawiało, że jedni przybierali miny zupełnie drewniane, a inni wyglądali jak wściekli.

Z drugiej strony nadchodziły dziewczynki. Te prowadził młody uczeń i następca szamana. Dziewczęta miały rozpuszczone włosy, a tylko u skroni zaplecione cieniutkie, dziecięce warkoczyki, były w jednakowych białych, kuszonych koszulkach sięgających ledwo do pół uda. Boso. W przeciwieństwie do chłopców wszystkie jak jedna były zarumienione i strzelały spojrzeniami na boki najwyraź-

niej rade z czynionego wrażenia.

Oba korowody spotkały się przed największym ogniskiem. Płomień strzelał wysoko, huczał i trzaskał jak rozzłoszczona bestia. Oglądany na tle ognia szaman wydawał się płaską wycinanką z czarnego papieru. Odezwał się starczym, ochrypłym, lecz wyraźnym głosem:

— Nie zwiemy jagniaka owco, kiedy runo z niego nie opadło. Oddajcie swoji runo, jagniaki, co by się Pani Lawin o nie nie upomniała.

Młodzi uklękli. W rękach szamana pojawiły się nożyce. Zaczął od strony dziewcząt. Dwa ruchy ostrzy i warkocze zostawały mu w dłoni. Z każdą parą osobno szedł do ognia i wrzucał włosy w płomień jako ofiarę dla bóstwa. Śwąd spaleniźny nasilał się. Bęben wybijał jednostajny rytm zgodny z biciem serca, a do tej prymitywnej muzyki niebawem dołączył piskliwy ton fujarki oraz głucho porykiwanie rogu. Tajemniczy śpiewak gdzieś poza kręgiem światła zaintonował monotonną pieśń, którą niebawem podjęli inni. Obrzęd trwał. Chłopcy strzyżeni byli króciutko, tuż przy skórze, więc już całe pęki włosów zwijały się w żarze. Ten i ów podniósł rękę, jakby w zadziwieniu dotykając obnażonej głowy, ale natychmiast opuszczał ramię i czekał cierpliwie na dalszy ciąg.

— To długo potrwa? — tchnął Gryf w ucho Wiatru Na Szczycie.

— Dopiero się zaczęło — mruknął Mistrz Iluzji. — Idź spać, jak ci się nudzi.

Rzeczywiście, był to dopiero początek. Młodzi mężczyźni i kobiety mieli otrzymać znaki klanowe, a tatuowanie symetrycznych pasków po obu stronach twarzy trwało w nieskończoność — tak w każdym razie wydawało się Gryfowi. Małe dzieci usypiały na kolanach rodziców, a te nieco starsze bawiły się poza obrębem zapatrzonego, pełnego powagi kręgu dorosłych.

Za każdym chłopcem ukląkł jego Wilk i trzymał mu głowę, kiedy igły wbijały się głęboko w skórę. Oczywiście żaden z nowo przyjętych do grona dorosłych nie uronił ani jednej łzy, choć zabieg był bardzo bolesny. Gryf doskonale wyczuwał to cierpienie i napięcie woli, by przejść z honorem ciężką próbę. Wszyscy nowicjusze zwierali z całej siły zęby, zaciskali palce na własnych udach lub zwijali dłonie w pięści, aż paznokcie wbijały się im w ciało.

Kiedy przyszła kolej na dziewczęta, miejsca za nimi zajęły kobiety, czekające dotąd w oddaleniu. Jak wyjaśnił szeptem Wiatr Na Szczycie, były to matki, starsze siostry lub przyjaciółki owych piętnastolatek, przechodzących właśnie rytuał. Tatuowanie tym razem szło szybciej — znaki kobiece były mniejsze i krótsze. Wreszcie nadszedł koniec. Zmęczony szaman wypuścił narzędzia, rozpostarł ręce powalane krwią i farbą.

— Dokonało się. A teraz idźcie i potonczajcie się, boście już nie dzieci. A Pani Lawin bendzie wam przychylna.

Milczący dotąd Hajgowie gruchnęli śmiechem, a wszystkie dłonie zaczęły kłaskać w jednym, skocznym rytmie. Do taktu krokom młodych, którzy kolejno brali się za ręce i odchodzili w stronę namiotów rozstawionych poza obrębem ognia.

— A to co ma być? — zainteresował się Gryf.
Wiatr przeciągnął ramiona.
— No jakże, nie słyszałeś? Idą się połączyć. Dla tych smarkatych to pierwsza noc z mężczyzną. A chłopaki mają się wykazać i pewno umierają ze strachu, czy podążają.
Gryfowi na moment opadła szczęka.
— Ale dwie zostały i... — nie dokończył, gdyż zauważył, że do pozostałych dziewczyn podchodzą starsi wojownicy, a one bez wahania, ufnie podają im dłonie i oddalają się śladem towarzyszek.
— A oni...?
— Same ich wybrały jeszcze przed Strzyżą. Duży zaszczyt dla tych Wilków — w głosie Wiatru zabrzmiał mimowolny szacunek.
— A jeśli która wyjdzie z tego z brzuchem? — wtrącił Stalowy, który przysłuchiwał się wymianie zdań.
— Jesienią wypełniona, a na wiosnę żona — odparł Wiatr niefrasobliwie. — Bardziej będą ją poważać i prędzej wyjdzie za mąż.
— Za ojca tego dzieciaka?
— Tak albo nie. To zależy, kogo sobie wybierze z kandydatów. A tych może być kilku. Ja sam jestem takim „dzieckiem Strzyży”.
— Niepojęte jak dla mnie — rzekł Gryf.
— Wy tu jesteście okropnie wyuzdani — dodał Stalowy, kiwając głową.
— Kto jest bardziej wyuzdany: my, z naszą tradycją i uczciwym stawianiem sprawy, czy Lengorchianie, zamykający kobiety w domach rozpusty jak w klatkach? — odgryzł się Wiatr natychmiast.
Na to Stalowy nie umiał znaleźć odpowiedzi.
Tymczasem rozpoczęła się uczta. Na rożnach obracały się całe tusze baranie. Na zaimprovizowane stoły wjeżdżały owe słynne faszzerowane owcze żołądki, kawałki pieczeni, wędzona szynka, ser, śmietana oraz słodkie ciasta z miodem, orzeszkami i suszonymi owocami. Otwarto liczne stągwie z mocnym piwem, a górale natychmiast narzucili ostre tempo w picciu. Z wielką przychylnością przyjęto podarunek Stalowego w postaci kilkudziesięciu dzbanków z brzoskwiniówką. Co prawda Hajgowie nie przepadali za słodkimi trunkami, przedkładając nad nie cierpko-gorzkałe tutejsze piwo pędzone na prosie oraz mocną wódkę, lecz sama siła nalewki znalazła ich uznanie. Ktoś powiedział, że lengorchiański napój przypomina w smaku osłodzone brzytwy i to zabawne porównanie zaczęło obiegać stoły, okraszane śmiechem.
Wiatr Na Szczycie po wlaniu w siebie trzech porcji piwa odwrócił się od stołu i trącił łokciem Kamyka, który siedział obok. Wskazał palcem na ognisko. Płomienie buchnęły w górę, splotły się w wysoka kolumnę, po czym przemieniły w ognistego wojownika. Jego włosy były pomarańczową grzywą żaru, oczy dwoma węglami, a ciało zbudowane z rozpalonej lawy opływały czarne kłęby dy-

mu, tworząc coś na kształt poszarpanej tuniki. Chóralne „aaaaach!” wyrwała się ze wszystkich gardeł. Pokazy Wiatru Na Szczycie były dobrze znane i pamiętano jeszcze tamte sprzed lat. Kamyk skupił uwagę na drugim ognisku. Płomień zmienił barwę najpierw na niebieską, w pięknym intensywnym odcieniu lenenijskiej porcelany. Potem zaczęły blednąć i poruszać się coraz wolniej, aż przybrały kształt ostrych, przezroczystych kryształów. Wojownik Hajga wydawał się zainteresowany tym zjawiskiem. Wychylił się ze swego paleniska, dotknął poszarpanych krawędzi zastygłego szklanego ognia i natychmiast cofnął rękę, potrząsając nią, jakby nieostrożnie się skaleczył. Wyciągnął z pochwy na plecach miecz, uderzył ze złością kryształowe ostrza. Rozprysnęły się z trzaskiem i brzękiem, a z ich środka wychynał wąski łeb ogromnego, białego jak śnieg węża. Potwór reprezentować miał żywioł mrozu, bo wionęło od niego chłodem tak, że zafascynowani widzowie aż zadygotali i niejedyn potarł dłońmi ramiona. Białe paprocie szronu rozpełzły się po ziemi od zamarniętego ogniska. Wąż rozwijał monstrualne cielsko, zwój za zwojem. Wznosił coraz wyżej potworną głowę, aż przerósł swego adwersarza, Wojownik ognia zamierzał przebić gada, ale ten otworzył pysk i sycząc, zionął mrozem, aż ostrze hajgońskiego miecza z trzaskiem rozsypało się na kawałeczki. Wtedy wąż zaatakował, obnażając wielkie, lśniące jak lód kły, lecz płomienne palce zacisnęły się na jego gardle. Oba żywioły — ogień i lód, splotły się w wyrównanej walce. Słychać było ciężki oddech ognistego człowieka i syczenie potwora, brzmiące jakby skwierczenie wody na gigantycznej, rozpalonej blasze. Buchały obłoki pary, gdy lód topniał w ogniu. W ciele węża ukazywały się głębokie rany spływające, jak krwią, niebieską cieczą. Ale i wojownik ognia słabł, a jego ciało traciło intensywną barwę, gdzieś tam przybierając siwy kolor popiołu i czerni spalenizny. Wreszcie zmógł bestię, łamiąc jej kark z donośnym trzaskiem. Wężowe Cielsko rozplynęło się bez śladu, jakby wsiąkło w ziemię, a zwycięzca stał jeszcze, zmęczony ponad miarę, zwieszając ciężko głowę. Po jego skórze pełgały ostatnie fale żaru jak w dogasającym ognisku. Po chwili postać wojownika skurczyła się do pojedynczej iskry, zawieszanej w powietrzu. Podfrunęła wyżej, błysnęła na tle czarnego nieba jak wielka gwiazda i zniknęła ostatecznie.

Wiatr Na Szczycie i Kamyk spojrzeli sobie z bliska w oczy, po czym starszy Mistrz Iluzji uściskał młodszego, aż tamtemu żebra zatrzeszczały i stracił dech.

Doskonale się zgraliśmy.

Nie pierwszy raz, Wietrze. Świetny pokaz. Patrz, jak się cieszę.

Dla tego warto żyć, chłopcze.

Obu Tkaczy Iluzji chwalono bez miary. Prostudusznym, pozbawionym bardziej wyrafinowanych rozrywek góralom wydawało się, że uczestniczyli w czymś absolutnie cudownym, niepowtarzalnym i wartym każdej ceny. Zaczęły się śpiewy i tańce, jedzono i pito coraz ostrzej. Bliskość ognia oraz nadmiar alkoholu sprawiały, że zdejmowano wierzchnie okrycia. W krótkim czasie większość męż-

czyżn paradowała obnażona do pasa, prężąc mięśnie. Przy stołach zaczęły pojawiać się puste miejsca. W pewnej chwili Gryf, nieco już zamroczony mieszaniną brzoskwiniówki i ciężkiego piwa, zauważył, jak pary mieszane, a także całkowicie męskie znikają poza kręgiem światła, obciążone zwykle paroma futrami. Nietrudno było zgadnąć, w jakim celu.

Niebawem jakaś panna wywabiła zza stołu Stalowego, który poszedł jak zuroczony, zostawiając kurtkę. Nocny Śpiewak pił tego, jak za kawalerskich czasów, lecz wkrótce Srebrzanka przypomniała mu o jeszcze innym szczególnie ich narzeczeństwa. I oni opuścili towarzystwo, zabierając baranicę, co wzbudziło falę sprośnych uwag. Gryf zaglądał do dzbanków, szukając pełnego. Oparł się przy tym łokciem o porzucone okrycie Stalowego i wyczuł coś twardego w kieszeni. Przedmiot okazał się średniej wielkości pudełkiem, wypełnionym aż po wierzch karmelkami. Po długim ciągu potraw słonych, ostrych lub gorzkawych, cukierki zostały przyjęte ze słusznym entuzjazmem i niemal natychmiast wyjedzone do dna. Kamyk, który lubił słodczy, zagarnął dla siebie od razu kilka. Gryf jako znalazca usiłował zatrzymać większość, ale ruszyło go sumienie, więc podzielił się łupem z Myszka i Promieniem. Reszta nie chciała łakoci Stalowego.

— Mają dziwny smak — zastanowił się Gryf. — Czego on do nich dodał, imbiru?

Ale już ich uwaga odpłynęła w inną stronę, gdyż któryś z biesiadników postanowił pokazać „niziołkom”, jak piją prawdziwi mężczyźni i wezwał przybyszów do pojedynku na wódkę. Młodzi magowie z dziką radością wystawili do zawodów Pożeracza Chmur, przez którego alkohol przechodził jak woda, bez żadnych widocznych konsekwencji.

* * *

Myszka znudził się wkrótce i zrezygnował z obserwacji tych nierównych zmagania. Kręciło mu się w głowie, a dodatkowo pod czaszką zaczęły pracować dwa bliźniacze młoty, walące bezlitośnie w kość od środka. Chłopiec doszedł do wniosku, że powinien nieco się przejść. Przejść się... na przykład do sadu... Prawda, to już pora zbierania jabłek... Przetarł oczy. Przez chwilę wydawało mu się, że dokoła rosną drzewa. Jakie drzewa? To przecież... A właściwie, gdzie właściwie znajduje się teraz? Myszka rozglądał się bezradnie, usiłując skojarzyć z czymkolwiek elementy otoczenia. Obraz rozpląwał mu się przed oczami.

— Źle się czuję — poskarżył się w przestrzeń, a właściwie tylko poruszył wargami.

Gardło miał wyschnięte na wiór. Raptem cały świat wahał się do przodu,

a potem do tyłu i chłopiec nabral przekonania, że ziemia nie powinna zachowywać się w tak nieprzyzwoity sposób. Wymknęła mu się spod stóp, więc usiadł ciężko, słysząc czyjś śmiech. No tak, głupie żarty. Ktoś wyciąga podłogę... nie, trawę spod niego i jeszcze się śmieje. Wstyd, doprawdy. Myszka bez reszty zajęła obserwacją przedziwnego zjawiska: dwóch identycznych mężczyzn siedziało niedaleko, lecz gdy spojrzano się na nich, zamknawszy oko, zlewali się w jednego. A potem znów robiło się ich dwóch, po otwarciu obojga oczu. Myszka zastanawiał się, czy faktycznie zwałistych Hajgów jest dwóch, czy to może wzrok go zawodzi.

Tymczasem obiekt eksperymentów, wyraźnie zachęcony spojrzeniami chłopca, podniósł się ze swego miejsca. Piastując troskliwie w objęciach pękaty dzban, przysiadł się do małego Wędrowca. Szczęrzył przy tym zęby w przyjaznym uśmiechu

— Was jest jeden? — spytał Myszka nieufnie, zakrywając oko dłonią. Hajg parsknął śmiechem. Łyknął z dzbanka, po czym otarł usta.

— Jeden, jeden... Ciebie nazywają Mysz?

Myszka wyprostował się dumnie i nawet udało mu się nie zachwiać.

— Jodłowy. Na... zywam się... Jodłowy.

— Na pewno nie Mysz? — Hajg pochylił się, badawczo patrząc w zamglone oczy Myszkę, a jego twarz nie traciła wyrazu pobłażliwego rozbawienia.

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę, zbierając do kupy rozlażący się w szwach intelekt.

— Mysz jodłowy.

— Tak — dodał stanowczo. — To... eee... podwójne imię. A może być potrójne... albo poczw... poczw... czterokrotne — ciągnął z powagą.

— Taaa?... — powiedział Hajg przeciągle.

— Ilość... rośnie... eee... w postępie geometrycznym... ze względu na... na posiadane komplety zapasowe — dokończył Myszka i podparł głowę rękami.

Nie wiedzieć czemu była straszliwie ciężka. Niejasno wydawało mu się, że chyba mówi trochę zawile, lecz nie mógł sobie przypomnieć na jaki temat.

— Aleś się spił, panie Jodłowy — rzekł Hajg. Złapał Myszkę za ramię i potrząsnął, wytrącając z chwiejnej równowagi. — Jestem Wyżynny. I akurat bez Gwiazdy.

Myszka mrugał, usiłując zmusić wzrok do współpracy. Brakło mu tchu, dyszał szybko. Nad brwiami zbierały mu się drobne kropelki potu. Bolało go w piersiach. Nie ma co, wypił za dużo. Najpierw nalewka Stalowego, potem to hajgońskie piwo... Ile? Cały dzban? A może dwa? Bolało go coraz dotkliwiej i było mu coraz bardziej duszno. A rzeczywistość była jak coraz mocniej zaciskający się supeł.

* * *

Ten „niziołek” nie miał wprawy w picie. Wyżynny ocenił to jednym rzutem oka. Jednak malec wydał mu się zabawny, a już urodą z pewnością przewyższał każdego z wyrostków kręcących się wokół ognisk. Aż dziwne, że nikogo nie przyciągnął do tej pory. Ale noc jeszcze młoda... Dał mu do wyrozumienia, że jest akurat samotny, ale to jakby nie dotarło do małego Lengorijena. Cóż, może i nie dotarło. Ile ten dzieciak mógł wlać w siebie? Ile by tego było, pewno i tak za dużo dla tego chuchra. Wygląda, jakby miał paść za chwilę. Ot... właśnie pada.

Wyżynny złapał osuwającego się chłopca. Rozejrzał się ukradkiem, czy ktoś aby go nie podpatruje, po czym uniósł chłopaczka dalej od świateł. Cieszył się zdobyczą, ale jego sumienie zaczęło szczekać prędzej niżli podrażniony kundel. Znalazł jakieś porzucone legowisko, złożył na nim swój ciężar. Przetarł szorstką ręką wilgotne od potu czoło chłopca. Myszka... No tak, prawdziwa myszka z niego. Taki chudy drobiazg, połamać by można w garści jak patyczek. Jakże się zabrać do tego kąska? Ukrzywdzić można i bez złej woli. Wyżynny bil się z myślami. Kusiła go ta dziecinna uroda i długie rzęsy, ale znów czy wypada wykorzystać to, że mały gość leży bez świadomości? Rano mogą być dąsy i krzyki — dużo się słyszało, że tam w nizinach chłopcy tylko z babami się kładą. Rzecz dziwna, ale i dziwniejsze bywają.

Wyżynny rozwiązał tasiemki u koszuli dzieciaka, jego palce powędrowały po gładkiej skórze, wzdłuż mostka aż na miękką płaszczyznę brzucha i z powrotem. Frykas — jak to powiadają — delikatny niby miodowe ciasteczko. Raz w życiu taki się trafia. Tylko serce tłucze się pod cienkimi żebrami, niczym u ptaka, którego w garść schwymano.

Ech!! Wyżynny machnął gniewnie ręką. Trudno i darmo, on ma swój honor! Nie ruszy tego malca, choć okazja aż się prosi, by skorzystać. Nie ruszy! Pójdzie stąd, znajdzie jaką babę albo innego takiego samotnego kozła jak i on sam. Noc Strzyży przecie — w ten czas nieważne, kto czyj jest i z kim się wodzi za dnia. Zabawić się trzeba!

Zanim jednak spełnił swój zamiar, tuż obok wyrosła niespodzianie czyjaś postać.

— Starczy na dwóch? — padło pytanie, a Wyżynny rozpoznał po głosie młodego Wilka imieniem Jeleń. Jego irytacja od razu wzrosła. Jeleń, też miałby się z kim dzielić! Ledwie rok minął od Strzyży tego gołowąsa. Włosy mu odrosły dopiero do nasady karku, a chwost w górę nosi jakby złotem srał!

— Won! — rzekł krótko Wyżynny.

— No, ale chytry! — oburzył się tamten. — Ubendzie ci, czy co? Dla dwóch starczy.

— Jelonek-ogonek, wsadź se w dupę trzonek — zadrwił Wyżynny. — Nijakich podziałów ni ma! A chłopak śpi i zgody na nic nie dał. Won, mówię!

Aż go wstrząsnęło, kiedy Jeleń oddalił się z ociąganiem. Pięknie Kamień Z Nieba wychował swoją Gwiazdę, nie ma co! Żadnej obyczajności. A zawijał się tu jak lis do ścierwa. Jeszcze gotów wrócić i wziąć malca po niewoli, kiedy tylko Wyżynny oko z niego spuści.

Niezadowolony Hajg wahał się jeszcze, a w końcu westchnął z rezygnacją. Przykrył chłopca futrem, żeby nie zmarzł, a sam położył się obok, zdecydowany pilnować Myszki, jak długo będzie trzeba. Całkiem jak pies, warujący przy kielbasie, której nie wolno mu tknąć.

Jagoda postanowiła rozprostować nogi. Za dużo zjadła, żołądek jej ciążył. Podobnie jak głowa, do której uderzały słodkie opary brzoskwiniowej nalewki. Obserwowanie Pożeracza Chmur, który bez wysiłku sprowadzał pod stół drugiego z kolei górala w alkoholowym pojedynku, jakoś już jej nie bawiło. Współbiednicy coraz mniej nadawali się do rozmowy — niestety, najgorzej prezentował się Kamyk. Musiał być już potwornie pijany, bo wzrok miał błędny i szklisty, purpurowe wypieki na policzkach. W dodatku pocił się, jakby siedział w łaźni. Bezmyślnie wodził palcem wokół brzegu kubka. Warga mu opadła jak u głuptaka. Przykry widok.

Jagoda wzdrygnęła się, wstała od stołu. Postanowiła obejść ogniska i przyjrzeć się tańcom. Podobały się jej hajgońskie korowody, gdzie tancerze krążyli spleceni ramionami i wybijali rytm piętą.

— Tadi-dan-dan... ta-dan-dan... tadi-dan... — zanuciła w rytm bębenka i fletów.

Szła powoli, rozkoszując się muzyką i żywym rytmem. Widziała teraz grajków od tyłu. Jak ci muzycy są w stanie grać tak długo, z taką pasją? A może jest ich paru i zmieniają się co jakiś czas? Niespodzianie ktoś stanął jej na drodze. W świetle ognia rozpoznała Kamyka. Nie miał już bezmyślnego wyrazu twarzy, oczy lśniły mu niebezpiecznie. Bez zastanowienia sięgnęła do jego umysłu i natychmiast cofnęła się, przestraszona, gdyż napotkała skłębiony ocean pierwotnych instynktów, chaotyczne strzępy myśli i niespełnione pożądanie. Potem, dużo później myślała, że miała dość czasu, aby wycofać się, uciec przed groźbą. Została przecież ostrzeżona talentem Obserwatorki i kobiecym instynktem, ale wtedy sparaliżował ją lęk. Tylko na chwilę, lecz to wystarczyło, by chłopak... nie, podniecony, odurzony mężczyzna chwycił ją za głowę, wczepiając palce we włosy i już nie mogła się uwolnić. Rozgniał jej wargi wilgotnymi ustami — gorzki, korzenny smak i zapach mocnego piwa oraz potu. Jagoda usiłowała odepchnąć napastnika, walnęła go z całej siły pięścią w bok, lecz był nieczuły na ból jak drewniana figura. Wrywała się, kopała, wiła w Kamykowych objęciach — bez skutku. Rozerwał sukienkę Jagody, przygniótł dziewczynę do ziemi. Był za silny, za ciężki. Zrozumiała, że musi się poddać, inaczej on zrobi jej krzywdę znacznie

większą — połamie żebra lub ręce. Kamyk wziął ją brutalnie. Nie było w nim nawet cienia dawnego wrażliwego, dbałego o jej przyjemność kochanka. Leżała nieruchomo jak lalka, z gardłem ściśniętym przerażeniem, póki się nie zaspokoił. A potem czekała długo, aż on przestanie dyszeć, jego oddech uspokoi się, a mięśnie rozluźnią. Dopiero wtedy zepchnęła Kamyka z siebie, zaciskając szczęki, by nie płakać i nie krzyczeć. Drżąc z szoku i zimna, pobięła przed siebie, byle dalej od świątecznych ogni, gdzie nadal bawiono się głośno, hucznie i nikt nie zauważył, że tuż obok stało się coś potwornego.

W księżycowym świetle płytki górski potoczek błyszczał jak srebrna wstęga. Szlochając, Jagoda oderwała strzęp podartej sukni i wytarła nim wilgoć spomiędzy ud. A więc tym różni się miłosne zbliżenie od pospolitego gwałtu. Ból, strach i poniżenie największe z możliwych. Nie takich doświadczeń chciała, kiedy marzyła o dojrzałości. I już na pewno nigdy więcej nie da się dotknąć Tkaczowi Iluzji ani żadnemu innemu mężczyźnie. Chyba już zawsze będzie jej towarzyszył ten lęk i obrzydzenie. Czuła się brudna, więc zdjęła zniszczoną sukienkę i ostrożnie weszła do strumienia. Woda była lodowato zimna, aż paliła skórę. Mimo to Jagoda zaczęła szorować się piaskiem. Myła się tak długo, póki mogła wytrzymać ziąb. Potem chyłkiem wróciła okreśną drogą do domu Wiatru Na Szczycie, na własne posłanie. Jak nigdy dotąd zatęskniła za ojcem. Gdyby z nim została, na pewno nie pozwoliłby na coś takiego... A Słony przecież bardzo lubił Kamyka. Mówił, że to taki porządny i rozsądny chłopiec. Co się stało? Jak to się stało? Przecież i ona sama ufała Tkaczowi Iluzji, lubiła go... Kochała? Jagoda wpatrywała się w ciemność szeroko otwartymi oczami, a pamięć podsuwała jej pojedyncze obrazy. Szesnastoletni Kamyk, zabiedzony po ciężkiej chorobie — wtedy wolała Pożeracza Chmur; był przystojniejszy i bardziej dowcipny. Oto Kamyk uczy ją rzucać nożem — traktował ją jak chłopca, młodszego kolegę. A potem wszyscy ci młodzi magowie, chłopcy łatwopalni jak siano — wystarczyłoby skinać palcem, i tylko jeden Kamyk zachowujący obojętność. A może właśnie dlatego tak jej na nim zależało? Dlatego że on jeden nie chciał? Że on jeden nie dawał się upokarzać rozwydrzonej nastolatce? W końcu go uwiodła. Z trudem, ale jednak. Nie, nie kochała go wtedy, ani później też nie. Ta zabawa w kobietę, świadomość, że zerwało się ten najbardziej pożądany owoc z czubka drzewa, to nie była miłość. Jagoda zagryzła wargi. Łzy spływały jej wzdłuż nosa jedna za drugą. Najpierw kochali się z Kamykiem co noc, potem coraz rzadziej, a w podróży prawie wcale. Brak było okazji, może też znudziła się już trochę. A teraz upił się strasznie i przestał nad sobą panować. Ten szal, który z niego aż buchał — czy to, co zrobił, było zemstą za jej igraszki z uczuciami? Za to, że zrobiła z niego swoją zabawkę? Czy chciał jej w ten sposób pokazać, jak to jest być u ż y w a n y m? Dziewczyna sama już nie wiedziała, co myśleć. Jeśli powie komukolwiek o tym zdarzeniu, kto wie, co się może stać. Wiatr Na Szczycie, wyczulony jak rzadko na sprawy ciała i ducha (nigdy nawet nie dotknął żadnego z chłopców wbrew jego woli), wścieknie

się z całą pewnością — stłucze Kamyka okropnie. W końcu, splakana i obolała, postanowiła czekać do rana. Jeśli Kamyk będzie czuł się winny i okaże skruchę, wybaczy mu wspaniałomyślnie, choć oczywiście wszystko już między nimi było skończone. A jeśli nie... Zrobi mu coś. Zemści się. Zrobi coś z całą pewnością.

* * *

Trudno było oszacować ogrom węża, zwłaszcza że był zwinięty w kilka pętli — każda o grubości bez mała sosnowego pnia. U podnóża tego stosu mięśni obciążonych wzorzystą skórą spoczywał płaski łeb potwora. Był oddalony od Myszki zaledwie kilka kroków. Chłopiec zawsze lękał się węży wszelkiego rodzaju, ale ten miał rozmiary wręcz absurdalnych, przez co wydawał się nie całkiem realny. Nabierał nawet pewnych cech osobowości i przez swój wymiar wydawał się k i m ś. Myszka nie był pewien, czy należałoby bać się osoby, nawet jeżeli wygląda jak monstrualny gad.

Kiedy to rozważał, koniec wężowego ogona poruszył się nieznacznie, a przejrzysta błona odsunęła się z czarnej wypukłości oka.

„Zobaczył mnie!!!”- wrzasnął Myszka w duchu.

— Nie bój się, dziecko — odezwał się wąż łagodnie, choć Myszka przysięgłby, że nawet nie uchylił paszczy. — Tu nic ci nie grozi.

Chłopiec rozejrzał się ostrożnie. Wokoło rozciągał się bezkres wypełniony bladymi, opalizującymi kolorami. Nie było nieba ani ziemi — nie mógł zrozumieć, na czym stoi, ani na czym właściwie leży ten wielki wąż.

— Tu? To znaczy gdzie? — spytał niepewnie.

— To tylko miejsce przejścia — odrzekł wąż.

— Ale g d z i e...

— Gdzie jest? — Wydawało się, jakby gad się uśmiechnął, choć było to na pewno złudzenie. — Wszędzie. Nigdzie. W twojej biednej głowie, chłopaczku.

— A kim ty jesteś... panie? — Myszka uznał, że powinien być uprzejmy dla rozmówcy, choć ten był tylko zwierzęciem. Och, czy aby na pewno zwierzęciem...?

— Nie znasz mnie, dziecko?

Wąż zaczął rozwijać swe cielsko, okrążył chłopca, ocierając się o niego tak delikatnie, że Myszka nawet się nie zachwiał. Skóra bestii była chłodna, błyszcząca i gładka jak lakierowane drewno.

— Nigdy cię nie widziałem, panie Wężu — powiedział. — Skąd miałbym cię znać?

Wąż wzniosł nad nim wielką głowę i musnął jego czoło rozwidlonym języ-

kiem.

— Za każdym razem dziwię się, jak bardzo niedoskonała jest wasza ludzka pamięć. Tyle razy odbywaliśmy podobną rozmowę. Więc nie znasz mnie? Mnie, którego symbolem jesteś naznaczony? Przecież to ja strzegę twojego serca i to już od bardzo, bardzo dawna. Jestem Oko Świata, mentor magii. Rozdawca talentów. Przez wieki upraszczaliście mój wizerunek, aż okroiliście go do zwykłego kółka, a przecież nadal istnieje, choć zapomniany.

— Wąż trzymający ogon w zębach?

— Ten sam. I także ten, który leżał u JEJ stóp, kiedy jeszcze zwano JĄ Zieloną Panią. Widywaliście mnie także za każdym razem, gdy wchodziliście do świątyni, by modlić się do Matki Świata.

— Jesteś jej laską! — zawołał Myszka, przypominając sobie zwieńczenie tego nieodłącznego atrybutu każdego wyobrażenia Bogini. W przyływie sympatii, już całkiem bez lęku pogładził węzowe łuski.

— Laska to symbol. Jestem jej przyjacielem i sługą. Jestem także tym, co nazywacie Bramą Istnień.

Myszka milczał długą chwilę, po czym spytał podejrzliwie:

— Czy to znaczy, że umarłem?

— Oczywiście. Inaczej byśmy się nie spotkali.

— Jestem za młody, żeby umierać ot tak sobie! — krzyknął Myszka. — Nikt mnie nie zabił! Nie chorowałem. . . znikąd nie spadłem. . . nie ma powodu, żebym umierał!

— ONA też tak twierdzi — rzekł Oko Świata spokojnie. — Dlatego jeszcze tu czekasz. ONA wciąż się zastanawia, co robić.

* * *

Wiatr Na Szczycie odetchnął głęboko, patrząc w rozgwieżdżone nocne niebo. Pogoda dopisała, żadna chmura nie przysłaniała owej wspaniałości. Lubił gwiazdy. Dawno temu myślał, jak większość jego ziomków, że są małymi błyskotkami, przypiętymi do aksamitnego płaszcza Pasterza Nocy. Duszami zmarłych albo może dziurami w niebiańskim murze, który oddziela Krainę ludzi od świata nieśmiertelnych bogów. W Zamku Magów dobrotliwie wykpiono prostodusznego Hajga. Dowiedział się, że gwiazdy są w istocie wielkimi kulami płonącego kamienia — od czasu do czasu odrywały się od nich odłamki i spadały na ziemię. A niekiedy któraś w całości wypadała ze swego leża i pędziła gdzieś w przestrzeń, ciągnąc za sobą świetlisty ogon. Gwiazdy były ogromne, a dlatego wydawały się maleńkie, że znajdowały się bardzo daleko. Tak daleko, że ani jeden z Wędrowców, którzy

odważyli się na gwiazdną wyprawę badawczą, nie powrócił. Tak naprawdę Wiatru Na Szczycie nie obchodziły zbytnio teorie uczonych astronomów. Co komu po tej wiedzy, czy gwiazdy są duże czy małe, zimne czy gorące jak samo słońce, kiedy i tak nikt nie miał z niej pożytku. Nic takie sprawy nie obchodziły ani żeglarzy, ani wędrowników kierujących się nimi w podróży.

Leżący obok Wiatru Na Szczycie Trop Pantery poruszył się, przerywając mu te rozmyślenia. Uniósł się na łokciu i rozlał z dzbana do kubków nieco jałowcowej wódki. Wiatr przyjął poczęstunek. Leżeli bok przy boku, za całe okrycie mając jeden płaszcz. Alkohol wlewał żar w żyły i chronił przed zimnem. Ręka Tropu Pantery leniwie przesunęła się po wnętrzu uda starszego towarzysza, powędrowała wyżej. . .

— Daj mi odpocząć — powiedział Wiatr do wnętrza kubka. — Nie mam już przecież trzydziestki.

Trop Pantery parsknął śmiechem.

— Żem nie poznał. Tyś taki sam jak i zawsze.

Jego ręka pogładziła brzuch Mistrza Iluzji, a potem jakby z zastanowieniem zaczęła badać skórę dotykiem.

— Gdzie masz ten szram? Pomne, coś ty miał brzuch rozplątany jak ryba. A teraz gdzie blizna??

— Medyk Stworzyciel mnie wyrównał. Co tylko kto z Lengorijenów mój brzuch zobaczył, od razu się wykrzywił, że paskudnie wygląda. A już jak zabawić się chciałem, to dopiero fochy były — każdy jeden macał, wydziwiał. . . No i Róża. . . Róży nie podobała się ta blizna, to już jej nie chciałem.

— Co za Róża?

Wiatr uśmiechnął się w mroku, sam do siebie.

— Moja kobieta. Żoną będzie. Czekam tu na nią.

Trop Pantery ryknął śmiechem i dał Wiatrowi kuksańca.

— Kobita! Toś ty dlatego wszystkim babom na Strzyży odmawiał! Zazdrosna, co?

— Ee. . . nie. Ja tak sam z siebie. Ona jedna po Śnieżynce. Ja nie cieśla, co by w każdą dziurę kolek wsadzać.

— Ale chłopcy to co inszego? — spytał ze śmiechem Trop Pantery.

— Co inszego — zgodził się Wiatr i niespodzianie złapał go za kark jak w zapasach. — Założysz się, moja Gwiazdeczko, ile razy jeszcze wydołam tej nocy?

* * *

Promień pomyślał, że wypił o wiele, naprawdę o wiele za dużo. Nigdy dotąd

nie śniło mu się coś tak aż dziwaczno, ale też jeszcze nigdy w życiu tyle w sobie nie wlał. Zwidziała mu się jego własna izba pozostawiona na Jaszczurze, tylko jakby dużo obszerniejsza — bo jakże inaczej pomieściłby się w niej gigantyczny wąż dusiciel? Leżał pośrodku podłogi, zwinięty w kilka kręgów na podobieństwo wielkich pęt kielbasy i Iskrze zdawało się, że gad przypatruje mu się ironicznie.

Wężysko odezwało się pierwsze:

— No i jak tam, chłopcze, dużo zdziałałeś do tej pory? Jakoś Iskry nie zdziwiło to, że bestia mówi, natomiast nie spodobał mu się ton węża. Pobrmiewała w nim wyraźna złośliwość.

— Nie muszę ci odpowiadać! — odburknął chłopak.

Bestia wyprostowała się nagle, omal nie rozwalając łbem powały.

— O, stawiamy się? — zasyczała. — A czemu to nie chcemy rozmawiać?

— Bo nie jesteś prawdziwy — odparł Promień przekornie. — Nie muszę dyskutować ze zjawą. Jesteś jedynie oparem brzoskwińówki albo tym jednym dzbanem piwa za dużo. Możesz także być skutkiem przejedzenia — dodał. — Na przykład niedopieczonym kawałkiem baraniny.

Wąż zniżył wielką głowę, zatrzymując ją tuż przed Promieniem — chłopiec zobaczył własne odbicie w czarnym oku wielkości talerzyka. Szeroka paszcza uchyliła się, obnażając rzędy niezbyt dużych, ale niezwykle ostrych i spiczastych zębów. Było ich do tego bardzo wiele.

— A jeśli teraz zechcę cię połknąć, pyskаты młokosie?

Promień odczuł nieprzyjemne mrowienie na karku. Pysk bestii otwierał się coraz szerzej i szerzej, rozciągając się niewiarygodnie. Chłopiec dostrzegł, że wąż ma dwa dodatkowe rzędy zębów na podniebieniu. W sumie wyglądało to dość złowieszczo.

— To nie robi żadnej różnicy — rzekł Promień i nawet udało mu się całkowicie zapanować nad głosem. — Śniesz mi się. Obudzę się z bólem głowy i tyle wszystkiego. Możesz się wypchać wiórami, a potem powiesić na ścianie w ozdobnych ramach.

Wąż zatrzasnął pysk.

— Chyba rozumiem, co ONA w tobie widzi. Po prostu ją bawisz swoją bezczelnością.

— Ona...?

— Bogini. Idź, chce cię zobaczyć. I bądź dla niej grzeczniejszy niż dla mnie. Bo to jednak nie sen, biedny dzieciaku.

— Gdzie mam iść? — spytał zdezorientowany Promień.

— Przez drzwi.

Chłopiec odwrócił się do wyjścia i w tym momencie otrzymał bardzo mocnego i bardzo upokarzającego klapsa wężowym ogonem prosto w pośladki. Stracił równowagę, przeleciał przez zamknięte drzwi, jakby były zrobione z mgły. Zdawało mu się, że słyszy jeszcze za sobą złośliwy chichot. Wylądował na gorącym

piasku plaży. Parę kroków od niego rozbijały się o brzeg fale oceanu.

— Zawsze taki sam, w każdym wcieleniu — usłyszał nad sobą ciepły, głęboki głos kobiety.

Powoli uniósł głowę, wiodąc wzrokiem wzdłuż pary szaleńczo długich nóg. Gdzieś wyżej powiewała leciutka tkanina zielonej barwy, majaczyły interesujące wypukłości, a całość zwieńczona była uderzająco przystojną twarzą o ustach jak rozkrojona wiśnia i oczach niczym dwie czarne dziury. Może to ich spojrzenie spowodowało, że Promień w jednej chwili całkowicie stracił rezon. Nie odważył się podnieść wyżej niż na kłęczki. W dodatku uświadomił sobie, że nawet całkowicie wyprostowany sięgałby owej damie co najwyżej do łokcia.

— Wstańże wreszcie. Jakoś nie pasuje mi do ciebie ta pokorna postawa,

Podniósł się posłusznie. Rzeczywiście była od niego dużo, dużo wyższa. Przetarł oczy, przejechał obiema rękami po włosach.

— Co za sen... co za głupi sen... — wymamrotał. Olbrzymka zaśmiała się kpiąco.

— To nie sen, słoneczko. Oj, nie... Zdaje się, że właśnie przegrywasz zakład — rzuciła lekko.

— Zakład?! — jęknął Promień. — Jaki zakład?

Bolało go siedzenie, znieważone węzowym ogonem, a w zębach zgrzytał piasek. Ten sen był jakoś dziwnie realny i coraz mniej mu się to podobało.

— Co ja tu robię?!

— Aktualnie nie żyjesz. Umarłeś, a to wszystko dokoła... to tylko resztki twojej pamięci.

— Umarłem? Dlaczego?

— Cukierki — odrzekła Bogini tajemniczo, z kpiącym uśmiechem.

— I co dalej? — spytał Promień bezradnie.

— Przegrałeś, więc płacisz.

Zanim Promień znów zdążył otworzyć usta, otoczenie zmieniło się w mgnieniu oka. Nagle stali oboje w ciemnym, ponurym miejscu — na skraju ogromnego leja o stromych ścianach, w którym panował ciągły ruch, jakby kłębiło się tam robactwo. Stamtąd też wydobywał się jednostajny hałas, przeciągły jęk i skrobanie. Czuć było również ohydny fetor. Promień wyteżył wzrok we wstrętnym, sinym półmroku i wstrząsnęło nim odkrycie, że w dole kłębi się istotnie robactwo — lecz ludzkie. Niezliczone rzesze nagich ciał, wspinające się na ściany, ześlizgujące się znów w owo piekielne kłębowisko, gdzie każdy walczył z każdym, by utrzymać się choć na moment na powierzchni. Po chwili Promień zaczął odróżniać kobiety i mężczyzn, starców i młodych. Nie dostrzegł żadnego dziecka, lecz widać były za słabe, więc pewnie tonęły... a może wcale ich tu nie było.

— Nie ma tu dzieci — powiedziała Bogini, jakby słysząc jego myśli. — One dostają następną szansę.

— Co to jest? — wyszeptał Promień zdrtwiałymi wargami. Widok był przerażający.

— Śmietnisko dusz. Odpadki. Ci, którzy zgnili tak, że nic już nie da się z nich zrobić. Jest tu wszystko, co tylko chcesz: okrucieństwo, obłuda, pycha, zawiść, chciwość prowadząca do zbrodni, ojcobójstwo i matkobójstwo, oszczerstwo, nieważność, rozwiążność, miernota i bezmyślność... a wszystko najwyższej próby. Żadnych drobnych wykroczeń w rodzaju kradzieży jabłek z cudzego sadu. Niezła kolekcja.

Bogini przechyliła się lekko, patrząc w dół z miną gospodyni oceniającej stan dojrzałości kompostu.

— No, czas na ciebie...

Pchnęła Promienia niedbale w plecy. Chłopak chwiał się przez sekundę na skraj piekielnego dołu. Jego ręce rozpaczliwie drapały powietrze, aż jedna trafiła na skraj zielonej sukni i wczepiła się w nią z całej mocy. Bogini z obojętnością malującą się na pięknej twarzy próbowała pozbyć się ciężaru. Takim ruchem, jakby strzepywała pająka.

— Bez grymasów, proszę — powiedziała tonem matki strofującej dziecko, które nie chce jeść owsianki.

Przerażenie sparaliżowało Promienia niemal całkowicie. Wszystkie siły wkładał tylko w to, by nie wypuścić zbawczej fałdy. A tymczasem olbrzymka z łatwością odginała mu palce, jakby były źdźbłami trawy. Zacisnął powieki, marząc o przebudzeniu. Nie był w stanie wydać głosu ze ściśniętego gardła. Tylko w głębi ducha wył jak zwierzę: „Nie chcę! Nie chcę! Nie tam! Tylko nie tam! Maamoo! Maaaamooo!”.

Tkanina wyśliznęła mu się spomiędzy palców, runął w dół...

...i spadł na coś twardego i sypkiego. Znow słytał szum oceanu. Zerknął przez szparę lekko uchylonych powiek. Leżał na piasku, zwinięty w ciasny kłębek na kształt płodu, nie mógł przestać dygotać. Czyjaś ręka zaczęła delikatnie głaskać jego kark i plecy i nie przestawała, póki nie uspokoił się na tyle, że zdołał zmienić pozycję.

Wtedy okazało się, że owa pieszczotliwa dłoń należała do NIEJ. Tym razem jednak władczyni zaświatów miała normalne rozmiary, a jej oczy zmieniły barwę na zieloną — pod kolor sukni.

— Czemu...? — jęknął Promień.

— „Czemu” miałeś tam trafić, czy „czemu” cię wyciągnęłam? — Jej szmaragdowe oczy zwężyły się kpiąco.

— Oba.

— Odświeżę ci zatem pamięć, Zwycięski Promieniu Świtu. Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, byłeś aroganckim bydlakiem. Uważałeś się, słusznie zresztą, za najpotężniejszego maga na ziemi. Tyle tylko, że nie miałeś władzy nad własną śmiercią. Trafiłeś do Oka Świata i ośmieliłeś się zrobić mi propozycję.

Miałam dać ci drugie życie, a ty chełpiłeś się, że zostaniesz władcą świata i takie tam różne bzdury.

Promień słuchał z oczami w słup, nie wierząc własnym uszom.

— To niemożliwe... — stęknął.

Bogini klasnęła w ręce i roześmiała się serdecznie.

— Niestety, możliwe! — zawołała radośnie. — To było cudowne! Dawno się tak nie bawiłam. Mały, malutki magik... a tak zadufany, jakby był bogiem samym! A przecież wszystko, nawet magię, dostałeś ode mnie. Och, śmiałam się, aż gwiazdy zmieniały swe drogi! Zupełnie ci do głowy wtedy nie przyszło, że zapomnisz o wszystkim, gdy tylko twoja dusza zagnieździ się w nowym ciele. Co prawda Los próbował pchać cię trochę w stronę celu, ale kręciłeś się w kółko, jak żuk po kartce papieru. No i okroiłam ci nieco talent — roześmiała się znów złośliwie.

— Kim byłem przedtem? — spytał Promień. — Stworzycielem?

— Zgadłeś. Baaardzo silnym Stworzycielem.

— A czemu...?

— Dostarczyłeś mi rozrywki — odpowiedziała, znów uprzedzając jego pytanie. Jej twarz złagodniała, nabierając wyrazu macierzyńskiej czułości. — Trochę jednak się zmieniłeś. Lubisz koty. Stać cię teraz na bezinteresowność. Czasami. Nawet na współczucie, choć to rzadko ci się zdarza. A poza tym... wzywałeś mnie. Krzyczałeś „mamo”. A przecież to ja jestem Matką Świata. Matką wszystkiego, więc i twoją.

— Jeśli to wszystko prawda... — powiedział Promień uroczyście — ...to w poprzednim wcieleniu byłem koszmarnym półgłówkiem. Władza nad światem, też coś. Na co komu władza nad całym światem? Idiotyczne.

— A więc już nie chcesz władzy nad światem?

— Wolałbym władzę nad własnym rozumem, bo chyba właśnie go tracę.

— Cóż, trochę jednak ci ułatwiłam początki. Arystokratyczny ród, niemały talent, byłeś bogaty...

Promień wzruszył ramionami.

— Pieniądze? I co z tego? Miałem za to koszmarnych rodziców. To też było z góry ustalone?

— Oczywiście. — Bogini roześmiała się złośliwie. — Taki mały żarcik.

— A ja nie uważam tego za zabawne! Dlaczego mi to zrobiłaś? Ten zimny sukinsyn znęcał się nade mną!

— Lubię subtelne figle. To było o tyle śmieszne, że w poprzednim życiu zdążyłeś spłodzić dziecko. Ono miało własne dzieci i tak dalej, aż do twojego ojca, który zresztą pod względem charakteru wydaje się doskonałym odbiciem dawnego ciebie. W pewnym sensie jesteś swoim własnym praprawnukiem. I czy to nie zabawne?

— Cha, cha, cha... — powiedział Promień ponuro. — Czy teraz zostanę tutaj? — spytał, tocząc spojrzeniem po plaży.

Bogini wstała. Znowu wydawała się bardzo wysoka i onieśmielająca.

— Mam co do ciebie inne plany. Wrócisz i to nawet w stare ciało. Zbyt wiele z tobą zabawy, by tak od razu wrzucać cię do kotła. Przydasz się jeszcze.

Promień mimowolnie zrobił minę kopniętego psa.

— I jeszcze coś. Podejdiesz do Stalowego, spojrzysz mu w oczy i powiesz, że jestem z niego bardzo niezadowolona. I że ukarzę go znacznie surowiej, jeśli nie przestanie produkować swoich łakoci. Robię cuda, ale to nie znaczy, że je lubię. Cuda wprowadzają niepotrzebne zamieszanie. A teraz wracaj.

Promienia ogarnęła słabość. Wszystko dokoła zamazywało się, plażę i ocean zalewała ciemność. Wracał.

* * *

Wstał bładny, zimny świt — jak to w górach jesienią. Z ust ludzi unosiły się obłoczki pary. Wiatr Na Szczycie zwiesił bezsilnie ręce. Straszliwa lodowata zgroza nie opuszczała go od chwili, gdy przerażony Wilk imieniem Wyżynny przyniósł na rękach Myszka. Chłopiec nie oddychał, był bledziutki i miał sine usta. Zaczynał sztywnieć, co oznaczało, że śmierć dosięgła go już kilka godzin temu. Wiatr oglądał szczupłe ciało małego Wędrowca, szukając śladów przemocy. Nie znalazł niczego. Żadnych ran, żadnych otarć skóry ani sińców na szyi, świadczących o duszeniu. Wyglądało na to, że Myszka zasnął i już się nie obudził. W mgnieniu oka zła nowina obiegła całą osadę. Ubolewano z powodu tak strasznego nieszczęścia, a jednocześnie wszyscy mieszkańcy odczuli niepokój. Śmierć w czasie Strzyży — z samego gruntu święta życia i płodności — była bardzo złym znakiem. Zaczęto zwoływać chłopców z Drugiego Kręgu i wtedy poczyniono następne, nie mniej wstrząsające odkrycia.

Jako drugiego odnaleziono Iskrę. Wyglądał tak, jakby zmorzyło go pijaństwo i zasnął z głową na stole. Potrząśnięty za ramię — upadł ciężko jak wór. Dopiero wtedy okazało się, że połowę twarzy ma pokrytą zaschniętą krwią, która wyciekła mu z ust i nosa, rozlewając się po blacie oraz ziemi pod stołem. Umarł równie niezauważalnie, jak Myszka.

Kamyk siedział obok miejsca dla muzyków, oparty plecami o stojak na wielki bęben. Ubranie miał w nieładzie i podarte. Oczy otwarte do połowy. Patrzył nieruchomo przed siebie. Dopiero gdy Wiatr Na Szczycie dotknął jego twarzy, a chłopcu nawet nie drgnęły źrenice, Mistrz Iluzji zrozumiał, że stało się nieszczęście. Jeszcze nie wierzył... jeszcze miał nadzieję, że to po prostu idiotyczny żart.

Sztuczka podobna do tej, jaką zafundował mu Kamyk swego czasu nad brzegiem rzeki Enite. Niestety, wyglądało to wszystko aż za bardzo realnie — trzy ciała, trzy niespodziewane śmierci całkowicie zdrowych, młodych chłopców. I żadnego sensownego czy bezsensownego powodu.

Ogłupiały, rozbity Wiatr Na Szczycie zdobył się tylko na tyle, że przeniósł swojego ulubieńca i położył go obok pozostałych ofiar. Potem wszelkie działania przerosło jego możliwości. Nie zareagował nawet wtedy, gdy Jagoda tuż obok dostała ataku spazmów, a następnie zemdląca. Zarówno nią, jak i zszokowaną Srebrzanką zajęły się hajgońskie kobiety. Nocny Śpiewak, po krótkim wahaniu, czy zostać przy martwych przyjaciółach, czy iść z żoną, wybrał to pierwsze. Srebrzanka miała już opiekę, a sytuacja przy wygasłych ogniskach przypominała pierwszą godzinę po stworzeniu świata — nikt nic nie wiedział i panował ogólny chaos.

Nocny Śpiewak trącił łokciem bladego jak śmierć Końca.

— Morderstwo?

— Nie wiadomo — odrzekł Koniec cicho, nie odrywając oczu od zwłok. — Nie ma żadnych śladów. Jeśli już, to chyba trucizna.

— Krąg?

— Możliwe.

— Coś im nie wyszło. Powinniśmy wszyscy tu leżeć.

— Na Miłosierdzie... gdzie jest Gryf i Stalowy?! — krzyknął nagle Koniec z przerażeniem, uświadomiwszy sobie, że kogoś brakuje w ich gromadce.

— Tu — odezwał się Stalowy ponuro, wyłaniając się zza pleców jakiegoś gapia. — Gryf rzyga koło stodoły. Na razie nie nadaje się do niczego. Ledwo widzi na oczy, tak go głowa boli.

Wiatr Na Szczycie w końcu przemógł bezwład.

— Do chaty — powiedział bezbarwnym głosem. — Wszyscy. Zaniesiemy ich. Koniec widowiska.

* * *

Nocny Śpiewak podjął się dokładniejszego zbadania ciał, zanim spłoną na stosie pogrzebowym. Niemal natychmiast po strasznym odkryciu przeszukiwali wraz z Końcem okolicę, szukając śladu myśli, które wskazałyby mordercę. Nie było go wśród Hajgów — to można było przyjąć na wiarę. Żaden góral nie zabiłby gościa, którego przyjął pod dach. Samo podejrzenie poczytano za obrazę i tylko przez wzgląd na żalobę wybaczone Śpiewakowi nierozważne słowa. Nikogo podejrzanego nie wyczeszały też talenty Stworzyciela i Mówcy poza obrębem osady — choć przypuszczali, że nie zdążył ujść daleko. Chyba że byłby magiem

z kasty Wędrowców, ale z kolei całkiem nie pasował do tej teorii rodzaj śmierci, jaką zginęli Myszka, Kamyk i Promień. Dokładne badanie wykazało, że Myszkę zawiodło serce. Sądząc z relacji szalenie zmieszanego Wyżynnego, chłopiec zmarł mu na rękach, a on nie zdawał sobie z tego sprawy. Promień po prostu wykrwawił się na śmierć, gdy pękła mu tętniczka głęboko w jamie nosa. Wydawało się, że najbardziej nagłą śmiercią zginął Kamyk. Nie widać było po nim żadnych oznak cierpienia. Po prostu usiadł na ziemi i zakończył życie, nie zmieniając nawet wyrazu twarzy. Śpiewak po dłuższych poszukiwaniach znalazł w jego czaszce rozległy wylew krwi. Ale jakim cudem dziesięcioletni chłopiec mógł umrzeć na apopleksję — to zagadka nawet dla dobrego lekarza, a Śpiewak takowym nie był. Wpadł na nieco rozpaczliwy pomysł, by zrobić analizę krwi ofiar metodą porównania z własną. To zaowocowało odkryciem (prócz normalnych składników krwi) alkoholu i jakichś zastanawiających związków chemicznych, których nijak nie mógł dopasować do niczego, co znał. Stałowy wyraźnie był w dołku — błąd, z podkrążonymi oczami, może z powodu tego strasznego nocnego pijaństwa. Jednak poproszony o pomoc, powtórzył badanie Śpiewaka. We wszystkich próbkach znajdowała się mieszanka środków pobudzających, której stężenie ścięłoby z nóg konia.

— Skąd to się wzięło? — wycedził Śpiewak przez zęby. — Kto im to podał, do nędznej kurwy!? Bo na pewno nie z własnej woli...! Stałowy!

— Czego chcesz?! — warknął Stworzyciel. — Czego?! Nie otrułem ich przecież! Wszyscy pili tę cholerną nalewkę, ty też! I żyjesz!

— Co tam było!? — ryknął Śpiewak.

— Zwyczajny środek na przepicie. Brzoskwiniówka była pół na pół z czystym spirytusem. Nie chciałem, żebyśmy zdychali następnego dnia.

— To ci nie bardzo wyszło, bo Gryf dogorywa.

— Ale ty nie dogorywasz. Ani ja, ani Wężownik...

— Daj ten specyfik, sam sprawdzę, a jak łiesz, to ci łeb ukręcę!

Stałowy wzruszył ramionami i poszedł po resztkę zachowanej nalewki. Nocny Śpiewak, tknięty przeczuciem, krzyknął za nim, by dostarczył też inne napitki, jeżeli jakiegokolwiek ocalały.

Nalewka zawierała dokładnie to, co miała zawierać. Nocny Śpiewak sam rozpoznał środek, którego osobiście używał jeszcze w Zamku, kiedy chciał być czynny na wykładach po nocnej hulance. Żółta wódka hajgońska zawierała dużo alkoholu, mało wody i dużo jałowca. Natomiast w piwie rozpuszczono coś przedziwnego. Indagowany Wiatr Na Szczycie zdradził tajemnicę:

— Bykowiec.

— Co??

— Bykowiec. Inaczej Miłostka. Odkąd pamiętam, zawsze dodaje się tego do piwa na Strzyżę. „Krew Bohaterów” dostają młode Wilki, a dla reszty jest Bykowiec. Kobiety po tym są chętne, a chłopcy więcej mogą.

Stalowy klepnął się w czoło.

— To już rozumiem, dlaczego wszyscy tacy rozzarci byli. Mnie też roznosiło. Wypieprzyłbym stado owiec, gdyby mi się ta dziewczucha nie trafiła.

— Czy taka mieszanina jak to świństwo na popęd i wymiatacz w brzoskwińcówce mogły zaszkodzić Myszce? Wiatr Na Szczycie zrobił gest bezradności.

— Myszka to było chuchro, ale tamci? Promień był zdrowy jak byk i Kamyk też. Poza tym wszyscy pili to samo. Wszyscy żyją, a tylko oni... tylko oni poszli za Bramę.

Twarz Wiatru wykrzywił skurcz. Uderzył pięścią w belkę.

— Zaczęło się od tego, że szczur Winograda zdechł. To był zły omen. Trzeba było... ech, sam nie wiem.

Hajg oparł czoło na pięści i przymknął oczy.

— Może nie powinienem sprowadzać tu Róży? Przeklęte miejsce.

* * *

Jagoda nie miała odwagi wejść do wnętrza, gdzie złożono ciała. Siedziała na progu, zawinięta szczelnie w derkę, jakby było jej bardzo zimno. Towarzyszył jej Pożeracz Chmur, równie przygnębiony i rozbity.

— Nie chciałam, żeby umarł — chlipnęła Jagoda rozpaczliwie po długim milczeniu.

— Kto? — mruknął Pożeracz Chmur.

— Kamyk... Pogniewaliśmy się — zająknęła się dziewczyna. — Ale ja nie chciałam... nie chciałam... nawet nie pomyślałam, żeby tak skończył!

Zaczęła płakać na nowo. Młody smok popatrzył tylko na nią bezradnie. Nie wiedział zupełnie, co powiedzieć ani jak ją pocieszyć. Sam potrzebował pomocy. Dotąd trzymał się Kamyka jak starszego brata. Tkacz Iluzji był w jego życiu czymś pewnym i stałym. Młodziutki smok, którego nie pociągało leniwe, ogłupiające życie na Smoczym Archipelagu, przyjął cele Kamyka za własne. Przynajmniej coś się działo. Był w ruchu, miał towarzystwo, zbierał wiedzę o świecie i ludziach. A teraz w jednej chwili zawalił się ten kruchy porządek. Kamyk nagle stał się zimnym kawałem mięsa, opróżnionym z wszelkiej myśli. Pożeracz Chmur czuł się, jakby niespodzianie znalazł się na maleńkiej skałce pośrodku niezmiernego oceanu, a w zasięgu wzroku nie było żadnego lądu. Nie wiedział, co robić, bał się podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Trwał tylko, oczekując, że coś się zmieni.

Jeszcze tego samego dnia przyszedł stary szaman, by ustalić szczegóły obряду pogrzebowego. Słusznie przypuszczał, że Lengorijeny mają inne tradycje, odmienne wierzenia i chciał to uszanować. Modlitwy do Pani Lawin były niezbęd-

ne, ale z pewnością należało złożyć także choć drobne ofiary osobistym bóstwom zmarłych. Przyprował też ze sobą kilka kobiet, które miały pomóc w przygotowaniu ciał do pochówku. Przyjęto tę pomoc z wdzięcznością.

Koniec wysiłał pamięć, próbując uświadomić sobie, jakiego właściwie wyznania byli jego zmarli koledzy. Religia ogromnie rzadko bywała tematem ich rozmów. Magowie generalnie woleli wierzyć w naukę i własne talenty.

— Jodłowy na pewno modlił się do Matki Świata. Kamyk był wierzący „na wszelki wypadek”, ale chyba też najbardziej ją poważał. Co do Promienia, nie mam najmniejszego pojęcia. Słowa „o Matko” traktował chyba jak przekleństwo. Ale myślę, że dobrze będzie, jeśli złożymy w jego imieniu ofiarę Losowi.

Szaman i jego następcę wysłuchali tego uważnie, notując w pamięci konieczne szczegóły.

* * *

W Lengorchii szafowano drewnem, paląc zmarłych. W Górach Zwierciadlanych poczynano sobie znacznie oszczędniej, składając zwłoki w szczelinach i na półkach skalnych, zabezpieczone przed padlinożercami. Dopiero gdy słońce, mróz i wiatr wysuszyły ciało, umieszczano je w płytkim grobie pod stosem kamieni na hali w pobliżu osady. Zmarłych myto przedtem dokładnie w wywarze z ziół, a potem całą ich skórę pokrywano warstwą żółtej farby dla ochrony przed owadami. Wszystkie te tradycyjne zabiegi wykonywały Hajgonki przy młodych Lengorchianach. Koniec, który przypatrywał się ich pracy, myślał, że nie ma ona zbyt dużego sensu, lecz nie odzywał się ani słowem. Nie chciał obrażać tych dobrych kobiet, troskliwie zajmujących się obcymi przybyszami. Wedle obyczaju Południa wszystkich trzech miał zabrać ogień. Obaj Stworzyciele w pośpiechu próbowali wykonać jak najładniejsze i najbardziej pasujące do charakterów kolegów urny. Na skraju pastwisk znów układano stos drewna — tym razem nie miał służyć radosnemu celowi.

Hajgonki starannie owijały ciała długimi pasami płótna, pozostawiając odkryte tylko twarze. Młodszy szaman zastanawiał się nad Myszka, który był gotów pierwszy.

— Jakie znaki ma wasza Matka Świata? — spytał niepewnie, z pędzelkiem w ręku.

— Zawsze ukazuje się z kotem, wężem i koziołkiem.

— Pani Lawin też chodzi z kotem i kozo — powiedział odrobinę zdziwiony Hajg.

— Może to siostry — rzekł Koniec z roztargnieniem.

Patrzył ze ściśniętym sercem, jak szaman szybko kreśli na policzkach małego Wędrowca spiralę symbolizującą węża, uproszczony kontur kozy z paru kresek. Kanciasty łeb kota został umieszczony na czole martwego chłopca. Tak samo Hajj postąpił z Kamykiem. Przy Promieniu zawahał się na nowo.

— Bóg Los? — spytał raz jeszcze.

Koniec potwierdził, więc twarz Iskry oznaczona została rysunkiem pary oczu i księżycowego sierpa. Na samym końcu w ustach każdego ze zmarłych umieszczono niewielką miedzianą blaszkę.

* * *

Stos miał zapłonąć o południu następnego dnia. Przy stercie drewna stali wszyscy magowie. Z tubylców jedynie obaj szamani, Trop Pantery i Wyżynny. Tylko zza ostatnich chat śledziły obecnych ciekawskie oczy dzieciarni. Wiatr Na Szczycie szeptem wyjaśnił, że pozostali mieszkańcy nie chcą przeszkadzać w ceremonii, którą uważają za rzecz osobistą swoich gości. Służyli pomocą we wszystkim w czym mogli, ale reszta należy do Lengorchian. Jagoda z ulgą pomyślała, że jest to prawdziwym błogosławieństwem. Chyba nie zniosłaby tłumy gapiącego się, jak ogień pochłania zwłoki, skóra pęka i czernieje w płomieniach. . . A jak ona sama to znieśie? Jagoda uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie była świadkiem żadnego całopalenia. Zrobiło się jej trochę słabo.

Wiatr Na Szczycie i Pożeracz Chmur kolejno podnosili ciała i układali je na wierzchu stosu. Przygotowane pochodnie już płonęły, wbite w ziemię tuż obok.

— Pani Matko, bondź łaskawa dla tych, co odeszedli. Weźmij ich do siebie i daj im miejsce na niebie między gwiazdami jako i inszym przed nimi — zaintonował stary szaman.

— Niech się stanie — zakończyli chórem.

Szaman młodszy podszedł do Wiatru Na Szczycie, niosąc w ręku miseczkę z olejem i krzemienny nóż. Mistrz Iluzji przeciął kamiennym ostrzem opuszkę palca i wpuścił kilka kropel krwi do oleju, w którym zatoneły powoli jak czerwone kulki głogu. Następnie podał nóż Stalowemu, aby uczynił to samo. Wszyscy kolejno upuszczali trochę krwi do naczynia.

Młodszy szaman podszedł do stosu i przymierzył się, by wylać ofiarę krwi na zwłoki. Nim zdążył to uczynić, poświęcone naczynie nagle uderzyło o ziemię, upuszczone przez osłabłe ręce, a olej ofiarny opryskał nogi szamana. On sam wydal z siebie trwożny okrzyk całkowicie nie pasujący do sytuacji.

Z przerażeniem malującym się na pobladłej twarzy, patrzył jak długie rzęsy Myszki powoli unoszą się do góry. Chłopiec zamrugnął, zdezorientowany i oślepio-

ny słońcem. Zmarszczył nos, spróbował poruszyć się, lecz krępowały go bandaże. W przytomności osłupiałych świadków otworzył oczy także Promień. Wypchnął językiem z ust miedzianą płytkę, po czym dał się słyszeć jego zachrypnięty głos:

— Co to za paskudztwo?!

Wiatr Na Szczycie i Pożeracz Chmur jednocześnie runęli do Kamyka. Tkacz Iluzji nadal leżał całkiem nieruchomo, a oczy miał szczelnie zamknięte, lecz dlaczego nie miałby go dotyczyć dokonujący się cud? Pożeracz Chmur w zdenerwowaniu rąbnął głową o pierś chłopaka, przykładając do niej ucho.

— Serce mu bije...! — odetchnął z niebotyczną ulgą.

Kamyk powolutku uniósł powieki, jakby stanowiło to dla niego ogromny wysiłek. Obrócił w ustach blaszkę i skrzywił się, wypluwając ją z obrzydzeniem. Nadal wyglądał na oszołomionego.

— Matko... dobrze, że nie zdążyliśmy podpalić stosu! — odezwał się Winograd z drzeniem. — To była ostatnia chwila!

— ONA ma duże wyczucie dramatyzmu — powiedział Promień i splunął, usiłując pozbyć się z ust metalicznego posmaku.

* * *

— To niemożliwe — zaproponował Nocny Śpiewak. — Po prostu niemożliwe. Wybaczcie, ale ja nie wierzę w takie rzeczy.

— Niedowiarek, co nie dowierza własnemu talentowi — zadrwił Promień, zmywając z siebie żółty barwnik.

Obok niego szorował się Myszka. Kamyk z pomocą Pożeracza Chmur zdjął z siebie pogrzebowe szmaty, lecz teraz siedział przygarbiony, patrząc tępo w ziemię. Wydawało się, że niezupełnie jeszcze przyszedł do siebie.

— Byliśmy martwi, sam tak mówisz. Martwi jak kamienie.

— Głęboki letarg. To się zdarza — upierał się Stworzyciel. — Ciało się wychładza, serce bije słabo. Można nie zauważyć. Ja przecież nie jestem medykiem.

— A do objawów letargu należą oczywiście zakrzepy w mózgu i sercu oraz krwotoki tętnicze — odparł sarkastycznie Promień.

— Obaj widzieliśmy to samo — dodał Myszka. — Rozmawialiśmy z Okiem Świata.

— Węże! Bogowie! Niebieskie zające! — krzyknął Śpiewak z rozdrażnieniem. — Bzdury i zabobony! Nie raz Obserwatorzy mają podobne sny, kiedy śpią blisko siebie.

— Ale żaden z nas nie jest Obserwatorem — zauważył logicznie mały Wędrowiec. Po czym przypomniał sobie o czymś i wskazał Kamyka.

— A co śniło się jemu? Może spytasz?

Śpiewak dla spokoju nawiązał kontakt z Kamykiem.

„Kamyk, jaki ty miałeś sen? Śniły ci się może węże? Co widziałeś?”

Tkacz Iluzji tylko na moment podniósł wzrok.

Chyba nic. Nie pamiętam.

Z jakiegoś powodu Kamyk nie chciał się zwierzać. Co zresztą nie dziwiło nikogo. Myszka dość chętnie opowiadał o swoich przeżyciach, ale Promień wyrażywał z siebie relację po kawałku. Może sen Kamyka był wyjątkowo nieprzyjemny?

— To nie dowodzi zupełnie niczego — orzekł Śpiewak stanowczo.

— Halucynacji może mieć każdy, ile chce, zwłaszcza po narkotykach.

— Ciekawe, skąd aż taka doza, żeby ktoś zapadł w śpiączkę — zauważyła jagoda.

— Ha! — krzyknął nagle Promień, przypominając sobie o poleceniu Bogini.

— Stalowy, chodź tu! Mam ci coś do powiedzenia.

Stworzyciel zbliżył się niechętnie. Iskra stanął z nim twarzą w twarz i wyrecytował dobitnie:

— ONA jest z ciebie bardzo niezadowolona. ONA nie lubi robić niepotrzebnych cudów. Ukarze cię znacznie bardziej, jeżeli nie przestaniesz. . . ochchholeeeraaaa!!

— Co jest?! No co jest?! — zdenerwował się Stalowy.

Przez dobrą chwilę zaszokowany Promień nie mógł wykrztusić słowa, po czym rzekł słabo:

— Idź i popatrz w lustro.

Małe lusterko Jagody znajdowało się na samym wierzchu jej torby. Zaniepokojony do ostatecznych granic Stalowy porwał je i wypadł na zewnątrz, gdzie było dość dziennego światła. Po chwili dał się słyszeć następny zdławiony okrzyk, jakby komuś najwyższej miary zaskoczenie odebrało dech.

— Chciałeś dowodu, to go masz. Idź i obejrzyj jego oczy — powiedział Promień ponuro do Śpiewaka.

* * *

Oczy Stalowego z piwnych zrobiły się niebieskie. Rozpacza z tego powodu zupełnie bez sensu. Jagoda ze swymi czerwono różowymi źrenicami, do tego wrażliwymi na silne światło, nie może zrozumieć, o co właściwie mu chodzi. Sama chętnie przyjąłaby błękitne oczy, nawet za karę. Całe to zamieszanie męczy mnie i drażni. Stalowy stał się zupełnie nieznośny. Melanż wyrzutów sumienia oraz bo-

żej bojaźni wytrąciło go z równowagi jeszcze bardziej niż nas owo głupie zmartwychwstanie. Myśleliśmy, że przestał brać narkotyki jeszcze na Jaszczurze. Teraz przyznał się, że po prostu jedynie zmienił środek na taki, którego działanie było mniej widowiskowe niż poprzednie halucynogeny. Nikomu nie przyszło do głowy zaglądać mu w oczy i sprawdzać, czy ma rozszerzone źrenice. Jego dziwaczne nastroje — promienne zadowolenie na przemian z przygnębieniem i złym samopoczuciem kładliśmy na karb ciągłej obawy przed spotkaniem szperaczy Kręgu. Zresztą złośliwość Iskry zawsze była dużo bardziej absorbująca. Rozstroje żołądka przydarzały się natomiast wszystkim — jadaliśmy po drodze najprzedziwniejsze rzeczy i to nie zawsze całkiem świeże. Mieliśmy swoje własne sprawy, więc nikogo nie interesowały osobiste nałogi Stalowego ani zawartość jego kieszeni. Może niestuszenie, bo sam nie umiał sobie poradzić. Owe cukierki nafaszerowane środkiem pobudzającym były codziennym składnikiem jego jadłospisu. Brał małe dawki i czuł się dobrze, lecz kiedy próbował je odstawić — cierpiał, chorował, więc znów brał i tak w kółko. Krył się z tym, więc nikt nie zauważył niczego podejrzanego. Aż nadeszła noc katastrofy, kiedy z łakomstwa pożarliśmy potrójne i poczwórne porcje słodyczy z narkotykiem. Inne specyfiki oraz alkohol dodały swoje, więc w rezultacie wszyscy trzej dostaliśmy zapaści. Gryfa uratowała własna szlachetność — zjadł tylko dwa karmelki, resztę oddał kolegom i w ten sposób zapłacił za łakomstwo jedynie monstrualnym bólem głowy. Stalowy zachowuje się jak obity pies, choć nikt na niego nie podniósł ręki, słusznie uznając, że był to nieszczęśliwy wypadek i zwykły pech. Nie musieliśmy wyżerać cudzej własności bez pozwolenia, Mimo to Stalowy pławi się w samo upokorzeniu. Przeprasza wszystkich po dwadzieścia razy dziennie. Jada osobno, twierdząc, że nie jest godny siedzieć przy jednym stole z porządnymi ludźmi. Widać przy tym, że zupełnie podupał na duchu, ciele i chyba też na umyśle. Jego organizm, nagle pozbawiony sztucznej euforii, upomina się o narkotyk, próbuje wszelkich sztuczek — bóle żołądka, zawroty głowy, depresja, bezsenność, skurcze mięśni i mdłości... chyba nic nie omija Stalowego. Interwencja Bogini i ten dowód jej potęgi, który na stałe wpasowała mu w twarz, rozstraja dodatkowo nerwy nieszczęsnego Stworzyciela. Stalowy nie śmie tknąć się czegokolwiek, bo nie wiadomo, co może nie przypaść do smaku kapryśnej władczyni. Więc nic nie robi.

Sam nie pamiętam prawie niczego od momentu, gdy Pożeracz Chmur stanął do pojedynku na alkohol. Snują mi się po głowie oderwane strzępy jakichś wydarzeń, podobnie jak wtedy, gdy usiłujesz przypomnieć sobie sen z poprzedniej nocy, a nawet nie jesteś pewien, czy śniło ci się cokolwiek. Z pewnością coś robiłem — skąd ta rozdarta koszula i ślady, jakby ktoś mnie podrapał? Czy z kimś się biłem? Drąży mnie coraz silniejszy niepokój, że stało się coś niezbyt przyjemnego. Dziura w pamięci... coś miałem zrobić, coś zrobiłem? Nic się nie rozjaśnia.

A Jagoda unika mnie wyraźnie. Może zdaje jej się, że jestem trupem, który chodzi siłą inercji?

* * *

Myszka jako pierwszy zorientował się, że coś jest nie tak. Dotąd przyjaźni i otwarci mieszkańcy wsi zaczęli niespodziewanie trzymać się na dystans. Skończyły się jak nożem uciął beztraskie pogawędki z gospodyniami. Nadal okazywały mu uprzejmość, ale była ona bardzo oficjalna. Zaczęły nawet odsyłać dzieci, gdy tylko pokazywał się w obejściu. Było to nader przykre i chłopiec prędko zaprzestał tych odwiedzin. Również mężczyźni spotykani przypadkiem nie zagadywali go, choć przedtem chętni byli do rozmowy i przyjaźni aż za bardzo. Odprawiali go tylko wzrokiem, w którym czaił się nieokreślony niepokój. Promień nie szukał przedtem bliskich kontaktów z góralami, ale również odczuł zmianę nastawienia mieszkańców. Trudno było rzec, co o tym sądził Kamyk, gdyż przebywał we własnym świecie ciszy — jeszcze bardziej roztargniony niż dotąd. Całkiem jakby ogarnęła go jakaś obsesja, włóczył się po połoninach, docierając nawet na skraj lasu. Kładł się tam na grubym dywanie z igliwia i przez długi czas wpatrywał w kołyszące się na wietrze wierzchołki srebrzystych świerków.

Przełom nastąpił czwartego dnia.

* * *

Nagle przypomniałem sobie wszystko. Zupełnie jakbym odwrócił kartkę w książce. Nic wesolego... Książka ta ma twarde okładki, a ja dostałem nią po głowie tak mocno, że do tej pory to czuję.

Kto wie, dlaczego Promień i Myszka wynieśli całą pamięć o swoich własnych doświadczeniach, a ja nie? Zapewne ONA miała w tym jakiś cel.

A więc umarłem i wróciłem do życia, bo ONA tak chciała.

W odróżnieniu od Myszkę i Promienia ja nie widziałem wielkiego węża. Na moje powitanie wyszedł Płowy. Po prostu — w jednej chwili byłem na Strzyży, w następnej stałem przed własnym domem w Żmijowych Pagórkach, a Płowy stał na progu. Nie wiedzieć dlaczego, zupełnie mnie to nie zdziwiło. Wyglądał zdrowo. Nie młodziej niż kiedyś (włosy i brodę miał prawie całkiem siwe), ale unosiła się wokół niego trudna do określenia aura energii i siły.

— Mój chłopiec — powiedział na mój widok z serdecznym uśmiechem.

— Chodź, akurat jest świeże mleko. I wiśnie.

Na drzewach wiśniowych koło domu rosły jednocześnie białe pęki kwiatów oraz dojrzałe owoce. I to wydawało mi się zupełnie naturalne. Siedliśmy za stołem, Płowy nalał mleka ze starego dzbanka — poznałem małe wyszczerbienie, sam go

wtedy upuściłem. Wiśnie byty takie, jakie powinny być czerwone, miękkie i słodkie.

— Tęskniłem za tobą — powiedział mój ojciec. — Dobrze znów cię widzieć. Każdy z początku jest trochę oszołomiony — dodał.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że nie zwraca się do mnie w mowie znaków. Po prostu mówił, poruszając wargami, a ja go słyszałem i rozumiałem, choć nie było z nami Pożeracza Chmur. W następnej chwili przypomniało mi się, że przecież Płowy zmarł. Wszystko dokoła było snem. Wspomnieniem, wyrzutem sumienia zapewne i wynikiem mojej tęsknoty za ojcem. Nagle poczułem to przekłętą, zawstydzające wrażenie, gdy czuje się, jak łzy wzbierają wgłębi i za chwilę przeleje się przez oczy. Oczywiście przelały się.

— Tak... mi przy... kro, Płowy — wyjąkałem. — Nie zdążyłem, a ty... umarłeś.

— Nie cierpiałem. To się stało zupełnie nagle — zapewnił mnie.

Rozkleiłem się całkiem, wstyd przyznać. Ciekło ze mnie jak z wyżymanej ściereki.

— Umarłeś — chlipałem. — Nie ułożyłem... nawet stosu... dla ciebie. Prze... pra... szam... Je... steś pewno zawie... dziony?

— Jestem martwy — rzekł i zobaczyłem, że uśmiecha się z politowaniem. Znałem ten jego wyraz twarzy aż za dobrze — zawsze tak się uśmiechał, kiedy zrobiłem coś głupiego.

— Kamyczku, jestem martwy. A twoja rozpacz wydaje mi się nie na miejscu. Zwłaszcza że ty również nie żyjesz. Znów jesteśmy razem, a do tego nie ograniczają nas te niedoskonałe ciała. Mnie już nie bolą plecy, a ty słyszysz,

— Nie żyję? — powtórzyłem niepewnie, ocierając nos i oczy rękawem.

Płowy wskazał palcem okno.

— Jeśli chcesz, to popatrz sobie. Interesujące doświadczenie.

Z lekka oszołomiony podszedłem do okna i wyjrzałem. Zamiast spodziewanego widoku płotu, pasącej się chwastami kozy i starego drzewa, ujrzałem wewnątrz chaty o ścianach z surowego kamienia, oświetlone mdłymi płomykami tojówek. Trzy hajgońskie kobiety zajmowały się długim, dziwnie bladym ciałem, leżącym na marach. Minęła dobra chwila, zanim rozpoznałem samego siebie. A właściwie kogoś o takim samym wyglądzie, jak lustrzane odbicie. W żaden sposób nie potrafiłem dopasować siebie „tutaj” do siebie „tam”.

— Co to za miejsce, Płowy? — spytałem, odwracając się od widoku własnych zwłok. — Chyba nie jesteśmy w starym domu?

— Prawie. To azyl. Kapłan nazwałby to Krainą Wiecznego Szczęścia. Mogę zgodzić się z tą nazwą, z wyjątkiem określenia „wieczne”. Nikt tutaj nie pozostaje wiecznie.

— Czemu?

— Bo w końcu robi się to nudne. Najdłużej można wytrzymać sto albo sto dwadzieścia lat. A potem to już chcesz znów się narodzić. Ja na razie nie narzekam.

— *Roześmiał się wesóło. — Ty pewnie nie wytrzymasz nawet pięćdziesiąt. Masz czynną naturę. Trochę za wcześnie cię tu przyniosło.*

— *To prawda — powiedziałem cicho. — Za wcześnie. Niczego nie zrobiłem. Niczego nie osiągnąłem. Płowy, tak chciałeś, żebym został kimś wielkim. Nie wyszło. Zanim dobrze zacząłem — już koniec.*

— *Śmierć nie jest końcem — odparł. — To narodziny nim są. O to jedno z tu-tejszych praw.*

Coś przyszło mi do głowy.

— *Czy moi rodzice są tutaj? — spytałem.*

Odpowiedział mi cieniutki, dziecinny głosik.

— *Nie. Odeszli bardzo szybko. Oni też byli zbyt młodzi, by zostać.*

Rozzochrane dziecko w zielonej tunice znalazło się przy stole tak nagle, jakby przeszło przez drzwi Wędrowców. Natychmiast usiadło na zydlu i sięgnęło do miski z wiśniami i całą garść na raz wepchnęło do buzi.

— *Uważaj na pestki! — zawołałem.*

Dziewuszka wlepiła we mnie zielone ślepka, a ja pomyślałem, że nigdy jeszcze nie widziałem tak wściekle jaskrawego koloru. Robiło się tu coraz dziwniej. Mała przelknęła wiśnie razem z pestkami bez żadnego wysiłku. Beztrosko machała nóżkami, zwisającymi swobodnie nad podłogą.

— *To ONA — powiedział Płowy tonem szacunku, mocno akcentując drugie słowo. Zrozumiałem, że dziecko jest kimś, z kim trzeba się liczyć.*

— *Odeślę cię — odezwała się nagle dziewczynka. — Nie jesteś mi tutaj potrzebny. Ani ty, ani tamci dwaj.*

Nie miałem wtedy pojęcia, jakich „dwóch” miała na myśli.

— *Chcę cię tam. Masz skończyć to, co zaczęłeś. Nie po to dałam ci tak wielkie zdolności, żeby zmarnować je w równie głupi sposób.*

— *Co mam skończyć? — spytałem ze zdumieniem.*

— *Podróż, oczywiście — odparła dziewczynka niecierpliwie. — Nie wyobrażaj sobie, że pozwolę ci się zakopać w tej zapadłej dziurze jaką jest Pierścień.*

Nie zmieniła się w żaden sposób, lecz nagle wydała mi się dorosła, choć nadal w ciele dziecka. Ta zielona szmatka spięta na szczupłych ramionkach...

— *Czy jesteś... Pani, Matką Świata?*

— *Oczywiście, mój mały.*

Gdybyśmy się przymierzili, sięgałaby mi chyba do pasa, co oczywiście o niczym nie przesądzało.

— *To bardzo miłe, że wybraliście mój kolor, by umieścić go w swoich znakach. Lubię zieleń.*

Jakby z roztargnieniem obróciła w palcach następną wisienkę.

— *Jeszcze nie zażyłeś na odpoczynek tutaj. Narzędzi nie wyrzuca się przed użyciem. Opuśćcie góry. Pójdźcie na Północ.*

— *I co dalej? Co mamy robić?*

— *Postępować zgodnie z własnym sumieniem. Jestem wielkoduszna i oczekuję tego od innych.*

— *To trochę... niejasne — bąknąłem.*

Podatła mi zielony, niedojrzały kłos, który skądś wziął się w jej malej rączce.

— *Oczekujcie znaku. A potem... powodzenia, Tkaczu Iluzji! Bogini zachichotała jak maćka.*

— *Kamieniarz się wścieknie! — usłyszałem jeszcze tajemnicze słowa, a w następnej chwili obudziłem się w kokonie z bandaży, przygotowany do pogrzebu. I z dziurą w pamięci. Koszmarne doświadczenie. ONA miała dość cudaczne poczucie humoru. Potwierdziło to później wydarzenie ze Stalowym. Ale czy wolno mi w jakikolwiek sposób oceniać Boginię?*

* * *

Dwaj Tkacze Iluzji stali na skraju pastwiska. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że obserwują stado pstrokatych kóz. W rzeczywistości kłócili się zawzięcie.

Jak to sobie wyobrażasz?! — spytał ze złością Wiatr Na Szczycie. — To jakiś obłąd! Maniacy! Z powodu tego, że śniły wam się żmije i baby w zielonych kieckach mamy znów wlec się gdzieś na zatracenie?! Ja mam zamiar tu zostać. Zostać, ożenić się i nareszcie mieć spokój!

Nikt cię nie zmusza, żebyś się stąd ruszał. Mogę iść sam. To mnie ONA powołała — Kamyk z precyzją kreślił w powietrzu iluzyjne znaki. Twarz miał zupełnie spokojną, a w oczach fanatyczny blask. Wiatr Na Szczycie zrozumiał, że trudno będzie przełamać ten upór. Kiedy Kamyk wbił sobie coś do głowy z pełnym przekonaniem o własnej racji, trudniej było go przekonać, niż wyciągnąć gwóźdź z deski gołymi palcami.

— *ONA! —* prychnął Wiatr pogardliwie. — *Niech no się dowie o tym nasza Pani Lawin i zobaczymy, co ta ONA robi, jak śnieg zagrozi przełęcz.*

ONA i Pani Lawin to jedna osoba — stwierdził Kamyk zdecydowanie.

Prędej nogi ci poprzetrącam, niż puszcę na szlak! Nie będziesz robił głupot z powodu narkotycznych majaków! — wściekł się Wiatr i z tej złości złapał Kamyka za bluzę na piersiach, prawie unosząc go z ziemi.

Kamyk nawet nie mrugnął. Jego upór zapiekł się już niczym żużel w metalurgicznym piecu. Hajgowi opadły ręce. Bogini, posłannictwo... a już miał nadzieję na szczęście w rodzinnych stronach z Róża u boku! Wybudowałby jej piękny dom w najładniejszym zakątku Pierścienia... mieliby dzieci... Do jasnego pioruna, czy on już zawsze będzie miał takiego pecha?! Zamiast oczekiwać w spokoju wiosny i przybycia narzeczonej, będzie musiał użerać się z obłąkanym chłopą-

kiem, który gotów jest uciec samotnie w góry, by skończyć smutnie w najbliższej przepaści.

Wiatr Na Szczycie puścił chłopca, lecz podsunął mu pod oczy zaciśnięty groźnie kułak.

Nie chcę słyszeć... to jest czytać więcej takich wymysłów. Nic o żadnych wężach, bogach, misjach i duchach zmarłych. Zapamiętaj to sobie. Zrobisz coś głupiego, a stuknę cię tak, że się w lusterku nie poznasz! To wszystko zwidy, majaczelnia, bzdury!!

Kamyk przygryzł wargę, powoli kiwnął głową.

A *Stalowy ma błękitne źrenice* — przed oczami Wiatru pojawił się napis, po czym natychmiast rozplynął.

Zanim spór rozgorzał na nowo, nadszedł Koniec. Wydawał się czymś zatroskany.

— Nie chcę przeszkadzać, ale szaman chce z tobą mówić, Wietrze.

Wiatr Na Szczycie ruszył w stronę chaty, ale na odchodnym pogroził Kamykowi.

Jeszcze z tobą nie skończyłem!

Młody Tkacz Iluzji odprowadził go wzrokiem.

Coś się stało?

„Szaman i jego przyboczny chcą mówić z Wiatrem” — Mówca natychmiast przeszedł na kontakt mentalny.

„Wiesz czego chcą?”

„Pewnie już zauważyłeś, że Hajgowie są bardzo tradycyjni. Jak zwykle każde zachwianie rutyny wprowadza zamieszanie. Nie wiedzą, jak podejść do wydarzeń ze Strzyży. Kiedyś żywi byli żywi, a martwi pozostawali martwi. W osadzie panuje niepokój. Chcą prosić, żebyśmy sobie poszli”.

„Ta cudowna gościnność powinna dotyczyć tylko nas: Promienia, mnie i Myszkę” — zauważył Kamyk nieco sarkastycznie.

„I dotyczy, ale chyba nie myślisz, że zostawimy was samych. Jesteśmy w końcu Kręgiem. Małym, ale Kręgiem. Poza tym, sądząc z myśli tego staruszka, nikt nie myśli nas wypędzać z Pierścienia. Po prostu woleliby, żebyśmy zamieszkali nieco dalej od nich”.

Kamyk zrobił daszek z dłoni i popatrzył daleko przed siebie, na północny kraniec Pierścienia.

„Jeśli chodzi o mnie, raczej nie będę się narzucał tubylcom. Mam coś do zrobienia t a m”.